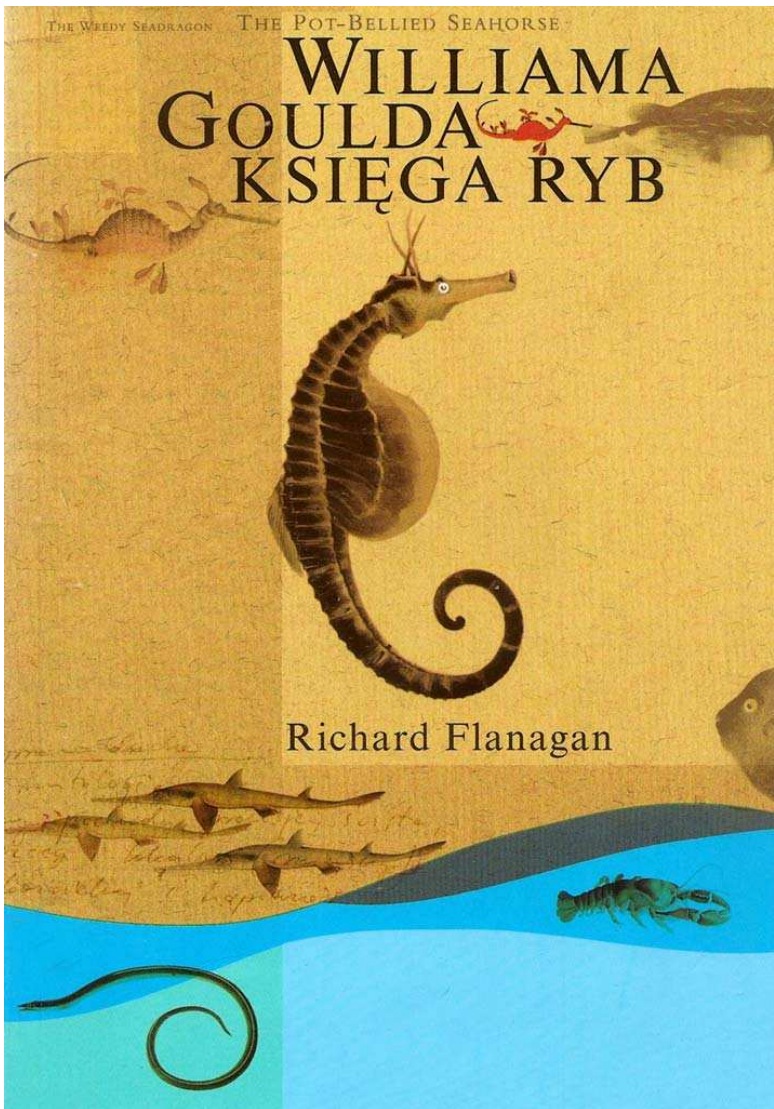


THE WEEDY SEADRAGON

THE POT-BELLIED SEAHORSE

# WILLIAMA GOULDA KSIĘGA RYB

Richard Flanagan



WILLIAMA  
GOULDA   
KSIĘGA RYB  
powieść w dwunastu rybach



Richard Flanagan

przełożyła Hanna Pawlikowska-Gannon

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

Moją matką jest ryba.

*William Faulkner*



## BRZUCHATY KONIK MORSKI

*Odkrycie Księgi ryb – Podrabiane meble i uzdrawiająca siła wiary – Conga – Pan Hung i Moby Dick – Victor Hugo i Bóg – Burza śnieżna – O tym, dlaczego historia i historyjki nie mają z sobą nic wspólnego – Księga znika – Śmierć ciotecznej babki Maisie – Zostaje uwiedziony – Samiec konika morskiego rodzi – Upadek*

### I

Nadal jeszcze towarzyszy mi zachwyty związany z odkryciem *Księgi ryb*, tak świetlisty jak ów fosforyzujący marmurkowy wzór, który przykuł moją uwagę tamtego niezwykłego ranka; lśnił niby niesamowite zawirowania barwiące umysł i zniewalające duszę. Wtedy właśnie rozpoczął się proces redukcji mojego serca, a co gorsza mojego życia, do nędznego, chuderlawego szkieletu; o czym opowiada historia, którą zaraz przeczytacie.

Co takiego w tym delikatnym promieniowaniu skłaniało mnie do myślenia, że wciąż na nowo przeżywam to samo życie niczym hinduski mistyk na zawsze uwięziony w Wielkim Kole? Co miało się stać moim przeznaczeniem? Co odmieniło mój charakter? Co uczyniło moją przeszłość i przyszłość niepodzielną jednością?

Czy był to blask promieniujący od niechlujnego rękopisu, z którego wypływały już koniki morskie, pławikoniki australijskie i skabery, przez co młody jeszcze, ale ponury dzień nabierał oślepiającej jasności? Czy była to pożałowania godna próżność, która kazała mi sądzić, że mieszczą się we mnie wszyscy ludzie, wszystkie zwierzęta i wszystkie rzeczy? A może to coś znacznie bardziej prozaicznego – złe towarzystwo i jeszcze gorsze napoje – doprowadziło mnie do impasu, w którym się aktualnie znalazłem?

Charakter i przeznaczenie to dwa słowa, pisze William Buelow Gould, określające tę samą rzecz – jeszcze jedna sprawa, w której, tak jak zawsze, zasadniczo się mylił.

Drogi, słodki, głupi Billy Gould i jego szalone opowieści o miłości; tak wielka miłość jest dzisiaj czymś niemożliwym, a wtedy też nie była możliwa, nie mógł więc kontynuować. Obawiam się jednak, że zbaczam z tematu.

Nasze historie, nasze dusze – do takiego wniosku doszedłem przez te jego cuchnące ryby – są w trakcie stałego rozkładu i ponownego wymyślania siebie, a ta książka, jak miałem odkryć, była historią wielkiej góry kompostowej mojego serca.

Nawet moje rozgorączkowane pióro nie może opisać zachwyty i intensywności zdumienia, jakby w chwili, gdy otworzyłem *Księgę ryb*, reszta mojego świata – *świata w ogóle* – pogrążyła się w ciemnościach, a jedyne światło w całym wszechświecie wydobywało się przed moimi zdumionymi oczami ze stron tego starego rękopisu.

Nie miałem pracy, bo wtedy na Tasmanii nie było jej zbyt dużo, a teraz jest jeszcze mniej. Może więc byłem bardziej niż normalnie podatny na cuda. Może tak jak biedna portugalska wieśniaczka widzi Madonnę, bo nie chce widzieć niczego innego, ja też tęskniłem za tym, by nie widzieć własnego świata. Może gdyby Tasmania była normalnym miejscem, gdzie człowiek ma odpowiednią pracę, spędza godziny w korkach, żeby spędzić jeszcze więcej czasu w kieracie normalnych problemów, czekając na powrót do normalnego zamknięcia, gdzie nikt nigdy nawet nie śnił o tym, jak to jest być konikiem morskim, nie przydarzyłyby się nikomu tak nienormalne historie jak przeistoczenie się w rybę.

Piszę „może”, ale szczerze mówiąc, nie jestem pewien.

Może podobne rzeczy dzieją się przez cały czas w Berlinie i Buenos Aires, a ludzie są po prostu zbyt zażenowani, by się do tego przyznać. Może Madonna codziennie odwiedza nowojorskie osiedla, koszmarne wieżowce Berlina i zachodnie przedmieścia Sydney, a wszyscy udają, że jej tam nie ma, że wkrótce sobie pójdzie i już nie będzie ich wprowadzać w zakłopotanie. Może nowa Fatima leży gdzieś na rozległych terenach Klubu Robotniczego Revesby, a aureola otacza obskurny ekran z mrugającym napisem GORĄCZKA BLACK JACKA.

Czy to możliwe, że wszyscy są odwrócenii, wpatrują się w nędzne monitory i nie ma nikogo, kto byłby świadkiem chwili, gdy stara kobieta lewituje, wypełniając karty do kasyna? A może zatraciliśmy zdolność, ten szósty zmysł, który pozwala dostrzegać cuda, mieć wizje i rozumieć, że jesteśmy czymś innym, większym, niż nam powiedziano? Może ewolucja biegła w odwrotnym kierunku dłużej, niż podejrzewałem, i staliśmy się już smutnymi, tępymi rybami? Jak mówiłem, nie jestem pewien, a jedyne osoby, którym ufam, czyli pan Hung i Conga, też nie mają pewności.

Szczerze mówiąc, doszedłem do wniosku, że w tym życiu niewiele jest rzeczy, których można być pewnym. Cenię prawdę, wbrew pozorom świadczącym o czymś przeciwnym, ale gdzie można tę prawdę znaleźć? Wszak William Buelow Gould wypytywał o swoje ryby, kiedy już dawno były martwe w wyniku jego niekończących się, bezużytecznych śledztw.

Jeśli chodzi o mnie, to teraz zabrano mi już i księgę, i wszystko, ale czymże są książki, jeśli nie bajeczkami, na których nie można polegać?

Był sobie kiedyś człowiek o nazwisku Sid Hammet, który odkrył, że nie jest tym, za kogo się uważa.

Był taki czas, kiedy miały miejsce cuda, a wyżej wspomniany Hammet wierzył, że znalazł się w samym centrum jednego z nich. Do tej chwili żył dzięki własnemu sprytowi, co jest łagodniejszą formą stwierdzenia, że jego życie było rozwijającym się aktem rozczarowania. A po tym dniu miał cierpieć na okrutną przypadłość wiary.



Był sobie kiedyś człowiek o nazwisku Sid Hammet, który w blasku dziwnej księgi ryb dostrzegł swoją historię, co zaczęła się jak bajka, a skończyła jak dziecinny wierszyk, w drodze na Banbury Cross na koniu na biegunach.

Był taki czas, kiedy zdarzyły się straszne rzeczy, ale było to dawno temu w bardzo odległym miejscu; a jak każdy wie, to, co nie dzieje się tu i teraz, nie dotyczy też nas.

## II

Do tamtej chwili zajmowałem się kupowaniem starych, rozwalających się mebli, które niszczyłem jeszcze bardziej wszystkimi możliwymi sposobami. Podczas gdy tłukłem młotkiem nieszczęsne szafki, aby wytworzyć żalozną patynę; podczas gdy odlewałem się na stare okucia, żeby wydobyć zgniłozieloną śniedź, wykrzykując równocześnie wszystkie możliwe przekleństwa w celu poprawienia sobie samopoczucia – w poszczególnych meblach widziałem turystów, którzy będą ich nieuniknionymi nabywcami, kupującymi to, co błędnie uznawali raczej za resztki romantycznej przeszłości niż za dowód nędznej teraźniejszości, czym w istocie były owe przedmioty.

Moja cioteczna babka Maisie twierdziła, że fakt znalezienia przeze mnie jakiegokolwiek pracy graniczy z cudem, a ja uznałem, że nie może się mylić, bo wszak to ona zabrała mnie na stadion, kiedy miałem siedem lat, pod koniec zimy w pewien przepiękny dzień, jasny jak rubin, bym w cudowny sposób uczestniczył w wygraniu przez Północne Hobart półfinału futbolu. Spryskała błotnisty grunt boiska świętą wodą z Lourdes z maleńkiej buteleczki. Wielki John Devereaux był kapitanem i trenerem, a ja siedziałem okutany czerwono-niebieskim szalikiem Demonów jak egipski zmumifikowany kot; widać było jedynie wielkie ciekawskie oczy. Wybiegłem po trzech kwartach, żeby patrząc przez szczeliny gąszczu mocarnych ud graczy pachnących wonią Porażki, usłyszeć mobilizującą mowę wielkiego Johna Devereaux.

Północne Hobart przegrywało dwunastoma punktami, więc wiedziałem, że kapitan powie swoim graczom coś znaczącego, a John Devereaux nie był człowiekiem, który sprawiał zawód wielbicielom. „Przestańcie myśleć o tych cholernych kobitkach – powiedział. – Ronnie, zapomnij o Jody. A ty Nobby, im szybciej wybijesz sobie z głowy Mary, tym lepiej”. I tak dalej. Wspaniale było usłyszeć imiona tych wszystkich dziewcząt i zorientować się, jak wiele one znaczą dla takich gigantów po trzech kwartach meczu. Kiedy potem wygrali, kopiąc do wtóru wiatrowi, wiedziałem, że miłość i woda z Lourdes to kombinacja nie do pobicia.

Wracając jednak do mojej pracy przy meblach: była ona według słów Rennie Congi (na wypadek, gdyby przeczytał to ktoś z jej rodziny i poczuł się dotknięty, spieszę donieść, że nie jest to jej prawdziwe nazwisko, ale nikt nie mógł spamiętać jej pełnego włoskiego nazwiska, a Conga zdawało się idealnie pasować do wypukłości jej ciała i obcisłych ciemnych szat, którymi lubiła okrywać swoje węzowe kształty), wówczas mojego sądowego kuratora, zajęciem z perspektywami, szczególnie gdy zjawiał się statek wycieczkowy pełen starych, tłustych Amerykanów. Amerykanie ze swoimi wystającymi brzuchami, w szortach, na dziwnych cienkich nóżkach i w jeszcze dziwniejszych wielkich białych butach zaznaczających koniec zbyt dużych ciał, stanowili rozbrajające ludzkie znaki zapytania.

Użyłem słowa „rozbrajające”, ale naprawdę chodziło mi o to, że mieli pieniądze.

Mieli także swoje gusty, dość szczególne, ale kiedy w grę wchodził handel, darzyłem ich wystarczającą sympatią, którą zresztą odwzajemniali. Przez jakiś czas oboje z Congą nie najgorzej wychodziliśmy na starych krzesłach, które ona kupiła na jakiejś aukcji, kiedy zamknięto kolejną tasmańską dyрекcję któregoś z rządowych biur. Malowałem te krzesła na rozmaite jasne kolory emalią, robiłem przecierkę, pocierając lekko tarką do warzyw, obsikiwałem i sprzedawałem jako meble shakerów, co to rzekomo w ubiegłym stuleciu trafiły tu z Nantucket wraz z wielorybnikami, którzy – jak wyjaśnialiśmy w odpowiedzi na znaki zapytania – nieustannie przemierzali południowe oceany w poszukiwaniu olbrzymich okazów.

To była historyjka, którą turyści przyjmowali naprawdę chętnie. Należała do tego typu opowieści, jakie mogli zawsze zaakceptować – taka bardzo amerykańska, szczęśliwa, poruszająca historyjka o tym, jak Znaleźliśmy Ich Żywych i Przywieźliśmy Z Powrotem Do Domu. Przez jakiś czas była to na tyle dobra opowiadka, że zabrakło nam towaru i Conga musiała uruchomić stronę produkcyjną całego przedsięwzięcia, dobijając targu z nowo przybyłą rodziną wietnamską. Ja tymczasem załatwiłem elegancki druk całej historyjki razem z prawdziwymi potwierdzeniami autentyczności mebli przez fikcyjną organizację, którą nazwaliśmy Stowarzyszeniem Antykwariuszy van Diemena.

Historia Wietnamczyka (nazywał się Lai Phu Hung, ale Conga przywiązywała wagę do przejawów szacunku, nalegała więc, żebyśmy zwracali się do niego „panie Hung”) była równie interesująca jak każda stara opowieść wielorybnicza, ucieczka jego rodziny z Wietnamu – bardziej niebezpieczna, podróż do Australii przeciążoną i niesprawną łodzią rybacką – bardziej rozpaczliwa, a umiejętność rzeźbienia w kości słoniowej na pewno znacznie wyższa. Powinienem dodać, że stanowiło to dla nas dodatkowe i całkiem niezłe uboczne źródło dochodów. Za wzornik dla swoich rzeźb w kości pan Hung wykorzystywał drzeworyty ze starego wydania *Moby Dicka* w serii Biblioteki Nowoczesnej.

Ale on i jego rodzina nie mieli na pokładzie żadnego Melville'a, Izmaela, Queequega ani Ahaba, żadnej romantycznej przeszłości, jedynie kłopoty i marzenia tak jak my wszyscy, ale zbyt nieodwracalnie ludzkie i zbyt przyziemne, by mogły mieć jakąkolwiek wartość dla nienasyconych znaków zapytania. Trzeba jednak oddać im sprawiedliwość: szukali jedynie czegoś, co oddzielało ich od przeszłości i ogólnie od ludzi; nie szukali niczego, co umożliwiałoby powiązania, które mogły okazać się bolesne czy ludzkie.

Dotarło do mnie, że byli spragnieni historii, w których już tkwili uwięzieni, a nie historii, w których pojawialiby się obok opowiadającego, jako współnicy w ucieczce. Chcieli, żebyś powiedział „wielorybnicy”, bo wtedy mogliby odpowiedzieć: „Moby Dick”, i przywołać obrazy z serialu o tym samym tytule; ty mógłbyś wówczas powiedzieć „antyk”, a oni w odpowiedzi zapytaliby: „Za ile?”.

Chodziło o tego typu historie.

Opłacalne.

Nie takie jak historie pana Hunga, których nie chciał słuchać żaden znak zapytania, co pan Hung zdawał się akceptować w sposób zadziwiający, częściowo dlatego, że jego prawdziwą ambicją nie było kierowanie dźwigiem parowym, jak to robił w mieście Hajfong. Chciał być poetą, a to marzenie pozwalało mu okazywać romantyczną rezygnację wobec obojętności bezdusznego świata.

Bo religią pana Hunga w sensie dosłownym była literatura. Należał do Cao Dai, sekty buddyjskiej, która uważała Wiktora Hugo za boga. Oprócz podziwiania powieści bóstwa pan Hung zdawał się doskonale obznajmiony z wieloma innymi wielkimi francuskimi pisarzami dziewiętnastego stulecia (był wręcz w duchowej z nimi komunii), których – i to nie zawsze – znałem jedynie z nazwiska.

Przebywając w Hobart, nie w Hajfongu, turyści mieli w nosie pana Hunga i jemu podobnych i na pewno nie zapłaciliby nam ani grosza za jego opowieści o dźwigach parowych czy o żurawiach ojca, które łowiły ryby, o jego poezji czy nawet o jego myślach na temat związków między Bogiem a literaturą galijską. Toteż pan Hung wykopał niewielki warsztat pod swoim starym domem należącym do Kompanii Cynkowej w Lutanie i zabrał się do pracy: wytwarzał podrabiane antyczne krzesła i rzeźbił podróbki w kości wieloryba, żeby uzupełnić nasze co bardziej ponure zmyślenia.

A niby dlaczego pan Hung, jego rodzina, Conga czy ja mielibyśmy się przejmować?

Turyści mieli pieniądze, a nam były one potrzebne; turyści pragnęli jedynie, by w zamian okłamywać ich, zwodzić i powtarzać tę jedną najważniejszą rzecz: że są bezpieczni, że ich poczucie bezpieczeństwa – narodowego, indywidualnego, duchowego – to nie jest kiepski żart, jaki płała im znudzone i kapryśne przeznaczenie. Chcieli usłyszeć, że nie ma związku między wtedy a teraz, że nie muszą nosić czarnej opaski na ramieniu ani odczuwać wyrzutów z powodu własnych możliwości i bogactwa i braku tychże u wszystkich pozostałych; że nie muszą czuć się paskudnie, ponieważ nikt nie może lub nie chce wytłumaczyć, dlaczego zamożność nielicznych zdaje się dziwnie uzależniona od nędzy tak wielu. Uprzejmie udawaliśmy, że chodzi o sprzedaż i kupno krzeseł, o zadawane przez nich pytania dotyczące cen i dziedzictwa i o nasze odpowiedzi w podobnym tonie.

Ale nie chodziło wcale o ceny i dziedzictwo, absolutnie o to nie chodziło.

Turystów dręczyły uparte, niewypowiedziane pytania, a my musieliśmy odpowiadać na nie w miarę swoich możliwości za pomocą podrabianych mebli. Oni w istocie pytali: „Czy jesteśmy bezpieczni?”, a nasza odpowiedź w rzeczywistości brzmiała: „Nie, ale barykada niepotrzebnych dóbr pomoże zasłonić widok”. A ponieważ *hybris* nie jest tylko starym greckim słowem, ale odczuciem tak mocno zakorzenionym, że właściwie powinniśmy traktować je jako bezbłędny instynkt, chcieli także wiedzieć: „Jeśli to nasza wina, czy będziemy cierpieć?”, a my tak naprawdę odpowiadaliśmy im: „Owszem, i to przewlekłe, ale podrabiane krzesła mogą poprawić nasze ogólne samopoczucie”. Chcę powiedzieć, że był to sposób zarobkowania może nie najlepszy, ale też i nie najgorszy, bo chociaż musiałem przenosić tyle krzesel, ile mogliśmy sprzedać, to nie musiałem dźwigać ciężaru świata.

Pomyślcie, że takie przedsięwzięcie powinno się spotkać z większym uznaniem, że w sposób nieunikniony powinno się rozwijać, rozszerzać, urastać do zbawczej działalności o globalnych proporcjach i narodowym znaczeniu. Mogłoby nawet zdobywać nagrody eksportowe. Z pewnością byłoby tak w każdym mieście z prawdziwego zdarzenia – powiedzmy w Sydney podobnie oszukańcze marzenia zostałyby sownie wynagrodzone. Ale to w końcu było Hobart, gdzie marzenia pozostawały sprawą ściśle prywatną.



Po otrzymaniu licznych listów od adwokatów miejscowych handlarzy antykami, w wyniku czającej się groźby sądowego procesu nasze szlachetne przedsięwzięcie niesienia pociechy emerytowanym trybunom rozpadającego się imperium straciło grunt pod nogami. Conga poczuła się zmuszona zająć doradztwem ekoturystycznym wraz z wietnamskim fałszerzem mebli, a ja szukałem nowych możliwości.

### III

Tak się więc złożyło, że w ów zimowy poranek, który miał się okazać tak brzemienny w skutki, ale wówczas wydawał się jedynie mroźny, znalazłem się w nabrzeżnej dzielnicy Salamanca. W starym magazynie natknąłem się na coś, co wtedy było jeszcze tylko sklepem z tandetą, zanim i tę przestrzeń zagarnęli turyści i przekształcili ją w kolejną, lekko przedobrzoną restaurację na wolnym powietrzu.

Za niemodnymi czarnymi drewnianymi szafami z lat czterdziestych, którymi nigdy nie zainteresowałby się żaden turysta, nawet w poszukiwaniu rozgrzeszenia, dostrzegłem przypadkiem starą chłodziarkę do mięsa z cynkowanego żelaza. Powodowany dziecinnym pragnieniem zajrzenia do każdego zamkniętego wnętrza, otworzyłem ją.

W środku zobaczyłem jedynie stertę kobiecych pism sprzed lat – odkrycie równie pełne kurzu, co rozczarowania. Już zamykałem drzwiczki, kiedy pod tymi blaknącymi jarmarcznymi opowieściami o miłości i smutnych, zagubionych księżniczkach przyciągnęły mój wzrok wątle bawełniane nitki, sterczące równie pogodnie jak zarost ciotecznej babki Maisie, bezwstydnie i z pewnym archaicznym wigorem.

Drzwiczki zaskrzypiały tępo, kiedy otworzyłem je szerzej i zajrzałem głębiej do środka. Zorientowałem się, że nitki sterczą z lekko poszarpanej okładki, której grzbiet już częściowo się oderwał. Wyciągnąłem rękę i delikatnie, jak gdybym wyciągał z sieci beznadziejnie zaplątaną w niej cenną rybę, podniosłem pisma i wyjąłem spod nich coś, co wydawało się zniszczoną książką.

Uniosłem ją do góry.

Zbliżyłem do niej nos.

Dziwne, ale nie pachniała słodką stęchlizną starych ksiąg, tylko morskim wiatrem od Morza Tasmana. Delikatnie przejechałem po okładce palcem wskazującym. Choć była brudna, pokryta warstwą czarnego tłuszczu, w dotyku zdawała się jedwabista. Właśnie podczas ścierania owego szlamu naniesionego przez stulecia zaszło pierwsze z zadziwiających zjawisk.

Już wówczas powinienem był uświadomić sobie, że nie chodzi tu o zwykłą książkę, a już na pewno nie o taką, z którą powinien mieć do czynienia ktoś podobny do mnie. Znałem – a przynajmniej tak mi się zdawało – granice własnej występności i uważałem, że nauczyłem się mówić „nie” każdej głupocie, która mogła wiązać się z osobistym ryzykiem.

Było jednak za późno. Byłem już – jak mi to wyjaśniono kiedyś w trakcie procedury sądowej – wplątany. Bo pod tym delikatnym czarnym proszkiem zaczynało się dzieć coś wyjątkowego: marmurkowa okładka książki wydzielala słaby, ale coraz jaśniejszy purpurowy blask.

## IV

Na zewnątrz trwał melancholijny zimowy dzień.

Górze nad miastem przykrywał śnieg. Mgła kłębiła się nad szeroką rzeką i niczym wolno opadająca kołdra ze ścinków nakrywała dolinę, w której rozłożyły się spokojne, na ogół zupełnie puste ulice Hobart. W chłodnym pięknie poranka przemknęło kilka postaci okutanych w liczne warstwy odzieży chroniącej przed zimnem, szybko jednak zniknęły. Początkowo biała góra poszarzała, a potem skryła się zadumana za czarną chmurą. Miasto zapadało w łagodną drzemkę. Śnieg przypominający zapomniane sny rozpoczął harce na wyciszonych ulicach.

Wszystko to nie jest tak całkiem nie na temat, bo w istocie próbuję powiedzieć, że było zimno jak w grobie i dziesięciokrotnie spokojniej, że tego dnia nie pojawiły się żadne znaki, nic, co mogłoby ostrzec mnie przed tym, co miało się zdarzyć. I niewątpliwie w taki dzień nikt inny nie wybrał się do ciemnego, nieogrzewanego sklepu z tandetą w Salamance. Nawet właściciel pochylał się nad niewielkim grzejnikiem w głębi swoich włości. Odwrócony do mnie tyłem, ukradkiem zamieniał *Cztery pory roku* Vivaldiego, straszliwy hymn współczesnego handlu detalicznego, na kojące niskie rubato sprawozdania wyścigowego, czyli na dźwięki o niepowtarzalnej przytulności.

Nie było nikogo, kto by zauważył, kto wraz ze mną byłby świadkiem cudu, kiedy to świat zdawał się ograniczać do ponurego kąta starego sklepu z tandetą, a wieczność do owej chwili, gdy po raz pierwszy starłem brud z okładki tej dziwnej książki.

Podobnie jak skóra niektórych ryb złowionych w nocy, okładka książki stała się teraz zbiorowiskiem pulsujących purpurowych punktów. Im bardziej ją tarłem, tym bardziej rozprzestrzeniały się owe punkty, aż większość okładki zaczęła świecić jasnym blaskiem. Tak jak u nocnego rybaka, który ma do czynienia z tym szczególnym gatunkiem ryby, świecące punkty przeniosły się z okładki na moje dłonie, dopóki one też nie pokryły się purpurowymi piegami, mrugającymi w cudownym nieładzie, jak światła egzotycznego, nieznanego miasta widziane z samolotu. Kiedy trzymałem przed oczami własne świecące dłonie, a potem obracałem je powoli, zadziwiony i zachwycony – dłonie tak znajome i tak obce – czułem się tak, jakbym już zaczął niepokojącą metamorfozę.

Położyłem książkę na plastikowym blacie stolika obok chłodziarki do mięsa, przesunąłem świecącym kciukiem po podbrzuszu jej nieporządnym, nietrwałych kartek i podniosłem okładkę. Ku mojemu zdumieniu księga otworzyła się na obrazku brzuchatego konika morskiego. Konika otaczały krzywe zapiski niczym gromady krasnorostów i traw morskich. Pomiędzy nimi od czasu do czasu pojawiały się akwarelowe malunki innych ryb.

Muszę przyznać, że panował tam straszny bałagan, niektóre teksty pisane atramentem nakładały się niechlujnie na fragmenty pisane ołówkiem i odwrotnie. Kiedy wyczerpało się miejsce na końcu książki, autor po prostu odwrócił ją do góry nogami i podjął pisanie dalszych opowieści pomiędzy zapisanymi już wierszami tekstu – w odwrotnym kierunku i w odwrotną stronę. Jakby już samo to nie było dość mylące – a było – na marginesach znajdowały się jeszcze liczne dodatki i adnotacje, czasami na odrębnych, luźnych kartkach papieru, a raz nawet na czymś, co wyglądało jak wysuszona rybia skóra. Zdawało się, że autor zgromadził wszelkie możliwe materiały – stare płótno żaglowe, końcowe strony wyrwane z Bóg wie jakich książek, tkaninę na worki, a nawet jutę – by pokryć ich powierzchnię barwnym, drobnym charakterem pisma, które w najlepszym przypadku było trudne do rozszyfrowania.

W wyniku takiego chaosu odniosłem wrażenie, że czytam książkę, która nie ma ani prawdziwego początku, ani prawdziwego końca. Przypominało to wpatrywanie się w czarujący kalejdoskop zmieniających się widoków: to sprawa specyficzna, czasami frustrująca, czasem zachwycająca, ale zupełnie nie taka, jaka powinna być prawdziwa książka, która jest albo otwarta, albo zamknięta.

Jednak zanim zdążyłem się zorientować, porwały mnie bez reszty historie towarzyszące rybom – jeśli w ogóle można je tak określić, bo tom ten przypominał raczej dziennik czy pamiętnik, czasami pełen aktualnych wydarzeń, pogrążony w bagnie codzienności, a innym razem wypełniony sprawami tak dziwnymi, że początkowo wydawał mi się kroniką snów czy może koszmarów sennych.

Autorem tych niezwykłych zapisków zdawał się zesłaniec o nazwisku William Buelow Gould, który w rzekomym interesie nauki otrzymał w 1828 roku polecenie od lekarza kolonii karnej na Wyspie Sary, by malować wszystkie złowione tu ryby. Ale o ile sporządzanie obrazków ryb było obowiązkowe, o tyle zapiski, które autor wykonywał dodatkowo, nie należały do jego obowiązków. Prowadzenie tego rodzaju dzienników przez więźniów było zakazane, a tym samym niebezpieczne. Każdą historyjkę zapisano innym kolorem atramentu, sporządzanego – jak opisuje to skryba skazaniec – przemyślnym sposobem ze wszystkiego, co było pod ręką: czerwony atrament z krwi kangura, niebieski ze skradzionego i sproszkowanego kamienia szlachetnego i tak dalej.

Autor pisał w kolorach, a mówiąc bardziej precyzyjnie, podejrzewam, że czuł w kolorach. Nie chodzi mi o to, że rozpływałyby się nad zachodami słońca o barwie czerwonego wina czy nad lazurową chwałą spokojnego morza. Sugeruję raczej, że jego świat nabierał odcieni, które go przytłaczały, jakby wszechświat był konsekwencją koloru, a nie odwrotnie. Zastanawiałem się, czy cud koloru rekompensował koszmar jego świata.

Owa potajemna tęcza opowieści pomimo – a może raczej z powodu – prymitywnego stylu, licznych niekonsekwencji, trudności odczytania, dziwnego piękna, nie mówiąc już o humorystycznych, czasami wręcz nieprawdopodobnych momentach, tak mnie zniewoliła, że musiałem przeczytać co najmniej połowę, nim doszedłem do siebie.

Znalazłem na podłodze starą szmatę, którą tarłem ręce niemal do zdarcia skóry, tak długo, aż zeszyły z nich błyszczące purpurowe plamki, po czym z powrotem ukryłem księgę w chłodziarce na mięso, którą następnie kupiłem, po krótkim targowaniu, za odpowiednio niską cenę, jaką osiągały wówczas zardzewiałe pojemniki na mięso z cynkowanego żelaza, zanim one też, podobnie jak pozostałe starocie, stały się modne.

Do dziś nie potrafię powiedzieć, jakie były moje zamiary, kiedy szedłem w niewielkiej śnieżnej zawiei, zmagając się z nieporęcznym pojemnikiem na mięso. Wiedziałem co prawda, że uda mi się pomalować chłodziarkę na kolory dziedzictwa i opchnąć ją jako antyczną szafkę na urządzenia grające za cenę dwukrotnie wyższą niż sam zapłaciłem; wiedziałem też, że wymuszę na dentyście bezpłatną plombę w zamian za stare pisma kobiece do poczekalni; ale nie miałem pojęcia, co zrobię z *Księgą ryb*.

Muszę przyznać ze wstydem, że z początku odczułem prymitywny impuls, by wyrwać liczne obrazki ryb, oprawić je i sprzedać znajomemu handlarzowi starych sztychów. Ale im dłużej czytałem wciąż od nowa *Księgę ryb* tego zimnego wieczoru, następnego i jeszcze przez wiele kolejnych wieczorów, tym mniejszą miałem ochotę, by na niej zarobić.



Ta historia mnie zachwyciła. Zacząłem wszędzie nosić ze sobą książkę, jakby była skutecznym talizmanem, jakby zawierała rodzaj magii, która mogła mi przekazać czy wyjaśnić coś, co miało dla mnie fundamentalne znaczenie. Nie umiałem jednak ani wówczas, ani teraz wytłumaczyć, czym była owa fundamentalna rzecz i dlaczego zdawała się tak istotna.

Z absolutną pewnością mogę stwierdzić jedynie, że kiedy zwróciłem się do historyków, bibliofilów i wydawców, by usłyszeć ich zdanie na temat wartości księgi, nie wątpiąc, że ich także zachwyci moje odkrycie, przekonałem się ze smutkiem, że tylko ja byłem urzeczony.

Chociaż wszyscy się zgadzali, że *Księga ryb* jest stara, to większa jej część – historia, którą próbuje opowiedzieć; ryby, które rzekomo przedstawia; skazańcy, wartownicy i więzienna administracja, którą usiłuje opisać – tylko w tym sensie zgadza się ze znanymi faktami, że pozostaje z nimi w sprzeczności. Ta wojownicza księga, powiedziano mi, stanowi nic nieznaczący, choć ciekawy twór szczególnie obłąkanego umysłu z dawnych czasów.

Kiedy udało mi się przekonać muzeum do przeprowadzenia badań pergaminu, atramentu i farb, do oznaczenia dat za pomocą badania metodą węglową, a nawet do komputerowego zeskanowania każdej strony, przyznano, że wszystkie materiały i techniki zdają się autentyczne i odpowiednie dla opisywanego okresu. Jednak opowiedziana historia była tak niewiarygodna, że eksperci muzealni nie tylko nie potwierdzili, że księga jest autentyczną pracą o wielkim historycznym znaczeniu, ale pogratulowali mi wysokiej jakości fałszerstwa i życzyli wszystkiego najlepszego w mojej dalszej pracy w turystyce.

## V

Niejako ostatnią szansą był znany historyk kolonii profesor Roman de Silva. Przez wiele dni po wysłaniu mu *Księgi ryb* moje nadzieje rosły, a potem znikwały podczas długich tygodni oczekiwania na odpowiedź. W końcu w wilgotne czwartkowe popołudnie zadzwoniła sekretarka z informacją, że profesor spotka się ze mną na dwadzieścia minut w późniejszych godzinach tego dnia w swoim uniwersyteckim gabinecie.

Zobaczyłem tam człowieka, którego reputacja nie tylko wydawała się nie pasować do jego wyglądu, ale wręcz kłóciła się z nim. Nerwowe ruchy profesora de Silvy, brzuchata sylwetka, farbowane kruczoczarne włosy podstrzyżone na małej główce w nieprawdopodobnie gogusiowatą fryzurę sugerowały niefortunne połączenie kukły Elvise z niecierpliwym kogucikiem rasy leghorn.

Nie uległo wątpliwości, że *Księga ryb* znalazła się na ławie oskarżonych, a profesor rozpoczął miazdzącą argumentację na rzecz oskarżenia, zdecydowany nie dopuścić, by nasze spotkanie mogło się zdegenerować w rozmowę.

Odwrócił się do mnie plecami, pogrzebał w szufladzie i niespodziewanie – nagłym ruchem, który miał być dramatyczny, ale wypadł wyłącznie niezgrabnie – upuścił na biurko kulę z lanego żelaza i łańcuch. Rozległ się odgłos jakby łamanego drzewa, ale profesor de Silva już wciągnął się w swoje działanie i jak przystało na profesjonalistę, nie zamierzał dopuścić, żeby jakieś dźwięki czy cokolwiek innego zawróciło go z obranej drogi.

– Więc widzi pan, panie Hammet – powiedział.

Nic nie odpowiedziałem.

– Co pan widzi, panie Hammet?

Nic nie odpowiedziałem.

– Kulę i łańcuch, prawda, panie Hammet? Kulę i łańcuch skazańca, prawda?

Nie chciałem być niemiły, więc skinąłem twierdząco głową.

– Nie, panie Hammet, nie widzi pan niczego podobnego. Fałszerstwo, panie Hammet, oto co pan widzi. Kulę i łańcuch wykonali byli skazańcy pod koniec dziewiętnastego wieku, żeby sprzedawać turystom zwiedzającym krainę gotyckich horrorów kolonii karnej Port Arthur. To właśnie pan widzi. Tandetne, oszukańcze fałszerstwo typu pamiątkarsko-turystycznego pan widzi, panie Hammet. Kicz, niemający żadnego związku z historią.

Zamilkł i wetknął koniec małego wskazującego palca w owłosione nozdrze, z którego wystawały ciemne wilgotne włosy na tyle długie, by chwytać w pułapkę ćmy. Po chwili znowu zaczął mówić:

– Historia, panie Hammet, to coś, czego nie może pan zobaczyć. Historia odznacza się siłą. Ale w fałszerstwie nie ma żadnej siły.

Byłem pod wrażeniem. Z mojego punktu widzenia wyglądało to jak przeszłość mojej szlachetnej sztuki. Zdawało się też, że da się sprzedać. Kiedy zastanawiałem się, jakie są talenty pana Hunga w dziedzinie podróbek i kowalstwa, kiedy myślałem o tym, czy powinienem zadzwonić do Congi i powiedzieć jej o potencjalnie lukratywnym nowym zajęciu, jakie odkryłem przypadkiem, kiedy próbowałem wymyślić, za pomocą jakich eufemizmów zdołam przekazać erotyczny ładunek, jaki nasi amerykańscy przyjaciele niewątpliwie dostrzegą w podobnych przedmiotach („Czy jest coś, co nie kojarzy im się z seksem?“, spytała Conga pewnego dnia, a pan Hung odpowiedział: „Ludzie”), profesor Roman de Silva upuścił – jak mi się zdawało z absolutnym brakiem respektu – Goulda *Księżę ryb* obok kuli i łańcucha.

– A to wcale nie jest lepsze. Niewykluczone, że to stare fałszerstwo, panie Hammet – wbił we mnie smutne, wszechwiedzące spojrzenie – choć wcale nie jestem pewien, czy użyłem odpowiedniego przymiotnika.

Odwrócił się, włożył ręce do kieszeni i zaczął wyglądać przez okno na parking znajdujący się kilka pięter niżej. Wydawało się, że upłynęło dużo czasu, nim znowu się odezwał.

– Ale jednak fałszerstwo.

Odwrócony do mnie plecami, nie przestawał gadać; podejrzewałem, że w ten sam sposób nawijał do kolejnych pokoleń nieszczęsnych studentów, tłumacząc oknom i parkingowi, jak to karna kolonia opisana w *Księżde ryb* zdawała się, przynajmniej pozornie, tą samą, która istniała wówczas na wyspie, a do której zsyłano jedynie najgorszych przestępców; jak jej usytuowanie również zgadzało się z tym, co było wiadome – w dużej zatoce otoczonej nieprzebytymi terenami zachodniej połowy Ziemi van Diemena, na nieznanym terytorium pokazywanym na ówczesnych mapach w postaci złowrogich białych plam, które kolonialni kartografowie nazwali Transylwanią.

Po tych słowach odwrócił się w moją stronę, po raz setny otrzepując obsypany łupieżem czub.

– Ale podczas gdy źródła historyczne potwierdzają, że pomiędzy 1820 a 1832 rokiem Wyspa Sary była miejscem kaźni budzącym największy postrach w całym Brytyjskim Imperium, to niemal nic w *Księżde ryb* nie zgadza się ze znaną historią piekła na wyspie. Prawie żadnych nazwisk wymienionych w pańskiej dziwnej kronice nie można znaleźć w jakichkolwiek historycznych dokumentach zachowanych z tamtego czasu, a jeśli tak się zdarza, to zarówno postaci, jak i ich losy są zupełnie niezgodne z tym, co opisane jest w tym... w tym nędznym pastiszu.

A gdybyśmy zbadali źródła historyczne – kontynuował profesor, ale wiedziałem już, że nie cierpi *Księgi ryb*, że szuka prawdy w faktach, nie w historiach, że historia jest dla niego co najwyżej pretekstem do żalostnego fatalizmu dotyczącego terażniejszości, że mężczyzna o takich włosach skłonny jest do płytkiej nostalgii, nieuchronnie prowadzącej do wniosku, że świat jest równie nieciekawy jak on sam – okazałoby się, że Wyspa Sary nie przecierpiała kaprysów władcy-tyrana ani nie stała się na jakiś czas portem handlowym o takim znaczeniu i niezależności, że doprowadziło to do utworzenia odrębnej kupieckiej nacji, nie była też zrównana z ziemią w wyniku apokaliptycznego pożaru opisanego w tej kronice kataklizmów, jaką jest pańska *Księga ryb*. – I tak bredził bez końca, uciekając się do jedynej rzeczy, która, jak sądził, dawała mu przewagę: do słów.

Powiedział, że *Księga ryb* może pewnego dnia znaleźć swoje miejsce w niesławnej, choć niebagatelnej historii australijskich fałszerstw literackich.

– W jedynej dziedzinie narodowej literatury – zauważył – w której Australia może mieć słuszne ambicje do światowej sławy. Nie trzeba dodawać – dodał, a przebiegły uśmiezek niemal skrył się za bezwładnym kosmykiem opadającym na twarz niczym pijak szykujący się do rzygania – że gdyby miał pan to opublikować jako powieść, mogłaby się wydarzyć rzecz nieunikniona: książka miałaby szansę na nagrodę literacką.

*Księga ryb* może mieć swoje niedociągnięcia – nawet jeśli nie paliłem się, żeby to przyznać – ale nigdy nie wydawała mi się dostatecznie nudna i nadęta, by mogła uchodzić za narodową literaturę.

Potraktowałem uwagę profesora jako niezbyt elegancki żart moim kosztem, zakończyłem spotkanie oschłym pożegnaniem, zabrałem *Księgę ryb* i wyszedłem z gabinetu.

## VI

Początkowo podobne argumenty częściowo mnie przekonywały i byłem skłonny przyznawać, że księga musi być jakimś wypracowanym, szalonym fałszerstwem. Ale jako osoba trochę obeznana z zabawą w oszustwo wiedziałem, że oszukiwanie nie wymaga mówienia kłamstw, tylko potwierdzania istniejących przekonań, więc jeśli księga była fałszerstwem, to nie miała sensu, ponieważ w żaden sposób nie odpowiadała oczekiwaniom dotyczącym przeszłości.

Księga stawiała się łamigłówką, którą byłem zdecydowany rozwiązać. Przetrałowałem Archiwa Państwowe Tasmanii; schludny, miejski fronton budynku stanowi przeciwieństwo kompletnych dziejów totalitarnego państwa, które się w nim przechowuje. Nie znalazłem tam wielu pomocnych informacji, jeśli nie liczyć mądrego i szacownego archiwisty, pana Kima Pearce, z którym zacząłem popijać.

Poza tym, co profesor de Silva określił jako „nieodgadnione dziwactwa” *Księgi ryb*, istniał jeszcze problem tożsamości samego kronikarza, „największa z luk”, zgodnie ze słowami de Silvy. Te słowa miały dla mnie równie mało sensu jak William Buelow Gould dla niego.

W spisach skazańców pan Kim Pearce znalazł wielu nieżyjących Williamów Gouldów, a równocześnie poznał mnie z żywym Willy Gouldem w „Nadziei i Kotwicy”; z akwarelistą alkoholikiem malującym ptaki o rozdwojonym podniebieniu (miał je malarz, nie ptaki) w „Dziecku Oceanu” i z właścicielem pubu Petem w przytulnym – niewielkim i wygodnym – barze „Półksiężyc”.

Życie jednego tylko z historycznych (tzn. martwych) Williamów Gouldów zdawało się w pewien sposób korespondować z życiem autora *Księgi ryb*: mieli taką samą kartotekę kryminalną i identyczny tatuaż nad lewą piersią – czerwoną kotwicę z niebieskimi skrzydłami, otoczoną napisem MIŁOŚĆ I WOLNOŚĆ. To tego Williama Buelowa Goulda, artystę recydywistę, tuż po jego przybyciu w 1828 roku do kolonii karnej na wyspie Sary obarczono specyficznym obowiązkiem malowania ryb na użytek miejscowego lekarza.

Podczas gdy podobne szczegóły zgadzały się z życiem opisanym w *Księdze ryb*, dalsza kartoteka historycznego zesłańca Goulda sugeruje dzieje zupełnie odmienne od tych, które tak mnie urzekły. Chwilami wydawało się, że autor *Księgi ryb*, opowiadacz William Buelow Gould, urodził się obdarzony pamięcią, której nie usprawiedliwiwały jednak ani doświadczenie, ani historia, musiał więc bez przerwy wymyślać coś, co nie miało miejsca, w dziwnym przekonaniu, że jego wyobrażenia może stać się doświadczeniem, a tym samym zarówno wyjaśnić, jak i wyleczyć problem niedającej się pocieszyć pamięci.



Łatwo sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy po tym wszystkim odkryłem w ciszy Biblioteki Allport drugą *Księgę ryb*, przypisywaną artyście skazańcowi Williamowi Buelowowi Gouldowi. Zawierała cudowne obrazki, identyczne jak te w *Księdze ryb* z Salamanki, z jedną tylko różnicą. Ale podobieństwo było tak zadziwiające, że poczułem, jak duszę się z braku powietrza.

Wziąłem na bok uprzejmego pana Pearce'a, który okazał się tak pomocny, i wyjaśniłem, dlaczego głośno chwytam powietrze.

Powiedziałem mu, w jaki sposób odkryłem, że istnieje nie jedna, ale najwyraźniej dwie księgi ryb; że oba te dzieła, które zdają się swoim dokładnym lustrzanym odbiciem, są równocześnie identyczne i zasadniczo odmienne. Podczas gdy jedna z nich (*Księga ryb* z Biblioteki Allport) nie zawiera ani jednego pisanego słowa, w drugiej (*Księga ryb* z Salamanki) jest taka obfitość słów jak ryb w oceanie, a te ławice słów tworzą kronikę, która tłumaczy ciekawą genezę obrazków. Jedna księga przemawia autorytetem słów, druga autorytetem milczenia i trudno stwierdzić, która z nich jest bardziej tajemnicza.

– Istotnie – oznajmił pan Kim Pearce, podając mi bez słowa kilka pigułek mylantu – ich tajemniczość podkreśla fakt, że każda księga jest wypaczonym odbiciem drugiej.

Popędziłem do domu, z kryjówki za łazienkowym lustrem porwałem swoją edycję pochodzącą z chłodziarki na mięso i udałem się do pobliskiego hotelu, żeby raz jeszcze rozkoszować się napitkiem i rybami.

I tutaj, zanim posunę się dalej, muszę wspomnieć o drugiej niezwyklej właściwości *Księgi ryb* prócz samoświecącej okładki, właściwości zadziwiającej, która niejako odzwierciedlała życie. Wspomniałem o tym, że książka zdawała się nigdy nie kończyć. Ale nie jest to cała prawda. Nawet teraz waham się, pisząc te słowa, bo jest to cecha tak dziwaczna, że aż niewiarygodna – mianowicie fakt, że ta historia nie chciała się skończyć.

Ilekoć otworzyłem książkę, wypadła z niej kawałek papieru z jakąś rewelacją, której dotychczas nie czytałem. Mogłem też trafić na adnotację, którą przegapiłem przy wcześniejszych okazjach, mogłem znaleźć dwie zlepione kartki, których dotąd nie zauważyłem, a które, jak się okazało po ostrożnym rozlepieniu, zawierały jakieś nowe elementy historii, co kazało mi przemyśleć wszystko od nowa w zupełnie odmiennej perspektywie. W ten sposób ile razy otworzyłem *Księgę ryb*, pojawiał się tajemniczo zupełnie nowy rozdział. Tego wieczoru, kiedy siedziałem samotnie w barze „Republika” – kiedyś części starego hotelu „Empire” – nie było inaczej, tyle że mimo osłabienia bezmyślną namiętnością wiedziałem, że z samej treści tego, co czytałem z rosnącym przerażeniem, wynika, że jest to ostatni rozdział, jaki kiedykolwiek przeczytam.

Kiedy zbliżałem się do końca tego rozdziału, stronicę pod moimi palcami najpierw zwilgotniały, potem zrobiły się mokre, a w końcu serce zaczęło mi walić, oddech przyspieszył, zacząłem z trudem łapać powietrze i odniosłem niewytłumaczalne wrażenie, że właśnie czytam słowa zapisane na samym dnie oceanu.

W stanie kompletnego niedowierzania doszedłem do miejsca, o którym wiedziałem, że jest zakończeniem, i uświadomiłem sobie, że już nigdy nie pojawią się tajemniczo żadne wielokolorowe rozdziały. Wpatrując się z zadziwieniem w straszliwą opowieść Williama Buelowa Goulda i jego ryb, poprosiłem o kieliszek ouzo, żeby uspokoić drżenie rąk, wypilem płyn jednym niepewnym haustem, odstawiłem kieliszek na frotową serwetkę z reklamą piwa Cascade, a następnie, jeszcze lekko oszołomiony, poszedłem do toalety.

Po powrocie zobaczyłem, że wysprzątano kontuar baru.

Poczułem, jak zaciska mi się krtań, i oddychanie nagle okazało się za trudne.

## VII

Nie było frotowej serwetki z reklamą piwa Cascade.

Nie było pustego kieliszka po ouzo.

I nie było... *Księgi ryb*.

Próbowałem przełknąć ślinę, ale zaschło mi w ustach. Próbowałem stanąć prosto, ale chwiałem się, ogarnięty budzącym mdłości lękiem. Staralem się nie popadać w panikę, ale moje serce biło ogłuszająco i kolejne fale potwornego strachu rozбивały się na oceanicznym dnie mojej duszy. W miejscu, gdzie zostawiłem *Księgę ryb* Goulda, teraz nie pozostało nic, to znaczy nic prócz dużej, brązowawej kałuży, którą barman właśnie wycierał gąbką, by następnie wycisnąć ją nad zlewem.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że *Księga ryb* wraca, skąd przyszła, że paradoksalnie tak, jak kończyła się dla mnie, dla innych się zaczynała.

Tyle że wtedy nic nie było jasne. A co gorsza, nikt z obecnych tamtego wieczoru w hotelu, ani barman, ani liczni klienci, w ogóle nie pamiętali, że była tam jakaś książka. Ogarnęła mnie rozpaczliwa zgroza, wszechobejmująca i gigantyczna jak świadomość porzucenia.

Nastąpiło kilka dręczących, przygnębiających tygodni, podczas których bezskutecznie nalegałem na policję, by przeprowadziła pełne śledztwo w sprawie oczywistej kradzieży. Udałem się ponownie do sklepu ze starzyzną w Salamance, żywiąc pełne nadziei, choć bezsensowne złudzenia, że w wyniku dziwnej, tymczasowej osmozy książka mogła zostać z powrotem wchłonięta w przeszłość. Wciąż powracałem do „Republiki” i całe godziny prowadziłem poszukiwania pod barową ladą, wywracałem kosze na śmieci, z dużego pojemnika na odpadki na tyłach pubu wyrzucałem deskorolki i ich rozespanych nieletnich właścicieli, niezmordowanie szukając. Wciąż na nowo przepytywałem personel i klientów, aż zostałem stamtąd wyrzucony siłą z zaleceniem, bym się nigdy więcej nie pojawiał. Spędziłem długie godziny, wpatrując się w cuchnącą zawartość filtrów kanalizacyjnych, łudząc się, że książka może się tam objawić.

Jednak po kilku miesiącach musiałem spojrzeć w oczy strasznej prawdzie.

*Księga ryb* z miriadem cudów i niezwykłą niekończącą się opowieścią przepadła. Straciłem coś fundamentalnego, a na to miejsce zyskałem dziwną infekcję: straszliwy zarazek nieodwzajemnionej miłości.

## VIII

– Podróże? Hobby? – pytał doktor Bundy swoim stłumionym głosem, który zniecierliwiełem w ciągu pierwszych pięciu minut od momentu wejścia do jego gabinetu, tak jak wszystko, co wiązało się z doktorem. Kiedy wstałem i wkładałem koszulę, oznajmił, że nie odkrył żadnych problemów z moim zdrowiem i że być może wszystko, czego potrzebuję, to jakieś nowe – jakieś inne – zainteresowania. Mówił i mówił. Czy myślałem o zapisaniu się do klubu sportowego? Do jakiejś męskiej grupy wsparcia?

Czułem taką samą duszność, jaka opanowała mnie w Bibliotece Allport, a potem w pubie w ten pamiętny wieczór, kiedy zniknęła *Księga ryb*. Wybiegłem z gabinetu. Zważywszy na to, że doktor Bundy odmówił uznania faktu mojej choroby, nie wydawało mi się nierozsądne nieuznanie wartości jego leczenia. Zresztą nie miałem pieniędzy na podróże, nie pragnąłem kultywować żadnego hobby, czułem głęboki wstręt do publicznych upokorzeń związanych nieodłącznie z trójbojem, nie chciałem znosić niedźwiedzich uścisków spotniałych dentystów New Age w wigwamach, którzy z pełną powagą łaskoczą się piórkami, bełkocząc przy tym, że nigdy nie znali własnych ojców.

Tak więc jedzenie nadal wywoływało u mnie mdłości, noce spędzałem na wpatrywaniu się w ocean ciemności, do którego nigdy nie mogłem wejść, a bezsenne godziny, trwające w nieskończoność, wypełniały koszmary rojące się od morskich stworów. Przez długi czas gnębiła mnie niewytłumaczalna choroba.

Jak to często bywa, nagromadziły się także inne tragedie. Cioteczna babka Maisie zmarła w wyniku zatrucia salmonellą; spędziłem długie godziny przy jej grobie. Zacząłem myśleć, że księga niewiele różniła się od tych mrożonych *quiches*, które babcia Maisie z taką przyjemnością wyjmowała z zamrażarki i choć widniał na nich stempel z datą ważności sprzed dwóch dziesięcioleci, czekały tylko na zmartwychwstanie za pomocą cudu mikrofalówki. Książka była boiskiem futbolowym Północnego Hobart, spragnionym kilku kropli święconej wody z Lourdes i wspomnienia nieobecnej miłości. Zaczynałem podejrzewać, że księga czekała na mnie.

Być może w ten sposób moja choroba przybrała formę misji. A może jedynie radość, jaką czerpałem ze wspnianego cudu, z tego, co Gould napisał i namalował, wyjaśnia moją późniejszą decyzję odtworzenia *Księgi ryb*, książki niecieszącej się powszechnym zainteresowaniem, niemającej walorów akademickich, nieobiecującej korzyści majątkowych, niedającej właściwie niczego prócz szaleństwa smutnej namiętności.

Posługując się wspomnieniami, dobrymi i złymi, wiarygodnymi lub nie, zapiskami, jakie poczyniłem, które czasami obejmowały przepisanie całych fragmentów, a czasami stanowiły jedynie króciutkie streszczenia dużych części księgi, a także dzięki pożytecznemu sposobowi reprodukcji obrazków z pozbawionej słów *Księgi ryb* z Allport, zabrałem się do tego rozpaczliwego zadania.

Może ma rację pan Hung ze swoją świątynią Wiktora Hugo: aby stworzyć książkę, nawet tak niedoskonałą jak ten nędzny egzemplarz, który właśnie czytacie, trzeba zrozumieć, że jedyne odpowiednie uczucie wobec istot żyjących na stronach owej książki to miłość. Może czytanie i pisanie książek to już niemal ostatni bastion ludzkiej godności, ponieważ w końcu przypominają nam to, co kiedyś przypominał nam Bóg, zanim On też wyparował w tym wieku niekończących się upokorzeń – że jesteśmy czymś więcej niż tylko sobą, że mamy dusze. A więc coś więcej.

A może nie.

Bo najwyraźniej było to za duże obciążenie dla Boga, to przypominanie ludziom, że są nie tylko głodnym pyłkiem, i prawdę mówiąc właściwie zadziwiający jest tylko fakt, że upierał się przy tym tak długo, nim zrezygnował. Nie o to chodzi, że nie rozumiem – często odczuwałem to samo znużone zdeglustowanie wobec własnych prymitywnych twórców – ale ani nie oczekuję, ani nie pragnę tego, by książce powiodło się tam, gdzie Jemu się nie udało. Moje pragnienie zawsze ograniczało się jedynie do stworzenia naczynia – choćby najprymitywniejszego – w którym wszystkie ryby Goulda można by przywrócić morzu.

Muszę jednak przyznać się do rosnącego bólu, bo teraz nie jestem już pewien, co jest pamięcią, a co objawieniem. To, w jakim stopniu historia, którą przeczytacie, jest wierna oryginałowi, stanowi przedmiot sporu z nielicznymi osobami, którym pozwoliłem przeczytać oryginalną *Księgę ryb*. Conga – zgoda, mało wiarygodna – utrzymuje, że nie ma między nimi różnicy. A w każdym razie liczącej się różnicy. A niewątpliwie książka, którą przeczytacie, jest taka sama jak księga, której lekturę pamiętam. Staralem się dochować wierności zarówno zachwytowi tamtą lekturą, jak i niezwykłym słowom Goulda.

Pan Hung nie wie, choć miałem nadzieję, że może będzie wiedział. Tamtego mokrego popołudnia, kiedy siedzieliśmy przed polanami płonącymi na kominku w „Nadziei i Kotwicy”, zadałem mu te kłopotliwe pytania – jedynej znanej mi osobie, która miała jakieś pojęcie o książkach – myśląc, że może powie coś, co uspokoi moje coraz bardziej niespokojne serce. Pan Hung z wdziękiem zasugerował, że książki i ich autorzy są nierozdzielni i – w sposób moim zdaniem dość mętny – opowiedział (popijając pernod, kolejne dziwne dziedzictwo Francuzów), jak Flaubert naciskany o to, kto posłużył za model pani Bovary, wykrzyknął wreszcie: „*Madame Bovary c'est moi!*”, co zdaniem pana Hunga stanowiło wyraz zarówno desperacji, jak uniesienia.

Po tej niezrozumiałej anegdotce pan Hung odczuwał rozradowanie, a ja i Conga – nieznający ani francuskiego, ani literatury, nawet po tłumaczeniu pana Hunga („Pani Bovary to ja”) – nie staliśmy się wiele mądrzejsi i Conga oświadczyła, że ona też nie wie.



– A może – zaryzykowałem – de Silva ma rację. Może to po prostu fałszerstwo.

– Do cholery z de Silvą – powiada Conga z twarzą zarumienioną od alkoholu i gniewu – do cholery z nimi wszystkimi.

– Jasne – zgadzam się. – Jasne.

Choć, prawdę mówiąc, nie jestem pewny.

Rozpocząłem od pocieszającej konkluzji, że książki są językiem boskiej mądrości, a zakończyłem jedynie niepewnym przecuciem, że wszystkie książki to przejawy wielkiego szaleństwa, skazane na wieczne niezrozumienie.

Pan Hung twierdzi, że książka na początku może być nowym sposobem rozumienia życia – oryginalnym wszechświatem – ale wkrótce staje się zaledwie zwykłym przypisem w historii pisarstwa, przechwalona przez sykofantów, pogardzana przez współczesnych, nieczytana przez nikogo. Los książek jest ciężki, a przeznaczenie absurdalne. Jeśli czytelnicy je ignorują, książki umierają, a jeśli dostąpią zachwyty przyszłych pokoleń, skazane są na wieczyste niezrozumienie; ich autorzy najpierw zostają przemienieni w bogów, a później w sposób nieunikniony – chyba że są Wiktorami Hugo – w demony.

Mówiąc to, wypija ostatnie pernod i wychodzi.

Później Conga robi się *amoroso*, stoi tuż przy mnie, opiera się na mnie, więc chwiejemy się jak samotny stateczek na wzburzonym morzu, ukradkiem sięga do mojego krocza i ciągnie moje jaja jak linę klaksonu.

Poop, poop!

Łądujemy w łóżku, na nasze twarze i ciała padają cienie rzucane przez stopy niesprzedanych wietnamskich mebli shakerów, wykonanych przez uchodźcę, który przypuszcza, że Bóg to Wiktor Hugo, a Emma Bovary to Gustaw Flaubert. Namiętność Congi wyparowuje w ciągu sekundy.

Jej oczy robią się szkliste.

Wargi drżą.

– Kim jesteś? – krzyczy nagle na cały głos. – Kim jesteś?

Jest przerażona, straszliwie przerażona, widzi kogoś innego, ale nie mam sposobu, by się dowiedzieć, kogo. Bo jej ciało nagle robi się martwe i istnieje jedynie w najokropniejszym stanie podporządkowania, a ja nikiemnie kontynuuję jeszcze przez chwilę, zanim uczucie zgrozy przewyższy wszechogarniające zwierzęce pożądanie. Wycofuję się.

– Dlaczego wychodzisz? – krzyczy Conga, ale teraz jej głos brzmi inaczej i uświadamiam sobie, że wróciła stamtąd, gdzie była.

– Nie odchodź, wracaj tu – mówi Conga i otwiera ramiona. Znów wchodzi na nią z uczuciem ulgi i wtedy po raz kolejny jej oczy robią się szkliste, ciało martwieje, a ona wciąż od nowa wykrzykuje: „Kim jesteś? kim jesteś? kim jesteś?“, i płacze, a ja tym razem chcę po prostu wyrwać się z tego dziwnego kręgu. Wstaję i szybko się ubieram, a Conga przez cały czas mówi, łagodnie i miło, autentycznie zmartwiona: „Ale dlaczego? Dlaczego wychodzisz?“. A ja wychodzę, bo nie mam jej do zaproponowania żadnych mebli, które mogłyby przynieść pociechę, żadnych podrabianych krzeseł czy stołów do wymiany za jej pełen winy smutek, ponieważ nie potrafię ani jej, ani sobie odpowiedzieć, kim jestem czy kim ona jest, a tym bardziej o czym jest *Księga ryb*.

Jak mogę jej powiedzieć, że późną nocą, kiedy melancholia zdaje się opadać razem z wieczorną rosą, ogarnia mnie silne przekonanie, że William Buelow Gould urodził się tylko dla mnie; że dla mnie przeżył swoje życie, a ja dla niego sporządzam tę *Księgę ryb*; że zawsze mieliśmy jedno przeznaczenie?

Bo, widzicie, ta książka czasami wydaje się jak zwodnicza seria zasłon, z których każdą należy podnieść i rozsunąć, by odkryć jedynie kolejną podobną zasłonę; by w końcu dotrzeć do pustki, do braku słów, do odgłosów morza, do wielkiego Oceanu Indyjskiego, przez który przeprawia się teraz Gould w stronę wyspy Sary, co widzę oczyma duszy; teraz się cofa, a tamten dźwięk, tamten widok powoli, pulsując, pojawia się i znika, pojawia się i znika.

Zapadam się w stary brunatny fotel w ciemnym saloniku Congi, wyczerpany wstydlwym upadkiem, jakim stało się moje życie; zanim zdążyłem się zorientować, zasnąłem głębokim snem, a w głowie niby niekończąca się pętla kołaczy mi tylko jedno natrętne pytanie:

Kim jestem...? Kim jestem...?

## IX

Szukałem rozwiązania coraz bardziej skomplikowanej dla mnie zagadki, uciekając w jedyne miejsce, jakie pozostaje wszystkim tępy i staroświeckim, chorym, starym i niechcianym: do starych pubów z ich nowymi mrugającymi maszynami do pokera i tym płaskim zacinającym się dźwiękiem, charakterystycznym dla dusz zaginionych w ich wnętrzu, mknących w jakiś zewnętrzny wszechświat, zapowiadający śmierć.

W czasie moich wędrówek po tym migającym świecie podziemi prosiłem każdego, kto akurat nie zajmował się hazardem i zdawał się nieobciążony tak wielkimi problemami jak ja, by napił się ze mną i powiedział, co myśli o mojej historii i obrazkach – fotografiach ilustracji z *Księgi ryb* z Allport, wyraźnie zniszczonych od częstego używania – które rozkładałem na ladzie baru jako wsparcie opowieści. I zadawałem pytania.

Nieliczni uważali, że obrazki są prymitywne, ale nie najgorzej narysowane, historia zaś – tak jak ją opowiadałem – całkowicie szalona. Nauczywszy się bezowocnych dyskusji od akademików, z którymi zetknąłem się w trakcie moich poszukiwań, usiłowałem przekonać barowych kumpli, że może w tym szaleństwie leży prawda lub w prawdzie szaleństwo.

– Kim była twoja matka i jakie sekrety wszeptywała ci w niemowlęce ucho? – pytałem ich. – Czy była rybą? – Zaczynałem w końcu wrzeszczeć: – Była?

– Od samego początku świat był idiotyczny – powiedział ktoś nie tyle w odpowiedzi, ile kpiąco – a teraz idiocje coraz bardziej.

– Wyrusz ze mną w podróż w czasie – odkrzykiwałem w odpowiedzi – ty, tępy facecie o oczach barweny i ty, kobieto o łuskach kurka! Wyjedź ze mną z krainy mokrych serwetek spod kufli piwa i rozrywek powodujących amnezję, wyjedź tam, gdzie może zdołasz odnaleźć własne serce! Gdzie jest ta odległa kraina, którą pragnie przemierzyć twój duch? Co pulsuje w twoim wnętrzu i zakłóca ci sny? Która smuga przeszłości tak bardzo cię dręczy? Jakim gatunkiem stworzenia morskiego jesteś?

Ale, prawdę mówiąc, nie byli szczególnie pomocni. Nie udzielili mi odpowiedzi na żadne z miliona pytań. Nauczyli się stronić ode mnie, zanim zdążyłem otworzyć usta. Przemykali obok mnie w pośpiechu, by wydać resztę rekompensaty za straconą pracę, renty inwalidzkiej i zasiłku dla bezrobotnych, wypełniali po brzegi plastikowe kubeczki do coli monetami do maszyn pokerowych, a potem siadali przed monitorami zafascynowani, jak to możliwe, że idealny obraz tych obracających się kół tak precyzyjnie oddaje ich ciężki los.

Ci nieliczni, którzy okazywali jakiegokolwiek zainteresowanie, piętnowali mnie i śmiali się z mojego przekonania, że znaczenie *Księgi ryb* Goulda jest nieskończone; podczas gdy inni, którzy dobrze mnie znali, radzili, bym powrócił do nabierania Amerykanów zamiast nabierać samego siebie. Nieznajomy palnął mnie w gębę tak mocno, że spadłem z krzesła. Wszyscy obecni rechotali, kiedy oblał mnie piwem, podśpiewując: „Płyn, mała rybko! Płyn z powrotem do morza!”. Wszyscy po prostu pękali ze śmiechu, to znaczy wszyscy prócz pana Hunga, który właśnie wszedł.

Pan Hung wziął mnie pod pachy i wywłókł na zewnątrz. Kiedy leżałem, jęcząc, na mokrym asfaltowym chodniku, włożył rękę do kieszeni mojego palta, znalazł portfel i opróżnił go z gotówki. Wstał i obiecał wrócić, jeśli Wiktor Hugo pozwoli, z wystarczająco dużą wygraną, by założyć interes i malować podróbki. Rozpłynął się wewnątrz zacinającego się neonu.

Dla tych, którzy przepływali do baru hazardu obok mnie, rozciągniętego na ziemi, moje obrazki srebrnych dorad i skaberów były bezużyteczne, co teraz sobie uświadomiłem; równie bezsensowne jak dwie cytryny i ananas ustawione w rządku, równie rozczarowujące jak zepsuta spłuczka w toalecie. Według nich wszystkim rybom brakowało napisu zapowiadającego mrugającymi literami nasze wzajemne przeznaczenie:

GRA SKOŃCZONA.

## X

Kiedy pan Hung stracił wszystkie moje pieniądze, wyszedł, obiecał, że wkrótce zwróci mi dług, i zabrał mnie do swojego domku Kompanii Cynkowej w Lutanie. Weszliśmy cichutko, żeby nie obudzić żony i dzieci. Zniknął w kuchni, bo gotował dla nas zupę, a mnie zostawił w niewielkim saloniku-jadalni.

W kącie zobaczyłem świątynię Wiktora Hugo. Na zielonym aksamicie stała czerwona plastikowa ramka z fotokopią litografii wielkiego człowieka, z każdego boku ramki umieszczono niezapaloną świecę i cztery nadpalone kadzidełka, leżały też liczne egzemplarze kieszonkowych wydań powieści i kilka pomarszczonych moreli.

Za świątynią znajdowało się akwarium, w którym pan Hung trzymał dużego, brzuchatego konika morskiego i podobne stworzenie, długie co najmniej na stopę, pokryte delikatną łuską przypominającą liście. Jak mi później wyjaśnił pan Hung, był to chuderlawy pławikonik australijski. Obydwa przypominały obrazki, jakie widziałem w *Księdze ryb*. Wpatrywałem się w te obce istoty, które zdawały się z taką pogodą unosić w wodzie.

Małeńkie płetwy kostno-pierścieniowatego brzuchatego konika morskiego z nosem jak rura drgały nerwowo niczym wachlarz zarumienionej panienki na pierwszym balu. O kierunku ruchu decydowały płetwy piersiowe na jego policzkach, stanowiące jakby połączenie baczków i kierownicy. Pan Hung stanął obok mnie z dwiema miseczkami parującej zupy. Stawiając miseczki na stole, opowiedział mi o zdolnościach konika morskiego do transformacji i poinformował, że samiec rodzi setki małeńkich koników morskich, które wyrosły w jego torbie.



I w tym momencie, jakby na specjalny sygnał, konik morski zaczął rodzić. Wpatrywałem się zafascynowany, jak na moich oczach rzucał się w przód i w tył niespokojnymi ruchami pompy ssąco-tłoczącej. Mniej więcej co minutę wraz z bolesnym skurczem z otworu w jego nabrzmiałym brzuchu wystrzelał kolejny czarny, malutki konik morski – miniaturowa czarna pałeczka, która natychmiast zaczynała pływać; dawały się rozpoznać jedynie wielkie oczy i długi rurkowaty ryjek, małe wyglądały po prostu jak liczne, wznoszące się i opadające przecinki. Przypominały stracone słowa Goulda. Czułem się trochę jak biedny konik morski pod koniec długotrwałego porodu, jego poprzednio napęczniały brzuch sflaczał, a konik wyglądał na wyczerpanego tymi wszystkimi niezręcznymi poruszeniami.

Przeniosłem wzrok na zarośniętego pławikonika, który był wspaniałym stworzeniem, musiałem przyznać rację panu Hungowi. Pływał horyzontalnie jak ryba, nie prostopadle jak konik morski; jednak ruchy miał równie piękne, unosił się w górę i w dół, do przodu i w bok niczym wodolot połączony z helikopterem, skoczek w bogatym ubraniu cywilnym. Jego błyszczące ubarwienie było wspaniale – tułów różowawoczerwony, fioletowe czernie i srebrne błękity usiane żółtymi kropkami, wokół których unosiły się płowe liście. Jednak stworzenie odznaczało się pogodnym wdziękiem, który wydawał się równocześnie dziwną melancholią. A także cudem, cały mienił się bowiem smutkiem.

I wtedy przestawał być drobnym pławikonikiem, nie mogłem więc wyczuć jego strasznego uwięzienia, które było nieskończone. Wyobrażałem sobie, że rozumiem jego przerażający spokój, ale dopiero po długim życiu naprawdę pojąłem tego przyczynę: owo poczucie, że całe dobro i całe zło są równie trudne do uniknięcia. Ale rozumiejąc wszystko, pławikonik nie wydawał się poruszony tym, że jest niezrozumiany.

Przyłożyłem twarz do szyby i wpatrywałem się z bliska, próbując przeniknąć jego umykającą tajemnicę. W tym momencie wyobraziłem sobie piękno pławikonika powstające z jakiejś ewolucyjnej potrzeby, może przyciągania partnerów, a może wtopienia się w kolorowe rafy. Teraz wiem, że piękno jest buntem życia przeciwko życiu, że pławikonik jest najdoskonalszym z tworów, pieśnią samą w sobie.

Moment przejścia był gwałtowny: olśnienie to zbyt gładkie słowo na opisanie wstrząsu, jaki odczułem. To był sen, ale dopiero znacznie później miałem sobie uświadomić, że nie będzie przebudzenia. Tym swoim długim nosem pławikonik dotykał drugiej strony szkła, do którego przyciskałem twarz. Jego zadziwiające oczy obracały się niezależnie jedno od drugiego, ale obydwa skupiały się na mnie, choć pod różnym kątem. Co próbował mi powiedzieć? Nic? Coś? Czułem się oskarżony, winny. Zacząłem szeptać do szyby, niemal sycząc z wściekłością. Czy zadawał mi pytania, na które nie miałem odpowiedzi? A może pławikonik mówił do mnie za pomocą jakiejś przeczystej łączności pozasłownej: „będę tobą”?

I zastanawiałem się, czy ja będę nim?

Wiedziałem, że prócz najdrobniejszych poruszeń swoich liściastych płetw, pławikonik nie ruszył się, podczas gdy ja mamrotałem. Po prostu patrzył i patrzył swoimi niezdiscyplinowanymi podglądaczami, jakby przeze mnie, na wskroś, w taki najstraszniejszy, wszystkowiedzący sposób.

Przestałem mówić.

Być może patrzyłem zbyt długo.

W każdym razie przez moment poczułem zawrót głowy, zarazem przyprawiający o mdłości i dający poczucie dzikiej swobody. Nie miałem ciężaru, podpory, struktury; padałem, zlatywałem, przechodziłem przez szkło, przez wodę, prosto w oko owego pławikonika, podczas gdy on przenikał we mnie; wtedy patrzyłem na zewnątrz, na tego przemoczonego mężczyznę, który stamtąd wpatrywał się we mnie, tego mężczyznę, który – jestem teraz na tyle próżny, by mieć taką nadzieję – wreszcie opowie moją historię.



*BRAKUJE PIERWSZYCH 40 STRON NOTATNIKA  
GOULDA.  
JEGO DZIENNIK ZACZYNA SIĘ NA STRONIE 41.*

## *KELPY*

*Inwazja Australii – Niefortunne nieporozumienie – Beczki  
czarnych głów – Król i ja – Błąd Jean-Babeufa Audubona –  
Ptaki w roli mieszczan – Kapitan Pinchbeck i rewolucja  
francuska – Czarna wojna – Banditto Clucas – Jego perfidia –  
Chrabąszcz – Tragiczna śmierć niszcyciela maszyn –  
Ognisko słów*

### I

Mój własny niewielki udział w wielkiej inwazji Ziemi van Diemena, jak ją wówczas zwaliśmy – Tasmanii, jak wolą teraz tubylcy urodzeni tutaj, wstydzący się takich historii, jakie opowiadam – nie był dotychczas odnotowany, ale ja sam uważam swoją rolę za wartą zarówno odnotowania, jak i zastanowienia.

Od tej chwili w 1803 roku, kiedy jako chłopiec po raz pierwszy zeskoczyłem ze statku wielorybniczego z pistoletem pana Banksa przytkniętym do pleców, na wypadek gdybym zaczął się wahać, i kiedy wpadłem twarzą we wzburzone wody zatoczki Risdon, zarówno ja, jak i ten kraj mamy kłopoty.

Częściowo dopłynąłem, częściowo dokuśtykałem do brzegu z czymś, co uważałem za czerwoną banderę Unii i co zatknąłem zdecydowanie na plaży, zgłaszając pretensje do rozciągającej się przede mną ziemi wielkiego narodu w imieniu sławnej Unii, której symbol stanowiła owa bandera. Kiedy jednak oddałem pozdrowienie i dumnie spojrzałem w górę, dostrzegłem trzepoczące poźółkłe prześcieradło, splamione długimi smugami leniwych popołudni porucznika Bowena z samoąńską księżniczką Lallą Rookh.

Dostałem siedem lat za kradzież własności prywatnej, dalszych czternaście za niesubordynację i dodatkowe dwadzieścia osiem za kpiny i brak szacunku dla Korony. Nie stanowiło to, trzeba przyznać, kresu mojego naturalnego życia, co mógłbym uznać za uprzejmość, ale było uwięzieniem na wieki.

I mniej więcej na to wyszło. W następnym roku udało mi się zbiec i popłynąć na statku wielorybniczym do obu Ameryk, skąd w końcu wróciłem do Anglii, gdzie przez dwadzieścia lat kryłem się jak szczur pod różnymi nazwiskami, póki nie zostałem ponownie złapany i przewieziony z powrotem tutaj. Naprawdę jedynym powodem, że nie zaprzestałem jeszcze walki, nie jest nadzieja, że pewnego dnia zostanę stąd wypuszczony, ale że wreszcie postąpią przyzwoicie i zabiją mnie, co powinni byli zrobić już wiele lat temu.

Rozwścieczony porucznik Bowen przyjął pojawienie się kilkuset czarnych, polujących wraz z rodzinami na kangury, jako deklarację wojny; natychmiast polecił powitanie stłoczonego na morskim brzegu tłumu ogniem armatnim. Na piasku zostały zwłoki czterdziestu pięciu mężczyzn, kobiet i dzieci i kto wie, ilu jeszcze rannych, których rodacy pociągęli ze sobą, by zmarli w swoich odległych obozowiskach.

Pan Banks bardzo się ucieszył, że większość czarnych ciał pozostała nietknięta i że znalazły się także liczne przedmioty – włącznie, piękne naszyjniki z muszli, koszyki wiklinowe, skóry i temu podobne – i podczas gdy ja byłem przykuty do drzewa w oczekiwaniu na wyrok, moi współskazańcy zajmowali się odcinaniem i peklowaniem głów czarnych. Pan Banks niezmiernie się uradował z sześciu beczek wypełnionych głowami; czuł – jak się wyraził – że w znacznym stopniu pogłębił one nasze zrozumienie tak niewydarzonych egzemplarzy rasy ludzkiej.

Kiedy tylko woda morska znowu podchodzi do moich obolałych kostek, przypominają mi się te pływające czarne głowy – w zmętniałych oczach zastygły wyraz niedowierzania – ale ani te głowy, ani ja nie możemy się nawet domyślać, ile później sprawią mi kłopotów. Kiedy znowu czuję to ostre pieczenie wokół zaskorupiałych ran, zgrupowanych jak ostrzygi na moich kostkach, które skuwa łańcuch żelazny z żelaznymi okowami, wiem, że nadchodzi przypływ. Cella zbudowana u podstawy klifu z piaskowca, poniżej najwyższego poziomu wody – jedna z owych niesławnych cel, o których czytaliście niewątpliwie w kłamliwych ulicznych ulotkach poświęconych okrutnemu uwięzieniu trapera Matta Brady i jego późniejszej łajdackiej karierze – wypełni się wodą wyżej, niż sięga moja głowa.

Co nie znaczy, że utonę; podobnie jak inni przede mną, na wiele godzin zawisnę na kratkach nad głową, utrzymując się w wypełnionej powietrzem przestrzeni nie wyższej niż na stopę, która w czasie przypływu pozostaje pod sufitem celi. Czasami puszczam kraty i pozwalam sobie dryfować po swoim niewielkim królestwie w nadziei, że robiąc to, mogę umrzeć. Czasami, unosząc się na wodzie, cieszę się z dobrodziejstw, jakie mnie spotykają: zdaje się, że ta kąpiel odbywana dwa razy dziennie uwolniła mnie ostatnio od wszy, a cela, co prawda mokra i pachnąca wodorostami, nie wydziela strasznego smrodu gówna i zjełczałego kozła, jaki zazwyczaj tu panuje.



Dwa dobrodziejstwa to wystarczające wyzwanie dla moich umiejętności pamięciowego liczenia. A kiedy unoszę się w lodowatej wodzie, drżący i roztrzęsiony, jakbym już próbował dziwacznych kroczków pod czekającą mnie szubienicą, mój umysł czasami wymyka się spod kontroli i znowu wracam szczęśliwy do malowania ryb.

Nazwijcie mnie, jak chcecie, inni to robią i wcale nie ma to dla mnie znaczenia; nie jestem tym, czym jestem. Historia człowieka ma niewielkie znaczenie w jego życiu, to bezużyteczna skorupa, którą dźwiga, w której rośnie, w której umiera. Tak w każdym razie powiedziała ryba najeżka, która jak zwykle wtyka swój rozdęty łeb tam, gdzie nikt jej nie chce. To, co nastąpi, może być, a może nie być moją prawdziwą historią; tak czy inaczej, nie ma to większego znaczenia. W każdym razie po śmierci najeżki i odejściu starego Duńczyka chcę po prostu opowiedzieć historię moich nędznych malunków, nim ja również do tamtych dołączę.

To nie dlatego, że widzę przyszłość jak tę ciemną, mokrą cełę; na jej wilgotnych ścianach z piaskowca można wydrapać swoje imię obok tylu innych, nim przepadnie się tak samo jak ostatni przyływ, zniknie się, a próżność przywołania na myśl podobnych słów może przynajmniej pozostać jako dowód resztek stłamszonej wolności, może dzięki temu pamięć o mnie będzie droższa przyszłym pokoleniom. Ja zresztą znalazłem się już za daleko, żeby pokładać nadzieję w podobnych grach. Prawda jest taka, że początkowo odczuwałem dziwne pragnienie, by wyznać coś z tego, później stało się to po prostu złym przyzwyczajeniem, równie nieuniknionym i paskudnym jak drapanie zawszonych jaj.

Wcale bym nie chciał, żebyście myśleli, że nie dbają o mnie wystarczająco. Nic podobnego. Czasami przynoszą mi porcję zupy i zjełczały, peklowany świński tłuszcz w kubku czy w miseczce i ciskają tym we mnie. Czasami odpowiadam uśmiechem, ale jeśli – czy kiedy – czuję się wyjątkowo energiczny, w odpowiedzi rzucam specjalnie w tym celu zachowanym glutem. Czasami po tak przyjemnej wymianie rzutów spuszczają mi również tęgie baty, a ja im za to dziękuję, bo to dowód, że jeszcze choć trochę się mną przejmują. Bardzo dziękuję, moi drodzy, dziękuję bardzo, dziękuję, mówię. Z tego też się śmieją, ale pomiędzy biciem a rzucaniem gównami naprawdę doskonale się zgadzamy, mogę was zapewnić.

– Jedno jest dobre w tej więziennej kolonii na wyspie – szepczę w drzwi celi – wszyscy jesteśmy razem w tym gównie, i strażnicy, i żołnierze w czerwonych mundurach, i nawet sam Komendant. Czyż nie? Czyż nie?

– Nie! – wrzeszczy strażnik Pobjoy z drugiej strony, kiedy odsuwa zasuwkę, ale ja go nie słyszę, bo jeszcze nie został wpuszczony do opowieści, a kiedy już się w niej znajdzie razem ze mną, to mogę wam obiecać, że nie ucieknie.

Wiem, że od samego początku powinienem zupełnie jasno powiedzieć, dlaczego zacząłem malować ryby i dlaczego malowanie ryb nabrało dla mnie takiego znaczenia, ale naprawdę już właściwie nic nie jest dla mnie jasne, a cała ta sprawa zdaje się przekraczać możliwości zrozumienia i tym bardziej wytłumaczenia. Mogę wam powiedzieć, że w tej osadzie nigdy nie malowano portretów żadnych skazańców i że robienie podobnych wizerunków jest zabronione pod groźbą najsurowszej kary.

Jeśli przez chwilę się zastanowicie, to dziwny wydaje się fakt, że nie zostanie żaden wizualny zapis tego czasu i miejsca, ani jeden obrazek okaleczonego, złamanego więźnia, nawet żaden portret Komendanta. Są, co prawda, pisane dokumenty tej osady zawarte w wielkim Rejestrze – tajemniczym archiwum, którego lokalizacja trzymana jest w sekrecie przed skazańcami, żeby nie próbowali fałszować swoich kartotek. Mówi się, że w tym swego rodzaju magazynie, podobno przypominającym labirynt, starannie zapisuje się szczegóły dotyczące każdego skazańca i wszystkie wydarzenia z przeszłości wyspy; żaden detal nie wydaje się na tyle nieistotny, by nie został skatalogowany i wciągnięty do kroniki.

Nie będę jednak utrzymywał, że moje ryby są jakąś alternatywą, Rejestrem do góry nogami. Moje ambicje nie są ani gargantuiczne, ani wszechogarniające.

Obrazek czy książka to w najlepszym razie otwarte drzwi zapraszające do pustego domu, a kiedy już znajdziesz się w środku, musisz uzupełnić resztę najlepiej, jak potrafisz. Z pewnym przekonaniem mogę ukazać jedynie część tego, co mi się tutaj przydarzyło – owe dlaczego i dlatego, stanowiące idealną wodę na młyn sędziów w czarnych togach i pudrowanych perukach, krytykantów i ich towarzyszy: wina, grzech, motyw, inspiracja, poczucie dobra i zła... kto wie? Kogo to obchodzi? Mogę jedynie powiedzieć, że pomiędzy biciem a przyływem strażnik Pobjoy przyniósł mi trochę taniego pergaminu skradzionego z Rejestru, na którym polecił wymalować podobne do Constable'a sceny bukolicznej szczęśliwości: zadowolonych rustykalnych idiotów, takich jak on sam, w czasie sianokosów, wozy przeprawiające się przez oświetlone słońcem angielskie strumienie. Będzie mógł potem to sprzedać lub wymienić.

Niezdarny Pobjoy znajduje się na granicy między człowiekiem a żyrafą: jest tak wysoki, że wchodząc do celi, musi się zginać niemal w pół, więc wygląda to, jakby bił pokłony przede mną, a nie – jak to wynika z naszej sytuacji – wprost przeciwnie. By znaleźć się poniżej Pobjoya, muszę się skłonić tak nisko, że niemal wydmuchuję bąbelki w oślizgłych skalnych kałużach u stóp, zakłócając spokój naszych przyjaciół, którzy tłoczą się tam w ciemności, wszystkich krabów, pobrażków i małży, dzielących ze mną ten mały świat.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję – mówię do wszystkich, którzy tak jak ja żyją w morskim mule, i zabieram się do roboty szybko jak cholera, zanim podniesie się poziom wody, ponieważ każdego dnia muszę wymalować nie jeden obraz, a trzy dzieła. Przynajmniej dla wszystkich pastorałne rozkosze dla Pobjoya; po drugie obraz ryby dla siebie i po trzecie coś, z czym zawsze się spóźniam i nigdy nie udaje mi się powiedzieć wszystkiego, co potrzebuję i chcę – notatki towarzyszące moim rybom.

## II

Zważywszy na to, że prowadzenie przez skazańca jakichkolwiek prywatnych notatek o wyspie jest przestępstwem, za które grozi jeszcze okrutniejsza kara niż ta, jaką wymierza się za malowanie, muszę postępować ostrożnie. Pobjoy codziennie zabiera moje farby i papier razem z gotową już podróbką Constable'a; sprawdza, czy nie ubyło zbyt wiele farb i czy reszta papieru zgadza się z tym, co według moich opowieści zużyłem na szkice, a potem wytarłem nimi tyłek – to rzadki przywilej, którym Pobjoy w swej nieskończonej łaskawości obdarza czasami skazańca, suchodupca takiego jak ja, wychodząc z założenia, że moje delikatne otwory Artysty nie nawykły do upokorzeń.

Codziennie wykradam kilka kolejnych arkusików na moją księgę ryb i ukrywam je starannie, codziennie też układam na widocznym miejscu w kącie celi, gdzie pada światło w momencie otwarcia drzwi, ten sam pojedynczy, pognieciony arkusik papieru służący specjalnie do tego celu; pomalowałem go bardzo starannie w bardzo ciemne paski zieleni i brązu. Te wilgotne zabarwienia służą jako potwierdzenie opowieści o higienie osobistej i – mam nadzieję – zgadzają się zarówno z moim sposobem odżywiania, jak i skargami wobec Pobjoya, że cierpię na kolkę w brzuchu. Szczęśliwie Pobjoy nie odczuł dotychczas pokusy, by dokładniej zbadać tę sprawę.

Mam farbę, ale nie mam atramentu, muszę więc używać do pisania wszystkiego, co znajdzie się pod ręką – dzisiaj na przykład zerwałem kilka strupów z łokcia i aby napisać to, co właśnie czytacie, moczę pióro wystrugane z żebra rekina w powoli wypływającej krwi. Krew jest gęstsza od wody, jak mówią, ale owsianka też, więc to, co robię, nie ma dla mnie większego symbolicznego znaczenia. Gdybym miał butelkę dobrego indyjskiego atramentu, byłbym o wiele szczęśliwszy i chyba odczuwałbym mniejszy ból. Z drugiej jednak strony moja historia na pewno nie jest czarno-biała, więc może zapisanie jej w szkarłacie nie jest całkiem nieodpowiednie. Proszę, żebyście się nie oburzali, bo w porównaniu z większością nikczemnych wydzielin, jakie opuszczają teraz moje ciało, jak omszały śluz, żółta ropa i rzadkie gówno, krew naprawdę jest czysta i piękna i przypomina mi, że zawsze znajdzie się coś czystego i pięknego, jeśli tylko zajrzeć pod strupy i rany.

W każdym razie kolor to tragedia, której nie należy traktować poważnie: „Że Bóg jest kolorem, Newton pokazuje”, napisał Billy Blake, kędzierzawy kumpel Ackermanna. Nawet żona Billy'ego Blake'a nigdy nie widziała, żeby się mył, a jego opinie bywały czasami równie dojrzałe jak jego obecność. Jeśli o mnie chodzi, to odkąd Newton swoim pryzmatem rozbił białe światło na rozmaite kolory, podzielone światło tęczy nie jest dla mnie niczym innym jak tym śmiesznym upadłym światem.

Kiedy woda sięga mi brzucha, chowam swoje ryby i te przeklęte myśli, a potem wrzeszczę przy drzwiach, dopóki Pobjoy nie przyjdzie po swojego więziennego Constable'a. A jakie cudowne miejsce znalazłem na księgę ryb! Chowam ją pod sufitem celi w niszy, która otwiera się na szerokość trzech bochenków chleba za wąską szczeliną w pierwszym rzędzie bloków piaskowca. Czasami, kiedy podczas przyływu unoszę się na wodzie, mój spiczasty nos niemal uderza w belki sufitu; próbuję sobie wtedy wyobrazić, że wraz z księgą ryb jestem w tej niszy, wyobrażam sobie, że jest to dom odcięty od świata, dom, do którego uciekłem. Myślę, że Pobjoy wie, ale udaje; to moja jedyna rekompensata za te Constable skazańca, które zabiera ode mnie codziennie. A może po prostu się boi, że uderzy się w głowę, jeśli ją podniesie, żeby się rozejrzeć.

Ale Pobjoy wie, że maluję ryby, tego jestem pewien.

### III

Król, przebywający ze mną w celi, niczego Pobjoyowi nie zdradza. Prawdę mówiąc, Król nie zdradza niczego w żadnej sprawie, nic nie mówi, jest niemal niczym i poświęca swój czas na milczącą komunię z aniołami. I jestem za to wdzięczny.

To zupełnie niezwykły człowiek, ten Król. Jego obecność jest wyczuwalna, nie da się jej uniknąć. Czujesz go wszędzie wokół siebie. Czasami myślę o nim tylko jak o pełzającej oślizgłości, która podnosi się na ścianach. Kiedy indziej odczuwam dawną sympatię, a mój podziw dla jego znacznych osiągnięć jest niekwestionowany. Każdego dnia rośnie nie tylko moja dla niego estyma, ale także, co trzeba przyznać, także on sam staje się coraz bardziej i bardziej korpulentny, choć jego ruchy pozostają nadal łagodne i poetyczne; Król się toczy, Król podskakuje, Król porusza się, falując. Jak on to osiąga, ów wzrost, ową dostojność, nie umiem powiedzieć. My wszyscy marszczymy się i wysychamy jak łuski na tym nędznym pożywieniu, jakie nam dają, ale Król po prostu się wydyma. Jako towarzysz wydaje mi się podobny do mędrca, nieprzenikniony. Chwilami myślę, że jego coraz bardziej opływowe kształty mogą wskazywać, że jest w nim więcej zachodniego bóstwa, niż podejrzewałem.

W dyskusji Król zostawia dużą swobodę, pozwalając oponentowi – mnie – rozciągnąć linię rozumowania tak daleko, aż się zaplącze i zawisnie na własnych niemożnościach i sprzecznościach. Można argumentować, że nie mówi niczego nowego, ale komunikuje to po prostu wspaniale.



Przykład: pewnego dnia, przyznaję, że z chęci dokuczenia mu, powiedziałem, że szkoccy prezbiterianie stworzyli liczne dzieła o wielkiej wartości teologicznej. Jak zwykle nie spieszył się z odpowiedzią, wiedziałem jednak, że się zastanawia. Nie istnieje ani jedno dzieło teologiczne warte tego miana, stworzone przez tych niekonformistycznych zjadaczy owsa. Ja sam nie miałem o tym najmniejszego pojęcia, ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności zauważyłem w jednym z katalogów przysłanych Doktorowi z londyńskiej księgarni tytuł *Aberdeen o Sumerach*. Uzbrojony w tę odrobinę niezbyt istotnej wiedzy, wepchnąłem nóż po rękojeść:

– Może przypadkiem czytałeś wspaniałą rozprawę Aberdeena o Sumerach?

Nic nie powiedział, niczego nie przyznał. Było to oskarżenie tym bardziej wymowne, że niewypowiedziane. Poczułem, jak ogarnia mnie gorąco, zarumieniłem się i było po wszystkim; obaj to wiedzieliśmy, zostałem zdemaskowany jako oszust, a jednak typowe było to, że nie powiedział na ten temat już ani słowa i nigdy więcej do tego nie wracał.

Jest w nim coś majestatycznego, co sprawia wrażenie bardzo królewskie. Widziałem, że nawet Pobjoy był oszołomiony samą świadomością obecności Króla, choć Pobjoy naturalnie nie dostrzega tego co ja, a jednak kręci nosem, daje cytrynę na twarz i na pewno marszczy odbyt, co robi się tylko przy dwóch okazjach: w obecności wielkiej władzy lub straszliwego smrodu.

Prawdą jest, że darzyłbym Króla większą sympatią, gdyby był bardziej otwarty, swobodniejszy w kontaktach. Wobec Pobjoya nie robi najmniejszego wysiłku i choć nalegam na oczywiste korzyści życia towarzyskiego, nie ma najmniejszej ochoty uczestniczyć ani w moim rzucaniu glutami, ani w biciu przez Pobjoya. Jednak to jego wybór i wiem, że ma swoje powody. Dąb nie może giąć się tak jak wierzba. Inne przymioty, nie zaś fałszywa wylewność i przymilność, czynią Króla kimś wyjątkowym.

Kolejny przykład: jego cera. Większość z nas, przebywając w tego rodzaju celi, staje się bledsza od białego ołowiu Doktora. Jednak Król, w czym objawia się może jakaś królewska dziedziczna anomalia, jakaś habsburska pigmentacja, z każdym dniem stawał się ciemniejszy, jego skóra coraz bardziej czarna, a ostatnio niepokojąco zielona. Jednak on cierpi, żeby nie cierpieć: z jego ust nie wychodzi ani jedno słowo skargi czy udręki.

Kiedy dryfuję wokół naszej przekłetej celi, czasami spoglądam w przeszłość i odczuwam – muszę się do tego przyznać – zawiść wobec mojego życia w okresie, gdy tu przybyłem. Doszedłem do przekonania, że trajektoria jest wszystkim w tym życiu i choć wówczas absolutnie nie wydawała się obiecująca – trajektoria mojego życia była trasą kuli armatniej wystrzelonej do rury kanalizacyjnej – przedzierała się przez gówno, ale jednak się przedzierała.

W tępych psich oczach Pobjoya dostrzegam wiedzę, że to już moje drugie ryby; widzi, że maluję z pamięci moją pierwszą księgę ryb, którą mi tak okrutnie odebrano. Ale Pobjoy nie wie, dlaczego je maluję. Nie wie też, że zamierzam spisać tutaj annały życia umoczone w krwi.

## IV

Nim zacząłem pisać, spytałem Króla:

– Jak się zabrać do tak potężnej kroniki? Wyśpiewując nową genesis? Opiewając ryby i mężczyznę, którego przeznaczeniem było wygnanie, a który dawno już opuścił ziemię Anglików i przybył na Ziemię van Diemena do więzienia tej wyspy? I to, jak wielkie były jego cierpienia na lądzie i na morzu w rękach bogów dawno uważanych za zmarłych, ponieważ jego zbrodnie wymagały, by odcierpiał karę odliczoną w tej samej monecie?

Nie. Wiedziałem, że zdaniem Króla lepiej jest opróżnić bebechy i rozsmarować na stronicy niż wypisywać podobne bzdury, bo kto chciałby na nowo opiewać ten kraj?

Król wie równie dobrze jak ja – a w istocie lepiej – że to miejsce z jego żalonymi mieszkańcami byłoby znacznie szczęśliwsze, gdyby zostało pochłonięte i pochłaniane wciąż od nowa przez te same nudne pieśni i obrazy Starego Świata, opowiadające tę samą ponurą historię, którą słyszę od czasu, gdy usłyszałem wyrok sądu przysięgłych w Bristolu – jesteś winny, odpowiedzialny, gorszy – i będziesz słuchał wszystkich nowych śpiewaków i nowych malarzy powtarzających te same nonsensy, co sędziowie w czarnych perukach. Długo po tym, jak spadną kraty, będą od nowa opiewać je i malować, więzić ciebie i twoich na zawsze, śpiewając i malując triumfalnie: gorszy! Gorszy! Gorszy!

– Artyści! Ha! Strażnicy serca! – ryczałem do Króla. – Poeci! Ha! Psy niszczące dusze! Cokolwiek tu piszę i cokolwiek maluję, to Eksperyment i Profecja – nie oceniaj ich za pomocą przykrótkiej miarki tego, co nazywają literaturą i sztuką, tych chorych i popsutych kompasów.

Aby dokładniej wyjaśnić mój punkt widzenia, pogroziłem Królowi w sposób, który okazał się tak skuteczny w przypadku Pobjoya, a kiedy zobaczył, co trzymam w ręku gotowe do rzutu w odpowiedzi na pierwsze słowo krytyki, nie odważył się na szaleństwo komentarza. Ale jak zawsze miał trochę racji, więc zamiast powoływać pieśnią do istnienia nowy kraj i nową rasę, zacząłem od następującej brudnej prawdy:

Jestem William Buelow Gould, morderca po wyroku, malarz i tak dalej. Brak cnót zmusza mnie do powiedzenia wam, że jestem najbardziej niewiarygodnym przewodnikiem, jakiemu kiedykolwiek zaufacie, człowiekiem zmarłym przed czasem, fałszerzem skazanym w ponurej sali bristolskiego sądu w owo pochmurne popołudnie 10 lipca 1825, kiedy to sędzia zauważył przynajmniej tyle, że nazwisko moje, tak samo jak wszystkich podsądnych, nadaje się do kalendarza Newgate, nim uchylił to swoje czarne nakrycie głowy i skazał mnie na śmierć przez powieszenie.

W sali sądowej było mnóstwo ciemnego drewna, co miało wywierać wrażenie powagi. Żeby rozjaśnić całe to smutne wnętrze, powinienem był opowiedzieć wtedy historię, którą teraz opowiadam wam – o tym, że życie najlepiej traktować jako żart, kiedy już się odkryje, że całe niebo i całe piekło mieszczą się w zupełnych drobiazgach: w poplamionym prześcieradle, polowaniu na kangury, w oczach ryby. Nie powiedziałem jednak nic, znacznie przeceniając siłę milczenia. Sędzia wziął to za wyraz skruchy i zmienił mi wyrok na zesłanie do Ziemi van Diemena.

Obyty cwaniaczek, dość beznadziejny niedocof Billy Gould; kiedyś szumnie polecono mi odmalowanie wielkiego morskiego boga Proteusza, który może – jak to miał w zwyczaju przypominać Doktor tą swoją nędną łaciną – w cudowny sposób przybrać postać każdego wodnego stworzenia. Miałem malować ryby, rozumiecie, wszelkie typy morskich stworzeń: rekiny, kraby, ośmiornice, kałamarnice i pingwiny. Kiedy jednak skończyłem to dzieło życia i przyjrzałem mu się z pewnej odległości, ze zgrozą dostrzegłem, że wszystkie te obrazy zlewają się w zarysy mojego własnego oblicza.

Czy byłem Proteuszem, czy też Proteusz był po prostu takim samym frajerem jak ja? Byłem nieśmiertelny czy tylko niekompetentny?

Bo widzicie, nie urodziłem się jako człowiek podły, jedynie jako bękartie nasienie namiętności targowego dnia, szaleństwa, potrójnej sztuczki, takiej jak moje aktualne nazwisko, ale pod przykrywką żadnej z nich nie kryło się... nic.

Przeznaczenie, które prowadzi francusko-żydowskiego tkacza na irlandzki jarmark, jest interesujące, jednak to właśnie Przeznaczenie spowodowało, że wówczas tkacza – bo „ojciec” wydaje mi się określeniem zbyt wspaniałomyślnym – w szczytowym momencie prymitywnej namiętności w szopie trafiła apopleksja, choć myślał, że przez cały dzień będzie ujeżdżał tego konika. Ale sami widzicie, nagle w siodle dopadła go śmierć; znalazł się poza życiem i poza tą opowieścią równie szybko, jak do niej wkroczył. Kobieta, spotkana zaledwie przed półgodziną w zbożowym namiocie, roześmiana nad owsianką zakrapianą rumem, którą akurat raczyła się obficie, była teraz zbyt przerażona, by krzyczeć, przeklinać czy płakać. Po prostu zepchnęła go, wytarła się jego cienką barchanową kamizelką, która w pierwszej chwili zrobiła na niej takie wrażenie – wydawał się wszak dandysem w tym swoim stroju, z tymi długimi rękawami, francuskim akcentem; teraz kobieta uciekała z ponurą miną, aż na polu natknęła się na olbrzymi tłum.

Była przysadzista i pękata jak kartofel (i jak mi powiedziano, równie rozgarnięta, z gębą rozdziawioną jak gręplarka), nie mogła więc zobaczyć, co takiego przyciągnęło uwagę tłumu, ale ogarnięta nagłą ciekawością, wywołaną być może chęcią zapomnienia o tym, co przed chwilą przeżyła, przepychała się tak długo, aż wydostała się przed tłum i spostrzegła front prowizorycznej drewnianej estrady.

Gwar tłumu niespodziewanie umilkł, odwróciła się więc, żeby zobaczyć dlaczego – czy rzeczywiście to jej pojawienie się tak zdecydowanie ludzi uspokoiło. Zobaczyła, że wzrok wszystkich za jej plecami skupia się bynajmniej nie na niej, ale raczej poza nią i znacznie wyżej, więc znowu się odwróciła i spoglądając do góry, w tym samym kierunku co inni ludzie, zobaczyła, że estrada to w istocie prowizoryczna szubienica.

Ledwie zdążyła to sobie uświadomić, gdy usłyszała przelotne skrzypnięcie otwieranej zapadni i zobaczyła kościstego mężczyznę w długim brudnym stroju z pętlą na szyi, a martwy dorsz wypadł z jego dłoni i upadł z nieba wprost przed nią. Kiedy ciało mężczyzny dotarło do dna zapadni, napięta lina w połączeniu z nagłym ciężarem upadającego ciała złamała mu kark – kobieta usłyszała cichy, ale pewny odgłos pękających kości. Później śniło jej się, że wychudły mężczyzna, opadając, otworzył usta i wy dostał się z nich nie krzyk, a drgający pas niebieskiego światła. Widziała, jak niebieskie światło przemknęło nad polem i wskoczyło do jej otwartych ze zdziwienia ust.

Nieszczęsna kobieta nabrała przekonania, że posiadał ją zły duch skazanego mężczyzny i życie przestało ją interesować. Żyła jedynie tak długo, by wydać mnie na świat i oddać do przytułku w przekonaniu, że skoro urodziłem się siny, muszę być uosobieniem owego złego ducha.



Wyrosłem w przytułku pełnym starych kobiet. Niektóre były pomyłone, inne kochające, jeszcze inne nie odznaczały się niczym; w przytułku rozbrzmiewało tyle opowieści o żywych i umarłych, ile wszy gnieździ się w lachmanach, bo w tym ciemnym, wilgotnym budynku nie mieli niczego prócz wszy i opowieści, a jedno i drugie przyprawiało mnie o silny świąd i strupy, po których zostawały paskudne małe blizny. Wyrosłem wśród takich opowieści (jak na przykład ulubiona przez wszystkich gadka o tkaczu, który zmarł przy robocie, o powieszonym i jego zwiotczalym dorszu, o niebieskim światełku i o mnie); stanowiły niemal jedyne moje pożywienie.

Stary ksiądz z przytułku przez jakiś czas całkiem niesłusznie traktował mnie jak ucznia. Zwykł czytać mi Kalendarz Świętych – na każdy dzień przypadał tu inny święty, a jego życie stanowiło temat przykładowej opowieści o cierpieniu, torturach i oryginalnych karach; wspaniały katalog dziewiczych męczennic, których zmysłowe, ale na wieki nieskalane piersi obcinali obleśni rzymscy prefekci; średniowiecznych mnichów, których lewitowanie stawało się tak męczące, że przywiązywano ich, by nie zakłócali posiłków swoich braci; pustelników wsławionych samobiczowaniem przez czterdzieści dni i nocy właściwie bez powodu. Naprawdę nic nie mogłoby stanowić dla mnie lepszego przygotowania do rzeczywistości Ziemi van Diemena.

Nauki księdza wspierały mnie tak samo, jak sznur wspiera wisielca. Nauczył mnie dwudziestu sześciu liter alfabetu i kazał głośno czytać Biblię i modlitewnik, a kiedy mył podeszwy moich stóp i chude nogi, szeptał nieustannie: „Powiedz mi, kiedy twoje nasienie będzie gotowe się rozlać, powiedz mi, proszę”.

Odpowiadałem po prostu: „A-B-C-D” i tak dalej, wyobrażając sobie, że z tych liter można ułożyć każde z bożych słów, że On może je wymieszać w Idealną Modlitwę czy Pismo Święte zgodnie ze swoim życzeniem, jeśli tylko mógłbym posłać mu codziennie tych dwadzieścia sześć liter, A-B-C-D i tak dalej, ale kiedy ksiądz przejechał dłonią szorstką jak pokruszone kawałki kredy po wewnętrznej stronie mojego uda, kopnąłem go świeżo umytą nogą prosto w bezzębną gębę.

Stary kapłan krzyknął z bólu i zasyczał: „Może Bóg przyjmie twoje litery, ale twój język należy do diabła, nie jesteś uczniem, tylko wcielonym Belzebubem!”. I od tej pory nie chciał mieć do czynienia ani ze mną, ani z moimi nogami.

Na jednej ze starych kobiet zrobiło to tak wielkie wrażenie – bo okropnie nienawidziła starego księdza – że pokazała mi swoją biblioteczkę złożoną z kilku sześciopensowych broszur, które pozwolono jej zachować na dowód szczególnego uprzywilejowania. Pożyczyła mi najpierw jedną, potem drugą broszurkę.

Zacząłem się martwić, że kiedy zasypiam na noc, litery w sześciopensowych broszurkach mogą się poprzestawiać na nowo w inne kształty i znaczenia wewnątrz niebieskich okładek, bo w tych broszurkach odkryłem, że Bóg rzeczywiście miesza tych dwadzieścia sześć liter, żeby nadać im takie znaczenie, jak chce, i że w związku z tym wszystkie książki są święte. Jeśli z Bogiem rzeczywiście wiązała się Tajemnica, co uparcie powtarzał ksiądz, to może kryła się w niepokojach i pragnieniach, obecnych we wszystkich tych historiach.

Podobne broszurki za sześć pensów można było kupić na każdym straganie, ale przez to, że były własnością wszystkich, wcale nie kochałem ich mniej, wprost przeciwnie. Wszystko, poczynając od *Wierszyków wdowy Hickathrift* dla dzieci po *Bajki Ezopa*, zachwycało mnie do tego stopnia, że na długo przedtem, zanim usłyszałem o bardzie Popie i francuskim oświeceniu, stanowiło dla mnie całą literaturę i sztukę. Jeszcze teraz pomarańcze, cytryny i dzwony świętego Klemensa jadące na koniu na biegunach do Banbury Cross są dla mnie prawdziwą poezją i nie potrafię się wyzwolić spod jej uroku.

Potem ksiądz i urzędnik z parafii namówili się, żeby mnie sprzedać kamieniarzowi, choć moje nędzne ciało nie nadawało się do tak ciężkiej pracy; kiedy uciekłem od kamieniarza za wodę, musiał się poczuć uwolniony od takiego niezdarnego drania, bo nawet nie próbował ściągnąć mnie z powrotem.

Początkowo udawało mi się przeżyć w Londynie, sprzedając się tym, którzy moim zdaniem powinni płacić za to, żeby umyć mi nogi, i oddając się tym, którzy budzili we mnie litość. Decydowanie o tym, kto powinien płacić, a kto nie, dawało mi poczucie władzy, ale naprawdę nie miałem niczego, absolutnie niczego prócz paskudnych, niedających się ukoić niepokojów coraz bardziej zasłaniających serce i coraz większej liczby niewielkich blizn, mnożących się nieustannie, by przykryć tę moją bezimienną hańbę.

Przez czas jakiś włóczyłem się i kradłem, a dzięki takim drobnym wyczynom czułem, że te nędzne małe blizny zaczynają przykrywać także poważniejsze doznania – ekscytacji, strachu, przyjemności. Widzicie, byłem wtedy łajdakiem, wyniosłym, złym człowiekiem, bardzo z siebie dumnym. Bywałem tu i tam, początkowo w poszukiwaniu złota i chwały, a potem wyjaśnienia – zachłanny na wszystko, głównie dlatego, że uchwycenie czegokolwiek mogłoby świadczyć o tym, że żyłem i nie byłem jedynie bezimiennym mężczyzną zrodzonym z bezimiennej kobiety w bezimiennym mieście, mężczyzną, którego jedyną strawę stanowią zgrzebne historyjki, wydobywane przez stare bezzębne kobiety z nędznych piosenek wykradzionych Bogu z sześciopensowych broszurek.

W zaraniu mojego życia widziałem to i owo, w tym wiele rzeczy szokujących, niemal równie fantastycznych, ale o zmierzchu żywota nie znalazł się nikt pośród nowo przeze mnie odkrytych pijaków, naciągaczy, alfonsów, dziewczyn lekkich obyczajów i złodziejasków, kto mógłby odpowiedzieć na moje uporczywe „dlaczego?”. W końcu uświadomiłem sobie, że to najgłupsze, najbardziej bezsensowne i destrukcyjne ze wszystkich pytań. Uznawszy, że nic nie przynosi człowiekowi takiego pożytku jak ziemskie osiągnięcia, porzuciłem niepewne poszukiwania odpowiedzi na pytanie, które nie miało sensu. Zaczynałem odczuwać zmęczenie Starym Światem i pewnego dnia późnym wieczorem, w sklepie z grogiem, gdzie znalazłem się z dziewczyną ze Spitafields, przed którą wychwalałem zalety sześciopensowych broszurek, po kilku niezłych prztyczkach w ucho i poważnych groźbach większych obrażeń ze strony grupy rekrutującej do marynarki, czyli elity angielskiej nacji, zorientowałem się, że wyrażam zgodę, bo w istocie od dawna już pragnąłem jako majtek dołączyć do misji porucznika Bowena, by wziąć udział w cywilizowaniu Ziemi van Diemena. W ten sposób przekonano mnie, bym się wyprawił do Nowego Świata, gdzie podobno miały swą siedzibę Postęp i Przyszłość.

## V

Moje malowanie na początku było dziełem przypadku, a potem stało się jedyną rzeczą, którą potrafiłem robić prawie dobrze. Uważałem, że to łatwe zadanie, a kiedy uświadomiłem sobie, że tak nie jest, było już za późno, by nauczyć się jakiegoś innego fachu. W Nowym Świecie, w trakcie dyskretnego powrotu ze skutecznej, choć opacznie pojętej inwazji Australii, spotkałem na bagnach Luizjany Kreola, który w pewnym sensie ponosi odpowiedzialność za moje zamiłowanie do ryb. Nazywał się Jean-Babeuf Audubon, był przeciętnie wyglądającym niewysokim mężczyzną, a wyróżniały go przede wszystkim szerokie koronkowe mankiety, z którymi nigdy nie chciał się rozstać, a które w konsekwencji zawsze były obszarpane i brudne.

Jean-Babeuf Audubon przekonał mnie, że jako mężczyzna po dwudziestce jestem w najlepszym wieku, żeby zabezpieczyć się przed nieprzyjazną przyszłością, inwestując niewielki kapitał, jaki z sobą przywiozłem, w interes, którego prowadzeniu oddawał się wraz z Anglikiem o nazwisku George Keats, a który polegał na utrzymywaniu parowca w małej wiosce w Kentucky. Zakupienie przez niego bardzo porządnych surdutów natychmiast po otrzymaniu ode mnie pieniędzy w najmniejszym stopniu nie osłabiło mojej wiary w marzenia tego nędznego człowieczka, bo jak przystało na prawdziwego łajdaka, ufnie przyjmowałem każdą ideę, wykraczającą poza oczywistą i bezpośrednią kradzież.

Chociaż wszyscy pragnęliśmy stać się kapitalistami, to za pośrednictwem Audubona miałem się także dowiedzieć o malowaniu, bo biznes Audubona był równie nieprawdopodobny jak opowieści o jego ojcu – rzekomo Francuzie, tak jak mój – który miał być delfinem i pod przybranym nazwiskiem walczyć z Waszyngtonem w Valley Forge. Uważaliśmy się za realistów, toteż śmieszyły nas historyjki Keatsa o jego bracie Johnie, marzycielu, który pragnął zostać poetą w Starym Świecie, więc w przeciwieństwie do nas nigdy do niczego nie dojdzie. Na nic się jednak zdała choćby największa doza realizmu czy kapitalistycznej chciwości, kiedy wybuch rozerwał zbiornik parowca. Miejscowi farmerzy i tak woleli korzystać z tradycyjnych barek ciągnionych przez konie lub uruchamianych na pych zamiast wymysłów Audubona i Keatsa, a wędrowni czarnuchy i drwale woleli chodzić piechotą niż wnosić opłatę, jaką musieliśmy pobierać, żeby nie pójść na dno.

Ale brak zainteresowania statkiem, a w konsekwencji jego unieruchomienie pozwoliło nam poświęcać się innym zajęciom. Głównie były to wyprawy do lasu, podczas których strzelaliśmy do ptaków. Przyglądałem się, jak Audubon oplatał drutem ich skrwawione ciała, nadając im wyraziste kształty wzlotów i spadków, rozpościerając skrzydła w różne strony, a potem szkicował i malował te nędzne, udreżone formy jako piękne ptaki.

Uważałem go za wyjątkowego malarza, czego nie omieszkalem powiedzieć, ale przyjął komplement nieuprzejmie i wyśmiał mnie z tym swoim wyraźnym kreolskim akcentem. Nie lubił sztuki. Stwierdził, że tym mianem określa się obrazy, kiedy już zostaną skradzione i sprzedane. On był jedynie malarzem ptaków.

Nauczyłem się także – choć w większym stopniu od ptaków, których Jean-Babeuf Audubon nie zdołał ustrzelić, niż od samego Jeana-Babeufa Audubona – jak ważne jest w życiu to, by zawsze pozostawać ruchomym celem, bo nie ma niczego, co ludzie lubiliby bardziej niż własne przeciwieństwo. Toteż w Ameryce przekonałem się, ile warte jest bycie Anglikiem z podziemia, a później po powrocie do podziemnej Anglii przedstawiałem się jako amerykański poszukiwacz przygód. Za to tutaj, na Ziemi van Diemena, chyba najbardziej lubiany jest Artysta Skądinąd, co oczywiście oznacza z Europy, choćby nawet był to artysta bardzo przeciętny. Jeśli kiedykolwiek powrócę do Europy, to pewnie skusi mnie rola pokrzywdzonego, gapiowatego wieśniaka z kolonii.



Audubon wiedział bardzo wiele o ptakach, o ich obyczajach i społeczności, a jego wizerunki ptaków były bardzo wyraźne i zdecydowane, bez żadnej miękkości czy rozmazanych konturów. Ptaki Audubona wyłaniały się spod brudnych koronkowych mankietów jak spod pierzastych skrzydeł matki w pełni uformowane, piękne, zasmucone, żywe. Od Audubona nauczyłem się prób malowania zwierząt tak, by pokazać ich zasadniczą cechę: dumę, zapał czy dzikość, głupotę czy szaleństwo. Bo jemu nigdy nie chodziło o zwykłe okazy; wszelkie formy życia stanowiły encyklopedię tematów, a jedyne kłopotliwe zadanie – co, jak przyznawał, czasami wcale nie było łatwe – sprowadzało się do zrozumienia prawdy i następnie utrwalenia jej możliwie najwierniej i najdokładniej. Aby to zrobić – aby sprowadzić ducha całego życia do jednego obrazka – potrzebował historii, a jego geniusz polegał na tym, że nie znajdował owych historii w drzewach, lasach czy zatokach, ale w nowych amerykańskich miastach i osadach, wykwitających jak fatalna wysypka w całym kraju, a także w marzeniach i nadziejach tych, których Audubon spotykał we własnym otoczeniu.

Audubon malował śluby, zaloty, całą próżność i hipokryzję lepszego towarzystwa, a wszystko pod postacią ptaków. Ptaki te sprzedawał, tworząc bardzo mądrą rzecz: naturalną historię nowych obywateli miast. Przypuszczam, że ja też mógłbym malować ryby w podobny sposób, naśladując ławice, w jakich pływają miejscowi wolni osadnicy. Jednak ryby przychodziły do mnie w prawdziwej kondycji tego życia: samotne, wylęknione, bez domu, niemające dokąd uciec i ukryć się. A gdybym umieścił razem dwie z moich ryb, czy wówczas tworzyłyby ławicę? Czy uzyskałbym wrażenie oceanu pod falami, które widzą tylko kobiety tubylców nurkujące po langusty?

Nie.

Miałbym dwie ryby: każda samotna, wystraszona, zjednoczone jedynie grozą śmierci, którą widzę w ich oczach. Audubon malował marzenia nowego kraju, na które zawsze jest potencjalny nabywca; moje ryby są koszmarem przeszłości, dla którego nie ma rynku zbytu. To, co ja maluję, nie jest tak mądre jak prace Jeana-Babeufa Audubona, nigdy też nie okaże się popularne: to historia naturalna umarłych.

W końcu statek został spalony, naszym zdaniem przez rozjuszonych wierzycieli, a według nich przez nas: jakkolwiek było, wszyscy zostaliśmy zrujnowani, a po raz ostatni widziałem Jeana-Babeufa Audubona wymachującego wysmotruchanym koronkowym mankietem przez szczelinę w oknie miejscowego więzienia, gdzie zamknięto go za długi. Tym razem jednak nie doszło do magicznego pojawienia się żadnych ptaków. Siedzący na zewnątrz Keats czytał głośno na użytek Audubona jakieś żalosne wiersze swojego brata o zdradzieckiej obietnicy Nowego Świata – te wiersze, moim zdaniem, nie nadawały się szczególnie do pocieszania Jeana-Babeufa Audubona, który błagał z celi swoich prześladowców, wykrzykując z tym swoim silnym kreolskim akcentem: „Jezdem angielski kapitalist. Tym jezdem”.

Siedzący na zewnątrz Keats nie zwracał najmniejszej uwagi na tego rodzaju argumenty i nie przerywał deklamacji: „Ich niedobre kwiaty nie mają zapachu, a ptaki nie znają słodkiej pieśni”.

„Jezdem człowiek onoru – wykrzykiwał kompletnie przybity Audubon – i zapłacę oczywiście”.

„A wspaniała bezbłędna Natura – kontynuował Keats – tym razem zdawała się mylić”.

## VI

Upłynęło dwadzieścia lat.

Powinna już powstać pełna ocena mojego życia w tym czasie, ale właśnie przeczytałem Królowi, co napisałem dotychczas. Wymowne, wręcz paralizujące jest to, że nie wygłosił żadnego komentarza. Jego wrodzona grzeczność nie pozwala na otwartą krytykę, podchwyciłem jednak jego mętny wzrok, pełen wyraźnej pogardy i – jak zawsze – pouczającej mądrości.

Widzę, że ratuje mnie przed głupotą zapisywania tego, czego on – a jak podejrzewam, wy też – wcale nie chce słuchać, czyli tego, co przydarzyło się w tym okresie Billy'emu Gouldowi. Możecie przypuszczać, że każda chwila w życiu Billy'ego Goulda miała jednakową wagę, ale Król wie, że to nieprawda. Większość owego życia upłynęła jakby w niedobrym śnie, który rozplywa się po przebudzeniu, ponieważ jest zbyt mało znaczący, by utkwic w pamięci, choć kończy się aresztowaniem za fałszerstwo w 1825 roku w Bristolu.

Nie byłem fałszerzem i nie byłem zadowolony, że właśnie o to mnie oskarżono. Jako łajdak na cenzurowanym, który kiedyś zajmował się malowaniem, czułem się dotknięty podejrzeniem o to, że upadłem tak nisko, by sfalszować kilka banknotów banku Bristolu. Jednak zgodnie z moim niezmiennym przekonaniem, że najlepszym sposobem zwalczania władzy jest przyznawanie jej racji, po skazaniu na deportację do Ziemi van Diemena za fałszerstwo rzeczywiście stałem się fałszerzem. W końcu, cóż innego mogłem zrobić?

Podawanie się za artystę zdawało się zgodne z fałszowaniem moich przekonań; stwarzało ponadto perspektywę lepszego przydziału niż praca w skutym łańcuchami szeregu, pokazywało mnie także w nieco innym świetle niż zwykłego przestępcę, jakim przecież byłem. To jedyne fałszerstwo, jakiego się dopuściłem aż do tamtej chwili, kiedy na nowo sfalszowałem siebie jako artystę.

Ale nie zaczęło się szczególnie dobrze.

Moja pierwsza próba malowania, niewątpliwie wzorująca się na litografii Robespierre'a, na jaką natrafiłem w broszurce o okropnościach francuskiego terroru, przedstawiała kapitana Pinchbecka, dowódcę transportu skazańców; kapitan, dowiedziawszy się o moim fachu, zapragnął mieć portret. Mój obraz tak rozzłościł kapitana, że kazał mnie z powrotem zakuć w łańcuchy na resztę sześciomiesięcznej podróży statkiem do Australii. Próbowałem się zrehabilitować, malując go jako bardziej męskiego Dantona, ale kapitan uznał to jedynie za kolejną, tym razem niewybaczalną obelgę.

Kiedy wyprowadzano mnie z cuchnącego kadłuba statku, odkryłem – zbyt późno – dzięki informacji kumpla, że kapitan czuje się zhańbiony, odkąd przyprawił mu rogi pewien francuski wielorybnik.

Zacząłem więc potępiać w obecności kapitana Pinchbecka usłużnych alfonsów o innym pochodzeniu rasowym, ale kazał mi się zamknąć i zrobił wykład o okrucieństwach Francuzów – szczególnie o ich przerażających *noyades*. Działo się to w szczytowym okresie nasilenia terroru. Kadłuby starych statków niewolniczych, wypełnione rebeliantami z Wandei, zatopiono pewnego wieczoru w porcie Nantes. Co rano stare kadłuby znów unosiły się na wodzie już bez ciał topielców, za to z mnóstwem kolejnych rebeliantów, których zapas wydawał się niewyczerpany, ponieważ, jak to sformułował kapitan Pinchbeck, tyrania zawsze wyciągnie na wierzch swoich przeciwników, tak jak deszcz trawę.

Kiedy wreszcie skończył tę bezkresną opowieść, kazał mnie zabrać do tak zwanej *petite noyade*, perforowanego pudła przypominającego trumnę, w którym zamykano ludzi, a następnie ciągnięto za statkiem. W ten sposób mogłem się przekonać, jak to jest być Francuzem.

Chciałbym powiedzieć, że kiedy spuszczone mnie na całą minutę do Oceanu Atlantyckiego w tym czarnym mokrym pudle z oślizgłego dębu, po raz pierwszy domyśliłem się, jaki wpływ może mieć sztuka na moją przyszłość. Ale byłaby to nieprawda. Po prostu postanowiłem szukać wzorów innych niż francuscy buntownicy i uwodziciele, a tymczasem wstrzymać oddech, jak długo się da.

Kiedy z powrotem wyciągnięto mnie z wody, kapitan oznajmił, że jeśli jeszcze kiedykolwiek spróbuję go namalować, osobiście rzuci mnie na pożarcie morskim adwokatom, jak nazywał rekiny ciągnące za statkiem. Gdy już wywleczono mnie z *petite noyade*, więzień w roli konstabla wymierzył mi niezłego kopa na oczach kapitana. Zwijając się w kłębek, pomyślałem, że kapitan Pinchbeck może się mylić w sprawie tyranii, bo na każdego tyrana przypada również tysiąc ludzi chętnych do zniewolenia, a kimkolwiek byli buntownicy z Wandei, zasługiwali w pełni na utopienie, ponieważ zupełnie nie zrozumieli tej prawdy o ludzkiej naturze.

Nie chciałem przez to sprawiać wrażenia, że wymyślenie siebie samego od nowa jako malarza było absolutnym kłamstwem. W końcu obserwowałem, jak pracował Jean-Babeuf Audubon, a raz nawet dokończyłem za niego parę bielików amerykańskich, które musiał namalować szybko, żeby załatwić pilny dług. Spędziłem także jakiś czas z rytownikiem Shuggym Ackermannem, ale to zdawało się prowadzić jedynie do dalszych kryminalnych oskarżeń. Może powinienem wspomnieć również o półrocznym doświadczeniu w warsztacie ceramicznym, ale nie chcę zagłębiać się w to akurat teraz, bo naprawdę zasmuca mnie myśl o tym, że tak chętnie tańczyłem kiedyś Stare Oświecenie, a obecnie do zabawy pozostał mi tylko Kciuk Wdowy i jej Cztery Córki.

Gdzie indziej mogły istnieć zupełnie odmienne perspektywy, dotyczące i pracy, i kobiet; szczerze mówiąc, chętnie bym je poznał. Ale musiałem brać takie prace, jakie były, i uczyć się reguł mojej sztuki możliwie jak najlepiej z tak kiepskich doświadczeń.

Po przybyciu do owego wstrętnego nowego świata Ziemi van Diemena w cuchnącym upale późnego lata – do paskudnych nowych magazynów z piaskowca, urzędów celnych, skazańców skutych łańcuchami i żołnierzy w czerwonych mundurach – przydzielono mnie do Palmera, fabrykanta powozów w mieście Launceston, stolicy północnej części wyspy. Malowałem błyszczące herby rodzinne na powozach, wymyślając tarcze herbowe dla nieślubnych potomków Nowego Świata, którzy chcieli ustroić się w absurdalną liberię Starego. Lwy stojące na tylnych łapach, wiecznie zielone dęby, czerwone dłonie, szable zawsze gotowe do ataku mieszały się na drzwiach naszych karet bez szczególnego powodu i bez potrzeby wytłumaczenia, podkreślone absurdalnymi łacińskimi mottami, których dostarczał irlandzki kleryk odbywający karę za sodomie: *Quae fuerent vitia, mores sunt* (co kiedyś było występkiem, teraz stało się obyczajem), *Vedi Hobarti e poi muouri* (zobaczyć Hobart i umrzeć), *Ver non semper viret* (wiosna nie zawsze kwitnie). Dla mnie była to pierwsza wielka lekcja artystyczna: sztuka kolonialna to komiczny dar, który pozwala nowe zmienić na stare, nieznanne na znane, zamorskie na europejskie, godne pogardy na szacowne.



## VII

Uciekłem po sześciu miesiącach. Kierując się na południe, wracałem piechotą do miasta Hobart w nadziei, że ucieknę stamtąd statkiem, tak jak dwa dziesięciolecia wcześniej. Nadal nie było widać końca długiej, nużącej wojny z dzikusami; dzicy wykazywali tyle pomysłowości w swoich atakach, że wielu kolonistów – którzy mieli siedziby na skraju wielkich czarnych lasów, gdzie strach w sposób oczywisty rodzi podejrzliwość – uważało ich za czarowników. Wnętrze kraju należało do nich, ale gnębiła go plaga uciekinierów i traperskich gangów, które strzelały do żołnierzy w czerwonych mundurach, patrole w czerwonych mundurach strzelały do gangów traperów, a czuwający wolontariusze znajdowali przyjemność w strzelaniu do dzikusów, a w braku takowych – do kogokolwiek.

W napotykanym od czasu do czasu warownym obozach, które uchodziły za farmy, panował jeszcze większy strach. Zbliżyłem się do jednego z takich miejsc w nadziei na znalezienie noclegu, a od spuszczonej złych psów uratowały mnie ostrzegawcze strzały z muszkietu, które padły z otworów w murze zewnętrznym.

Postanowiłem, że zamiast posuwać się skrajem drogi przez środek wyspy, pójdę dłuższą, ale bezpieczniejszą trasą wzdłuż wschodniego wybrzeża. Poszedłem tam, gdzie zielone morze rozbija światło na odłamki srebra i rozrzuca je po błyszczących białych plażach, na których często napotykałem zbielełe kości i czaszki tubylców zabitych przez łowców fok podczas rajdów w poszukiwaniu czarnych kobiet. Taki widok przynosił dość szczególną pociechę, oznaczał bowiem, że wędrując po plaży, będę bezpieczny, ponieważ z wyjątkiem dalekiego zachodu aborygeni starają się teraz unikać wybrzeży. Jednak nadal wieczorem nie rozpałem ogniska w obawie, że tubylcy znajdą mnie i zabiją, choć była wczesna wiosna, a przymrozki silne i dokuczliwe.

Cztery dni po opuszczeniu Launceston, błędząc beznadziejnie, natknąłem się na człowieka, który powiedział, że nazywa się Ryczący Tom Tkacz. Pierwszej nocy próbował się do mnie dobierać, ale nie był bynajmniej dotknięty, kiedy usłyszał, że ma zostawić mnie w spokoju; odparł, że i tak nie jestem w jego typie.

Następnego popołudnia ostrzelali nas wielorybnicy poszukujący wody, skierowaliśmy się więc w głąb lądu. Maszerowaliśmy nocą według gwiazd, ale kiedy się zachmurzyło, zatrzymaliśmy się na skalistym pagórku. Było aż gęsto od much, ale zabłądziliśmy i czuliśmy się zbyt zmęczeni, by iść dalej. Spaliśmy jak zabici. Kiedy wstało słońce, zobaczyliśmy, że siedliskiem much było rozkładające się ciało czarnej kobiety, leżące niecałe sto jardów od miejsca naszego noclegu.

Przebitą palem kobietę straszliwie sponiewierano i zostawiono, by umarła. Fragmenty jej ciała bieląły w świetle słońca, którego promienie odbijały się od mrowia robaków. Ryczący Tom zaczął wyc i wrzeszczeć. Zachowywał się jak dziki zwierz i upłynęło sporo czasu, nim udało mi się pohamować ten straszliwy lament.

Tego wieczoru milczeliśmy przy nędznym ognisku: ze strachu paliliśmy jedynie najmniejsze patyczki. Następnego dnia znaleźliśmy się w otwartym krajobrazie, na cudownym terenie pod niebem tak idealnie jasnoniebieskim – czegoś takiego nie widziałem nigdy w Starym Świecie – że wydawało się kruche, jakby w każdej chwili mogło się roztrzaskać i pod tym cudownym światłem ujawnić coś strasznego.

Dym płonącego pasterskiego szałasu dotarł do nas na długo przed tym, nim zobaczyliśmy dymiące fragmenty chatki z kory i gliny, a także spalone ciało jej mieszkańca, wyciągnięte z popiołów na długim płacie kory przez kumpla, który nie mógł opanować płaczu. Szlochający mężczyzna był więźniem, któremu darowano karę. Osiedlił się w sąsiedniej dolinie i czasami odwiedzał swojego przyjaciela pasterza, bo obaj pochodzili z Roscommon. Tym razem przyszedł za późno: aborygeni przygwoździli przyjaciela włócznią w szałasie i podpalił, pozwalając, żeby spłonął żywcem. Dopiero kiedy przybysz zaczął strzelać, rozproszyli się. Mężczyzna wskazał na zwalone drzewo, za którym leżał zastrzelony przez niego aborygen. Nigdy dotychczas nie zabił człowieka i nie wiadomo było, co przygnębiało go bardziej: śmierć przyjaciela czy zabicie tubylca.

W odległości siedmiu dni od Launceston natknęliśmy się na Clucasa, barbarzyńcę, który pracował dla wolnego osadnika Batmana, pomagając mu w osaczaniu dzikusów. Twierdził, że poznał ich narzecze, kiedy był łowcą fok, i że trochę zna ich zwyczaje. Byliśmy bezbroni, głodni i znowu pobłądziliśmy. Clucas miał pistolet i muszkiet, których mógł użyć, miał też mięso walabii i mąkę, którymi gotów był się podzielić, no i znał drogę do Hobart. Ubrany był podobnie jak wielu *banditti* na Ziemi van Diemena: źle skrojone i byle jak zszyte skóry kangurów i tygrysów; długie włosy przykrywała czapka ze skóry tygrysa. Radośnie opowiadał, jak na polecenie Batmana wtargnął zniecka do obozu dzikusów, zastrzelił ich z tuzin lub więcej, a potem upiekł na ich własnych ogniskach. Stwierdził, że nie jest bestią, jak niektórzy łowcy fok, których spotkał na wysepkach w Cieśninie Bassa, choćby taki Munro, który odkroił kawałki uda i uszu swojej kobiety Jumbo i zmusił ją do ich zjedzenia, co miało być karą za próbę ucieczki. Kiedy powiedzieliśmy mu o wbitej na pal kobiecie, na chwilę się zamyślił, a potem ze śmiechem oświadczył, że niektóre z tubylczych kobiet to prawdziwe amazonki i same są sobie winne.

Rozłożyliśmy obóz poniżej Black Charlie's Opening. Rozszalała się burza, w świetle silnych błyskawic widzieliśmy równiny Pittwater, a dalej zaśnieżony czubek Góry Wellingtona w Hobart. Kompletnie przemoczeni i wykończeni, wyruszyliśmy przed świtem. Chwilę po wschodzie słońca natknęliśmy się na resztki olbrzymiego drzewa eukaliptusowego, które miało co najmniej dwa jardy średnicy u podstawy. Gwałtowne uderzenie pioruna rozrzuciło pień i gałęzie w wielkim nieporządku, białe i czarne fragmenty można było znaleźć w promieniu dwustu jardów. Wszędzie połamane drewno, drzazgi i patyczki, wielkie konary i małeńkie wióry. Trudno powiedzieć, jak wielkie i wspaniałe było kiedyś to drzewo rosnące na Ziemi van Diemena, teraz roztrzaskane na tysiące odłamków.

## VIII

Weszliśmy do Hobart pod osłoną chłodnej nocy; *banditto* Clucas załatwił nam kryjówkę w nielegalnym barze przy nabrzeżach Wapping, prowadzonym przez rozbitka z Liverpoolu, zwanego Capois Death. Obiecał znaleźć miejsce dla nas obu na statku wielorybniczym odpływającym w ciągu miesiąca.

Dwa dni później złapali nas policjanci w wyniku donosu Clucasa. Okazało się, że Ryczący Tom Tkacz jest zbiegłą męską prostytutką. Skazano go na ponowny transport na Wyspę Sary i czternastoletni pobyt tamże. Mnie przyłapano w barze Shades, gdzie malowałem, na ścianie bieliki w girlandach z wistarii, by opłacić znaczny rachunek za rum. Zostałem skazany na trzy miesiące pobytu w łańcuchach w miejscu niesłusznie zwanym Bridgewater, gdzie miałem ciągnąć głazy na drewnianych rolkach do budowy grobli przez rzekę Derwent. Po tygodniu porucznik Perisher, oficer odpowiedzialny za groblę, uwolnił mnie z okowów i zaangażował do malowania portretów oficerów, żon wolnych osadników i różnych świeżo ubitych ofiar – dziwnych kangurów, emu i bażantów, rysowanych z pamięci i owiniętych jak szale wokół stołów.

W tamtych czasach błotniste uliczki i cuchnące rudery miasta Hobart wydawały się niemal kolonią artystów. Więcej niż kilku z nich pracowało tam pod patronatem rządu: był wśród nich aborcjonista Boch, którego dłonie rozdawały kiedyś rtęciowe mikstury młodym wystraszoną kobietom, a teraz malowały ugodowych władców kolonii; był morderca Wainewright, który z równą zręcznością szkicował portreciki dziewiczych panienek, jak kiedyś truł małżonkę laudanum zaprawionym strychniną; był fałszerz Savery, autor eleganckiej bredni o kolonii, pochlebiającej odbiorcom naśladownictwem ich własnej głupoty. Jednego dnia można było zobaczyć tego czy innego artystę w szeregu skutych łańcuchem skazańców, którzy kruszyli młotem skały przy nabrzeżach Salamanki; w następnym tygodniu wybiegali z baru przy ulicy Macquarie z bloczkiem i farbami pod pachą, starając się wyglądać na jak najbardziej profesjonalnych estetów, co jednak – z powodu nędznych spodni z diagonalu, zgrzebnych kanarkowych kurtek, niechlujnych włosów i krostowatej, zarośniętej twarzy – po prostu nie mogło się udać.

Natomiast ja postępowałem wręcz przeciwnie: grając rolę pracującego wyrobnika, uchylałem czapki i nigdy nie udawałem, że znajduję się w innym miejscu drabiny społecznej Ziemi van Diemena niż na samym dole. Współzawodnictwo nie było szczególnie zajadłe, moje zachowanie niezbyt groźne, więc zawsze otwierały się dla mnie jakieś możliwości na rynku.

## IX

Moje usługi zaczęły być poszukiwane. Malowałem portrety patriarchów ze zmętniałymi oczami na łożu śmierci czy ciała niemowląt dla pogrążonych w żałobie rodzin wolnych osadników, dzieląc z przedsiębiorcą pogrzebowym tę najbardziej beznadziejną z prac, czyli próbę odkrycia łagodnego uśmiechu na wybladłych twarzyczkach; malowałem nagrodzone ogiery, świnie i pospieszne szkice nagich kobiet w stylu niewyraźnych obrazów miłosnych – coś jak zmysłowe powitanie młodego byka. Szedłem raczej w stronę stylizacji niż uczciwego obrazu rzeczywistości.

Stawki nie były całkowicie satysfakcjonujące: porucznik Perisher pobierał dziewięć dziesiątych od każdego zamówienia. Mimo wszystko było to łatwiejsze i cieplejsze zajęcie niż ciągnięcie gładów na bosaka i w żelaznych łańcuchach po lodowatym błocie, przymrozkach i mgłach Bridgewater. A bez względu na swoje grzechy porucznik Perisher przymykał oko na moje wieczorne wyjścia.



Kolejny pobyt w mieście Hobart wspominam teraz jedynie jako nudne nawroty zamykania i uwalniania; czasami przetrzymywała mnie Korona, zazwyczaj z powodu ucieczki czy innych drobnych przewinień, częściej jednak rozjuszeni właściciele pubów czy nielegalnych knajp domagający się wymalowania czegoś w ramach rekompensaty za kredyty zaciągnięte przeze mnie podczas jednego czy drugiego pijaństwa. Zasadniczo powtarzały się w moim życiu takie elementy, jak picie, długi, uwięzienie i zamknięcie w piwnicach czy składach beczek, gdzie musiałem malować w zamian za wolność, czysta kartoteka i kolejna okazja barszkwowania z którąś z dam – mniej lub bardziej wytwornych, nie byłem szczególnie wybredny – którą przypadkiem spotykałem w jednym czy drugim lokalu. I w gruncie rzeczy było dobrze. Czy powiedziałem, że nudno? No tak, to też, ale miało to zaletę pewnej rytmiczności i dawało przyjemne poczucie bezpieczeństwa. Jak dziecinny bączek puszczony w ruch, który prędzej czy później pęknie.

Moja artystyczna produkcja musiała dotrzymywać kroku pijaństwu, więc moje obrazy szybko stały się w barach Hobart czymś równie charakterystycznym jak ściany poplamione tabaką i dymem z wielorybiego oleju. Na przykład w „Nadziei i Kotwicy” nie wypuszczono mnie z drewnianej szopy, dopóki nie namalowałem jakiegoś mięsa w stylu holenderskim w ramach zapłaty za rum wypity na kredyt. Skomponowałem oryginalny obraz pełen odwiecznych rustykalnych specjałów – martwy zajęc powieszony za tylne łapy, kilka bażantów, jeden czy dwa jastrzębie, brązowa butla-gąsior dla domowego nastroju, a także bielik na żerdzi.

W ciągu roku w mojej sztuce nastąpił pewien postęp, a w każdym razie powolna zmiana, i to, co zaczęło się jako dłubanina, stało się stylem. W „Skruszonym Pijaku” wymalowałem ścianę kwiatów w stylu angielskiej ceramiki z Potteries, aby zrekompensować właścicielowi Augusto Traverso zapłacenie rzekomo fałszywym banknotem. Kwiaty przeplatały się z twarzami klientów, i trzeba przyznać, że bardziej przypominało to pastoralny hołd dla Rewolucyjnego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego – tyłu wytwornych, ukwieconych Maratów i Robespierre'ów – niż realistyczne przedstawienie niechlujnych, nierozgarniętych pijaczków z miasta Hobart. Ale starym recydywistom – niech będą błogosławione ich przegniłe dusze – pochlebiało to na tyle, że byli uszczęśliwieni.

Niewątpliwie szczytowym osiągnięciem mojej krótkiej kariery w mieście Hobart był wstrząsający obraz dla „Żelaznego Księcia”, który przedstawiał zdeprawowane życie w cyrku po ucieczce małżonki szacownego właściciela pubu z Wielkim Valerio, sycylijskim linoskoczkiem handlującym afrodyzjakami w proszku. Stworzyłem przerażające malowidło ścienne, na którym delikatną nagą kobietę wciągał do piekła płonących akrobatów i linoskoczków dość nieprzyjemnie wyglądający bielik amerykański, a niżej widniało motto: *Ex Australia semper aliquid novi* (Z Australii zawsze coś nowego).

– Jedyne bar bez Goulda na ścianie – zauważył właściciel nielegalnej knajpy pan Capois Death, oglądając owo wielce podziwiane чудо – to Gould w rynsztoku.

Klepnął mnie dobrodusznie w plecy i chociaż raz wyrównawszy ze mną rachunki, zaproponował, że zapłaci, jeśli wykonam dla niego specjalną pracę. Wystarczył jeden ranek, żeby wymalować szyld na desce z miejscowego drzewa. Była na nim zrozpaczona biała kobieta (model: pani Arthur, żona gubernatora kolonii na wyspie, porucznika George'a Arthura) szorująca ze wszystkich sił czarne dziecko w drewnianej wannie. Dziecko uśmiecha się do niej, a pod spodem logo reklamowanego przedsięwzięcia: „Próżny Trud”, bo tak miał się nazywać lokal pana Capois Death w pobliżu Old Wharf, od chwili gdy przedsięwzięcie to stanie się legalne.

Pocieszam się dzisiaj wiedzą, że działałem zgodnie z poleceniem, a także myślą, że pan Capois Death zawsze był skazany na klęskę, w takiej czy innej formie. Miał wątpliwą reputację, którą zawdzięczał swojej pasji do chłopców, tajni łatwych kobiet i nie najlepszych koni, i niezbyt dobremu smakowi w dziedzinie alkoholi, o czym świadczyła choćby jego słynna Łotrowska Zupa, straszliwie mocny napój o smaku piołunu, absynt biedaków. Wówczas jednak przeznaczenie zdawało się równie świeże i obiecujące jak letnia morska bryza, która kołysała szyldem nad głową zachwyconego pana Capois Deatha.

Ten szyld okazał się naprawdę wspaniały, jeśli wybaczycie mi komplement pod własnym adresem; łagodnie kołysał się w przód i w tył, tak jasny i pogodny, że wywoływał uśmiech na twarzach wszystkich, którzy przechodzili pod nim Zaułkiem Barakudy. Śmieliby się jeszcze bardziej nad szklankami piołunówki, gdyby wiedzieli, że ten szyld naprawdę zapowiada określoną przyszłość w znacznie większym stopniu, niż reklamuje Łotrowską Zupę, jak naiwnie myśleliśmy. Aż trudno uwierzyć, że malowidło miało taką siłę, by jego wpływ na Capois Deatha i na mnie miał się okazać tak zasadniczy, jakby to nie szyld, ale sama Madame Gilotyna unosiła się nad naszymi głowami. Jednak zanim „Próżny Trud” nas zniszczył, miał nas zbliżyć.

Oczywiście nie mieliśmy o tym wszystkim najmniejszego pojęcia. Capois Death, kolorowy rozbitek z Liverpoolu, uważał obraz za zabawny i pouczający. Powiedział, że dokładnie uchwyciłem ducha wyspy. Miałem znowu wolny wstęp do baru i czysty rachunek.

Następnego dnia lokal pana Capois Deatha zamknięto na bezpośrednie polecenie gubernatora Arthura z powodu propagowania działalności wywrotowej. Nasz cudowny szyld spalono, a pan Capois Death i ja zostaliśmy skazani na czternaście dni „karuzeli”. On za nieumyślne zatrucie okrętowego lekarza, a ja za ucieczkę bez uprzedzenia od fabrykanta powozów Palmera.

Choć niezbyt znośne, byłoby to możliwe do przeżycia, gdyby nie niespodziewany powrót kapitana Pinchbecka do miasta Hobart. Pracował teraz jako kapitan wielorybnik, jak mówiono, w nadziei że któregoś dnia przypadkiem zawadzi harpunem swojego francuskiego rywala, ale jak miałem się przekonać, jego żądza zemsty była jeszcze większa niż lewiatany, które ścigał po południowych oceanach. Podczas nocnych hulanków odwiedził liczne miejscowe przedsięwzięcia, w tym bary „Żelazny Książę” i „Skruszony Pijak”, a znajdujące się tam malowidła uznał za zemstę prowadzoną przeze mnie za pomocą sprytnie zaszyfrowanych obrazów, przedstawiających przyprowadzenie mu rogów i powolne duszenie go przez galijskich cudzołożników. To była moja druga lekcja sztuki kolonialnej: prawdziwą naturę swojego tematu odkrywasz równocześnie z odkryciem widowni, ale jest to dodatkowe rozczarowanie.

Kapitan Pinchbeck przypadkiem jadł kolację w towarzystwie gubernatora i jego nadal przygnębionej małżonki akurat następnego wieczoru po oskarżeniu nas z powodu szyldu do „Próżnego Trudu”. Tyle wiem, a o czym mówiono, kiedy wypalały się długie świece i potem, przy *consommé* z wombata, można się tylko domyślać.

Następnego ranka dowiedzieliśmy się, że właśnie nadszedł rozkaz podpisany przez samego gubernatora Arthura, nakazujący zesłanie mnie i pana Deatha na siedem lat na Wyspę Sary. Wspólnictwo pana Deatha zdawało się sprowadzać jedynie do dotrzymywania mi towarzystwa na karuzeli; jego oskarżono o liczne akty podburzania, a mnie – uciekiniera pozostającego na wolności od dwudziestu lat – o konspirowanie uniemożliwiające wymierzenie sprawiedliwości, ponieważ posługuję się fałszywym nazwiskiem.

Znajdowały się tam liczne wzmianki o buntowniczym i niepokornym zachowaniu, o profanacji narodowej flagi itp., itd. w okresie zakładania kolonii. Miała to robić osoba, której nazwisko rozpoznałem jako tożsame z tym, na jakie niegdyś reagowałem. Teraz jednak, skazany na Wyspę Sary, nie miałem ochoty na żadne reakcje. Zapytany, czy chciałbym się wypowiedzieć w związku z wyrokiem, odparłem:

– Jestem William Buelow Gould, a moje nazwisko stanie się często śpiewaną pieśnią.

Za taką bezczelność podwojono wyrok do czternastu lat.

## X

Chrabąszcz był niezwykle okrutnym urządzeniem. Powodował uczucie, że człowiek składa się raczej z bólu niż z ciała. Płynęło to nie tylko z czysto fizycznego wyczerpania czy podrażnienia skóry, w wyniku którego krocze zmieniało się w surowe czerwone mięso już po kilku godzinach wchodzenia i schodzenia ze stopni w zgrzebnych więziennych szmatach, ale też z monstrualnego geniuszu kompletnej nieprzydatności. Kiedy kończył się dzień, wiedziałeś, że jedynym celem okrutnego wysiłku było wyłącznie napędzanie tego straszliwego kieratu.

Chrabąszcz przybrał formę gigantycznego, naciągniętego koła młyńskiego zawieszzonego trochę powyżej poziomu podłogi niby groteskowy obrotowy trzpień otoczony drewnianymi listwami, tworzącymi stopnie. Miał wysokość dwóch mężczyzn i długość dobrych dwóch jardów, co pozwalało karać równocześnie aż trzydziestu skazanych.

Wdrapywaliśmy się po niskiej drabinie na wysokość ramienia, chwytałyśmy zamontowaną tam poręcz z eukaliptusa, wypolerowaną potem i krwią – biegła ona na całej długości koła na wysokości łokcia – następnie wchodziło się na obracające się koło młyńskie, na którym mieliśmy pełnić rolę wody. Przez dziesięć następnych godzin wstępowaliśmy w ten krąg piekieł, nigdy nie wznosząc się wyżej niż kolejny opadający stopień, starając się nie słyszeć jęków towarzyszy, dudnienia wału, brzęku naszych łańcuchów. W dręczącym letnim upale płynęły z nas całe rzeki potu, przez co stopnie stawały się oślizgłe, a my szaleliśmy z pragnienia.

Pod wieczór drugiego dnia pewien niszczyciel maszyn z Glasgow dostał ataku straszliwych skurczów; podnoszenie nóg powodowało u niego okropne cierpienia. Mimo jego błagań strażnicy nie zgodzili się, żeby przerwał. Niezdolny dłużej wchodzić po stopniach, upadł w końcu i dostał się pomiędzy koło a drabinę. Listwy stopni mijały jego zakleszczone ciało, ale olbrzymie koło obracało się nadal, jakby rządzone innymi prawami niż obowiązujące na tej planecie, podczas gdy my wrzeszczeliśmy do strażników, żeby pozwolili nam się zatrzymać. Nawet kiedy wydano już rozkaz zejścia, nie dało się od razu zatrzymać kręcącego się siłą rozpędu koła, w dalszym ciągu więc uderzało nieszczęsnego człowieka, póki się wreszcie nie zablokowało.



Niektórych nic to nie obchodziło, wdzięczni byli jedynie za przerwę, jaką przyniosło nam cierpienie niszczyciela maszyn; twierdzili też, że gdyby miał szczęście, toby umarł. Inni przez jakiś czas starali się jak szaleni cofnąć koło i wyciągnąć go. Mówiliśmy do niszczyciela maszyn, on też z rzadka odzywał się do nas. W ponurych słowach wyciekających z jego ust razem ze skrzepami krwi przyznał, że chciałby być prawdziwym łajdakiem. Wyraziliśmy głośno swoją aprobatę i w końcu udało nam się wywlec jego zmiażdżone ciało, nie wiadomo jakim cudem zupełnie na pozór nieuszkodzone, na pokrytą pyłem podłogę przed kołem.

– Mój ojciec był tkaczem – ciągnął – i przykro mi, że przyniosłem mu wstyd, ale tkactwo nie jest teraz odpowiednim interesem. W istocie to żaden interes.

Potem na dłuższy czas zamilkł, a my zastanawialiśmy się, czy rozmyśla, czy umiera.

Następnie raz jeszcze odezwał się jego głos, ale tym razem wydawał się bardziej odległy i przytłumiony, jakby cała wyprodukowana maszynowo bawełna wywatowała mu zakrwawione usta.

– Mój ojciec był tkaczem – powtórzył – ale w takich czasach lepiej jest kraść jedwab niż tkać bawełnę na parowej... – Nie mógł wypowiedzieć słowa „maszyna”, wypuł tylko kolejną grudkę krwi.

Później zaczął majaczyć, opowiadając, jak to przyjdzie po niego *kelpy*. Piszczął cienkim i ostrym głosem jak nienaoliwiony pedał, od dawna nieużywany. Inny Szkot z kieratu wyjaśnił, że *kelpy* to duch wód pod postacią konia i że zatapia tych, którzy odjechali zbyt daleko od domu.

Kazano nam wrócić na koło, zostawiliśmy więc tkacza tam, gdzie leżał, dopóki nie uda się znaleźć lekarza. Jego pisk przerodził się w dziwny przytłumiony charkot, jakby bezskutecznie próbował wyrzygać te wszystkie parowe maszyny prężalnicze.

Capois Death zaczął głośno mówić do tkacza, co było ściśle zabronione podczas przebywania na kole, ale strażnicy postanowili to zignorować, bo zdawało się, że uspokaja to nieszczęśnika, który przestał krzyczeć. Capois Death powtarzał opowieści matki o swoim kraju, o wielu niezwykłych rzeczach, które widziała i poznała, nim zjawili się handlarze niewolników i nim wodzowie ją sprzedali. Kiedy chodziliśmy po chrabąszczu w górę i w dół, ja też się przysłuchiwałem i zastanawiałem, jak można było latać tak, jak robili to niegdyś przodkowie Capois Deatha: lewitować, a potem odlatywać daleko od łańcuchów i chrabąszczy Ziemi van Diemena dzięki jedzeniu rybich oczu i smarowaniu barków ptasią krwią, dzięki skakaniu z niektórych magicznych gór i dzięki nurkowaniu potem w morzu i pływaniu jak ryba wraz z rybami, dopóki sam nie staniesz się rybą.

Od czasu do czasu Capois Death, nie przestając mówić, odwracał się, żeby rzucić okiem na niszczyciela maszyn, zniszczonego teraz przez maszynę, i przekonać się, czy już umarł, ale oczy tamtego nadal były jasne, bardziej błyszczące niż węgle w palenisku; oczy te przez cały czas towarzyszyły naszym poruszeniom, jakby chciały nam powiedzieć, że nie powinniśmy byli dopuścić do takich rzeczy jak chrabąszcz i do naszego zniewolenia przez tę maszynę, bo w ten sposób dopuściliśmy się niejako znacznie większej zbrodni niż te żałosne przestępstwa wymienione w naszych kartotekach skazańców.

## XI

Podczas trwającej dwa tygodnie podróży niewielkim statkiem pocztowym wzdłuż niezamieszkanego południowego wybrzeża Ziemi van Diemena do Zatoki Macquarie morze wzburzyło się tak bardzo, że musieliśmy szukać bezpiecznej przystani w Port Davey.

Wyszło na jaw, że metresa kapitana w Kapsztadzie pod wpływem nieumiejącego liczyć kabalisty, który stanowił dla niej źródło odgadywania przyszłości, uwierzyła, że prawdę można znaleźć w trójkach. Toteż jako dowody swojej miłości kapitan wysłał jej trzy obrączki zrobione ze złotych zębów wyciągniętych z okrutną nagłością z ust bogatych poprzednio skazańców; trzy żywe emu, które jednak zdechły po drodze; a potem jeszcze bardziej egzotyczne wargi trzech rekinów, choć ten ostatni dar nie był prezentem, który mógłby jej sprawić szczególną przyjemność, raczej przypominał rozkosze, jakich ona mu dostarczyła. Przez osiemnaście miesięcy kapitan nie miał żadnych wiadomości, zafrasował się więc, że może podarunki powinny być bardziej subtelne i zagadkowe, toteż obecność na jego statku malarza, z którego dziełem był obznajmiony jako bywalec lokali w mieście Hobart, podsunęła mu pomysł wymalowania tryptyku dziwacznych stworzeń Ziemi van Diemena.

Sprowadzono mnie na pokład razem z panem Deathem; kapitan w dawnych czasach pijał w jego lokalach i korzystał z jego kobiet. Natychmiast odrzucił moją wstępną propozycję trzech bielików, podobnie jak pomysł trzech girland z wistarii. Ostrzegł mnie, że nie życzy sobie niczego prowokacyjnego w rodzaju pani Arthur i czarnego dzieciaka; ma to być malowidło niewinne i oryginalne, które jednak da się odczytać w zupełnie inny sposób. Capois Death zasugerował, żeby tryptyk zawierał zwierzę, ptaka i rybę. Wydawało się że kapitan uznał to za świetny pomysł. Jaką prawdę miało to wyrażać, naganę czy zachętę, nie mogłem się domyślić, uznałem jednak, że nie do mnie należy rozszyfrowywanie subtelnego przesłania mojego dzieła.

– Jesteś rybą – oznajmił Capois Death, którego wcale nie prosiłem o opinię – a nie siecią.

Następnego popołudnia wezwano mnie przed oblicze kapitana. Dostałem pędzel, akwarele i polecenie wymalowania owoców porannego polowania na łądzie: papugi z pomarańczowym brzuchem, zanim zostanie oskubana i wrzucona do papuziego pasztetu na kapitański podwieczorek; małego kangura z rodzaju tych, jakich mieszkańcy Ziemi van Diemena nazywają walabią, który także miał być uduszony w potrawce, kiedy z nim skończę.

Obrazki nie wyszły szczególnie realistycznie. Papuga z pomarańczowym brzuszkiem, niewielki, dość słodki i kolorowy ptaszek, na papierze wydawała się większa niż w rzeczywistości. Było to nie do uniknięcia: połowę łebka nieszczęsnego stworzenia rozwalili strzał kapitana, a większość ciała pokrywała zaschnięta krew. Opierałem się na doświadczeniu, wypełniając otwór zrobiony przez kapitana, dzięki czemu ptak nabrał królewskiej wspaniałości, jego postawa zdawała się złowieszczo agresywna, a dziób... właściwie, mówiąc szczerze, całe ciało bardziej przypominało bielika niż papugę z Ziemi van Diemena. Kangur wypadł jeszcze gorzej: ten sympatyczny zwierzak na papierze przybrał wygląd podejrzanego gryzonia, tracąc niejako swoją łagodną fizjonomię, a rysunek korpusu wskazywał, że kangur ma sporą wadę postawy; cały absurdalny wizerunek wieńczył długi, sznurkowaty ogon, bardziej odpowiedni dla latawca.

Łatwo się domyślić, że pomny okropieństw, jakie zgotował mi kapitan Pinchbeck, niezadowolony z mojej pracy, oblałem się gryzącym potem. Nie mogłem przełykać, język obracał się w ustach jak zwiotczały wędzony dorsz. Próbowałem podretuszować obrazki, ale zrezygnowałem i zacząłem wszystko od początku, jednak przynosiło to coraz gorsze rezultaty – kangur coraz bardziej przypominał jelenia o nabrzmiałej i niemożliwej anatomii; papuga po każdej kolejnej próbie stawała się w coraz większym stopniu ofiarą wiatru, agresywnym północnoamerykańskim duchem w źle dopasowanym jaskrawym tużurku.

Kiedy tuż przed zmierzchem zjawił się kapitan, by sprawdzić dzieło moich rąk, umysł tak dokładnie wypełniły mi wspomnienia *petite noyade*, jak woda wypełniała tamto straszliwe pudło. Nie mogłem wymówić słowa, przełknąłem ślinę i poczułem w gardle morską wodę; potulnie rozłożyłem obrazki na pokładzie, pokazując mu je bez komentarza. Jednak w odróżnieniu od kapitana Pinchbecka ten kapitan wydawał się usatysfakcjonowany czynnikiem nierealności, który przypadkiem wkradł się w akwarele. Sugerowało to, jak powiedział, świat bardziej fantastyczny, ale co dziwne, zarazem bardziej znajomy od tego, w którym żyjemy. Przeczuwał zresztą, że może to jedynie poprawić jego pozycję w oczach metresy.

Dla dopełnienia tryptyku przyniósł mi następnego dnia rybę, którą marynarze lubili łowić ze skał zatoki na linkę i haczyk, a potem wędzić i jeść. Ryba miała duże łuski i dość ładne ubarwienie; być może to właśnie sprawiło, że zdaniem kapitana mogła spodobać się jego przyjaciółce. Powiedziano mi, że z powodu jej ulubionego pożywienia, wielkiego wodnego lasu krasnorostów występujących w oceanie u wybrzeży Ziemi van Diemena, skazańcy znali tę rybę pod nazwą *kelpy*.

## XII

W ogóle nie przypominała konia. Wyglądała jak dwufuntowa ładna ryba, którą, gdy się jest głodnym, może warto uwędzić i zjeść. Ale to wcale nie poprawiło mojego samopoczucia. Czy *kelpy* to krasnorost, czy zwykła ryba? Czy ryba jest po prostu rybą? I wtedy spojrzałem w oczy tej przeklętej *kelpy* i chociaż wcale nie miałem na to ochoty, te oczy zaprowadziły mnie z powrotem, szybciej nawet niż pan Banks skalpował czarnucha, do chrabąszcza i do nas wszystkich, tak jak siedzieliśmy tamtego wieczoru, czekając na śmierć niszczyciela maszyn, zastanawiając się, czy przetrwa noc, i próbując znaleźć sposób przekonania kucharza, by dał nam kawałek słoniny do natłuszczenia obtartych ud, kiedy Capois Death jeszcze raz zaczął mówić.

Promieniował od niego trudno wytłumaczalny autorytet, który pozostawał w całkowitej sprzeczności z gołymi faktami jego aparycji. Portret ukazałby niskiego czarnego mężczyznę o wąłym podbródku, z wykrzywionym prawym barkiem, co nadawało mu szczególnie wygląd, zarazem onieśmielający i budzący podejrzenia, bo zawsze zdawało się, że spogląda za siebie, a słuchając, co się do niego mówi, obracał się całym ciałem, jakby miał zamiar człowieka uderzyć.



Capois Death pochodził z San Domingo, a jego twarz, pomarszczona jak gruszka, była równie skomplikowana jak jego dzieje. Jak wielu innych dawnych niewolników, z którymi się zetknąłem, wszędzie nosił ze sobą butelkę duchów. Był to matowy, poobdrapywany kamionkowy pojemnik i, jak twierdził Capois, zawierał jego niezwykłą pamięć o sobie samym jako o mężczyźnie wyzwolonym, dla bezpieczeństwa oblaną jego sławną niegdyś Łotrowską Zupą. Wywieziony przez swojego pana na sprzedaż z Jamajki na Bermudy, zdołał przekupić żołnierza za pomocą stosunku oralnego, by sfalszował dla niego świadectwo uwolnienia, a następnie uciekł do Anglii, gdzie najpierw znalazł pracę jako harpunnik na północnym Atlantyku, a później w Liverpoolu jako lokaj, które to zajęcie stracił wraz z wolnością, kiedy pracodawca przyłapał go na kradzieży swoich sreber.

Miał wykrzywione usta, które poruszały się nieustannie. A kiedy nadeszła noc i kazano nam powrócić na kwatery i zabrać ze sobą niszczyciela maszyn, jako że dotychczas nie pojawił się żaden doktor, kiedy już rozłożyliśmy się na starych wilgotnych legowiskach ze słomy, opowiedział nam w sposób niezwykle epicki i otwarty, jakby historia ta nie miała końca, o wielkiej rewolcie na San Domingo, podczas której pół miliona niewolników pokonało kolejno miejscowych białych, żołnierzy francuskiej monarchii, najazd hiszpański, angielską ekspedycję złożoną z sześćdziesięciu tysięcy ludzi i drugą francuską wyprawę pod dowództwem szwagra Bonapartego.

Opowiedział to jakby nigdy nic, jakby był piechurem i strzelał, na nowo ładował swój muszkiet, znowu strzelał, z twarzą nieruchomą, bez żadnej przerwy, bez żadnego nacisku, a koszmar, chwala i niezwykłość tego wszystkiego kryły się w nagromadzeniu niezliczonych szczegółów: opowiadał o tym, jak w dzieciństwie był świadkiem okrucieństwa rewolty; jak szwagier Bonapartego próbował ją stłumić; o tym, jak publicznie rzucano Murzynów psom na pożarcie i palono ich żywcem; o ich przywódcy Toussaint L'Ouverture, czarnym Napoleonie zdradzonym przez białego Napoleona; o kulturalnym czarnym generale L'Ouverture Maurepas, który musiał patrzeć, jak topiono mu żonę i dzieci, podczas gdy francuscy żołnierze przybijali parę drewnianych epoletów do jego gołych ramion, wbijając gwoździe ze śmiechem: *oto prawdziwy Bonaparte!* A jednak był także inny Francuz, kapitan marynarki Mazard, któremu Capois zawdzięczał życie, odmówił on bowiem utopienia stu pięćdziesięciu niewolników przekazanych mu właśnie w tym celu, zawiózł ich za to na Jamajkę. Tam sprzedał ich angielskim plantatorom, za co pomstowali na niego i biali, i czarni; pierwsi bowiem pragnęli śmierci czarnych w ramach kary za rebelię, a drudzy zdecydowanie woleliby każdy rodzaj śmierci od dalszego życia w niewolnictwie, ponieważ gdyby zmarli jako wolni ludzie, znaczyłoby to, że rewolta nigdy się nie skończyła.

Capois Death zamilkł. Przez chwilę wydawało się, że jesteśmy z powrotem na kole i słycać tylko brzęk łańcuchów, kiedy wchodzimy na stopnie, i powolne dudnienie obracającego się koła, od którego jedyną ucieczką były historie. Wtedy raz jeszcze odezwał się niszczyciel maszyn z Glasgow, ale jego głos był teraz straszliwym ochrypłym skrzykiem: poprosił nas, żebyśmy go zabili.

Początkowo odrzuciliśmy jego prośby, zapewniając, że w którymś momencie doktor jednak się zjawi i udzieli mu pomocy.

On jednak charczał uparcie, jakby znalazł się na nowym kole i mógł jedynie podchwycić jego rytm:

– Umieram!

I znów, i znów, i znów, *klik, klik, klik.*

Jakbyśmy mogli w to wątpić.

### XIII

Capois Death wziął swój siennik i podszedł do miejsca, gdzie leżał niszczyciel maszyn. Ukląkł, nie patrząc w oczy mężczyzny. Zdawało się, że kieruje wzrok na jego gęste czarne włosy, które odgarnął na bok łagodnym ruchem. Przesunął dłoń w dół po policzku niszczyciela maszyn; na moment jego ręka znieruchomiała. Potem wstał, upuścił siennik na głowę niszczyciela maszyn, ukląkł, stawiając nogi po obu stronach jego głowy i naciągnął mocno siennik między kolanami.

Gdy tak przyciskał z całej siły, zaczął cicho śpiewać pieśni, których nauczyła go matka. Ciało przygniecionego mężczyzny wyprężyło się, podskoczyło, a wszystkim zdało się, że te poruszenia zbyt szybko się uspokoiły i całkowicie ustały. Capois Death siedział na nim jeszcze dobrą minutę, potem przestał śpiewać, wstał i ściągnął siennik.

Nikt się nie poruszył. Wszystkie oczy wbite w niszczyciela maszyn wypatrywały oznak życia. Jednak żadne się nie pojawiły. Capois Death przejrzał jego kieszenie, znalazł pierścionek z małym granatem i wrzucił go do butelki duchów. Następnie położył się na swoim sienniku i zamknął oczy, a ja otworzyłem oczy na pokładzie statku skazańców, zobaczyłem dzikie tereny w okolicach Port Davey i uświadomiłem sobie, że wszystko to jest już poza mną i że najbardziej przerażające zadanie, jakie mnie czeka, to tylko namalowanie ryby dostarczonej przez kapitana jako temat do trzeciej części tryptyku dla jego kochanki.

*Kelpe*, którą mi dał do namalowania, nie wydawała się świadoma swego przeznaczenia ambasadora romansu. Skulona w kuble morskiej wody, jeszcze żyła i zdawała się odnosić trochę pogardliwie do swojej nowej roli. Wyjąłem ją z kubła na jakieś pół minuty i ułożyłem przed sobą na stole. Pracowałem szybko, a w końcu włożyłem rybę z powrotem do kubła, żeby mogła zaczerpnąć powietrza i żeby jeszcze nie zdychała. Uświadomiłem sobie, że ten suchy stół był dla niej *petite noyade*, a ja kapitanem Pinchbeckiem. Ryba była winna, podobnie jak ja. Podobnie jak ja nie miała pojęcia dlaczego.

Przekonałem się, że nie sprawia mi większych trudności namalowanie stosunkowo dokładnego obrazka, ale oczy ryby wszędzie mi towarzyszyły, jakby znała wszystkie nasze prawdziwe przestępstwa. Tak samo szły za mną oczy niszczyciela maszyn do chwili jego śmierci, ale nie tak namalowałem tę rybę – nie jako oskarżycielskie, przerażone oko w umierającym ciele. Nie, ośmielony dziwactwami, które kapitan tak niespodziewanie usankcjonował w pierwszych dwóch malunkach, muszę wyznać, że zacząłem poczynać sobie swobodnie z twarzą ryby, toteż obserwowały nas na kole młyńskim zarówno wszechwiedzące oczy ryby, jak i przerażone oczy niszczyciela maszyn; były tam i jedno, i drugie, i jeszcze wiele innych rzeczy. Było spojrzenie Capois Deatha, jego proste zęby, na wpół przerażony, na wpół zafascynowany wzrok skierowany w tył przez ramię, na własną przeszłość, kiedy niszczyciel maszyn wierzgał pod nim. Była też krew – krew z oczu ryby, krew zbuntowanych niewolników rozrywanych na części, krew z przebijanych gwoździami ramion Maurepas, z oczu niszczyciela maszyn, kiedy zdjęliśmy siennik – był też mój strach przed tym pękniętym światem, w którym i mnie, i ich, i wszystko schwytano w pułapkę. To było śmieszne, ale wtedy nie wydawało się specjalnie zabawne, że wszystkie te rzeczy były przez moment ze sobą powiązane i że wszystkie istniały jako pojedyncza umierająca ryba *kelpy*.

To były głupie myśli, więc ucieszyłem się, kiedy kapitan zabrał ode mnie obraz dla swojej metresy i dał rybę marynarzom, żeby ją uwędzili i zjedli.

## XIV

Jak mogłem wtedy – malując swoją pierwszą rybę – wiedzieć, że rozpoczynam działalność równie niepraktyczną, co nieskończoną? Czytałem żywoty artystów; podobnie jak w żywotach świętych wydaje się, że od samego zarania są naznaczeni wielkością. Ich palce już w chwili narodzin wykonują podobno malarskie zawijasy, czekają tylko na pędzel i płótno, by wypełnić je obrazami, które chyba przyszły na świat wraz z nimi, jak liczne niepokalane poczęcia.

Ale sztuka to karny wyrok, nie prawo przysługujące od urodzenia. Nic w moim dzieciństwie nie sugeruje artystycznych zdolności czy nawet zainteresowań, wszystkie moje zajęcia i fascynacje prawie zawsze określano po prostu jako nikczemne. I jestem naturalnie bohaterem tej mojej własnej opowieści, choćby tylko dlatego, że nie bardzo sobie wyobrażam kogoś, kto chciałby mnie zastąpić, a moja historia nie jest przeróbką mitu Orfeusza, ale historią szczura ze ścieków, który robi się coraz gorszy.

Jestem William Buelow Gould, ciemnoduszny, zielonooki, nie w pełni uzębiony, niechlujnie uczesany, niepanujący nad kiszkami, i choć moje obrazki będą jeszcze gorsze niż mój wygląd, choć brak im dostojęstwa Girtina, mistrzostwa Turnera, to wierzcie mi, kiedy mówię, że spróbuję wam pokazać wszystko, równie szalone, spękane i złe, jak było naprawdę.

Zostawię ślad po swoim, niech mnie szlag trafi, jeśli nie – a wiem, że jeśli tak zrobię, będę przeklęty, bo może nie będzie to poezja z krainy jezior, Owidiusz czy ten cholerny karzeł Pope, ale to najlepsze, co mogę zrobić i to tak, jak nie zrobił nikt inny. Prymitywna praca obdarzona duszą zawsze będzie dostępna dla wszystkich, co dopuszcza także potępienie i szkalowanie, podczas gdy wyrafinowane dzieło kryjące pustkę niedostępne jest wszelkim zniewagom i łatwo ukryć je pod płatnymi pochwałami. Mówią, że opowiadacz to człowiek, który pozwala, by knot jego życia spalił płomień jego historii. Ale tak jak poczciwy Trim Shandy nie podporządkuję się niczym zasadom. Obok moich malowideł zamierzam rozpałić ognisko słów i powiedzieć wszystko, jeśli tylko pozwoli to oświetlić maleńką chwilę prawdy na moich biednych obrazach.

To ja, William Buelow Gould, zamierzam malować dla was najlepiej, jak potrafię, czyli dość nędznie, bo jest to sztuka człowieka nieokrzesanego, plusk wody na kamieniu, marzenie głupca o sile ustępującej słabości. Mam nadzieję, że potraficie dostrzec w moich przezroczytych akwarelach nie tyle białe paski kartonu pod spodem, ile prawdziwą nieprzezroczystość samego ducha.

I czy utrudzonemu majtkowi nie wystarczy to, co ze wzburzonego morza przeniesie na pokład? Proszę mi odpowiedzieć: nie wystarczy? A może pragniecie świadectwa wzniosłości, artysty panującego nad sytuacją – w istocie będącego u szczytu swoich możliwości?

Nie spodziewajcie się ode mnie takich andronów. Bo tutaj wcale nie panuję nad sytuacją, to pewne i – mam nadzieję – niebezpieczne, a kiedy mój pędzel atakuje papier Pobjoya drobnymi pociągnięciami – rat-a-ta-rat-a-tat-tat – jest to strzał walczący o wolność, ni mniej, ni więcej, o swobodę. Mój cel jest niepewny, a broń stanowi nędzne pudełko z farbami, które wstydziłbym się zastawić w lombardzie, kilka żałosnych pędzelków, parę pojemników jeszcze żałośniejszych farb i zmaltretowany talent wyłącznie do reprodukcji. Jednak wzrok mam dobry i wykorzystam go jak najlepiej.

Co?

A gdzie subtelność podejścia? – Słyszę pytania krytykantów. Świadcstwo, że chodzi o cokolwiek więcej niż tylko nędzny prowincjonalny umysł w bezlitosnym dążeniu do celu?

Pomniejszają mnie swoimi definicjami, ale jestem Williamem Buelowem Gouldem, a nie nędznym czy małoszkowym człowiekiem. Nie jestem spętany żadnym pomysłem dotyczącym tego, kim będę. Nie jestem zamknięty pomiędzy palcami u nogi a podłożem. Jestem równie nieskończony jak piasek.

Podejdź bliżej, posłuchaj: powiem ci, dlaczego czołgam się tak blisko ziemi. Ponieważ dokonałem takiego wyboru. Ponieważ nie zależy mi na tym, żeby żyć wyżej, co im może się wydawać sposobem życia, miejscem, gdzie należy być, żeby mogli ze swoich orlich gniazd i wieżyczek strażniczych patrzeć w dół na ziemię i na nas, i ocenić to wszystko jako niedoskonałe.



Nie zależy mi na malowaniu pozornych widoków dalekich planów, zamazujących szczegóły i obrażających żywych, owych pejzaży tak ukochanych przez Pobjoyów, tych pejzaży, które demolują prawdę, sięgając coraz wyżej w stronę nieba, jakbyśmy znali miejsca czy osoby wyłącznie z daleka – czyli samą konfigurację terenu, podczas gdy prawda nigdy nie jest daleko od kurzu i pyłu, od paskudnych szczegółów mułu, łusek i brudu; jest obok szatana, obok aniołów, a wszystko to usidlone w obrębie ziemi, w nas, wszystko wcielone w pojedyncze uderzenie serca – mojego, twojego, naszego – i we wszystkie moje tematy, kiedy wybieram cel i robię z ryby wcielone ciało.

Krytykanci powiedzą, że jestem małym człowiekiem, a moje obrazki są bez znaczenia. Stworzy to chaos i w mojej biednej głowie, i poza nią. I nie będę zdolny utrzymać tempa. Przez nich zerwę się z krzykiem obudzony z niezbędnego snu. Będą próbowali mnie zdefiniować, tak jak Doktor określa swoje nieszczęsne okazy, ci przekłęci Linneusze ducha, próbujący schwytać mnie w pułapkę jakiegoś nowego plemienia, przez nich wymyślonego i zdefiniowanego.

Ale jestem William Buelow Gould, jednoosobowa grupa, niedająca się zdefiniować, a moje ryby mnie wyzwolą i z nimi ucieknę.

A wy?

– zapamiętaj wielkiego Shelleya –

*Byłeś zraniony, a to oznacza pamięć.*

Będziesz musiał zacząć tak jak ja: wystarczająco długo patrzeć w oczy ryby, żeby zobaczyć to, co muszę teraz opisać, rozpocząć tego długiego nura w głąb, w świat oceanu, gdzie jedyne bariery tworzą plamy schodzącego światła.

Sza!

Nadchodzi Pobjoy, morze się podnosi, moja rana się zabliznia, więc po prostu usiądź i przyznaj rację rosyjskiemu skazańcowi, że to wszystko jest lepsze w książce, że życie lepiej obserwować niż przeżywać. Kiwaj głową, jak przystało na szczęśliwego drania, niczym szlachetni urzędnicy miasta Hobart jedzący śniadanie na górnym piętrze biura sekretarza kolonialnego i obserwujący poranne egzekucje publiczne; grube tyłki rozparte na wyściełanych siedzeniach, rozkoszują się wygodą i towarzystwem, mają jeszcze w gębie słodki, siuszkowaty smak smażonych nerek i wpatrują się w porządną szubienicę dokładnie po drugiej stronie Murray Street przy wejściu do więzienia.

W tym krótkim momencie, nim zapadka szubienicy otworzy swoje szerokie, nienasycone usta, pozwólcie mi kontynuować – jak przystało na przyzwoitą spowiedź każdego skazańca – opowiedzieć o wydarzeniach, które doprowadziły mnie bezpośrednio do tak przykrych sytuacji.



# NAJEŻKA

*Wyspa Sary – Różne formy tortur – Komendant zakłada naród  
– Pan Lempriere – Dzieląc radości Woltera – Tańcząc  
Oświecenie – Śmierć i nowe nazwisko – Łóżkoskręty –  
Wieprz Castlereagh – Dr Bowdler-Sharpe na jajkach – Jak  
doszło do tego, że namalowałem drugą rybę*

## I

Na zakończenie tej najdziwniejszej z podróży zbliżyliśmy się powoli do naszego nowego więzienia późnym wieczorem po wczesnojesiennym morzu, tak spokojnym, że często w ogóle się nie poruszaliśmy. W tym wieku abominacji, w czasie kiedy, jak nam to często powtarzają, wszystko, co święte, jest profanowane, nic nie jest bardziej abominacyjne, bardziej bezprecedensowe w annałach degradacji niż owa wyspa, na której rozwinie się teraz moja historia. Po nieznaney, nieumieszczonej na mapach zachodniej połowie Ziemi van Diemena wędrowali jedynie dzicy tubylcy; nie było tu żadnej białej osady prócz tego jednego więzienia dla opornych.

A jednak w jasnym, białawym świetle księżyca, w którym zobaczyliśmy ją po raz pierwszy, wygląd Wyspy Sary nie odpowiadał naszym oczekiwaniom. Kapitan udzielił kilku skazanym – w tym mnie i Capois Deathowi – specjalnego pozwolenia, mogliśmy więc wyjść z zapoconej, cuchnącej ładowni na pokład. W dali przed statkiem wyłaniała się wyspa niby straszliwy łeb srebrnego baśniowego potwora morskiego.

Wyglądało to tak, jakby gigantyczna ośmiornica rozpostarła się nad wyspą i pochłonęła ostatnie ślady wegetacji, każde drzewo, roślinę, paproć, zostawiając jedynie swoje odwrócone macki płotów z bali, wysokich na pięćdziesiąt stóp lub więcej, otaczających osadę ze wszystkich stron. Nad nimi górowały budowle wyspy, jak głowy morskich potworów z żywego srebra: pałac Komendanta z różowego marmuru, u którego podnóża mieliśmy później czuć się jak w wytworzonym przez człowieka wąwozie, gdzie szaleją dzikie wichry, a którego cień rozpościerał się nad całą osadą; wspaniała kamienna intendentura, godna każdego dużego portu; zakład karny z cyklopowym nadprożem, ozdobionym dziwną tarczą herbową osady – roześmianą maską.

Odwróciłem wzrok od wyspy i spojrzałem na morze. Zobaczyłem coś, czego nigdy dotychczas nie widziałem, a było to tak niezwykle, że chciałbym znaleźć słowa, żeby to opisać, wiedziałem jednak, że odpowiednich słów nie ma: gwiazdy odbite w wodzie, świecące równie jasno jak na niebie, jakbyśmy podróżowali pod najbardziej południowym nieboskłonem, by przybyć na to miejsce cudu; jakby pod powierzchnią ciemnej nieruchomej wody płonęły tysiące świec, jedno światełko dla duszy każdego nieżyjącego skazańca pochowanego na maleńkiej wyspie umarłych po naszej prawej stronie. Kiedy część z tych świateł zgasła najpierw głowa, a potem ciało nieboszczyka, powoli opływające nieruchomy dziób naszego statku, unoszące się przed naszymi oczami, twarzą w dół, zastanawiałem się, czy niszczyciel maszyn wreszcie złączył się ze swoim marzeniem o wolności.

Ciało zidentyfikowano później jako zbiegłego skazańca, któremu nie udało się dotrzeć do stałego lądu na tratwie zrobionej z drzew. Bez względu na to, czy kapitan miał na myśli los skazańca, czy wyspę, z której mógł uciec jedynie przez śmierć, jego komentarz w chwili, gdy obserwował jak wyciągano hakami ciało, nadal mnie mrozi:

– Prawdziwy koniec Imperium.

## II

Kiedy później tego wieczoru wreszcie podniósł się wiatr i podpłynęliśmy bliżej przystani, mogliśmy zobaczyć ulice biegnące śmiało wzdłuż i w poprzek naturalnych konturów wyspy, rozległe składowiska, niedokończone nabrzeża i przybrzeżne szeregi kamiennych magazynów, jakich nie powstydziliby się Liverpool – w sumie zapowiedź narodu, który mógłby zostać powołany do istnienia przez zwykłe życzenie swego przywódcy, człowieka, którego mieliśmy słusznie uważać za niezwykłego.

Możecie powiedzieć: jakie to szczęście dla kolonii, że miały takiego człowieka!

Ale kiedy zobaczycie jego rozległe stocznie (celowo mówię „jego”), szybko stanie się jasne, że przenieśliśmy się z jednego dominium – Anglików – do dominium Jego Zwalistości, Napoleona Wyspy Sary, Wielkiego Doży Mórz Południowych, samego Komendanta. Nawet wówczas jego stocznie miały najwięcej roboty we wszystkich południowych koloniach; o wiele, wiele więcej, niż wiedziały władze kolonialne, ponieważ na każdy bryg czy słup zbudowany przez cieśli-skazańców z sosny Huon, ściętej przez bosych, skutych łańcuchami złoczyńców w górze Rzeki Gordona, i wysłany w formie daniny dla gubernatora Ziemi van Diemena w mieście Hobart, przypadało z tuzin innych, zbudowanych i przeznaczonych dla rosnącej floty handlowej wyspy, za której pośrednictwem Komendant nawiązał kontakty, początkowo komercyjne, a potem polityczne, z jawajskimi kupcami i wieloma od niedawna niepodległymi państwami Ameryki Południowej.

Pod wpływem rtęci, którą aplikował sobie codziennie jako lek na syfilis, i laudanum, które popijał co wieczór w niedokładnie odmierzanych ilościach, żeby spać, ponieważ ze wszystkich rzeczy ten dzielny człowiek obawiał się tylko swoich snów, wywołane przez opium koszmary nie dawały mu spokoju i zawsze kończyły się płomieniami, z których on sam unosił się niczym feniks tuż przed świtem każdego ranka, żeby rozpocząć na nowo budowanie tego, co już obróciło się w popiół.

Możecie się zastanawiać: jak według niego miało się to skończyć?



Ale jego ambicje były równie ogromne jak apetyty, zarówno w dziedzinie jedzenia, jak cielesności. Chodziło mu ni mniej, ni więcej, o stworzenie narodu, z sercem w postaci miasta-państwa, którego fundamenty już budował i którego byłby Ojcem.

Możecie zapytać: jak to w ogóle było możliwe?

Wystarczyło jedynie posłuchać, jak mówi o swoich marzeniach, wizjach, a kiepsko oheblowane deski pod nogami zaczynały się kołysać i obracać, ze ścian pomieszczenia znikwały łuszczące się łaty piaskowca, rzeczywistość owego ponurego, rozpaczliwego więzienia zmieniała się w oczach. Zanim w ogóle uświadomiliśmy sobie transformację, frunęliśmy już przez południowe niebiosa do odległej krainy baśni, może nawet tyranii, zaczarowanej jednak przez jego historie, nadzieje i rozpacz; krainy, która z każdym jego słowem, z każdym gestem stawała się dla nas coraz bardziej i bardziej realna.

Po zakotwiczeniu statku kazano nam się rozebrać i kiedy trzęśliśmy się z zimna nadzy na pokładzie, konstable-zesłańcy wtykali nam palce w tyłki i grzebali w ustach w poszukiwaniu tytoniu czy kamieni szlachetnych. Potem pozwolono nam się ubrać i czekaliśmy na przybycie Komendanta.

Tuż przed świtem wszedł na pokład, by do nas przemówić. Jego wygląd był zdumiewający: nie chodziło tylko o to, że nie był wysoki, po prostu jego drobne ciało nie przystawało do bardzo dużej głowy, co sprawiało wrażenie, jakby w ogóle nie miał szyi. Najładniejsze miał włosy, czarne, gęste i faliste, jednak ich niezwykłość jedynie podkreślała inne niedociągnięcia fizyczne. U każdego innego najbardziej wyróżniającą cechą stałby się egzotyczny strój – niebieski mundur i złota maska. Jednak tego wczesnego ranka zwracał uwagę przede wszystkim sposób mówienia Komendanta: bezpośredni, prosty, czasami uciekający się do *dementung*, prymitywnej mieszanki języka czarnych i żargonu skazańców, a w jego słowach, w jego pasji było coś urzekającego.

Zanim się zorientowaliśmy, statek stał się ruchomym obłokiem, a kiedy popękane pastele wschodzącego słońca zaczęły umykać na poranne niebo za Komendantem, on wskazywał naszą przyszłość, kiedy frunęliśmy nad nią, nad małą wyspą, która stała się szacownym handlowym olbrzymem, w równym stopniu szanowanym, co budzącym strach na całym świecie, z powodu swego bogactwa, siły, piękna i majestatu obywatelskich instytucji. Widzieliśmy, jak kupcy, artyści i wszelacy rzemieślnicy przebywają w młodości długą drogę z odległych prowincji, porzucając własną przeszłość, język, wyrzekając się rodzin, przyjaciół, kochanków, a zabierając z sobą jedynie palące pragnienie utożsamienia swoich ambicji i szalonych marzeń z nabierającą znaczenia wyspą na południu.

Wyobrażał sobie – a my razem z nim – własny portret w rzymskiej todze, siebie jako temat epickich ód, jako założyciela dynastii, która będzie prowadziła wojny w imię jego spornej pamięci, siebie czczonego jako On, i nie dostrzegał żadnej sprzeczności między swymi despotyczno-dynastycznymi pragnieniami, oficjalnymi obowiązkami angielskiego urzędnika odpowiadającego za imperialną kolonię karną a wielką estymą, jaką darzył renesansowe miasta-państwa, takie jak Florencja czy Wenecja, o których zdobył trochę mylących informacji z niebieskich książeczek dla dzieci o Italii. Przysyłała je kobieta, którą przywykliśmy uważać za jego siostrę, panna Anne – romantyczna akwarelistka, wyróżniająca się nieco nie tyle przez swoją sztukę, ile przez króciutki, tajny romans z Thomasem De Quinceyem, w czasie gdy pochłaniający opium pisarz zagrzebał się na jeden tylko semestr w zrujnowanych, ponurych krużgankach Worcester College – wraz ze swoimi listami z Oksfordu.

Komendant cierpiał na dziwną odmianę tańca świętego Wita – karmił się nieśmiałym uznaniem dla miraży i duchów nowego wieku i oświadczył nam, że najwyższe twórcze potrzeby człowieka będą odtąd zaspokajane przez inżynierię. Porwał nas jego wielki, nigdy się niekończący romans budowlany – zamiar przebudowania targu na kolosalną przeszkloną arkadę; zrekonstruowania krzywej, błotnistej drogi znad wody jako olbrzymiego prostego bulwaru Przeznaczenia, zakończonego masywnym żelaznym łukiem; w ładną pogodę będą mogli pod nim spacerować zakochani, a na jego szczyt będą spieszyć żołnierze, jeśli skazańcy nie okażą się równie przyjemni jak pogoda.

Nigdy jednak nie dostrzegł, co tak bardzo olśniewało nas w tym mieście: a były to jego słowa.

Kiedy mówił, absolutnie wszystko stawało się możliwe i chociaż wiedzieliśmy, że nasz udział wcale nie polega na korzystaniu z jego marzeń, ale na oddaniu życia, by przemienić je w cegłę i zaprawę, w płyty szkła i żelazne koronki, jednak nasze wycieńczenie było tak wielkie, że czuliśmy – w każdym razie dopóki nie przestawał mówić, a to trwało wystarczająco długo – że daje nam cel, sens, coś, co oznacza, że przestajemy być skazańcami, coś, co wykracza poza Kołyskę i Knebel, a wszyscy tego właśnie pragnęliśmy najbardziej. Jakiegoś alternatywnego spojrzenia na siebie, jakiejś maszyny parowej, dzięki której moglibyśmy przerobić siebie i nasz świat, bo żeby przestać być skazańcem, trzeba było uciec od własnej tożsamości, od przeszłości i przyszłości wyznaczonej przez System Więziennictwa.

Był to świat, który wymagał, by rzeczywistość naśladowała fikcję; wymagał tego od nas wszystkich. Możliwości dla fałszerza wydawały się na jakiś czas nieograniczone, a szczerze mówiąc, kto mógł wówczas przewidzieć zarówno moją fantastyczną przyszłość, jak i straszliwe przeznaczenie, które miało pochłonąć nas wszystkich? W końcu oczywiście Komendant miał wycyckać morze do sucha, potem wybuchnąć oceanicznym nadmiarem dumy i raz jeszcze pozostawić wyspę wraz z kilkoma ocalałymi mieszkańcami na pastwę rozpaczliwej izolacji. Najłatwiejszą metodą postępowania wobec władzy jest nieunikniona ugoda: im głupsza jest władza, tym głupszy musisz być i ty. Przypuszczam więc, że równie nieuniknione było to, że stanę się na Wyspie Sary kimś, kogo dotychczas jedynie udawałem: tą najbardziej nikczemną ze wszystkich istot – Artystą.

### III

Po zejściu na ląd mieliśmy odkryć całą nieodłączną brutalność i ciężkie warunki, jakich można było oczekiwać w takim miejscu. Ale jeszcze przed zejściem na ląd, przed spojrzeniem na cokolwiek z bliska, nasze nosy zaatakował odór śmierci. Śmierć wyczuwało się w zapachu umęczonych ciał i owrzodziałych dusz. Śmierć unosiła się z miazgi zgangrenowanych kończyn i szmat zakrwawionych przez gruźlicze płuca. Śmierć kryła się w pełnym urazy zapachu bicia, w nowych budynkach rozpadających się już pod wpływem wszechogarniającej wewnętrznej wilgoci, sączyła się ze zwieraczy gnijących od częstych gwałtów. Śmierć unosiła się w dojrzałym zapachu fermentującego błota, w kamieniejącej wrogości, czała się w pochylonych ścianach z mokrej cegły, w wyziewach ciała rozkładającego się pod razami bicia, w cuchnących wydechach niesłyszanych krzyków i morderstw, mieszała się z oparami niektórych niemych horrorów; tworzyła ów zapach lękliwego potu, którym przesiakają ubrania i całe pomieszczenia, a który nie poddaje się działaniu czasu – te perfumy przelanej krwi, od których nie mogło mnie uwolnić ani długie mycie, ani przyznanie się do winy. I może dlatego, że wszędzie była śmierć, życie – przewrotnie – nigdy nie wydawało mi się tak słodkie, jak zaraz po przybyciu na Wyspę Sary.

Kiedy potykając się o łańcuchy, wspinaliśmy się na wzgórze w stronę zakładu karnego, usadowionego niepewnie na niewielkim klifie wychodzącym na morze, zobaczyliśmy ponure obrazy, tak nieszcześnie tłumaczące straszliwe zapachy; zorientowaliśmy się, że wyspa była zarazem czymś więcej i czymś mniej niż cudem, jak nam się początkowo zdawało, jakby nie mogła się zdecydować, czy stać się marzeniem Komendanta, czy koszmarem zesłańców.

Do wspaniałych budowli z kamienia, wykończonych, ale pustych, lub zbudowanych dopiero w połowie, przylegały nędzne szałas i powykrzywiane drewniane budki, pochylone pod tak dziwnymi kątami, że robiły wrażenie pijanych. Okolice nabrzeży i prowadzącą do nich drogę wybrukowano, natomiast pozostałe arterie wyspy były cuchnącym bagnem, w którym człowiek zapadał się po pas. Gdziekolwiek usiedli ludzie, unosiła się wokół chmara much, zatruwały również wyspę olbrzymie ilości pcheł, podobnie jak szczury, tak ośmielone, że w biały dzień całe ich stada biegały wokół budynków.

Kiedy teraz unoszę się na wodzie w mojej celi i wracam myślą do tamtych chwil, wspominam, że nie zdziwiliśmy się wcale, czując na sobie niby nieprzejednaną nienawiść złowrogie spojrzenia tej nikczemnej armii prześladowanych – brudnych i zagłodzonych nędzników. Ich zaropiałe oczy rysowały się wyraźnie na pokrytych strupami twarzach, plecy były zniekształcone w nienaturalnie udrećzone formy przez nieustanne stosowanie bicia; bezsilne, wychudzone szkielety mężczyzn, przedwcześnie przybitych i złamanych; ten, którego uważałem za najstarszego, miał zaledwie trzydzieści dwa lata.

Nie byliśmy też bynajmniej zaszokowani tym, że porządek natury zdawał się tu kompletnie zakłócony – od chłopaczków do zniewieściałych mężczyzn; jeden z nich ukrywał nawet pod ubraniem zawiniątko z brudnych szmat i utrzymywał, że to jego dziecko, które nakarmi piersią jego towarzysza; że sama Natura budziła strach – przystań, jak nam powiedziano, była pełna rekinów, a za nią leżały niezbadane terytoria pełne dzikusów o morderczych instynktach. Dziwne, ale w końcu zobaczenie tego wszystkiego przyniosło ulgę. Można było zacząć się uczyć, jak najlepiej to przetrwać, a może nawet, jak i czy w ogóle dałoby się tego uniknąć.

Jednak, prawdę mówiąc, nie było żadnego sposobu uniknięcia rozmaitych form tortur stosowanych jedynie na wyspie. Może nawet udałoby się przekupić kowala, żeby dał lżejsze łańcuchy, ale nie było lekarstwa na cierpienia wywołane noszeniem na nogach przez trzy miesiące, w dzień i w nocy, trzydziestofuntowych żelaznych obręczy, których wewnętrzna strona miała rodzaj kolców, by kaleczyć ciało.



Nawet wówczas, nim jeszcze zawarłem z nimi tak bliską znajomość, wiedziałem, że nie uda się w żaden sposób osłodzić słonowodnych cel, w których można spędzić długie miesiące, unosząc się i opadając zgodnie z przyływem i odpływem. Podobnie z Kneblem – pomysłowym urządzeniem, które uczyło milczenia za cenę męki; była to rurka z twardego drewna, wkładana do ust jak duże końskie wędzidło, czasami wpychana z taką siłą, że wypadały zęby. Z każdej strony kończyła się skórzanym paskiem; paski te zawiązywano z tyłu głowy, ściskając tak, aż niski, spazmatyczny świst i krwawa piana z ust wskazywały, że knebel spełnia swoje zadanie. Podobnie rzecz się miała z Orłem, kiedy to ręce mężczyzny przykuwano do dwóch kółek oddalonych od siebie o sześć stóp, a umieszczonych na wysokości sześciu stóp, nogi przytwierdzano do bolca na podłodze, twarz skazańca kierowano do ściany, a w usta wkładano knebel, jeżeli próbował krzyknąć podczas bicia pałąk po głowie i ciele.

Istniało jeszcze wiele innych egzotycznych tortur o nazwach wskazujących na perwersyjne upokorzenie – Córka Padlinożercy, Miotła Czarownicy, Oparzenie Pani. Budząca największą grozę, a także najbardziej bierna, Kołyska to żelazny stojak, do którego przymocowywano ludzi leżących na plecach, często po chłóście, na długie tygodnie w pozycji całkowicie nieruchomej. Ich poranione plecy stawały się zarobaczoną zgnilizną pod udręczonymi, psującymi się ciałami, a umysły rozpuszczały się w jeszcze gorszą papkę.

Jedną lub kilka z tych kar wymierzano za takie zbrodnie, jak posiadanie tytoniu, odrobiny tłuszczu, oswojonego ptaka, dzielenie się jedzeniem, śpiewanie, zbyt wolny marsz do pracy, odezwanie się (bezczelność), nieodzywanie się (wyjątkowa bezzelność), śmiech, gniew – choć naprawdę jedynym wykroczeniem było zadzieranie ze strażnikami-zesłańcami lub z donosicielami. Spadało się lub wznosiło na drabinie Wyspy Sary nie w zależności od zachowania, zapachu reformatorskiego czy aktualnego łotrostwa, ale jedynie dzięki szczęściu lub pechowi.

Na to wszystko byłem gotów.

Ale nic nie mogło przygotować mnie na rybę najeżkę.

#### IV

Opowiedziałem wszystko o nowych nacjach i ponownym stworzeniu Europy, podczas gdy karłowata wyspa błędnych przekonań pod południowym niebem nadal czekała na nasze odkrycie. Tymczasem w chłodny poranek, nazajutrz po zejściu na ląd i zamknięciu nas w barakach z cegły zarezerwowanych dla nowo przybyłych, stanął przede mną kluchowaty mężczyzna z twarzą jak micha budyniu, na przemian wygadany i ckliwy, który miał na zawsze odmienić moje życie.

– TOBIASZ ACHILLES LEMPRIERE – powiedział Budyń. – LEKARZ OSADY, POTRZEBUJĄCY, TAK, JA. – Jego oddech po gorącym śniadaniu tworzył w mojej celi niepewne chmurki pary. Nawet jeśli jego sposób mówienia był w znacznej części niezrozumiały, głos brzmiał pompatycznie i pewnie dlatego nie ulegało wątpliwości, że wypowiada się wersalikami. W jego mowie słowa istniały tak jak rodzynki w źle wyrobionym cieście – jako skupiska nieprzeniknionej ciemności.

Wyglądał tak strasznie, że zadrzałem, ledwie rzuciwszy na niego okiem. Był tak krągły, że zdawał się raczej dziełem bednarza niż wynikiem poczęcia. Czarny, krótszy z tyłu surdut był za ciasny i raczej obszarpany niż szykowny; spodnie zbyt obcisłe, maleńkie buciczki ze srebrnymi klamrami – wszystko to sugerowało człowieka cierpiącego na puchlinę wodną, który bez powodzenia wciela się w rolę uwodziciela z okresu regencji.

Jego najbardziej wyróżniający rys budził zarazem największe przerażenie – straszliwa biel wielkiej łysej głowy. Była ona tak uderzająca, że w pierwszej chwili uznałem, że to duch niszczyciela maszyn powrócił, by mnie straszyc. Z białą pustynią reszty twarzy kontrastowały fałdy i załamania tłuszczu, które układały się w siatkę ciemnych strumieni. Później odkryłem, że jego twarz miała z natury raczej żółtawe niż spektralnie białe zabarwienie i że używał błyszczącego pudru ołowiowego, żeby wyglądać jak ktoś świeżo obtoczony w mące. Być może podobnie jak w przypadku szalonych kapeluszników w Londynie zbyt bliskie związki z tym metalem tłumaczą przynajmniej częściowo jego późniejsze dziwaczne zachowanie. Ale w mojej pamięci pozostało przede wszystkim tamto pierwsze wrażenie groteskowego, nieludzkiego oblicza.

Oczy miał duże i wilgotne, a jeśli mogę sobie pozwolić na takie określenie – księżycowe, ale to, co u kogoś innego mogło sugerować poetyckie lub mistyczne predyspozycje, u niego świadczyło tylko o bezdusznym braku jakiegokolwiek zainteresowania innymi ludźmi. Jednak w tym niezemskim, księżycowym pejzażu jego twarzy tylko oczy stanowiły oznakę życia, i jak miałem się przekonać, wciągały nie tylko w siebie, ale także w obsesję, na których tak uparcie się koncentrowały.

Wyczuwałem niejasno, że pan Tobiasz Achilles Lempriere jako lekarz miał nad nami znaczną władzę, a my, co nie ulegało już dla mnie żadnej wątpliwości, nie różniliśmy się szczególnie od niewolników. To pan Tobiasz Achilles Lempriere miał decydować, czy ktoś jest zbyt chory, by wysłać go do jakiegoś morderczego zadania w jednej ze skutych łańcuchem grup, czy też zasłużył na oskarżenie i chłostę za uchylanie się od pracy. To pan Tobiasz Achilles Lempriere miał decydować, czy chłosta ma się zakończyć, i to pan Tobiasz Achilles Lempriere miał określić, czy uderzenia batoga są zbyt słabe i czy muszą być mocniejsze.

Podniosłem się z wilgotnego klepiska podłogi, starając się wyglądać jak człowiek z pewną godnością, a nie nędzny złoczyńca, ale kiedy się podnosiłem, poczułem ciężar łańcuchów, swędzenie wszy spowodowane nagłym poruszeniem, drapanie i szelest brudnych, zgrzebnych szmat skażaćca na skórze. Czując się ciężko prześladowany, marzyłem jedynie, by z powrotem opaść na podłogę, stałem jednak, tak wysoki, wyprostowany i nieruchomy, jak było to możliwe w tych okropnych warunkach.

Przygotowywałem się do okazania odpowiedniej łagodności i miękkości, do łaszenia się i udawania, kiedy ku mojemu zdumieniu pan Tobiasz Achilles Lempriere wyciągnął zza pleców maleńki stołeczek, ustawił go na śliskiej podłodze i posadził na nim swój znaczny ciężar, przy czym w tym swoim ciasnym czarnym tuzurku wyglądał jak przypalona rolada z dżemem tkwiąca na zgiętym obiadowym widelcu, który w każdej chwili może zniknąć w wielkim tłustym zadku.

– STUDIUM RYBY *KELPY* – DOSKONAŁA ROBOTA – SUBTELNA – powiedziała, poprawiając się na stołku. – KONCEPCJA, WYKONANIE, WSPANIAŁE, NAUKOWE. – Pomyślałem, że na pewno chciałby mieć swój portret. Wyglądał trochę jak utuczony Marat, uznałem więc, że może udałoby mi się zrobić w miarę przyzwoity egzemplarz, kiedy Doktor westchnął po raz kolejny i kontynuował:

– BARDZO PASUJE, JADŁEM WCZORAJ KOLACJĘ, DOBRY KAPITAN – powiedział, lekko poirytowany, myśląc prawdopodobnie, że brak reakcji z mojej strony wskazuje na kompletną głupotę i niezrozumienie. – WIDZIAŁEM TRYPTYK L'AMORE, RYBA ŚWIETNA ROBOTA, ORZEŁ NIE BARDZO, SZCZUR KULAWY DO NICZEGO, ALE POMYŚLAŁEM: UMIEJĘTNOŚĆ MALOWANIA, CHOĆBY TYLE, RYBA, TY, JA, PRZEZNACZENIE, MOJE PRAGNIENIE SŁUŻENIA NAUCE. – A potem zapytał, jak mi się zdawało z niejaką pokorą i bezprecedensowym użyciem pełnego zdania: – JESTEŚ ARTYSTĄ Z JAKIMŚ DOŚWIADCZENIEM?

Szybko stworzyłem kilka historyjek, które zdawały się mu odpowiadać; każda nowa historia wypływała z poprzedniej i opierała się na rozważaniu, czym powinna i nie powinna być sztuka. Wymagało to ode mnie zatrzymania się w połowie drogi pomiędzy wyniosłością a pokorą, trochę powyżej moich współprzestępców, trochę poniżej takich mistrzów jak on; ryzykowny ruch, który już raz czy dwa doprowadził do mojego upadku, ale po każdym potknięciu dochodziłem do siebie, odwołując się pośrednio do Shuggy'ego Ackermanna – o którym on, naturalnie, w ogóle nie słyszał, a który był w końcu rytownikiem. Sławiłem go we wszystkich wtrętach jako zadziwiającego Ackermanna, genialnego Ackermanna, Ackermanna mówiącego z wyraźnym akcentem hanowerskiego cesarza londyńskich rytowników; pławiłem się w glorii, mając nadzieję, że Budyń może zauważyć jej odbicie we mnie.

– ACKERMANN? TAK? NIE? TAK? – Pan Tobiasz Achilles Lempriere w końcu westchnął, porozumiewawczo stukając się w nos grubym palcem wskazującym; spod pudru ukazała się błyszcząca purpurowa skóra. – TO BYŁY SZTYCHY.

Ale poza powiedzeniem, że spędziłem bardzo cenny czas u Ackermanna – bo tak było naprawdę – unikałem przyznania, że był to czas spędzony raczej na drobnych oszukańczych i złodziejskich intrygach niż na rytowaniu, a najczęściej po prostu na picu w starym poczciwym „Wojowniku” w Spitafields.

Nie nudziłem też doktora marudnymi szczegółami, które stały mi w pamięci – nie wspomniałem agresywnego zachowania właściciela pubu, nieustannie naciskającego Ackermanna i mnie niby harpia z Eightways na temat naszego picia na krechę. Kto by uwierzył, przecież miał tyle odłożonych pieniędzy!

Potem był właściciel pubu z podejrzanym gardłem, zniknięcie pieniędzy, Ackermann chociaż raz wyglądający jak głupek, z łupieżem na nowym żupanie ze świńskiej skóry, wygląd niezbyt udany, nawet te brązowe wystające zęby poplamione na białą jego ulubionym daniem, węgorem w galarecie, w uśmiechu od Wapping do Tyburn. Ackermann nie zdawał sobie sprawy, że wkrótce pójdzie w ślad za swoim uśmiechem, tańcząc chwiejnego backsteпа na szubienicy jako nędzny morderca.

Przeszłość, która do tamtej chwili właściwie dla mnie nie istniała, wybuchała teraz w moich myślach jak zimny ogień. Tak jakbym potrzebował prawdy tych wspomnień, których nie wymieniam, jako niezbędnego balastu dla wszystkich rozprzestrzenianych przeze mnie kłamstw.



Bo kiedy zapewniałem doktora o pasji podążania za wyższym powołaniem dzięki pośrednictwu mojej sztuki, ogarniał mnie dokładnie taki strach jak wtedy, gdy byłem poszukiwany w cieniach moich dawnych kryjówek, takie samo przerażenie, jakie mnie ogarnęło i rzuciło drżącego w cuchnący pył i brud za beczkami na ciemnych uliczkach – przerażenie, że mogę rzeczywiście być kimś innym, że wszystko wokół zaczyna wirować, że całe moje życie to był tylko sen śniony przez kogoś innego, że wszystko wokół to jedynie imitacja świata. Rozpłakałem się i poczułem się zagubiony; naprawdę byłem gdzie indziej, byłem kimś innym, kto jedynie oglądał to wszystko.

## V

Ale wtedy już dawno nie było mnie w Londynie, już dawno stamtąd wyleciałem jak kula z muszkietu. Zostawiłem za sobą wszystko, w tym także moje stare nazwisko, moje straszne lęki; całe to wirowanie, cały pęd i nonsens nareszcie przycichały, a kiedy szedłem na północ, mój nastrój się poprawiał. Powiedziałem do siebie: teraz naprawdę jestem artystą, dobrze znanym portrecistą Billym Bellowem – to ma określone brzmienie, choć po głębszym namyśle wydaje się zbyt pospolite i staję się Billiem Buelowem – to brzmi tak z francuska i niecodziennie, i odczuwam pewien związek z moim ojcem, jakbym miał teraz przodków, którzy rzeczywiście coś znaczą, ale potem pomyślałem sobie: nie, Francuzi nie cieszą się wielką sympatią ludu, więc kiedy na jakiś czas znalazłem pracę w Potteries, stałem się Williamem Buelowem, ponieważ nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Miałem szczęście zetknąć się z mistrzem garncarstwa, znanym jako Stary Gould. Starzec gadał bez końca, a poza tym bał się potwornie, żeby nie przejechał go wóz lub dyliżans i chyba ten strach mógł być przyczyną jego niepohamowanej gadatliwości. Przecucie okrutnego i nieuniknionego przeznaczenia było u niego tak silne, że potrafił stać prawie godzinę po jednej stronie ulicy, zbierając odwagę do przejścia przez jezdnię. Nasze pierwsze spotkanie było przypadkowym i szczęśliwym zrządem losu. Wyszedłem chwiejnie z „Ptaka w Garści” w Birmingham z pustymi kieszeniami i natknąłem się na drżącą postać na narożniku. Usposobiony przychylnie do ludzkości, przystałem na spełnienie zająkłej prośby o eskortowanie na drugą stronę ulicy. Wyczuwając, że potrzeba pomocy w tym względzie nie zakończy się, póki nie dotrzemy do miejsca przeznaczenia – czyli do pubu, gdzie spędzał wieczory, położonego w odległości półtorej mili w starej części miasta – odprowadziłem go tam, a już przy trzecim skrzyżowaniu pochyliła się nade mną wysoka, podobna do bociana postać, pełna tak szczerzej wdzięczności za uratowanie życia, że od razu na miejscu złożyła mi propozycję pracy w swoim warsztacie.

Doktor przerwał moje rozmarzenie i w ten swój koturnowy sposób zapytał, jakie jest moje zdanie o martwej naturze jako formie.

Powiedziałem mu zdecydowanie, bez najmniejszego wahania, jak bardzo na moją pracę wpłynęli wielcy holenderscy mistrzowie z ubiegłego stulecia – van Aelst, de Heem i van Huysum. Nie wspomniałem jednak, że wszystko, co o nich wiem, nie wyłączając mojego standardowego rysunku girlandy z wistarii, pochodzi z tego sześciomiesięcznego okresu, jaki spędziłem w Potteries, pracując dla Starego Goulda przy jego porcelanie, malując wciąż od nowa ten sam nudny ornament kwiatowy i co wieczór wysłuchując w barze niekończących się i monotonnaych wychwałń jakichś starych holenderskich gryzipędzli, których tak bardzo lubił. Pewnego wieczoru jego jedyna córka powiedziała: „Chodź, chodź ze mną”; włosy miała długie i cudownie rude, a twarz całą w plamach piegów. Wymknęliśmy się razem, a wypiliśmy tyle, że z trudem znalazłem drogę powrotną do ciemnego warsztatu Starego Goulda; padliśmy tam na płótno leżące na podłodze przed tymi wszystkimi obrazami, jakie nabierał, i na tym płótnie odtńczyliśmy starą holenderską martwą naturę, jak rozsypujące się woskowe gruszki, pękające dojrzałe granaty, a ja bezwładny po tym wszystkim jak martwy zając.

W ten sposób, i nie tylko, Stary Gould stanowił dla mnie poważniejsze źródło edukacji, niż to sobie kiedykolwiek uświadamiał. Pośród jego pędzli i narzędzi poniewierały się egzemplarze Grotiusa i Condorceta. Czasami sadzał córkę w jednej części warsztatu pod niewielkim popiersiem Woltera z tym jego nieodgadnionym uśmiechem, żeby czytała nam dzieła tego wielkiego człowieka, podczas gdy malowaliśmy wciąż od nowa nasze skomplikowane wzory.

Byliśmy tak zafascynowani Kandydem i doktorem Panglossiem, że wraz z moją pięknotką zarzuciliśmy holenderską martwą naturę i zaczęliśmy tańczyć w takt Oświecenia. Sprawiało jej wielką radość, kiedy wchodził w nią uśmiechnięty rozum Woltera, kiedy posuwał się do przodu i cofał jak powolna fala gotowa w każdej chwili się rozbić; przez cały czas nie mogła się przy tym opędzić od myśli, jak cudownie mieć własny ogródek tak doskonale zadbane.

Możecie się domyślać, jak wielka była tragedia, kiedy Starego Goulda wracającego z cebulą z targu rozjechał na śmierć dyliżans do Liverpoolu. Warsztat został sprzedany przez egzekutorów, na córkę spadła niespodziewanie niewielka suma pieniędzy i nieco większe aspiracje, więc uzbrojona w jedno i drugie porzuciła radości rozumu, które znaczyły dla niej równie wiele jak dla mnie, i zawarła odpowiednio korzystny związek małżeński z kupcem żelaznym z Salford, który miał twarz jak kowadło, a duszę jak żwir. Nie dane mi więc było oglądać, jak bledną jej piegi, matowieją złote włosy, nigdy nie musiałem patrzeć, jak nasza miłość nabiera tego nieistniejącego koloru – bieli.

Ja tymczasem po raz kolejny zostałem zmuszony do próbowania sił w szerszym świecie, a zabrałem ze sobą trzy rzeczy, które od tamtej pory służyły mi nie najgorzej: znajomość radości, jakich może dostarczyć Wolter, wykraczających poza poznanie rozumu; księgę sztychów Starego Goulda z jego ukochanymi holenderskimi martwymi naturami; i nazwisko, które nie było już potrzebne ani jemu, ani jego córce.

Kiedy więc w pierwszym klubie, gdzie się zatrzymałem, by spędzić następny wieczór, zapytano mnie o to, przymierzyłem się i wykrzyknąłem:

– Jestem William Buelow Gould!

Naprawdę uznałem, że zabrzmiało to dużo lepiej niż poprzednio – te wspaniałe trzy słowa ciągnęły wargi od siebie-do siebie-od siebie – więc bardzo zadowolony z nowej tożsamości, mrugnąłem do kobiety, którą poznałem później jako żonę właściciela baru, wypróbowując równocześnie swoje drugie imię. I co wy na to! – żona właściciela zareagowała uśmiechem! Nim cokolwiek powiedziała, wiedziałem, że jest łóżkozmienna i dąży do tego, by z koi mężusia przeskoczyć do mojej, która, choć skromna tej nocy – wilgotny słomiany siennik i stęchły zapach stajni – zdawała nam się bardziej niż przytulna.

– A moje nazwisko – szepnąłem jej do ucha – to pieśń, która często będzie śpiewana.

Później tej samej nocy dowiedziałem się, że obcy o niedorzecznym nazwisku zawsze będzie przyjęty lepiej niż znajomy z normalnym imieniem, kiedy w grę wchodzi stary taniec Oświecenia.

– Wiesz, co mi się w tobie podoba? – zapytała. – Jesteś inny od tych tutaj. – A potem opowiedziała mi, jak poprzedniego roku udała się do Londynu, żeby zobaczyć trumnę z lordem Byronem, ponieważ wszyscy teraz muszą być poetami, a tak nieliczni są nimi naprawdę. Polubiła mnie jeszcze bardziej, kiedy powiedziałem, że ma piersi jak owoce z wosku, co w istocie wcale nie było komplementem, tylko pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy na ich widok. Więc kiedy spytała:

– Co jeszcze ci przypominam? – odpowiedziałem:

– No, zaley od tego, co jeszcze zechcesz mi pokazać.

Na to ona:

– Prawdziwy z ciebie diabeł! Może wcale tak bardzo się nie różnisz od innych!

A ja na to: – Będziesz musiała się sama przekonać!

I tak to szło, póki nie poczuła pełnego flamandzkiego malarza i nie zgodziła się, że rzeczywiście nie ma takiej wielkiej różnicy, że ja też wcale nie jestem inny, bo my, mężczyźni, wszyscy jesteśmy tacy sami, a potem wpadła w złość...

I znowu Doktor mi przerywa, i znowu muszę się z nim zgodzić, tym razem ze stwierdzeniem, że rola sztuki będzie się zmniejszać w miarę, jak będzie rosła rola nauki. Niby dlaczego nie, kiedy to w końcu własny wspaniały pomysł Doktora, a mój umysł i tak wypełniają tylko myśli o tym, co sztuka może znaczyć dla mnie, co, jak widzicie, wcale nie było tak wzniosłe i czyste, a jednak przyjemne; cudowna wizja wspaniałych białych ud i pośladków żony właściciela pubu, wznoszących się i opadających, kiedy tańczyliśmy stare pocziwe Oświecenie, a wszystko to wydaje się niewyraźne, zagubione...

– NAUKA, NIEUNIKNIONY WZROST, SZTUKA, SŁUGA  
– Doktor znowu swoje. Ja sam nie mam żadnych poglądów na temat nauki i sztuki, a jedynie kilka słodkich wspomnień, których się trzymam, bo nie jestem nikim więcej, jak fałszywie oskarżonym fałszerzem, przyjmuję każdą pracę, jaka się nadarza, i wykonuję ją tak dobrze lub tak źle, jak tego wymaga zapłata. Z jakiegoś powodu przypomniałem sobie, jak Stary Gould, bardzo chlubiący się takimi sprawami, powiedział mi, że według francuskiego filozofa Kartezjusza cała materia składa się z wirów, ale nie miałem wrażenia, żeby Doktor chciał usłyszeć, że wszystko – od płodu poprzez kaca do śmierci – kręci się w kółko, więc nic już nie powiedziałem.

Wreszcie Doktor wstał, podniósł przenośny stołeczek, obrócił się, dwukrotnie podrapał stolikiem drzwi, i moją ciemną zatęchłą celę na chwilę wypełniło światło i powiew świeżego powietrza, kiedy strażnik otworzył drzwi, żeby Doktora wypuścić.

W tym momencie wiedziałem, że przyszła pora, żeby się odezwać.

– Człowiek taki jak pan – zacząłem odpowiednio słuźalczo – będący, że pozwolę sobie na śmiałość, po czterdziestce, najwyraźniej w kwiecie wieku, który pragnie zabezpieczyć się przed wrogą przyszłością, zapraszając przeszłość do udziału w swoich wspaniałych dokonaniach uczonego...

– WŁAŚNIE – przytaknął Doktor – CHOCIAŻ WIEK RACZEJ POCHLEBIONY. CZTERDZIESTKA? TAK? NIE? TAK? MOŻLIWE.



– Będąc takim człowiekiem – mówiłem, a język bez trudu ześlizgiwał się w wygodną koleinę wyświechtanych słów – wie pan, że podobnych rzeczy nie da się kupić tanio ani łatwo, bo wyrastają one z szacunku równych.

– JAK NAJBARDZIEJ – powiedział Doktor i przełknął ślinę, lekko zaambarasowany. – CHODZI O POSTĘP NAUKI, NIE O WŁASNE PRAGNIENIE.

– Nauka – zacząłem, udając zarówno zrozumienie, jak i zgodę – pragnie tylko nauki. – Powoli spuszczałem głowę. – Ale żeby uwiecznić to na płótnie, potrzebny jest w równym stopniu uczony, jak nauka, aby namalować pana wraz z jego osiągnięciami, aby... – Doktor znowu przełknął ślinę, jakby jego marzenia o naukowej nieśmiertelności wymagały innych dowodów niż te oferowane przeze mnie. Wyczuwałem, jak mój język wymyka się z kolein, gubiąc drogę. – Gdybym mógł mieć ten honor, żeby malować pański portret... Ja...

Doktor przerwał mi dumnym podniesieniem krzaczastej brwi – przez jedną straszną chwilę bałem się, że dwie z licznych workowatych myszy z mojej celi wskoczyły mu na twarz, myśląc ją z dynią i teraz zwieszają się z jego czoła nad brodawkami oczu.

– RYBA, GOULD! TA RYBA, JEJ OKO, NAJBARDZIEJ NAUKOWE. – Musiałem chyba nadal wydawać się zafascynowany jego brwiami, bo uznał, że go nie dosłyszałem.

– RYBA KAPITANA – kontynuował lekko poirytowany. Myszy wygięły się w dobitny łuk nad nosem. – CZŁOWIEK MUSI ZNALEŹĆ SWOJE ZAJĘCIE, TY CHYBA ZNALAZŁEŚ, *EN UN MOT?* RYBY? – Umilkł, popatrzył na sufit, a potem na mnie.

– W RYBACH? TAK? NIE? W PANU TOBIASZU ACHILLESIE LEMPRIERE, KTÓRY JEST CZŁOWIEKIEM RESPEKTUJĄCYM TALENT, UCZONYM, TWOIM PATRONEM, TAK, MOŻE WŁAŚNIE TO ZNALAZŁEŚ. DO WIDZENIA PANU.

Po tych słowach wyszedł, a wraz z nim, jak sądziłem, także możliwość uniknięcia uczestnictwa w grupie skutej łańcuchami.

## VI

Nasze drugie spotkanie miało miejsce natychmiast po moim całkowicie niespodziewanym uwolnieniu, kiedy poprowadzono mnie prosto z celi do kwatery pana Lempriere'a – niewielkiej, niemal rozpadającej się pobielonej chałupy z gliny. Po drodze minęliśmy chłostę odbywającą się na placu apelowym. Chłoszczący robił przerwę po każdym uderzeniu, ścisnął „kocie ogony” między palcami, wyzymając w ten sposób nadmiar krwi, po czym zanurzał rzemienie w niewielkim wiadrze z piaskiem, które stało u jego boku, żeby każde kolejne uderzenie nabierało dodatkowej mocy.

Po krótkim spacerze dotarliśmy do przysadzistego budyneczku w pobliżu stoczni. Bez ceregieli wepchnięto mnie do ciemnego, cuchnącego i jak się wydawało mimo panujących ciemności, nieporządnego pomieszczenia. Niewiele brakowało, a nie zauważyłbym Doktora usadowionego na szezlongu niczym lew morski.

Zacząłem dostrzegać należące do niego przedmioty, dumnie zgromadzone wokół – niby zbyt długo pieczone, chrupkie i chropawe w dotyku, a zakalcowate i miękkie w środku ciasto. Czy były to prymitywne stoliczki zżarte przez korniki, czy portrety sączące się ze ścian, wszystkie zdawały się krzyknąć: „My też jesteśmy Lempriere'ami”. Uprzejmy z natury, nie miałem ochoty wyrażać ogromu smutku, jaki to we mnie wzbudziło. Najbardziej uderzające było zgrupowanie wokół niego niezliczonych kuriozów niby symboli słońca wokół egipskich władców w piramidach: więcej kości niż u hycła – sterty czaszek torbaczy, żebra, kości udowe i całe szkielety rozmaitych zwierząt – a także zestaw piór, muszelek, suszonych kwiatów, skał, oprawne w ramki kolekcje motyli, ciem i żuków, całe tace ptasich jaj.

Jeszcze nim usiadłem, Doktor wdał się w dywagacje na temat, który dla mnie pozbawiony był jakiegokolwiek atrakcyjności; w ogóle mnie nie interesował.

– JAK PEWNIENIE WIESZ, W NAUCE NIEWIELE WAŻNIEJSZYCH NAZWISK JAK LINNEUSZ, TAK? NIE? TAK? WIELKI SZWEDZKI SPECJALISTA OD HISTORII NATURALNEJ.

Zaskoczony, skinąłem domyślnie głową. Pan Lempriere zachęcił mnie gestem, bym usiadł na stołku naprzeciwko niego i wskazał na karafkę najlepszego francuskiego rumu z Martyniki (nie był to wodnisty rum z Bengalu, o smaku palonego cukru i wilgotnego ognia, do którego byłem przyzwyczajony), informując w ten sposób, że mam sobie nalać... A on – by posłużyć się jednym z jego ulubionych słów – wykladał o rewolucji w sprawach człowieka, jaką zapoczątkował system klasyfikacji roślin i zwierząt Linneusza.

Dla każdej rośliny rodzina, dla każdej rodziny rodzaj, dla każdego rodzaju typ. Koniec z ludowymi nazwami roślin opartymi na opowieściach starych czarownic i na wdowich lekach, żadnych starców jakubków; naparstnic, ale naukowa łacińska nazwa dla wszystkiego, co żyje, oparta na dokładnej naukowej analizie cech fizycznych. Koniec z myśleniem, że świat przyrody i świat człowieka się przeplatają, zamiast tego naukowa podstawa oddzielenia obydwu i stały od tej pory awans ludzkości oparty na tej naukowej różnicy.

Zdawał się czerpać wiedzę ze skorowidzu i zastanawiałem się, czy kiedykolwiek wysłuchał jakiejś książki w całości, tak jak ja słuchałem opowieści starego Francuza o drogim doktorze Panglossie i Kandydzie. Pełen był wymyślnych słów, w czym posuwał się tak daleko, że knajpę nazywał *zythepsaries*, co zdawało się o kilka sylab za dużo, by mógł to wymówić ktokolwiek z tych, których spotykałem w takich miejscach. Nigdy nie używał prostego słowa, kiedy na jego miejsce można było niezręcznie wtłoczyć długiego łacińskiego bękarta, więc jego zdania przypominały pokój, w którym siedzieliśmy, zagracony i strasznie niespójny.

Swoim wyglądem nawiązywał do przeszłości, pragnął jednak, by jego pomysły i ambicje postrzegano jako należące do człowieka przyszłości. Ale najwyraźniej nie była to rozmowa – mimo że próbowałem tak pokierować sytuacją, powtarzając od czasu do czasu ostatnie wypowiedziane przez niego zdanie, jakby stworzenie takiego swoistego echa mogło zwrócić jego uwagę na fakt, że w pomieszczeniu znajduje się jeszcze inna osoba – tylko rodzaj manifestu, w którym udało mu się demonstracyjnie wymieszać poglądy naukowe i potoczne w jednym zdaniu, zresztą pozbawionym najmniejszego sensu.

– ERASMUS DARWIN MĄDRY CZŁOWIEK – oświadczył w pewnym momencie. – ALE DLACZEGO CYTRYNA W ZIELONEJ HERBACIE?

Znowu się przekonałem, że nie rozumiem nic z tego, co opowiada, ale mądrze kiwałem głową, od czasu do czasu wypowiadałem lekko sceptyczne „no tak” lub znudzone „och”, wydymając złączone, zwilżone rumem wargi czy unosząc ich kąciki do góry, by dać w ten sposób do poznania, że zrozumiałem, czym się tak gorączkuje, czy wskazać na czynne, krytyczne zainteresowanie, kiedy pokazywał mi swoje najbardziej cenne rzeczy, w tym słynną – czego bynajmniej nie owijał w bawełnę – dziesiątą edycję Linneusza *Systema naturae* dla zwierząt.

Doktor teraz wyprostował się na pełną wysokość.

– NAPRAWDĘ – kontynuował, a nie chcąc, by moje zainteresowanie malało, nalał mi następny francuski rum z Martyniki – SZYBKO NADCHODZI CZAS ODPOWIEDNIEJ KLASYFIKACJI NIE TYLKO ZWIERZĄT, WSZYSTKICH ISTOT ŻYWYCH, *EN UN MOT?* LUDZI. TAK? NIE? TAK.

Skinałem głową, wzniosłem toast i wyciągnąłem rękę z pustym kieliszkiem, choć tym razem mnie o to nie prosił, a Doktor – wspaniały, hojny pan Lempriere – napełnił go ponownie.

– NIE WIERZYSZ MI? NIE? ALE UWIERZYSZ, TAK, UWIERZYSZ. NAJPIERW PRAWIDŁOWO SKLASYFIKOWAĆ WSZYSTKICH SKAZANYCH W SKALI OD JEDNEGO DO DWUDZIESTU SZEŚCIU, A POTEM NA TEJ PODSTAWIE STWORZYĆ NOWE SPOŁECZEŃSTWO.

– Nauka? – spytałem.

– STOSOWANA – potwierdził.

Potem wykonał liczne dygresje o tym, jak skutecznie można maścią rtęciową leczyć rzeżączkę.

– NOC Z WENUS – westchnął w pewnym momencie –  
ŻYCIE Z MERKURYM. – Pokręcił głową. – GORĄCY RUM,  
MŁODA DZIEWCZYNA, STARY DOKTOR, OKRUTNE,  
OKRUTNE.

Tokował na temat francuskiego botanika o nazwisku Lamarck, którego siedmiotomową *Histoire naturelle des animaux sans vertèbres* opisał jako *tour de force* taksonomii, i o nieskończonej doskonałości świń osiągniętej dzięki hodowli.

W tym momencie ruchem tłustego palca wskazał, że mamy wyjść na zewnątrz. Pokazawszy mi piękno zasuwanego okna na tyłach swojego domku, jedyne okna tego typu na całej wyspie, które przywiózł do swojej nowej rezydencji z miasta Hobart, pan Lempriere zaprowadził mnie za dom, gdzie trzymał świnie, dużego wieprza, nazwanego Castlereagh na cześć premiera, ponieważ Doktor, będąc wigiem, uważał się za człowieka postępowego, którego nic nie łączyło z mizdrzącymi się torysami.

Trudno było się zorientować, do czego to wszystko zmierza, więc przestałem nawet próbować, posłusznie postępując za Doktorem. Świnia była nieokreślonej rasy, a żyła w zagrodzie przylegającej do domku. Nawet w świetle nędżnych standardów wyspy dom Castlereagha był cuchnącym koszmarem skawalonego błota, do którego Doktor codziennie wylewał swoje kubły i wyrzucał resztki, po jakie chętnie sięgnąłby każdy skazany. Świnia – w czarno-białe łaty – była jedyną formą życia, która zdawała się prosperować na wyspie. Osiągnęła gigantyczne rozmiary, paskudne usposobienie i straszliwie śmierdziała.

Można by przypuszczać, że świnia, będąc zwierzęciem inteligentnym jak wszyscy przedstawiciele tego gatunku, spróbuje wkraść się w łaski Doktora, który uparcie karmił ją sam, aby mieć pewność, że jedzenie dostaje się zwierzakowi, a nie służbie. Tymczasem działo się wręcz przeciwnie, bo gniew Castlereagha na świat i wszystkie żyjące na nim istoty zdawał się rosnąć wraz z powiększaniem się masy ciała, i wieprz równie chętnie rzuciłby się na Doktora, jak na każdego innego człowieka.

Powody, dla których Doktor trzymał świnie, zdawały się niejasne. Czasami stwierdzał, że przeznaczona jest na bankiet dla miejscowych oficerów, innym razem, że na Boże Narodzenie, jeszcze innym, że na powitanie nowego przewodnika, a czasami, że trzyma ją jedynie dla perwersyjnej przyjemności poderżnięcia jej gardła, żeby los świni był odbiciem losu jej godnego pogardy imiennika. Kiedy indziej mówił, że sprzeda ją intendenturze za pieniądze, a niekiedy wspominał, że wymieni kawałki zarżniętego Castlereagha z innymi oficerami na cenne przedmioty, jakimi chętnie za świeże mięso zapłaci każdy, kto od lat jada tylko stęchlą peklowaną wieprzowinę.

Według mnie tak naprawdę trzymał tę świnie dlatego, że kontrolowanie takiej ilości pożywienia dawało mu poczucie władzy i świadomość, że nikt nie może spojrzeć na niego i nie pomyśleć zazdrośnie o niekończącym się bankiecie ze świniny – szynkanózkigalaretkazupażeberkakiszkabekonpieczeń. Tak więc dzień sądu Castlereagha ciągle odkładano, w wyniku czego wieprz stawał się jeszcze bardziej gigantyczny, a jego charakter bardziej cuchnący niż oddech.



Ale wtedy niewiele o tym wiedziałem, bo Doktor znowu mówił, prowadząc mnie z powrotem do swojego przysadzistego domku. Nadal mówił o swojej wierze w to, że ma do odegrania ważną rolę w rozbiciu świata na milion dających się sklasyfikować cząstek, co w konsekwencji doprowadzi do powstania zupełnie nowego społeczeństwa. Nic z tego nie rozumiałem poza jednym: udane zainteresowanie wynagradzał kolejny francuski rum z Martyniki, który początkowo wydawał mi się bardzo dobry, ale teraz byłem skłonny uważać, że jest wyśmienity.

– JESTEM – powiedział, cofając się trochę i unosząc obelisk białej głowy, wciągał przy tym niechlujne wargi morsa, żebym łatwiej pojął, że kilka następnych słów wymaga podkreślenia – W KONTAKCIE BARDZO WAŻNE COSMO WHEELER. Z SAMYM PANEM COSMO WHEELEREM, SŁAWNYM ANGIELSKIM PRZYRODNIKIEM. – Coś najwyraźniej było niezwykle ważne, gdybym tylko wiedział co.

Ale nie wiedziałem.

Nie byłem jednak na tyle głupi, by zdradzić się ze swoją ignorancją i ujawnić, że reputacja wyżej wspomnianego pana Cosmo Wheelera nie stała się jeszcze wszechświatowa.

– Sławny? – odpowiedziałem.

– WŁAŚNIE – przyznał.

Kimkolwiek był tajemniczy pan Wheeler, zdołał wmówić Doktorowi niezwykle ważną rolę jego udziału w zbieraniu i katalogowaniu okazów i wysyłaniu ich rzeczonemu panu Wheelerowi do Anglii. Ta praca, napisał pan Wheeler, ma być „historycznym przeznaczeniem” Doktora. Czytając między wierszami, podkreślonymi czy nie, doszedłem do wniosku, że jeśli ten angielski specjalista od historii naturalnej był znany, to pewnie dlatego, że budował swoją karierę na rozmaitych okazach i obiektach, jakie wysyłał mu Doktor i inni kolonialni kolekcjonerzy.

Sam Doktor wydawał się zupełnie nie dostrzegać, że jest wykorzystywany; okazywał żalostną dumę i wdzięczność za najmniejsze choćby powiązanie z taką sławą, za jaką uważał pana Cosmo Wheelera. Czasami odnosiło się wrażenie, że gdyby Doktor mógł potłuc tajemnicę świata na wystarczającą liczbę kawałków i wysłać je panu Wheelerowi do skatalogowania, to tajemnica by zniknęła, wszystko dałoby się poznać, a gdyby wszystko było poznawalne, byłoby też rozwiązywalne i poprawialne. Całe dobro i zło dałoby się wytłumaczyć i naprawić na jakiejś Linneuszowej drabinie stworzenia.

Nasz udział w tym gargantuicznym akcie wandalizmu polegał na opisanu możliwie najdokładniej i najwyraźniej tego, co Doktor, cytując Cosmo Wheelera, określał jako „MALEŃKI ŚWIATEK ICHTIOLOGII ZATOKI MACQUARIE” i wysłaniu materiałów panu Wheelerowi, aby je podzielił na kategorie i usystematyzował.

Tak jak zawsze, kiedy nie rozumiałem ani słowa z jego przemowy, kiwałem głową i karafka znowu zbliżyła się do mojego kieliszka, zrównała się z nim, ale niczego nie nalano. Pocziwy Doktor trzymał karafkę w pogotowiu.

Wpatrywał się we mnie swoimi wilgotnymi oczami, jakby chciał zapowiedzieć, że jego sposób myślenia objawi za moment swój geniusz w istotnym stwierdzeniu o największej głębi.

– MÓWIĘ CI, GOULD – powiedział Doktor, pochylając się w moją stronę, kładąc niewielką tłustą dłoń na moim kolanie i uśmiechając się równocześnie; były to dwa fizycznie odpychające gesty, na które mógłbym zareagować nieprzychylnie, gdyby w tym samym momencie nie zaczął płynąć wspaniały rum z francuskiej Martyniki – TO RYBY.

## VII

Nawet wtedy nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Doktor jest całkowicie pomyłony. Mieliśmy zacząć sporządzanie obrazków nie paproci, ptaków, kangurów czy dziobaków, ale ryb; utrwać w malarstwie sardynki, okonie, żabnice, kaprosze czy jakie tam mogą być ich odpowiedniki lub przeciwieństwa na antypodach. Bo skoro ryba była tym, czym była, okazy pożytecznej natury nie dawały się łatwo zachować, a co ważniejsze, pan Cosmo Wheeler bardzo wyraźnie napisał do Doktora, że reputacja uczonego nie płynie tylko z pomysłowości i geniuszu, ale – jak to pokazał przykładem swojego życia wielki szwedzki zbieracz-naturalista hrabia Linneusz – także z tak strategicznego dokonywania wyborów, jak robił to Wellington, dotyczących tego, co zbierać, a czego nie zbierać.

Nie mogłem wtedy przewidzieć, w jaki sposób takie szaleństwo, jak malowanie ryb w celu poprawienia reputacji innego mężczyzny w innym kraju, zapanuje nad moim życiem do tego stopnia, że stanie się moim życiem – że będę tak jak teraz starał się opowiedzieć historii ryb, posługując się przy tym rybami na wszystkie sposoby, aż do pióra z kości rekina i tego atramentu z sepii, którym piszę niniejsze słowa, pochodzącego od mątwy, która strzyknęła nim na mnie zaledwie kilka godzin temu.

Dostała się do celi wraz z przyływem wczoraj wieczorem i udało mi się ją przyszpilić pędzlem dziś rano, kiedy zaczął się odpływ. Nieszczęsną istotę porwało coś większego od niej samej; chlusnęła na mnie swoim czarnym atramentem z taką zajadłą furią, na jaką potrafiła się zdobyć. Trochę trafiło mnie w oko i w gębę, ale udało mi się zebrać dobrą trzecią część w miseczkę do zupy i właśnie tym ciemnym atramentem, który wysycha na gówniany kolor tej gównianej osady, zapisuję te wspomnienia.

„Ryby dopominają się, by zostały sklasyfikowane, a tym samym zrozumiane w następnej kolejności – napisał do Doktora pan Cosmo Wheeler – a ktoś, kto jest w tak uprzywilejowanej pozycji jak ty, mój drogi Lempriere, może zebrać i opisać cały nowy egzotyczny świat ryb!”.

Pamiętam, że nie czułem rumu ani w ustach, ani w gardle, kiedy jednym haustem opróżniłem kieliszek, a patrzyłem nadal na zamglone gały Doktora, który opisywał szczegółowo treść najświeższych listów, otrzymanych od pana Cosmo Wheelera.

„A – dodawał pan Cosmo Wheeler retoryczne pytanie – czyż Historia nie tworzy się często z tak szczęśliwych zbiegów okoliczności jak miejsce (Zatoka Macquarie – Transylwania – Ziemia van Diemena) i geniusz (Tobiasz Achilles Lempriere)?”.

Ponieważ pan Cosmo Wheeler tak wysoko cenił swojego amatora-zbieracza-naturalistę, to chciałby – jeśli okazy będą wystarczająco oryginalne, a rysunki na odpowiednim poziomie – przedrukować te ryby w swojej następnej pracy, wstępnie zatytułowanej *Systema naturae Australis*.

Doktor mówił tak długo i z takim zapalem, że szczęśliwie nie musiałem powiedzieć niczego, co mogłoby ujawnić, jak niesłusznie uważam siebie za artystę. Tak sprytnie przekonał sam siebie o moich walorach, że nawet ja na krótko uległem próżności i uwierzyłem, że może uda mi się namalować dokładne obrazy ryb na najwyższym naukowym poziomie.

Bynajmniej jednak nie powiedziałem tego, podobnie jak nie powiedziałem niczego innego.

Bo prawdę mówiąc, nie mogłem wtrącić ani słowa. Doktor uznał moją nieumiejętność przerywania mu za oznakę niezbędnej i chwalebnej usłużności, którą byłem mu teraz winien jako swemu nowemu panu, za uznanie supremacji władzy, tak samo niezbędne artyście, jak umiejętność rysowania. Stawał się coraz bardziej pijany, a rozmowa nabierała tonów coraz bardziej intymnych i osobistych.

– SPÓJRZ NA MNIE – zaproponował w pewnej chwili –  
NOWY MEDICI, TY BOTTICELLI!

Uśmiechnąłem się przelotnie, ale zauważyłem, że on się nie uśmiecha, że jego tępe oczy stały się nieprzejrzyste, że to wcale nie żart, że wcale nie przestaje mówić:

– NASZE ZADANIE – WIĘKSZE – NIE  
INTERPRETOWANIE NATURY JAKO DEKORACJI –  
PRÓBA SKLASYFIKOWANIA – BY UPORZĄDKOWAĆ  
NATURĘ – WTEDY JEDYNĄ ZAGADKĄ POZOSTANIE  
BÓG – ALE CZŁOWIEK? – DOMINIUM CZŁOWIEKA  
BĘDZIE CAŁKOWICIE ZNANE I POZNAWALNE, A  
PANOWANIE CZŁOWIEKA KOMPLETNE – JEGO  
OSTATECZNYM IMPERIUM PRZYRODA – ROZUMIESZ?  
TAK? NIE? TAK – ROZUMIESZ?

Nie rozumiałem. Brzmiało to dość podejrzanie, jakby Doktor i pan Cosmo Wheeler chcieli odtworzyć naturalny świat na podobieństwo kolonii karnej, w którym ja, obecny więzień, grałbym rolę strażnika. Mimo wszystko miewałem gorsze propozycje.

– Hierarchia? – podsunąłem.

– ELYSIUM – odpowiedział.

Jak porcelanowy talerz Ackermanna, zwykł mawiać Billy Blake, posuwamy się tylko dzięki przeciwieństwom. Ale Doktorowi nie chodziło przecież o takie zagadki, próbowałem więc wymyślić, co jeszcze dałoby się powiedzieć o szlachetności nauki, kiedy Doktor wybawił mnie od tego kłopotu, nalewając mi jeszcze jeden rum z francuskiej Martyniki.

Wymachując przed sobą karafką jak pochodnią, oświadczył, że nasza praca zacznie się od namalowania przeze mnie po kolei wszystkich ryb z wewnętrznych wód Zatoki Macquarie i wszystkich morskich stworzeń, które unoszą się martwe na zatrutych wodach rzek King i Gordona. Rozmawiał już z Komendantem i od tej pory jestem zwolniony ze wszystkich innych obowiązków i zostaję na służbie Doktora.

Moje zadania będą podzielone: przez pół dnia mam sprzątać i prac jako domowy służący, a przez następne pół mam zupełną swobodę skoncentrowania się wyłącznie na rybach, a mówiąc dokładniej, na ich malowaniu.

Doktor, niezłe już napity, wstał i chwiał się we wszystkie strony, jak przysadzisty metronom wybijający powolny rytm pomiędzy potrzebą dostojeństwa a pragnieniem ofiarowania mi prezentu. Potknął się i częściowo padł, częściowo się osunął na moje kolana, trzymając niby ofiarę drewnianą skrzyneczkę wielkości dużego pudła na cygara, w której ustawione były liczne pojemniki z farbą akwarelową, niektóre napoczęte, inne nie – pełne kolory blaknącej tęczy – i sześć pędzli, wszystkie stare i postrzępione.

Następnie osunął się na podłogę, nie przestając mówić, a ja powróciłem do marzeń o nowych nazwiskach i starych miłościach. W pewnym momencie, już dużo późniejszym wieczorem, zorientowałem się, że Doktor co najmniej od pół godziny śpi na podłodze, a ja w ogóle tego nie zauważyłem.



## VIII

W zniszczonej walizce z ciemnego marokinu Doktor trzymał pod łóżkiem swoje liczne książki z dziedziny historii naturalnej razem z krótkim listem od Jeremy'ego Benthamu w odpowiedzi na długi wykład wysłany przez Doktora temu wielkiemu człowiekowi, mówiący o tym, w jaki sposób zasadę panoptikonu Benthamu – wzorcowego więzienia, w którym wszyscy byliby nieustannie obserwowani – można by korzystnie rozciągnąć na historię naturalną.

Ten list był najbardziej cenioną własnością, talizmanem zapowiadającym przyszły status członka Towarzystwa Królewskiego, co, jak mnie zapewniał, jest ostateczną aprobatą, jaką może uzyskać dżentelmen i uczonec, a która czyni z niego Człowieka Historii.

Mówiąc szczerą prawdę, muszę przyznać, że początkowo Billy Gould nie był szczególnie zainteresowany rybami i gdyby mógł wtedy uciec, to najpewniej by to zrobił. Przeszukując *portmanteau* Budynia, natknął się na *Systema naturae* Linneusza, a także na skrócone tanie wydanie *Historii naturalnej* Pliniusza, którą Doktor lekceważył jako pełne przesądów bzdury napisane przez niewykształconego Rzymianina.

Ale ja odkryłem na jej stronicach coś więcej niż tylko mityczne bestiariusz *manticores* i bazylijszków. Z obserwacji Pliniusza dowiedziałem się, że człowiek, nie będąc wcale ośrodkiem życia, egzystuje w opłakanym świecie przekraczającym jego wiedzę, w którym ciężarna kobieta może stracić dziecko, jeśli zdmuchnięto lampę w jej obecności; w świecie, w którym jest zagubiony, może nie do końca, ale pomniejszony wśród cudownych, niezwykłych, wspaniale niewytłumaczalnych cudów wszechświata, ograniczonych jedynie jego imaginacją.

A z drugiej strony *Księga jaj* doktora Bowdlera-Sharpe'a, ukryta na dnie walizki, była czymś zupełnie innym, bardziej zbliżonym do ducha panoptikonu. Podawała wykaz 14 917 różnych typów jaj składanych przez 620 różnych gatunków ptaków. Styl doktora Bowdlera-Sharpe'a odznaczał się oszczędnością, ograniczoną do brutalnej wręcz oczywistości.

To znaczy:

Jajka *Orthonyx temmincki* (długobiega kolcosternego) mają kształt eliptyczny, są średnio błyszczące, w kolorze białym. Trzy jaja miały wymiary odpowiednio: 1,07 na 0,76; 1,13 na 0,8; 1,17 na 0,8.

Gusty Budynia – uświadomiłem sobie w pewnej chwili – nigdy, żebym nie wiem jak się starał, nie będą moimi gustami. Przypominał nadpęknięty system, któremu brakuje tylko tematu, doktora Bowdler-Sharpe'a w poszukiwaniu kolejnego jaja do zmierzenia. Chciał być ichtiologiem, a ja znacznie chętniej byłbym rybą. Jego marzenia dotyczyły schwywania, moje ucieczki.

Wolałbym tak jak w dzieciństwie patrzeć na drozda żywiącego się ślimakami podczas ciężkiej zimy niż czytać takie bzdury jak dr Bowdler-Sharpe; raczej patrzeć, jak drozd rozbija ślimaki o skałę, a wokół leży mnóstwo skorupiek potłuczonych w podobny sposób, dopóki ptak nie dostał się do zamkniętego w nich posiłku. Jest to dużo lepsze niż ilustrowany spis typów drozdów, zdefiniowanych przez podobieństwo szponów i zróżnicowanie dziobów. Dużo lepiej słyszeć żalosne „tut-tut” przestraszonego skowronka i zobaczyć znieruchomiałe ze strachu pisklęta niż analizować kolekcję wypchanych ptaków w szklanej gablocie, mierząc średnicę głowy i rozpiętość rozpostartych skrzydeł. Takie zbieractwo i klasyfikowanie, jak zauważył kiedyś mój kumpel, zwariowany Clare, to raczej ambitne poszukiwanie sławy, niewarte żadnej pochwały.

W tym miejscu chciałbym wyznać, że do żadnego zadania nie byłem nigdy tak źle przygotowany jak do malowania ryb Doktora. Poczułem chwilowy i raczej nieprzyjemny atak lęku. Jest przecież, przekonywałem sam siebie, próbując uspokoić nerwy, moja przeszłość rytownika, z której mogę czerpać. Chociaż jak dotąd jedyne, co mi z tego przyszło, to jeszcze jeden nakaz aresztowania na stare nazwisko i – przynajmniej na jakiś czas – nieskalane nowe nazwisko. Miałem też doświadczenie jako artysta kolonialny – dekorator sal barowych, malarz szyldów, a czasami także portretów – znałem jednak własne możliwości. Moje zdolności rysunkowe, jeśli w ogóle istniały, ograniczały się do prymitywnego kopiowania szczegółów banknotów czy weksli, karykaturowania kaprysów pospółstwa i próżności wolnych osadników; ale to wszystko były obiekty płaskie, które dawało się częściowo odrysować, częściowo wykreślić i produkować za pomocą prostokątów i bez trudu domyślić się reszty.

Ryba natomiast nie jest obiektem łatwym do podrobienia.

Ryba to oślizgły, trójwymiarowy potwór, obdarzony wszelkiego rodzaju wypukłościami; jej ubarwienie, powierzchnie i przezroczyste łuski sugerują prawdziwą przyczynę i zagadkę życia. Podrabiając pieniądze, zawsze uspokajałem własne sumienie, dochodząc do wniosku, że jedynie poszerzam oszustwo handlu.

Ale ryba jest prawdą, a nie mając najmniejszego pojęcia, jak powiedzieć prawdę, a tym bardziej, jak ją namalować, przez kilka dni dosłownie unikałem tego problemu, zajmując się z niezwykłą pracowitością wnętrzem i zewnętrzną stroną tego, co uchodziło za dom Doktora. Kiedy czyściłem, prałem i odbudowywałem gnijące i rozpadające się fragmenty domku, kiedy porządkowałem liczne i zróżnicowane kolekcje, wróciłem do moich fantazji, w których stawałem się portrecistą lepszego towarzystwa z Hobart – wiem, że to sprzeczność sama w sobie, słyszałem ten żart wielokrotnie, zanim trafiłem do tego miasta – bo wydawało mi się, że twarze aż tak prymitywne, o tak brudnej przeszłości, zasługują na to, by malował je ktoś o tak małym talencie. Nie było to dzieło dla Akademii, dla Prado czy Luwru, raczej dla nieprawych i głupich potomków Starego Świata, którzy uważali, że złodziejstwo i terror dają im prawo do rządzenia Nowym.

Co zresztą, jak powinienem dodać, robili.

To jedyny sposób, w jaki w ogóle można dojść do władzy, i wcale nie zamierzam z tym dyskutować, pragnę jedynie zarobić na skromne życie na obrzeżach tego systemu. Bo, jak powiedział Capois Death, jeśli kiedykolwiek gówno stanie się cenne, biedni będą się rodzić bez odbytu. Takie było nasze przeznaczenie i nie będę udawał, że mógłbym je zmienić, chciałem jedynie przeżyć możliwie najlepiej, a co innego miałem zrobić? Nie pragnąłem zostać drwalem, pasterzem czy majtkiem na statku wielorybniczym. Nie nadawały się do tego ani moje ręce, ani kręgosłup, a już na pewno brakowało mi niezbędnych umiejętności praktycznych.

Początkowo chciałem tylko wpasować się w ten cały zgniły system, a jeśli miało to oznaczać robienie kopii czegoś, co pozwoli mi przetrwać dzień – czy będą to banknoty, czy tyłki mieszczan – i nie zwróci nadmiernej uwagi ani na obiekty mojej pracy, ani na mnie, to nie miałem nic przeciwko temu.

Mój aktualny problem polegał na tym, że jeśli nawet umiejętności malarskie pozwoliłyby mi w sposób nieodpowiedni przedstawić szlachetnie urodzonych, to nie były dostatecznie rozwinięte – o tym byłem przekonany – bym potrafił wykonać na przykład obraz ryby *kelpy* na takim poziomie, jakiego najwyraźniej oczekiwano. Kłopot polegał na tym, że gdyby wydało się, że wcale nie jestem tym, za kogo brał mnie Budyń w wyniku przekonania o tym samego siebie – to mogę jeszcze skończyć na szubienicy. Zresztą nawet gdyby mi się udało stanąć na wysokości zadania, nie byłem już dłużej pewien, czy w ogóle chcę to robić. Kuszono mnie obietnicą pozycji Botticellego, ale w zimnym świetle nowego dnia wyglądało to podejrzanie, raczej jak przejście obowiązków doktora Bowdlera-Sharpe'a.

Gdybym mógł znaleźć wygodniejszy i mniej niebezpieczny przydział, z radością bym go przyjął. Nie było jednak takiej możliwości, mogłem więc jedynie skoncentrować się na tym, jak znośnie wymalować rybę.

Kiedy Doktor wychodził, by doglądać wykonania chłosty czy uczestniczyć w apelu, gdzie mógł odmówić zwolnienia chorych i umierających z pracy w szeregu skutych więźniów, odmówić posłania ich do szpitala; kiedy miałem już pewność, że jestem bezpieczny, wyciągałem walizkę i starannie analizowałem metody i styl, jakimi w rozmaitych księgach posłużono się przy ilustracjach roślin i zwierząt. Najlepsze rysunki odznaczały się pewną spontaniznością, nieosiągalną dla mnie, a najgorsze były równie płaskie i martwe, jak musiały wyglądać modele w chwili ich rysowania; pochlebiałem sobie, że nie mógłbym zrobić tego gorzej.

Następnie szedłem na przystań rybacką i patrzyłem na ryby schwytane w sieci, w które czasami wpadało też przypadkowe, rozdęte ciało utopionego skazańca, który próbował ucieczki, a moje serce znowu wypełniało przerażenie, bo ruszająca się masa płetw i łusek zdawała się absolutnie przekraczać moje możliwości.

Jedyny talent w sztuce, jaki zdawałem się posiadać – umiejętność uchwycenia pewnego zasadniczego podobieństwa charakteru w karykaturach ludzkich twarzy – uruchomiłem pewnego wieczoru, rysując węglem na ścianie zakładu karnego. Wszyscy sypialiśmy tutaj w zawieszonych hamakach w długim i ponurym baraku.

I właśnie tutaj, wieczorem siódmego dnia mojej służby u Doktora, zabawiając współpracowników, szkicowałem prymitywną karykaturę nagiego Doktora. I wtedy zdarzyło się coś zaskakującego.

Doktorowi wyrosła płetwa grzbietowa.

Przerwałem na chwilę, lekko wstrząśnięty.

Ktoś uśmiechnął się kpiąco.

Capois Death zachichotał.

Zaraz podjąłem dzieło: przerobiłem jego oczy na wielkie posępne gałki, za którymi zaczęły rosnąć skrzela. Po czym na zewnątrz poza oczami zaczęło wyrastać pękate, pokryte łuskami ciało, zbyt rozdęte, które w całości pokryłem szalonymi pociągnięciami węgla niby niewielkimi kolcami. Na końcu tej kolczastej piłki można było dostrzec wystający ogon.

## IX

Następnego ranka pobrałem żywy okaz od grupy więźniów-rybaków, spędziłem troszkę czasu na sprzątaniu domu, a potem tak ustawiłem okrągły mahoniowy stolik, by złapać jak najwięcej porannego światła wpadającego przez pojedyncze okno, wziąłem pudło z przyborami i przystąpiłem do pracy.

Pogoda się zmieniała; słońce zaszło, po południu zaczął padać wczesnozimowy deszcz, nierówny i krótki, ale byłem zbyt zaabsorbowany, by w ogóle zwracać na to uwagę. Wykonałem kilka wstępnych szkiców, wszystkie na tym samym kawałku papieru, po czym zmarnowałem dwa idealnie nowe arkusze na obrazki, które w jednym czy drugim miejscu sknociłem, pierwszy przez przypadek, kiedy wylałem na stół niewielką buteleczkę indyjskiego tuszu, a po raz drugi po prostu nie uchwyciłem należytych proporcji ogona, ponieważ pragnąłem wykonać możliwie najbardziej realistyczny malunek.



Jednak trzecia próba spodobała mi się – och, zapewniam, że nie było to dzieło geniuszu, ale w lekko załęknionym, lekko wojowniczym spojrzeniu dużych źrenic wyczuwałem nagle podniecenie wędkarza i ryby, tak niespodziewanie złapanej. Ta przesadna wydatność czoła, z którego był tak dumny (zbiornik geniuszu, zwierzył mi się poprzedniego dnia, stukając się w czubek głowy)... czułem jego przytłaczający ciężar próbujący się wyrwać, pozwoliłem więc kresce wyzwolić się odrobinę w opuszczonych na dół mięsistych wargach, wskazujących na niemożliwe do ukrycia rozgoryczenie i zmysłowość zamienioną w gburowatą, opresyjną fizyczną obecność. W tym momencie cofnąłem się i och! – och, wiedziałem, że go mam, tak, to niewątpliwie był on, to rozdęte ciało, śmieszna ekspozycja kolców, no i ten humorystycznie mały ogonek na końcu cielesnego balonu, kiedy wreszcie wyłonił się z wody i stał się widoczny. Ogarnęła mnie fala radości, bo naprawdę go miałem, wreszcie go złapałem, żeby wszyscy mogli go zobaczyć.

Tego wieczoru, kiedy Doktor wrócił, wręczyłem mu mój pierwszy obrazek.

Trzymał go na odległość wyciągniętej ręki i spoglądał opuszczonymi w dół, tymi absurdalnie dużymi ciemnymi oczami ponad jakże płaskim nosem, patrzył w sposób, do którego zdążyłem już przywyknąć; rozpoczął długi wykład o obronnym usposobieniu ryby najeżki, która nadyma się, potrajając swe rozmiary i nastawia kolce, by onieśmielić inne ryby. Przez cały czas, kiedy mówił, nie przestawał manipulować obrazkiem; trzymał go w wyciągniętej ręce, przybliżał, kładł na stole, z powrotem brał do ręki, znowu się w niego wpatrywał, trzymając na odległość ramienia.

W końcu oświadczył, że jest znośnie wykonany.

I wtedy go odwołano, żeby wziął udział w egzekucji przez powieszenie, pozostawił więc mnie sam na sam z rybą najeżką w świetle późnego wieczoru.

Wziąłem nóż, który wisiał z boku kominka, i przytknąłem ostry czubek do napiętego ciała ryby. Następnie pchnąłem.

Ryba skurczyła się tylko trochę, a potem z nagłym świstem skóra pękła, a z ryby uszło powietrze z gwizdem przekłutego pęcherza.

Na stole leżała teraz zupełnie inna ryba niż kolczasty potwór, którego namalowałem: małeńka płotka o wielkich oczach; rzuciła mi oskarżenie, że nie rozumiem jej potrzeb; płotka ze zwiotczałą skórą, przebita wielkim nożem.

Wiedziałem, że nie dostanę polecenia, żeby namalować ją ponownie, że nawet grupa więźniów w kajdankach nie zgodzi się na żadną wymianę na tak trującą rybę. Wrzuciłem ją do ognia, gdzie owinęła się wokół powoli

żarzącego się polana niczym jeszcze jedna upadła dusza.



# SKABER, OBSERWATOR GWIAZD

*O wydzielinie trąbika – Powrót ptaków – Przecucie katastrofy – Awans Komendanta – Przejęcie przez niego władzy – Sprawa nacji – Panna Anne i jej subtelny wpływ – Wymyślenie Europy – Sprzedaż Australii – Rolo Palma i jego rozmowa z aniołami – Musha Pug – Jego nienawiść do utrzymanków – Gorączka kolei żelaznej*

## I

Pobjoy, zadowolony z ostatniego Constable'a, powrócił, przynosząc mi trochę jeży morskich do jedzenia. To niewielkie wynagrodzenie i niezbyt obfity posiłek, ale jest to dla mnie ważniejsze, niż Pobjoy może sobie wyobrazić. Zbieram ikrę w palce, choć prawdę mówiąc nie dla tego niewielkiego słonego przysmaku pragnę jeżowców; chodzi mi o jasnopurpurowe kolce, w które uzbrojona jest ich skorupka niczym jaskrawa wodna kolczatka. Podczas odpływu wczesnym wieczorem wrywam kolce ze skorup, biorę dwa z licznych małych kamyczków tworzących podłogę celi i mielę kolce między kamieniami na purpurowy proszek.

Następnie mieszam ten proszek ze śliną i tłuszczem, oszczędzonym ze zdarzających się czasami porcji stęchłego peklowanego wieprza, we wnętrzu gładkiej muszelki przegrzebka, która służy mi za kałamarz. W ten sposób przygotowuję sobie atrament. Patrzę, jak purpura wiruje w białej muszli, i myślę o tym, jak ten kolor imperatorów pasuje do następnej części mojej opowieści, gdzie jest mowa o tym, jak moje losy splotyły się nierozzerwalnie z losami Cezara mórz południowych, o którym nikt nie będzie pamiętał, a którego dręczyło przecucie spustoszeń, jakich niewątpliwie czas dokona w jego osiągnięciach.

Król, podejrzewam, uważa za dziwactwo, że poświęcę kilka stron na opowieść o Komendancie, ale jego historia jest moją historią i odwrotnie, ponieważ jego marzenia określiły moje przeznaczenie. Mówię Królowi, że w żaden sposób nie pojmie przewrotności mojego losu, jeśli nie zrozumie w pełni, jak Komendantowi udało się w końcu stworzyć nie jedno, ale dwa alternatywne piekła. Drugie, które miałem odkryć znacznie później – zbyt późno, jak się okazało – było tym, którego nieśmiertelne aspiracje naprawdę mnie przerażyły. Jednak skrajną perwersję jego osiągnięć mogą zrozumieć jedynie ci, którzy znają pełną, prawdziwą i straszną historię Komendanta. Nasze losy miały się wkrótce przemieszać, zupełnie niezależnie od naszych chęci.

Atrament, którym zamierzam zapisać tę historię, nie jest co prawda majestatyczną tyryjską purpurą, którą Stary Gould nazwałby liryczną – tą barwą uzyskiwaną przez starożytnych ze skorupiaków przez wyciskanie purpurowiejącej w słońcu wydzieliny z niewielkiej cysty w tyle głowy trąbików – farby tak cennej, że tylko najbogatsi i najpotężniejsi mogli sobie pozwolić na szaty w tym kolorze. Będzie to raczej purpura jeźwoców – co wydaje się odpowiednie dla kogoś, kto nie tylko nie urodził się w purpurze, ale walczył, kopał i zabijał, by zdobyć ten kolor, który blaknie o wiele za szybko. Nie usprawiedliwiam się więc z powodu tego, co jest zarówno oczywiste, jak konieczne: że proza, która nastąpi, ma również podobną barwę.

## II

Trajektoria jego życia była równie cicha i ciemna jak jego oblicze, które miał później ukrywać za złotą maską, choć chyba nikt nie wiedział, czy powodem był wstyd, skromność czy zażenowanie, podobnie jak nie wiadomo niczego o jego rodzinie czy przebiegu służby wojskowej. Był, podobnie jak traper z buszu Matt Brady, który zjawił się, by dręczyć go jeszcze bardziej, zagadką, choć zagadką innego rodzaju, bo o ile Brady zawsze pozostawał niewidzialny, wymykał się zarówno w życiu, jak w snach, to Komendanta można było zobaczyć wszędzie. Nikt jednak nie przyznawał się do bliskości czy zrozumienia, bo to oznaczałoby rzucenie wyzwania śmierci.

Krażyły opowieści – szeptane, a znacznie później, po jego rzekomym obaleniu, wykrzykiwane – że Komendant nigdy nie był popularny, że uważano go za idiotę. Nie da się zaprzeczyć, że jego równo rozdzielone i natłuszczone włosy, nos jak papuzi dziób, z niewytłumaczalnych powodów zawsze wystający przez otwór w złotej masce, lekko owcze osadzenie oczu, a także usta, nawet w złotym obramowaniu robiące wrażenie słabych i wykrzywionych; że wszystko to nadawało mu wygląd, który u władcy wydawał się bezwzględny i wspaniały, ale po utracie władzy zdawał się zwykłą minoderią.

Najdziwniejsza z historii powracała najbardziej uparcie: że on, tak samo jak my, był więźniem, człowiekiem zesłanym tutaj za niewypowiedziane przestępstwa, recydywistą pracującym w grupach Parramatty; że został ponownie skazany i zesłany na wyspę Norfolk, gdzie już zupełnie przestał się bać Boga, a tym bardziej ludzi.

Kiedy tę kolonię, świętą dla geniusza tortur, wreszcie zamknięto, a jej nieszczęsnych mieszkańców wysłano na Ziemię van Diemena, jego statek trafił na straszny sztorm i rozbił się na wysepce w Cieśninie Bassa. Jedyne on się uratował jako porucznik Horace, którego ciało – o wybladłej twarzy z tysiącem otworów wyżartych przez morskie wszy – morze wyrzuciło obok niego na brzeg w ten wczesny wieczór, kiedy niebo w jego przerażonych oczach pociemniało nie z powodu zmierzchu, ale dudniącej powodzi ptaków.

Nigdy nie widział czegoś podobnego. Setki tysięcy ptaków, może miliony, zasłoniły kulę słoneczną. Wszystkie ślizgały się gładko w jednym kierunku na swoich szerokich skrzydłach, zdawały się poruszać nimi niezbyt często i leniwie, powracały do swoich nor w piaszczystych wydmach i stanowiły zawsze przerażającą dla niego zapowiedź nocy.

Drzewa, schronienie i wygoda były czymś niespotykanym na tej wyspie. Oprócz niego i ptaków głównymi jej mieszkańcami były pchły, muchy, szczury, węże i pingwiny, których niemilknące wieczorne skrzeczenie połączone z zimnym wyciem zachodniego wiatru czyniło z nocy nieustający koszmar.

Przeżył wiele miesięcy na tłustym, podobnym do baraniny mięsie ptaków księżycowych, pocieszając się jedyną książką, którą wraz z nim zniósł na brzeg, *Historię wojen napoleońskich* Huntingtona, póki nie ocalili go dwaj kwakrzy-misjonarze, przeszukujący odludne dzikie wyspy cieśniny w poszukiwaniu kobiet z miejscowych plemion, kupionych lub porwanych przez łowców fok. Następnie oni sami kupowali lub porywali te kobiety, po czym przesłuchiwali je, żeby napisać pełne sprawozdanie o zdarzających się niegodziwościach do Londyńskiego Towarzystwa Przyjaciół, które opłacało ich misje. Kiedy dwaj kwakrzy wpłynęli swoją małą wiosłową łodzią wielorybniczą do skalistej, wietrznej zatoki, która przez tyle miesięcy stanowiła jego dom, zdołał już przekształcić się w kogoś innego. Nabrał tłustawego odoru pewnego autorytetu, a pod puchem ptaków, lekko fruwającym wokół jego twarzy i pod ubraniami, już wtedy zaczął przekonywać samego siebie, że musi coś wymyślić.



Wraz z kwakrami, czarną kobietą i trójką dzieci innej, nieżyjącej czarnej kobiety, za które łowcy fok dali kilka łuków i trochę cukru, wyruszył na południowy zachód. Cały tydzień płynęli przez cieśninę, a potem wzdłuż zachodniego wybrzeża Ziemi van Diemena, póki nie dotarli do niesławnej kolonii karnej na Wyspie Sary, stanowiącej obiekt kolejnego śledztwa kwakrów.

Tutaj rozeszły się drogi wybawców i ocalonego. Ten ostatni nauczył się od żarliwych i myślących misjonarzy poważnej retoryki penalizacji, a że sam dysponował zdobytą wcześniej i na niższym poziomie wiedzą o zwierzęciu tkwiącym w człowieku, te dwie struny poruszone smyczkiem jego rosnących ambicji wydawały mocno nieszczerzy akord. Ówczesny komendant, major de Groot, chętnie przyjął nowego żołnierza do niezbyt licznej wojskowej straży kolonii karnej, a porucznik Horace chętnie powitał okazję rozwinięcia własnej inwencji w wymyślaniu dotychczasowego przebiegu swojej służby wojskowej.

Po pogrzebie majora de Groota Doktor posprzeczał się z Intendentem, który z nich jako wyższy rangą urzędnik powinien przejąć dowodzenie. Kiedy się okazało, że sami nie potrafią przewyciężyć tego impasu, na scenę wkroczył porucznik Horace. Uznawszy siebie za jedyne go człowieka zdolnego utrzymać dyscyplinę wśród żołnierzy i porządek wśród zesłańców, ogłosił się nowym Komendantem. W sposób tak dla siebie charakterystyczny wykorzystał własne ograniczenia, deklarując, że wprawdzie nie zna prawa cywilnego, ale wystarczająco dobrze rozumie prawo uzbrojonych mężczyzn; polecił staremu nadętemu urzędnikowi duńskiemu Jorgenowi Jorgensenowi (nigdy, aż do jego śmierci, nie widziałem go bez koszmarnie pretensjonalnego naszyjnika z lapis lazuli, który podobno wygrał w skata od generała Bluchera podczas pobytu w Dreźnie) przygotowanie deklaracji stanu wyjątkowego. Był to pierwszy z dokumentów powstały w wyniku tej współpracy, która, jak się później przekonałem, miała się okazać długa i zadziwiająco płodna.

Nawet według paskudnych standardów tej paskudnej wyspy Jorgen Jorgensen – mimo swojej pretensjonalności – był żałośnie wyglądającym kawałkiem pelikaniego gówna, wydłużonym i ostrokątnym; jego ciało przypominało wieszak na ubrania, wciąż pamiętający ubranie, które spadło z niego wiele lat wcześniej. Niezmiennie nosił zbyt długą, rdzewiejącą szablę, którą włókł po piachu i błocie, a jego główny towarzysz – trzynogi kundel o imieniu Elsynor – kuśtykał w wyżłobionej przez szablę koleinie. Duńczyk często mamrotał coś pod nosem, czasami śpiewał psu, który potrafił stanąć na dwóch zdrowych tylnych łapach i odpowiadać gwizdaniem. Jorgen Jorgensen, podobnie jak jego pies, przyswoił sobie sztuczkę polegającą na gwizdaniu tej samej melodii co jego pan. Ten nędzny urzędnik w pewnym momencie uznał, że jego panem nie będzie już major de Groot, tylko porucznik Horace.

Nikt nie zastanawiał się zbyt wiele nad przejęciem komendy przez porucznika Horace'a. Uważano to za niezbędną formalność, dopóki gubernator Arthur w odległym mieście Hobart nie wyznaczy kogoś odpowiedniego i nadającego się na to stanowisko, bo obie te cechy nie rzucały się szczególnie w oczy u porucznika Horace'a. Porucznik po prostu nie przywiązywał najmniejszej wagi do niebudzących szacunku dziwactw własnego zachowania, jak choćby zatrzymanie czarnej kobiety, zostawionej przez kwaków pod jego opieką w zamian za solenną obietnicę dopilnowania jej moralnego i duchowego oświecenia. Skazańcy nazywali ją Dwupensową Sal, ale Komendant – jak wkrótce kazał się nazywać – u którego najpierw znalazła pracę jako służąca, a następnie dostąpiła zaszczytu stania się metresą, uparcie mówił o niej Mulatka. Być może w jego umyśle krzyżówka z kimś o mieszanym pochodzeniu była łatwiejsza do zaakceptowania niż kontakty z kobietą pochodzącą tak ewidentnie z Ziemi van Diemena. Ta sprawa, podobnie jak przekonanie, że zupełnie nie nadaje się na to stanowisko, początkowo śmieszyła go tak samo jak wszystkich. Mawiał nawet: „No, dotknij mnie, przekonaj się, że jestem taki sam jak inni, można mnie dotknąć”. Ale nawet kiedy to mówił, ptasi puch opadał z jego twarzy, ujawniając pod spodem coś podobnego do skały.

### III

Na początku, tak jak i na końcu, wszystko było zgodne z tym, co Komendant od dawna podejrzewał: był nieśmiertelny. Ci nieliczni, którzy wiedzieli, gdzie znajduje się Rejestr kolonii karnej, mówili, że nawet tam nie było szczegółowych danych na temat statku, na którym przyplął, podobnie zresztą jak nie było jego wojskowych dziejów, bo Jorgen Jorgensen wiele lat wcześniej na polecenie majora de Groota sprawdził wszystkie rejestry statków i nie znalazł ani jednej wzmianki na temat porucznika Horace'a.

Po tak niewczesnym odejściu majora, które zresztą plotka przypisywała działaniu trucizny, znaleziono oficjalne dokumenty (choć trzeba dodać, że jako luźne wkładki w księgach korespondencji majora de Groota), odnoszące się do podpisanych przez majora listów wyznaczających porucznika Horace'a na jego następcę. Później, jak wynika z zapisków na marginesie, listy te przepadły, niestety, w niewielkim pożarze, który wybuchł w Rejestrze zaraz po przejęciu kontroli nad kolonią przez porucznika Horace'a.

Początkowo nowy komendant stanowił wzór służalczości wobec swoich dalekich przełożonych. Kazał Jorgenowi Jorgensenowi sporządzać długie raporty dotyczące rozmaitych ulepszeń wprowadzonych przez niego do maszyny administracji karnej – reforma odżywiania sprawiała, że mniejsza ilość jedzenia, wystarczająca na dłużej, gwarantowała poprawę zdrowia i wigoru podopiecznych; nowe indywidualne klatki sypialne, długości człowieka i wysokości przedramienia, miały zapobiec niewymownemu grzechowi szerzącemu się wśród skazańców; korzystanie z huśtającego się nocnika z eliptycznym dnem wymagało użycia obu rąk, uniemożliwiając tym samym zbrodnię Onana, który marnotrawił nasienie, pozwalając, by rozlało się na piasku.

Nigdy nie przyszła żadna odpowiedź.

Żadne słowo pochwały, zachęty czy nawet dezaprobaty lub upomnienia.

Ton listów, które pisał dla Komendanta Jorgen Jorgensen, zaczął się zmieniać. Wyliczał teraz problemy związane z próbą prowadzenia kolonii złożonej z najgorszych typów skazańców, uprawiających niewypowiadalny grzech z żołnierzami o niemal równie złym charakterze – odróżniali się od skazańców jedynie bladym różem wypłowiałych czerwonych mundurów; z dylematem, jak zapewnić kolonii przetrwanie – a nie, jak od niego oczekiwano, zarabianie na sobie, skoro dostaje tak niewiele narzędzi, nie ma wykwalifikowanych robotników do budowania statków czy domów, nie ma pieniędzy ani zapasowej żywności, którą można by wymieniać z przejeżdżającymi kupcami. Błagał o niewielkie choćby powiększenie przydziałów. O kilku żołnierzach więcej. O kilku oficerów jakiegoś formatu, zamiast takich, którzy znaleźli się w niełasce z powodu zdefraudowania funduszy pułkowych czy przespania się z żoną dowódcy na wyspie Mauritius, czy, jeszcze gorzej, z samym dowódcą w Kapsztadzie.

Nie nadchodziły ani odpowiedzi, ani dostawy, ani posiłki.

Listy przybierały ton rozdrażnienia, złości, wreszcie stały się obraźliwe. W odpowiedzi nadeszło krótkie, obcesowe memorandum. Podpisał je podwładny sekretarza kolonialnego. Wymieniało obowiązki oficera i przypominało porucznikowi świętość roli, jaka mu przypadła, oraz konieczność jej wypełniania, dopóki gubernator nie wyznaczy następcy majora de Groota.

Dla Komendanta stało się jasne, że sądząc po skutkach, jego listy mogłyby równie dobrze zostać wrzucone do oceanu i pożarte przez gigantyczne wieloryby, których pojawianie się niemal co godzinę sygnalizowały dalekie tęcze wielorybich fontann. To w tym okresie Komendant popadł w bezmiar przygnębienia; trwało ono kilka miesięcy, podczas których nie golił się ani nie zmieniał ubrania.

Kiedy wyłonił się z tej zimy samotności, miał na twarzy wiecznie uśmiechniętą złotą maskę; były także inne dowody głębokiego wpływu, jaki wywarło na jego umysł długie osamotnienie po rozbiciu statku – wspaniały, nowy niebieski mundur, podobny do munduru marszałka Ney'a pod Waterloo – ze zbyt dużymi epoletami z piór, zadziwiająco przypominającymi rozpostarte skrzydła „ptaków księżycowych”. Nie wiem, czy założył maskę tylko po to, żeby ukryć, kim naprawdę jest, i uprzędzić możliwość zdemaskowania go jako oszusta, czy też włożył ją, bo chciał wymyślić siebie jako osobę, która nie była ani porucznikiem Horace, ani tym, kim był przed katastrofą statku, czyli jako zupełnie nową postać: Komendanta.

Mogę jedynie donieść, że uśmiechnięta maska wkrótce była wszędzie, błyszcząca, triumfalna, pokazująca nam odbicie naszej własnej zachłanności i pożądań, tak wszechobecna – że zdawało się – nikt nie zauważył, kiedy szybko i spokojnie przywłaszczyła sobie szeroką strzałę jako symbol własności rządowej, odbijaną zarówno na beczkach, jak i narzędziach, a potem wypalaną na naszych przedramionach w spektakularnej fuzji państwa, własnego ego i przemilczeń, tak charakterystycznych dla wielkiego człowieka.



Komendant odbył pierwszą z niezliczonych długich rozmów z Jorgenem Jorgensenem, po której Duńczyk zaczął pisać stale raporty do Biura Kolonii o nieustannym, choć niezbyt spektakularnym wzroście. W jego raportach postępowi przeszkadzały – nigdy jednak do tego stopnia, by go całkowicie zatrzymać – nieuniknione problemy izolacji, niekompetentnej i leniwej siły roboczej złożonej ze skazańców, braku wykwalifikowanych pracowników i narzędzi. Z raportów wyłaniał się obraz dobrze prowadzonego, szacownego przedsięwzięcia przynoszącego niewielkie dochody i pewne zdobycze, zarówno gruntów, jak i kryminalnych dusz. Ale jedynie Jorgen Jorgensen zauważył, że ślina błyszcząca w zagłębieniu połączonych ust Komendanta jest czarna od rtęci, której już używał, by leczyć syfilis.

Komendant polecił wówczas, by otworzyć magazyn intendentury dla handlu. Cały zapas beczek z soloną wieprzowiną, należący do kolonii, kazał wymienić z kupcem wielorybnikiem z Nantucket na dwa stare statki wielorybnicze, które zaraz wysłał z nowo skompletowanymi załogami skazańców na poszukiwanie wielkiej ryby Jonasza. Jeden statek zatonął wraz z całą załogą pod Helis Gates, drugi jednak powrócił do głodującej kolonii, która żyła na racjonowanych porcjach mąki i ryb, z dwoma fałdowcami na holu i Komendant rozpoczął handel olejem wielorybim.

Zyski przeznaczył na zakup kolejnych statków i wysłał inne załogi na wyspę, na której był rozbitkiem, żeby polowali na „ptaki księżycowe” z powodu ich mięsa i na foki z powodu skór. Ze skazańców, których darzył zaufaniem, stworzył elitarną straż i kazał jej wystrzelać połowę żołnierzy, o czym nie poinformował władz kolonii, toteż nadal otrzymywał dla nich żołd. Podwoił liczbę wycinanych drzew, a o połowę zmniejszył ilość drewna wysyłanego władzom kolonii; kiedy handel znacznie się ożywił, wycinał cztery razy więcej drzew, a jako żaloszny trybut wysyłał teraz do miasta Hobart zaledwie czwartą część dawnej ilości drewna. Towarzyszyły temu listy informujące o właściwie nierozwiązywalnych problemach: o kiepskich narzędziach, niedoświadczonych drwalach, epidemiach niewypowiedzianego grzechu i pogodzie tak strasznej, że rzeki zamarały na sześć miesięcy w roku.

Handel wymienny stawał się coraz bardziej ekstrawagancki i egzotyczny: kilkanaście beczek oleju z wieloryba za dekadenski zapach jednej przejrzałej gujawy; narzędzia cieśli okrętowego za jaja iguany; statek wielorybiczny za duży ładunek zielonych bananów; bardzo cenione czerwone mundury za jedwabne turbany.

Bez względu na to, co portugalscy kupcy szeptali swoim brazylijskim marynarzom przy wyładowywaniu z luków statku piór z Moluków, wbrew temu, co wypowiadali bosonodzy więźniowie podczas okrutnej, niekończącej się mordęgi ciągnięcia olbrzymich kłód drewna przez bezdroża deszczowego lasu na zmarznięty brzeg rzeki – nie cały prowadzony przez niego handel był całkowitym szaleństwem.

Za sosnę, której żywicę reklamował jako afrodyzjak i lekarstwo na trypra, co czyniło z tego produktu podwójnie cenny cud, równocześnie wspomagający użytkowników w miłości i stanowiący obronę przed jej skutkami, uzyskiwał najdelikatniejsze jedwabne materie z Indii. Za stadko kakadu z żółtymi grzebieniami, które przemalował tak, żeby wyglądały na młode ary, i wyuczył recytowania melancholijnych wierszy w stylu Pope'a oraz wielu namiętnych pieśni w bardziej przyziemnym żargonie przyuczających ptaki skazańców, uzyskał czternaście brazylijskich karawel i siedem armat, które szybko wymienił na księstwo w Sarawaku, wygrane przez lewantyńskiego kupca w tarota w drodze na południe do sławnego królestwa Wyspy Sary. Sprzedanie tego księstwa sfinansowało budowę pałacu i nowe nabrzeże.

Za kontynent australijski, nad którym ostatnio ogłosił suwerenność, wysyłając Muszę Puga, by dowiosłował do lądu i zatknął nową flagę Księstwa Wyspy Sary na opuszczonej plaży, otrzymał gromadkę syjamskich dziwek. Początkowo uprawiały swój zawód w zagajnikach paproci z pierzastymi liśćmi, kiedy jednak zaczęło się wcześniej ściemniać, a zagajniki zrobiły się wilgotne, syjamskie dziewczyny nabrały zwyczaju gromadzenia się pod osłoną pierzastych liści paproci wzdłuż chronionego północnego muru zakładu karnego. Tutaj natarczywie zachwalały swoje rzemiosło i nawoływały łazęgów, by udowodnili swoją męskość. Piły ich nasienie w nadziei, że leczy gruźlicę, która stała się wśród nich plagą.

Reputacja Komendanta rosła, powtarzano jego imię daleko i szeroko, zaczęły się pojawiać statki z różnymi kupcami, handlowcami, żebrakami i szarlatanami. Komendant wszystkich witał życzliwie i to, co zaczęło się w sobotnie popołudnie jako ukradkowy handel pod południowym palisadowym murem, administrowanym, ale nie kontrolowanym przez złoczyńców, rozrosło się w targ, potem w bazar, który z kolei stał się ideą narodu. „Bo czymże jest naród? – pytał Komendant Doktora, a jego wysoki głos brzmiał dziwnie i skrzekliwie jak stara piła, kiedy powtarzał: – Jeśli nie są to ludzie mający flotę handlową? Czyż język to nie dialekt wsparty wojskiem? Czyż literatura to nie słowa sprzedawane jako proveniencja?”.

#### IV

Wcielenie się Komendanta w porucznika Horace'a miało jedną nieprzewidzianą konsekwencję: otrzymywanie poczty nieboszczyka. Nie było w niej nic niezwykłego, przychodziła rzadko, jeśli nie liczyć niepowstrzymanej rzeki listów od siostry nieżyjącego porucznika, panny Anne. Z niektórych wtęgotów w listach Komendant odniósł wrażenie, że prawdziwy brat panny Anne, zanim przeborowały go po śmierci morskie wszy, miał dosyć borowania przez korespondencję panny Anne. Jeśli w ogóle odpowiadał na te listy, to niesłychanie rzadko. Jednak Komendant, zastępczy brat panny Anne, okazał się bardziej oddanym korespondentem. Pisywał regularnie i z entuzjazmem, czasami na jej każdy list wysyłał dwa lub nawet trzy.

Początkowo zamierzał pewnie wykorzystać te listy jako niewielką bibliotekę potrzebnych informacji natury osobistej, które pomogą w udawaniu nieżyjącego brata panny Anne. Zamiast pisać o sobie, zappełniał stronicę – natrafiłem po latach na odpisy listów w księdze korespondencji – pytaniami, które miały wyciągnąć od niej szczegóły dotyczące rodziny, otoczenia, jej zainteresowań, pasji, entuzjazmu.

Jednak korespondencja szybko zaczęła żyć własnym życiem. Czy wynikało to bezpośrednio z tego, co pisała, czy z tego, jak Komendant odczytywał listy, w każdym razie doszedł do przekonania, że jego nowo odnaleziona siostra jest osobą absolutnie nadzwyczajną. Panna Anne, pławiąc się w zupełnie świeżym zainteresowaniu brata, zachwycona tym, że docenia ją coraz bardziej, pisała coraz bardziej i bardziej ze szczerego serca. Ton listów panny Anne uległ takiej zmianie, że Komendantowi wydawało się, jakby pisała je zupełnie inna osoba, którą uważał teraz za swą autentyczną krewniaczkę. A kiedy jej listy się zmieniły, Komendant nie traktował ich już jako niezbędnych materiałów poznawczych, stały się raczej namiętnością domagającą się demonstracji. Bo w miarę jak rosła jego wiara w nienaruszalność własnej pozycji lidera wyspy, wzrastało też poczucie odizolowania od innych ludzi. Jedynie w listach panny Anne mógł znaleźć zarówno źródło bliskości, jak i inspirację, która wymagała – był o tym coraz bardziej przekonany – jakiejś nagrody.

Posłużyłem się obrazem nieposkromionej rzeki, mówiąc o listach miss Anne, ale jest to opis niedokładny. Niewątpliwie jej czarujące opowieści wydawały się pisane miarowo i systematycznie, dwa, czasami trzy razy w tygodniu; ale dostarczano je, a więc były czytane, jedynie raz czy dwa razy w roku – toteż ich wpływ na umysł Komendanta nie przypominał łagodnej erozji strumyka podmywającego brzegi, a raczej falę przyływu, niszczącą wszystko na swojej drodze.

Kiedy później malowałem wiele z tych listów, ich tonacja niezmiennie wydawała mi się entuzjastyczna, forma rozbuchana, zdania wpadały na siebie, słowa przeskakiwały idee, pisząca dostawała zadyszki, by opowiedzieć komuś, kogo uważała za młodszego brata, o wszystkich nowych cudach stulecia, które nabierały jeszcze większej wagi w zestawieniu z bardziej osobistymi wtrętami – herbata z siostrą George'a Stephensona, która zachwyciła się jej pomysłem nazywania lokomotywy „żywiolowym grzmotnikiem”; niezwykle wieczór spędzony na obserwowaniu nęcenia niedźwiedzia w Five Courts, gdzie przedstawiono ją poecie Johnowi Keatsowi, z którym wymieniała uwagi, jak pisała, o nieznośnych braciszkach zagubionych w Nowym Świecie.

Te listy dręczyły Komendanta, któremu bardzo silnie dokuczał patos oddalenia. Zniekształcały perspektywę postrzegania Starego Świata, umniejszały codzienność, banalność, matactwa i przeciętność Europy, a wyolbrzymiały cudowność, nadzwyczajność, zadziwienie tym odległym światem, do którego trzeba podróżować sześć miesięcy.

W umyśle Komendanta wydarzenia w Europie zaczynały wyglądać na epokowe i powiązane między sobą w sposób najbardziej nieoczekiwany. Toteż lokomotywa parowa, *Don Juan* Byrona i wspaniałe naukowe kominki barona Rumforda – zrodzone z cudownych osobistych asocjacji miss Anne – zlewały się symultanicznie w imaginacji Komendanta w jedno, tworząc ideę bezdymnej, romantycznej podróży i rozkoszy cielesnych, za którymi później miał się uganiać z szalonym wręcz zapalem.

Pewnego wieczoru, kiedy oczy pod złotą maską zmęczyły się wreszcie nieustannym odczytywaniem cudownych listów i zamykały się w przyjemnym przewidywaniu nadchodzącego snu, uświadomił sobie, że wszystkie nowe cuda technologii w Europie zostały albo wymyślone przez pannę Anne, albo są bezpośrednim wynikiem jej dobrych uczynków, mądrych rad czy uprzejmości: dotyczy to lokomotywy, parowych statków, parowej prasy czy generowania ponadnaturalnej siły elektryczności – wszystko to były panny Anne!

A potem, po upływie pewnego czasu musiał przyznać w głębi duszy, że nie tylko technologia, ale nawet sam cud nowoczesnej dziewiętnastowiecznej Europy są najwyraźniej bezpośrednią konsekwencją imaginacji jego siostry. Z siłą najgłębszego objawienia uzmysłowił sobie, że siostra wymyśla Europę, i jego ciałem wstrząsnął pojedynczy, gwałtowny dreszcz.

Następnego ranka, kiedy posadził starego Duńczyka do liczenia na olbrzymich liczydłach miesięcznych dochodów ze spermacetu, zaczął się zastanawiać, czy nie powinien postąpić tak samo. Kiedy białe i czarne kulki poruszały się tam i z powrotem, w jego głowie przebiegały inne kalkulacje, z których wynikało, że kolonia karna na Wyspie Sary może się stać produktem jego wyobraźni dokładnie tak samo jak Europa panny Anne.

Krzyknął tak głośno, że staremu Duńczykowi liczydła wypadły z ręki i rozbiły się na kamiennej posadzce celi Komendanta. Czarne i białe kulki toczyły się we wszystkie strony, stary Duńczyk próbował je zbierać, a Komendant potrząsał głową, doznawszy olśnienia. Wymyślił na nowo Europę na Wyspie Sary, tylko tym razem będzie ona jeszcze bardziej niezwykła niż wszystkie opisy w listach siostry.

Tego dnia, gdy się okazało, że obliczenia starego Duńczyka to tylko pewna liczba czarnych i białych kulek toczących się w kurzu, Komendant odkrył zainspirowane przez conocne powroty ptaków monochromatyczne sny, wybuchające kalejdoskopem kolorowych pragnień. W morzu krwi zesłańców, którą, według swoich późniejszych twierdzeń, przelał jedynie w celu poprawienia losu swojego ludu, listy panny Anne będą dla niego od tej pory szalonym magnesem. Posłuży się nim do nawigacji w tej dziwnej podróży z niechętnymi pasażerami.



## V

W owym czasie moje życie weszło w tryby pewnej rutyny, która nawet jeśli nie była przyjemna, to – w porównaniu z losem większości współzesańców – przynajmniej znośnie wygodna. Choć nadal sypiałem z pozostałymi skazańcami w zakładzie karnym, to pomiędzy porannym a wieczornym apelem mogłem właściwie robić to, na co miałem ochotę, i chodzić po całej wyspie. Otrzymywałem dodatkowe jedzenie, rację rumu, wolno mi było uprawiać niewielki ogródek warzywny na własny użytek, obok zagrody Castlereagha. Miałem nawet kobietę, co w kolonii pełnej mężczyzn nie należało do drobnostek.

Była to kochanka Komendanta, Dwupensowa Sal. Mój związek z nią był więc odpowiednio ryzykownym, ukradkowym romansiem, skrywanym przed wzrokiem wszystkich, podejmowanym tylko w jednym miejscu, dokąd nikt się nie zapuszczał: w niewielkim fragmencie buszu między zagrodą Castlereagha a stromym brzegiem w głębi.

Tutaj, pod osłoną gęstwiny drzew herbacianych i rosnącej przyzmy świńskiego gówna, przechowywaliśmy w pojemnikach z terakoty przemycone zapasy prymitywnego grogu, który fermentowaliśmy z kradzionych porzeczek i cukru. Barwiliśmy go potem na zielono i perfumowali liśćmi sasafrasu na cześć Łotrowskiej Zupy Capois Death. Choć zawsze mówiłem, że idę malować ryby, w istocie przebywałem w gąszczu herbacianego drzewa, łowiąc uroki Dwupensowej Sal.

Ukryci przed światem, spędzaliśmy tu kolejne dni. Był początek zimy. Brutalne zachodnie wiatry przelatywały nad wyspą, ale na drzewie herbacianym było nam przytulnie, ciepło i bezpiecznie. Tu wymienialiśmy słowa.

Moje ulubione: Moinee.

Jej ulubione: kompan.

Dwupensową Sal bardzo ekscytowały opowieści o Londynie. Była zarazem przerażona i podniecona opisami tłumów większych niż największe skupisko kangurów, budowli tak wysokich i stojących tak blisko siebie, że tworzyły doliny, przełomy i kotliny bez śladu drzewa. Ona z kolei opowiadała historie o tym, jak powstała Ziemia van Diemena, kiedy to bóg Moinee stworzył ląd, a potem rzeki za pomocą wydmuchiwania i wdmuchiwania ziemi, z czego powstały również góry.

– A jak powstała zatoka Macquarie? – spytałem pewnego dnia.

– Też Moinee?

– Zatoka Macquarie? – powtórzyła. – Kompanie to nocnik Moinee.

Pachniała marynowanym śledziem, a ja podawałem jej swoją fajkę. Trzymała ją mocno w zębach i drgała jak ryba, a potem pachniała zupełnie czym innym, lepszym, a jeszcze potem zakorzenialiśmy się pływaliśmy fruwaliliśmy baraszkowaliśmy zupełnie cudownie. Miała niewielkie piersi, szeroką talię, chude piszczele i początkowo była nienasycona w kochaniu. Robiła przy tym dużo hałasu, coś pomiędzy nocnym skrzekiem tasmańskiego diabła z Ziemi van Diemena a tupaniem, co było odgłosem zarówno przyjemnym, jak przerażającym, ponieważ oznaczało, że narażamy się na ryzyko złapania, nawet jeśli Castlereagh głośno chrumkał w tle. Całkowicie ignorowała wszystkie moje błagania, żeby radowała się miłością w milczącym zachwycie. Niewiele wiedziała o wstydzie, a kiedy ogarniała ją namiętność, co na początku, jak już wspomniałem, zdarzało się częściej niż często, wzięłaby mnie równie chętnie w obecności Doktora, Komendanta czy skutych łańcuchem skazańców.

Nie byłbym jednak uczciwy, gdybym powiedział, że wszystko było w porządku ze mną i z moimi rutynowymi zajęciami, które – o czym jeszcze nie wiedziałem – miały się wkrótce skończyć. Spoglądając wstecz, mogę powiedzieć, że już wtedy wszystko zaczynało się rozsypywać. Po jakimś czasie Dwupensowa Sal nabrała niezbędnej ogłady, ale równocześnie zupełnie straciła zainteresowanie moją osobą i spędzała czas z Mushą Pugiem, psem, który za donosicielstwo został wynagrodzony wygodnym przydziałem pomocnika magazyniera w intendenturze, przez co miał znacznie lepszy ode mnie dostęp do jedzenia, grogu i tytoniu. A ja, który uważałem jej obecność za coś aż tak oczywistego, tęskniłem za nią znacznie bardziej, niż mógłbym przypuszczać.

Na szczęście mój styl malowania ryb się poprawiał, a wraz z nim perspektywy przeżycia. Moje obrazki redukowały się do najistotniejszego, stawały się użyteczne jak dobre buty, solidne jak dobrze wpasowany bezanmaszt na statku jakże chwalebnej nauki Budyńia.

W każdym razie Budyń był bardzo zadowolony, czasami wręcz promieniał, kiedy w jego marzeniach pojawiały się obrazki Chwalebного Powrotu Wielkiego Przyrodnika i Znanego Ichtologa Lempriere'a do Stołecznego Londynu; kiedy milcząco przepowiadał sobie rozmowy z damami z towarzystwa, które podczas wielkich wieczorów nauki padały mu do stóp, dopytując się, jak przetrwał wśród dzikusów, w dżungli, gdzie pełno wygłodniałych Hotentotów, a on z największą pokorą odpowiadał:

– Pani, ponieważ wierzyłem w Naukę i mój drobny udział w jej świętej misji.

## VI

Diabeł objawia się w różny sposób, ale nigdy nie jest łatwo zredukować go do ilustracji. Moja praca stawała się coraz bardziej frustrująca i wcale nie powinno dziwić, że wymowna i świetlista nazwa „obserwatora gwiazd” podsunęła mi wyobrażenie zupełnie innej ryby niż ta, którą pewnego ranka dostarczyło mi do malowania rybackie komando. Wyobrażałem sobie rybę obdarzoną jakimiś eterycznymi właściwościami, czymś w rodzaju umiejętności medytacji wcielonych w ciało rybie. Tego rodzaju ryba, uznałem, byłaby idealna do malowania akwarelą, która, jak mi się wydaje, z trudem ujmuje gęstość, ale ma pewną zdolność oddawania przechodzącego światła.

Jednak obserwator gwiazd, którego dali mi skazańcy-rybacy, wcale nie był łatwy do malowania. Nie wiem, dlaczego tak mi się wydało, choć w ciemności jego istoty, w groźnym wyglądzie, w szatańskich rożkach po bokach straszliwej byczej głowy, w pionowych ustach zamkniętych w stałym grymasie niezadowolenia, w oślizgłej skórze, w dziwności oczu osadzonych na czubku głowy, nie z boku – jakby zawsze patrzyły do góry w niebo, i stąd ta czarująca niebiańska nazwa – w tym wszystkim kryła się sugestia czegoś, co odbierałem jako znajome, niejako obce. Nie potrafiłem jednak powiedzieć, na czym polegała owa znajomość ani dlaczego tak mnie na początku zaniepokoiła.

Łatwo sobie wyobrazić, że obserwator gwiazd jest przerażającą rybą, ale dopiero gdy zobaczyłem go po raz pierwszy w jego własnym świecie, pojąłem jego prawdziwą naturę. Poszedłem na molo rybackiej przystani, żeby podziwiać ostatnią zdobycz grupy rybołówców – gigantycznego dorsza z wielką piłką w żołądku. Pod warstwą mlecznej skóry nadal dało się rozpoznać tę kulę jako głowę Doughy Proctora – bo nic więcej nie pozostało po nim od chwili, gdy podjął próbę ucieczki, przywiązawszy się do starej beczki po peklowanej wieprzowinie. Szef grupy rybaków łowiących w sieci, Wołoch z Lewantu o nazwisku Rolo Palma, pokazał gestem ręki, żebym podeszedł do niego na koniec mola i spojrział w morze.

W pewien sposób ta milkiwość była zarówno cechą charakterystyczną kraju, z którego pochodził, jak i samego Rolo Palmy, bo jego los miał być związany z innymi krajami. Wylądowawszy w Anglii, zorientował się, że typowa angielska przyjaźń objawia się brakiem wszelkiej konwersacji, więc na wzór swego bohatera Swedenborga zaczął rozmawiać z aniołami. Miał bujną wyobraźnię, bardzo się interesował światem przyrody i każdą możliwością – gdyby nie przeszkodziło temu jego działanie zgodne z poleceniami aniołów, które zmusiło go do przymusowej emigracji na Ziemię van Diemena w ramach kary za morderstwo – wymyślenia systematyki historii naturalnej, jeszcze bardziej szalonej niż system podziwiany przez Doktora. Musiał jednak zadowolić się rozważaniami nad egzystencją mitologicznych stworzeń, takich jak minotaur czy gryf, w Ziemi van Diemena, i na pokazywaniu mi jakieś pięć stóp pod wodą dwojga diabelskich oczu wystających z morskiego dna. Ryba, do której należały te oczy, tkwiła zanurzona w piachu: gigantyczny łeb, szatańskie różki, ciało cyrkowego siłacza – nieruchoma, napięta, ukryta, czekająca na moment, gdy nad głową zacznie się unosić mała flądra.

Potem była eksplozja piasku, z której wyłoniło się wielkie cielsko obserwatora gwiazd, jakby kształtowało się ze stworzonego przez siebie chaosu. Olbrzymia gęba otwierała się i zamykała równocześnie, wszystko naraz. Ciało sprężyło się i skoczyło, wyrzucając rybę do góry i przygważdzając niczego niepodejrzewającą flądrę; jedynie Rolo Palma wiwatował i wirowała zapiaszczona woda, sugerując odchodzące życie.

Kreska na pierwszym obrazku była słaba i nie pokazywała możliwości zagrożenia. Nie udało mi się ukazać monstualnych proporcji, zbyt dużego łba, który dominował nad podporządkowanym mu wysmukłym ciałem, a kolory nie nadawały się do odtworzenia napięcia, obecnego w umięśnieniu każdej ryby, ale szczególnie u obserwatora gwiazd.

W takich chwilach, kiedy ryba stawała się jedynie nędzną naukową ilustracją, w mojej głowie niczym nieproszony gość pojawiał się żaloszny obraz pana Cosmo Wheelera, wymyślającego na nowo świat jako wielką maszynę parową, podobną do tych, jakie próbował rozwalić niszczyciel maszyn – tryb w miażdżącym trybie, i ja, i wszystkie ryby gniecione na masowy posiłek pomiędzy mielącymi zębami systematyki.

Pracowałem wciąż od nowa nad moimi szkicami i malunkami, aż stawały się nadmiarem krzyżujących się kresek i barw, tworzących sieć do schwytania ryby, ale sama ryba nadal mi się wymykała. W końcu wykonałem obrazek, który nadal był przeciętny, ale miałem nadzieję, że wystarczy dla Doktora. I wtedy ryba się zepsuła, a chociaż została ugotowana i zjedzona pod postacią zupy, grupa łowiąca w sieci nie była uszczęśliwiona moją prośbą o drugiego obserwatora gwiazd, bo uważali, że zostanie w podobny sposób zmarnowany.

Jak się okazało, w ogóle nie musieli przekazywać mi ryby, bo moje losy miały przybrać jeszcze jeden obrót na lepsze, nim wszystko diabli wzięli, a samo piekło przyszło do nas.



## VII

Nigdy nie zgadzałem się z tym, że książka nie powinna odchodzić od głównego tematu w dygresje. Bóg podobnie, bo wszak robi z tych dwudziestu sześciu liter to, co chce, a Jego historie są równie dobre jako Z-E-D czy A-B-C.

Jedyne osoby, które wierzą w proste drogi, to generałowie i woźnice pocztowych dyliżansów. Jestem pewien, że w tym względzie Król zgadza się ze mną. Nie wątpię, że jest zwolennikiem zakrętów, objazdów i zwiedzania, które, choć stanowi jedynie rozwijającą się sztukę rozczarowania, czyni jednak z podróży niezapomniane przeżycie, bo tym właśnie powinna być podróż.

Zapalając się do swojej idei, podsunąłem Królowi, że ów problem dróg oznacza fundamentalną różnicę pomiędzy starożytną cywilizacją grecką a rzymską. Budujesz prostą drogę jak Rzymianie i będziesz miał szczęście, otrzymując trzy słowa: *veni, vidi, vici*. Masz krętą dróżkę dla kóz, jak robili Grecy na Akropolu, i co z tego wynika? Cała cholerna *Odyseja* i *Król Edyp*, właśnie to. Król, do pewnego stopnia klasycysta, wpatruje się w sufit; jego myśli wypełniają gryfy, centaury, no i oczywiście Pliniusz.

*Jak mógłbym zapomnieć o Pliniuszu?*

Po raz kolejny Król mędrzec wygrał, pokazując, że uogólnianie jest idiotyzmem, bo Pliniusz może sobie być Rzymianinem, a jednak stworzył książkę bardziej pokrętną i powyginaną niż twarz Capois Deatha tamtego dnia, kiedy powrócił, żeby wmieszać mnie w jeszcze jedną dygresję. Ten czarny właściciel pubu zdawał się powracać w moim życiu w regularnych odstępach czasu z obietnicami bezgranicznej nadziei i opuszczać je, pograżając mój świat w całkowitej rozpacz. Uosabiał Przygodę, ja zaś byłem Zazdrością, on Kłopotem, a ja Ekscytacją, on mówił, a ja już nie słyszałem, myśląc marząc pragnąc, by ucieczka stała się teraz możliwa.

Capois Death był tak radosny, jakby właśnie uwolniono go z Chrabąszcza, uśmiechał się, jakby sam Brady był jego najbliższym kumplem, śmiał się, jakby był największym elegantem miasta Hobart; przekroczył próg domu Doktora z okrzykiem „Do diabła z rybami, Billy chłopcze!”. Zanim zdążyłem powiedzieć słowo, rzucił mój malunek obserwatora gwiazd w wygasłe popioły na ogniu Lempriere'a i natychmiast podjął pogodną paplaninę:

– Mamy lepsze rzeczy do roboty.

Nawet w rządowych szmatach dobrze się prezentował, przynajmniej w moich oczach. I jak zwykle udało mu się z powrotem wnieść po szczeblach drabiny Wyspy Sary. Teraz był, jak powiedział, urzędnikiem na stacji Narodowej Kolei Wyspy Sary, komisarzem odpowiedzialnym za podróże.

Pod wpływem historyjek panny Anne o nowych parowych lokomotywach, które stały się tak modne w Europie, Komendant, coraz bardziej sfrustrowany w swoich pragnieniach przedstawienia się w roli męża opatrnościowego, zafascynowany listami siostry opisującymi ekscytację narodzin Nowego Wieku i jazdy koleją żelazną z Manchesteru do Liverpoolu, już przed trzema laty zadekretował budowę wielkiej stacji kolejowej.

Było to olbrzymie przedsięwzięcie, wymagające wydobywania piaskowca z kamieniołomu, przewożenia go z odległego miejsca na wybrzeżu, zakupienia i złożenia maszyn niezbędnych do warsztatów, kuźni i fabryk nieodłącznych od wielkiej stacji kolejowej. Niektórzy wyrażali nieśmiałą wątpliwość, czy stacja kolejowa na wyspie pośrodku pustki, położonej z dala od wybrzeży równie nieuczęszczanego lądu, pustki tak nędznej, że istnieje jedynie jako więzienie, ma w ogóle szanse zostania stacją końcową lub początkową jakiegokolwiek podróży. Tego typu argumenty spokojnie odpierała niezachwiana pewność Komendanta, że linie kolejowe wyrastają ze stacji, tak jak korzenie wierzby dążą do jeziora, w związku z czym niebawem będzie to najbardziej ruchliwa stacja na antypodach i wkrótce mieszkańcy Manchesteru i Liverpoolu będą z zazdrością, wręcz z zawiścią mówić o stacji Narodowej Kolei Wyspy Sary. W ten sposób, twierdził – a niektórzy utrzymywali nawet, że złota maska się uśmiechała – zamienimy naszą tyranję izolacji na swobodę handlu.

Położono dwieście jardów torów do parowozowni, wokół której biegła pętla, tak by lokomotywy – kiedy wreszcie wychyną z lasu deszczowego – mogły zawracać albo na gigantycznej drewnianej obrotnicy, poruszanej za pomocą wału popychanego przez dwudziestu paru zesłańców, skierowanych tu od innych zadań, albo objeżdżając pętlę i wracając na stację. Kiedy po paru miesiącach nadal nie było najmniejszych oznak torów wyrastających z okolicznej głuszy na podobieństwo wierzbowych korzeni, żadnych śladów żelaznych mostów pomiędzy wyspą a kontynentem, Komendant oznajmił, że zamówił parowy pociąg u amerykańskiego wielorybnika za resztki złota, jakie zarobił na sprzedaży Rzeki Gordona i Wielkiej Rafy Koralowej.

## VIII

Billy'emu Gouldowi nie brakowało problemów na Wyspie Sary. Jednak w porównaniu z Capois Deathem miał szczęście. Wkrótce po przybyciu na wyspę Capois Death znowu spotkał Ryczącego Toma Tkacza, któremu udało się załatwić dobry przydział dla swego dawnego gospodarza – do grupy zbierającej skorupiaki. Tam Capois Death wzbudził złośliwą wrogość policjanta-zesłańca o nazwisku Musha Pug, nadzorcy grupy, który znalazł się na wyspie po nieapetycznej przygodzie z owcą. Podczas procesu Pug, skazany za sodomie, uznał niesłusznie, że został oskarżony o pederastie. Zapytany przez sędziego, co może powiedzieć na swoją obronę, poczuł się zobligowany do wskazania, że przyłapano go nie z baranem, ale z owcą. Od tamtej pory nienawiść do chłopców handlujących swoimi wdziękami – z którymi, jak sądził, tak niedopuszczalnie go pomyłono – stanowiła jego napędową siłę, a na Wyspie Sary znalazł wiele możliwości jej wyrażenia.

Capois Death po donosie Mushy Puga, że sprzedaje jedwab ze statków syjamskim dziewczynom z paprociowych gajów, dostał setkę razów, na tydzień przywiązano go do Kołyski, a potem zesłano nad Rzekę Gordona, by pracował jako drwal. Pewnego wieczoru pod cętkami cienia rzucanego na blask ognia przez zwieszające się nad nim liście wspomniał tragiczną historię niszczyciela maszyn z Glasgow i opowiedział ją kolegom drwalom, mówiąc o morderczej sile maszyn parowych językiem tak obrazowym, że uznano go błędnie za obznajmionego ze sprawami mechanicznymi.

Kiedy w następnym miesiącu nadeszły na wyspę olbrzymie drewniane skrzynie z kutymi żelaznymi częściami, oznakowane „Lokomotywa”, towarzyszące im skomplikowane instrukcje montażu przewyższyły pomysłowość nawet najlepszych cieśli okrętowych. Rozpacz Komendanta była absolutna, dopóki nie otrzymał od Mushy Puga za pośrednictwem rozległej sieci szpiegów nieprawdziwej informacji, że jeden z drwali pracujących nad Rzeką Gordona przechwalał się, jak to kiedyś budował maszyny parowe.

Po otrzymaniu wezwania Capois Death udzielił Komendantowi wszelkich zapewnień, a cieślom okrętowym pokrętnych instrukcji, opartych na niejasnym wspomnieniu czytanej kiedyś broszurki o nowym cudzie George'a Stephensona. Jednak dopiero gdy Komendant zapowiedział Capois Deathowi, że zmusi jego i cieśli do ucztu złożonej z ich własnych jaj, które najpierw każe im odciąć, a potem upiecze na ogniu z ich beżużytecznych rąk, dopiero wtedy Capois Deathowi udało się przekonać okrętowych cieśli, żeby spróbowali zrozumieć to, co wydawało się pozbawione sensu, i złożyli z bezładnych kawałków lanego żelaza lokomotywę, której niepowtarzalną cechą był niewielki maszt; wspierające go kable podtrzymywały podwójny komin wystający horyzontalnie po obu stronach zbiornika niczym woskowane wąsy.

Kiedy w końcu złożono maszynę parową, Komendant nabrał zwyczaju opuszczania co wieczór wyspy z wielką pompą, w towarzystwie dwóch syjamskich dziewcząt, przy akompaniamencie grającej orkiestry, strzelających armat i defilujących żołnierzy. Jechał dwieście jardów pociągiem ze stacji do parowozowni. Tutaj pociąg pozostawał przez resztę wieczoru, jeżdżąc w kółko, póki maszynista nie zaczynał wymiotować. Zewnętrzne koła tak się zużywały pod wpływem dodatkowej siły odśrodkowej, że pociąg lekko się przechylał. Wewnątrz melancholijny Komendant zapadał w sen z głową na kolanach którejś z syjamskich dziewcząt.

Kiedy po kolejnym roku nadal nie było śladu przyjeżdżających pociągów, Komendant wysłał w głąb lądu cztery grupy poszukiwawcze, żeby sprawdzić, z jakich kierunków muszą niewątpliwie nadciągać nowe linie kolejowe. Żadna grupa nie powróciła. Podczas ich nieobecności Komendant przeprowadził procesy w trybie doraźnym, podczas których skazano wszystkich członków owych grup poszukiwawczych zagubionych gdzieś w Transylwanii. Od uciekiniera, który wrócił, a którego przypalono gorącym żelazem, Komendant dowiedział się prawdziwej historii ich zniknięcia; jak się okazało, wszyscy wsiedli do ekspresowej lokomotywy zmierzającej do angielskiej krainy jezior na przydrożnej stacji koło Frenchman's Cap – na której przypadkiem wsiadał Brady i jego Armia Światła – ze zdecydowanym zamiarem, by nigdy nie wracać.



Kiedy definitywnie, choć z uszanowaniem, wytłumaczono wreszcie Komendantowi, że stacja kolejowa na wyspie w kompletnej głuszy na pewno nie spowoduje żadnego dodatkowego ruchu, który przyniósłby dochód pozwalający wyrównać olbrzymie koszty jej wybudowania, Komendant potulnie i nieoczekiwanie się zgodził. Wyjawił następnie, że przez kilka ostatnich miesięcy wcale nie sypiał w poruszającej się kabine lokomotywy, tylko prowadził poważne dyskusje z japońskim kupcem o nazwisku Magamasa Yamada, w którego kraju jest wielkie zapotrzebowanie na drewno, i doszedł z nim do porozumienia, obiecując sprzedać mu całą transylwańską głuszę w zamian za więcej wagonów, w których posiadanie ten pirat wszedł podczas handlowych wypraw do Ameryki Południowej. Te mechaniczne wozy pozwolą Narodowi wykorzystać niewątpliwy boom, który będzie towarzyszył wyeliminowaniu głuszy i nieuniknionemu powstaniu gruntów oczyszczonych pod osadnictwo. Nikt nie chciał wyjaśnić Jego Złotej Masce, że niekończące się krążenie w wagonie pociągu zaburzyło do końca jego i tak już zachwianą równowagę umysłową, przemieniając ją w czyste szaleństwo.

Następnego lata, kiedy zjawiły się dżonki japońskich drwali, nie zdziwił się jedynie Komendant. Obserwował, jak wyladowywali obiecany tabor kolejowy. Wagony zżarte były przez korniki i zgniliznę, ale Komendant zawsze podróżował w zaimprovizowanym zbiorniku na węgiel, nazwanym Królewskim Przedziałem, więc zdawało się, że to nie ma znaczenia.

## IX

Kiedy patrzyłem, jak obserwator gwiazd ulatuje przez komin, teraz w postaci wielu fragmentów zwęglonego papieru, Capois Death z tym charakterystycznym uśmiechem zaczął mi opowiadać o swojej nowej pozycji, o tym, jak po sukcesie przeprojektowania lokomotywy jego nowa rola polega na promowaniu idei podróży, co może zachęcić do używania narodowej stacji kolei żelaznej, narodowej lokomotywy i reszty taboru.

Miałem dosyć oleju w głowie, żeby się nie odzywać, kiedy powinienem słuchać, ale jednak skusiło mnie, żeby zauważyć, że na wyspie o powierzchni mniej więcej mili kwadratowej nie bardzo jest gdzie pojechać.

– No właśnie – przyznał były właściciel pubu, próbując, jak mi się wydało, przybrać tajemniczą minę, i muszę ze wstydem powiedzieć, że udało mu się mnie zaintrygować – ale będzie.

Powiedział mi, że mam się zgłosić na stację tuż przed wieczornym odjazdem ekspresu Wyspy Sary. W ten mglisty wieczór, kiedy w zbiorniku powoli podnoszono ciśnienie, przygotowując go do odjazdu, kiedy powietrze napełniały kolorowe iskry i wirujący popiół, a ja stałem na bosaka obok peronu po kostki w błocie i patrzyłem do góry, Komendant zza pokrytej sadzą zasłanki w Królewskim Przedziale wyjaśniał mi rozwlekłe swoje przekonanie, że handel – za który chyba błędnie brat niekończące się obroty kół lokomotywy – wkracza teraz na nowe terytoria nie tylko w sferze wymiany, ale i sztuki. Następnie wyjaśnił, dlaczego uznał za absolutnie konieczne przywiązanie mnie do przodu lokomotywy, żebym mógł lepiej zapoznać się z nową estetyką ruchu.

Lekko zaciągnął zasłonę, a z miejsca, gdzie stałem, widziałem jedynie kawałek jego złotej maski i dwa niewielkie oczka odbijające niepokojący żółty blask owej maski. Choć opierałem się uprzejmie, Komendant nalegał łagodnie i natychmiast pochwycił mnie Musha Pug. Bez dalszych rozmów zostałem mocno przywiązany wieloma paskami i skórzanymi rzemykami do barierki na przodzie lokomotywy.

Przy akompaniamencie rosnącego ryku maszyny parowej i rytmicznego stuku żelaznych kół o żelazne szyny krążyłem bez końca. Po kilku minutach zacząłem wymiotować, jeszcze parę minut później mogłem rzygać już tylko zieloną żółcią, która tak jak wcześniejsze rzygowiny przylepiała się do mojego ubrania. Dalej i dalej, koło za kołem, nie pomagała żadna próba zapomnienia, zaśnięcia, rozmarzenia czy skupienia się na myślach o jedzeniu lub kobietach. Odczuwałem jedynie mdłości, przypominające gwałtowny atak na zmysły, moje płuca wypełniał smród węglowego dymu, czułem się, jakby całe ciało zgwałcono i okaleczono, miałem poczucie absolutnego osamotnienia. Jeśli to ma być przyszłość, przemknęło mi przez głowę w jednym z kilku momentów trzeźwości, jakich dane mi było doznać w ten długi wieczór, to nie zasługuje nawet na taką nazwę.

Kiedy lokomotywa powoli się zatrzymała, odwiązano mnie i zaciągnięto, nieprzytomnego i chorego, do specjalnie w tym celu ustawionych sztalug ze wspianym widokiem na parowozownię.

Przez jakiś czas zmagalem się ze sobą tylko po to, żeby przyjąć postawę wyprostowaną. Świat wokół mnie falował, parowozownia wznosiła się i opadała jak gęstwina krasnorostów, nad nią unosiły się syjamskie dziewczęta, Musha Pug i jego przybocznicy rzucali się w tę i z powrotem jak ławica nocnych morskich stworzeń. Niezbyt pewnie wziąłem do ręki pędzel, moje lekkie ciało zachwiało się w lepkim błocie, odzyskałem równowagę i zabrałem się do pracy, absolutnie zdecydowany mimo napadów straszliwych mdłości, że namaluję Komendantowi obraz Rewelacji i Głębokiego Odkrycia, które stworzyły świat na nowo jako Handel.

I skończyłem.

Wiedziałem, że nie udało mi się pod żadnym względem.

Billy Gould zawsze uważał, że jeśli coś warto zrobić, warto zrobić to źle. Martw się, że zrobisz to zbyt dobrze, a twoja ambicja może wpędzić cię w kalectwo, uważał. I przynajmniej pod tym względem chyba mu się udało.

To to, co namalowałem, nie było ciepłe czy szczęśliwe, było zimne, straszne, przerażające, przerażone. Oczekiwali ode mnie pocieszenia, a to było przynębenie. Ukryta przemoc, szaleńcza wizja: nic z tego nie uchwyciłem. Pragnęli Nadziei i Postępu, a ku mojemu przerażeniu nagle dostrzegłem, że patrzy na mnie – obserwator gwiazd! Chcieli Nowego Boga, a ja w swoim straszliwym pomieszaniu dałem im rybę!

To na nic. Czekał mnie los gorszy niż *petite noyade* kapitana Pinchbecka, bardziej okrutny niż Chrabąszcz gubernatora Arthura, Knebel, Kołyska i Córka Padlinożercy razem wzięte, a ja pośrodku umierający najokropniejszą śmiercią.

Czując się jeszcze bardziej chory, cofnąłem się. Przełykałem ślinę i potykałem się lekko, przerażony tym, co może zapowiada moje niepowodzenie. Kiedy próbowałem odzyskać równowagę, zobaczyłem z przerażeniem, że Komendant wystąpił do przodu; nie znałem go i nie wiedziałem, że przez cały czas stał za mną i obserwował.

W przeciwieństwie do Doktora, który potrafił wiele dni wpatrywać się w jeden obraz w poszukiwaniu wad, Komendant poświęcił oglądaniu mojego dzieła tylko kilka sekund, a ja przyglądałem mu się po raz pierwszy od czasu, gdy przemówił do nas w dniu naszego przybycia. Z tyłu nie ulegało wątpliwości, co miała ukrywać złota maska: wielkie rozmiary jego głowy, nieproporcjonalną cherlawość reszty ciała, ową subordynację ciała względem ducha.

Potem odwrócił się, ale widziałem jedynie te żółte oczy, podkreślone jeszcze przez oczodoły w złotej masce, a za uśmiechniętą szczeliną maski sugestią przepastnych czarnych ust otwierających się jeszcze szerzej. Osobliwe gdakania wychodzące z ciemnej pustki świadczyły o tym, że Komendant jest równie zadowolony, jak ja zde gustowany, jakbym namalował jego wspaniały portret jako jednego z marszałków napoleońskich, których kiedyś tak podziwiał, a nie obrazek nędznej ryby.

Uświadomiłem sobie, że mam do czynienia z mężczyzną w kwiecie wieku. Uśmiechnąłem się i ukloniłem z emfazą, którą zapamiętałem u Audubona.



# SKÓRZASTA PŁASZCZKA

*O tym, jak flamandzki malarz doszedł do postrzegania  
Rozumu – Wyrafinowane możliwości nowoczesnych podróży  
– Wielki Salon Madžonga – O kolonizatorskiej sile ryby –  
Przewyższenie Europy – Pasja Goethego dla panny Anne –  
Paganini – Ary – Kultura, tyle guana – Marzenie o milczącym  
mieście – Nadmiar miłości*

## I



Następnego dnia zostałem wezwany na spotkanie z Komendantem w jego celi. Pogoda była typowa dla Ziemi van Diemena. Wiatr ostro tłuki, w co się dało. Luźne dachówki odrywał z dachów i gnał je z wielką i niezamierzoną zajadłością, raniąc nieuważnych i pechowych. Potężne ściany z bali skrzypiały i jęczały, wyciągając się do góry jak w agonii, kiedy wiatr uderzał w nie wciąż od nowa. Deszcz nie ustawał. Drugą kantinę żołnierzy zakrył osuwający się muł. Piana i mgła utrzymywała się przez chwilę w powietrzu, czasami nawet przez minutę, póki nie porwał jej kolejny podmuch wiatru. A trochę dalej morze z białą furią nacierało na wyspę. Część nowego nabrzeża zapadła się, a potem odpłynęła. Żadne łodzie nie opuszczały portu przez trzy dni po tym, jak załoga wracająca z Rzeki Gordona próbowała się uratować, przepływając przez zatokę, ale wszyscy zginęli. Kiedy deszcz na chwilę przestał padać, pobiegłem z domku Lempriere'a do kwatery Komendanta; w oczy szczypała słona mgła, żwir i popioły rozwiewane obficie przez wiatr.

Mokry i zmarznięty czekałem przez wiele godzin w wąskim korytarzu razem z żołnierzem, który mnie przyprowadził. Wczesnym wieczorem zostałem wreszcie wpuszczony do środka i znalazłem się w niewypowiedzianie małym, niezwykle pachnącym pomieszczeniu – miało szerokość nie większą niż rozpostarte ramiona, mogło być tylko odrobinę dłuższe niż wysokość mężczyzny.

Szczury, równie duże i bezczelne jak na całej wyspie, od czasu do czasu pokazywały się w słabym świetle kapiącej świecy wbitej na hak w ścianie. Wydawały się znacznie większe w tak małym pomieszczeniu. Wrażenie to podkreślały jeszcze ich dziwaczne cienie w świetle niestabilnego płomienia. Wydawało się niemożliwe, by w tak ograniczonej przestrzeni mogły przebywać dwie osoby i nie widzieć się nawzajem, a jednak tak właśnie było, bo on pozostawał za zasłoną dzielącą celę jak w konfesjonale papistów.

W celi nie było prawie żadnych ozdób, prócz niewielkiego szklanego popiersia Woltera, do połowy napełnionego jakimś płynem w kolorze bursztynu; podejrzewałem, że była to whisky. Kształt i rozmiary tego popiersia, jeśli nie materiał, były takie same jak tamtego, pod którym córka Goulda poznała błogosławieństwa pocziwego Oświecenia. Jego zastosowanie dla mężczyzny, który pragnął z powrotem zdobyć namiętność Dwupensowej Sal, było dla mnie zupełnie oczywiste.

Nie wiedziałem wówczas – bo niby skąd miałem wiedzieć – jak silne było u Komendanta pożądanie zapachów.

Dwupensowa Sal nie opowiedziała mi, jak błagał ją kiedyś, żeby nie myła się przez miesiąc, co pozwoli mu rozkoszować się pełną gamą jej naturalnych woni. Nie zdawałem sobie sprawy, że sprowadzał swoją ukochaną wodę kolońską z Neapolu; nie wiedziałem, kiedy poczułem w ręku jej niewielki ciężar i wsunąłem ją pod przydziałową bluzę, że najcenniejsze perfumy Komendanta – specjalny zapach robiony dla niego przez Chardina, fabrykanta perfum samego Napoleona – przysyłano w tej właśnie szklanej butelce w kształcie popiersia uśmiechniętego Woltera, które to popiersie znalazło się teraz w moich szmatach i mogło z bliskiej odległości patrzeć na bezrobotnego flamandzkiego malarza, co jest smutnym widokiem.

Komendant oświadczył mi głosem lekko przytłumionym przez zasłonę, że po wspaniałym obrazie Postępu, jaki namalowałem poprzedniego wieczoru, miałem dostać nowe zadanie, które – jeśli zostanie wykonane starannie, twórczo, a także z zachowaniem pewnej dyskrecji – wpłynie na znaczną poprawę warunków mojego życia, a może nawet ponowne rozważenie surowości pierwotnego wyroku. Wiedział, że wykonuję jakieś prace ilustracyjne o znaczeniu technicznym dla Doktora, ale jego propozycja będzie tylko przerwą, w żaden sposób nie uniemożliwi tak naukowej działalności; kiedy wykonam wyznaczone zadanie, będę mógł z powrotem podjąć obowiązki u Doktora.

Tego deszczowego dnia, kiedy Komendant powiedział mi o mojej nowej misji, odczułem niezmierną wprost ulgę. Przynajmniej na jakiś czas ucieknę przed koszmarem, jakim są dla mnie ryby, nie tracąc przy tym żadnego z cennych przywilejów. Komendant dawał mi drogę odejścia od bezlitosnej korozji ducha, która zaczynała mi dokuczać tak mocno, że nie mogłem przespać żadnej nocy, chyba że budziłem się w oceanie. Miałem ochotę westchnąć, uśmiechnąć się, objąć ramieniem Jego Zwalistość. Nie powiedziałem jednak nic i prócz uważnego słuchania niczego też nie zrobiłem, kiedy Komendant rozwijał swoją wizję kolei żelaznej w sytuacji zupełnego braku ruchu.

Chciał, żebym namalował serię teatralnych horyzontów, które, jak wymyślił Capois Death, będą przedstawiać rozmaite widoki i wzniosłe sceny i zamkną zewnętrzny krąg pętli torów przy parowozowni. Będzie to, jak uważał, wyprzedzenie nowego trendu w podróżach: ludzie nie będą musieli się ruszać, żeby zaspokoić tęsknotę za egzotycznymi widokami, wystarczy, że od czasu do czasu spojrzą za okno podczas niekończącej się jazdy w kółko, żeby się przekonać, czy mijają właśnie opactwo Tintern, czy Windermere, a może coś bardziej poetyckiego, jak na przykład nowe kolonie w Salford – po prostu żeby umożliwić to poczucie przejścia od Przemysłu do Natury, od Nowoczesności do Idylliczności, owo poczucie kontrastu, w którym – jak mu wyjaśnił Capois Death, który czytał kiedyś Poetów Jezior – tak głęboko i trwale zakorzenione jest każde prawdziwe rozeznanie romantycznej scenerii.

Te proponowane obrazy nie przypominały niepewnej i kłopotliwej oślizgłości ryb. Wprost przeciwnie: wydawały się doskonałym typem malowideł, z którymi szybko mógłbym się poczuć za pan brat; cudowne perspektywy, pomyślałem tęsknie, w których da się, być może, dostrzec bielika we wspaniałych girlandach wistarii.

Kiedy wyszedłem tamtego dnia z celi Komendanta i zmierzałem samotnie szarym, kamiennym, wilgotnym korytarzem oświetlonym olejem wielorybim, a Wolter objął mi się o mosznę, jak zwykle słyszałem deszcz padający na zewnątrz, ale po raz pierwszy od bardzo dawna nie brzmiał jak ogniwa niekończącego się łańcucha uderzające o kamień. Brzmiał jak nadzieja, pogoda, strumyczek bezpieczeństwa. Brzmiał tak, jakby w końcu przyszość Billy'ego Goulda zaczęła się lepiej zapowiadać.

Można było się zastanawiać, jakie motywy kierowały Komendantem w tej całej sprawie. Dlaczego takie obrazy? Dlaczego ja?

Ale ja się nie zastanawiałem. Nigdy nie kwestionowałem dziwactw władzy, starałem się jedynie jej służyć, bez względu na to, czy był to kapitan Pinchbeck, Komendant, czy ten tłuścioch Pobjoy. Gdyby któryś z nich zażądał: „Billy Gould, pocałuj mnie w dupę”, zapytałbym jedynie: „Ile razy? Czy z jęczyczkim?”.

## II

Malowanie horyzontów okazało się nie takie strasznie trudne; wszystkie wielkie obrazy rozmywały się niemal kompletnie, kiedy padało, ale Capois Death i to obrócił na naszą korzyść. Wymyślił plan wymagający zastępowania horyzontów nowym zestawem co tydzień; w jedynym tygodniu szwajcarskie Alpy, w następnym wielka rosyjska tajga (były to te same Alpy, tyle że rozmyte deszczem góry przedstawiały teraz niebo), w kolejnym wspaniały afrykański *veldt* (bardziej rozmyta tajga), a potem cudowna kraina jezior (*veldt* z żonkilami) i tak dalej, w koło i w koło.

Kiedy Komendant bez końca kręcił się w Królewskim Przedziale, mijając bolesną pustkę orientalnych równin, pokryty sadzą smutek satanicznych fabryk Yorkshire czy zapraszającą biel koła podbiegunowego, japońscy drwale założyli obóz na skraju bagien w Liberty Point. Podzielili przyległy las na kwartały i zabrali się do pracy w sposób dokładny i systematyczny, toteż w ciągu kilku miesięcy zamienili sąsiednie niebiesko-zielone dzikie tereny w nieporządną szachownicę pustych, jakby porośniętych szczeciną brązowych kwadratów, z których wycięli i wywieźli drzewa, i zielonych, jeszcze niewyrąbanych i nieoczyszczonych prostokątów. Potem Japończycy wyjechali na zimę, zaczęły padać deszcze, a kiedy Komendant przyglądał się z zachwytem, jak zatłoczony chaos wyspy Manhattan ustępuje bezdrożom niedawno odkrytych amerykańskich Gór Skalistych, deszcze rozmyły najpierw ziemię, a potem wiele gór, więc kiedy następnego lata wrócili japońscy drwale, natknęli się na olbrzymią i dezorientującą kamienną pustynię na północy.

W koło i w koło jeździł Komendant, mijając moje liczne obrazy bielików we wszystkich egzotycznych miejscach znanych człowiekowi, a im bardziej się utwierdzał w przekonaniu o swoim oczywistym przeznaczeniu, tym bardziej zdecydowanie odmawiał kierowania się rozsądkiem. Zaczął mówić o rzeczach niemożliwych – o zbudowaniu świątyni zapachów, uniesieniu w powietrze zakładu karnego siłą lewitacji, żeby ucieczka stała się możliwa jedynie balonem; o zastosowaniu mesmeryzmu jako ofensywnej broni w wojsku dzięki stworzeniu pułku spirytystów, którzy podczas wielkich batalii staliby w pierwszym szeregu, życząc drugiej stronie przegranej.

Mimo epickich planów służących budowaniu Narodu Komendant popadał w przygnębienie, bo handel zdawał się zupełnie zanikać, bezczelni wierzyciele jeszcze bardziej dobitnie domagali się zapłaty, a on nie potrafił zapobiec rosnącym długom.

Niedługo po tym, jak japońscy drwale, całkowicie obojętni, wyruszyli w kierunku Frenchman's Cap, skąd mieli już nie wrócić, ale jeszcze zanim kamienna pustynia się zazieleniła i las wślizgnął się z powrotem, zaczęły krążyć opowieści o tym, jak Komendant wymyślił zadziwiający projekt, który nie miał precedensu na żadnym kontynencie. Co prawda plotki o japońskich drwalach, którzy popadli w nieuleczalną melancholię i odpłynęli, powtarzały się jeszcze przez kilka lat, ale wkrótce wszystkie rozmowy zdominował – poza Mattem Bradym – największy ze wszystkich pomysłów Komendanta, Wielki Salon Madzonga.



### III

Kiedy okazało się, że stacja Narodowej Kolei Żelaznej na Wyspie Sary nie przyciągnęła żadnych wędrownych lokomotyw, Komendant nabrał przekonania, że budynek w końcu musi wygenerować pieniądze potrzebne do tego, by stać się prawdziwie silnym mocarstwem. Trzeba tylko przyciągnąć jawajskich i chińskich handlowców, piratów z Moluków, francuskich uczonych, holenderskich kupców, angielskich żeglarzy szukających miejsca na morzach południowych, gdzie mogliby postawić na jedną kartę ciężko zdobyte fortuny. Pisał długie listy do panny Anne, pytając o rozmaite formy stołów do gier hazardowych w Londynie, o najnowsze trendy w architekturze i dekoracji wnętrz.

A potem wezwał Capois Deatha.

Właściciel baru otrzymał polecenie, by zaprojektować budynek łączący cuda Wersalu z bardziej prymitywnymi rozkoszami areny do szczucia niedźwiedzi w Five Courts. Czerpiąc inspirację jedynie z tego, co widział – z muszli morskich, jedwabnych żagli, parabolicznych szkiców na wieczornym niebie postrzeganych spod liści paproci, pod którymi spoczywał z syjamskimi dziewczętami – Capois Death bał się zwykłych, typowych pasożytów, krążących w otoczeniu Komendanta. Zawsze gotowi oddać przysługę swojemu panu i podstawić nogę rywalom, deklarowali pełne przywiązanie do ogłoszonego przez Komendanta pomysłu, by przewyższyć Europę, budując ją na nowo. Wychwalali gipsowe popiersia Cyncerona, które zaczęły przychodzić, jeszcze zanim plany zostały skompletowane; pisali sonety, naśladowując dawno wymarłe style, udało im się stworzyć Sztukę, będącą pośmiertną maską tendencji wszędzie indziej już pogrzebanych.

Toteż Capois Death zadał sobie wiele trudu, by opisać swoje pierwsze plany jako styl odrodzenia egipskiego z pewnymi elementami rokoka. Komendantowi podejrzenie przypominały sześć kopuł o żelaznej konstrukcji wypełnionej szkłem, nad którymi wznosiła się gigantyczna złożona skorupka przegrzebka świętego Jakuba, wsparta na ozdobnych kolumnach, wokół których fruwały jedwabne żagle przywiązane do wielkiego bukszprytu.

Jednak wątpliwości, jakie mógł żywić Komendant, zostały rozproszone przez uprzejmy aplauz akolitów; popadł też w zachwyty, kiedy przekonano go, że nawet tak ambitną i ogromną budowlę może zdecydowanie przytłoczyć jego pomnik, tak wysoki, że głowa na zawsze pozostanie w chmurach, i tak masywny, że jeden tylko palec – stale wskazujący na północ, na Europę panny Anne – miał mieć dziesięć jardów długości. Nie słyszał żadnych prześmiewczych uwag na temat wielkiej skorupy, rozpoznawał jedynie podziw, niezbędne wsparcie i pożyczki od jawajskich handlowców i chińskich kupców, pod warunkiem udzielenia zabezpieczeń i podpisania wielu zobowiązań.

Komendant okazywał wyraźną predylekcję do zdecydowanej symetrii i licznych ozdób, ale obydwie te upodobania cierpiały z powodu potrzeby, by budowla stanowiła ucieleśnienie jego pragnień. Żadnego planu nie można było realizować bez jego podpisu, a kiedy Capois Death przedstawił trzy alternatywne projekty sześciu kopuł, Komendant w chwili nieuważnego znużenia położył swój podpis na wszystkich trzech, więc w konsekwencji lękliwi podwładni zbudowali osiemnaście kopuł o rozmaitych kształtach, z rozmaitych materiałów.

Skala tej budowli była przytłaczająca, a jej wznoszenie powodowało koszarne cierpienia wszystkich, którzy przy niej pracowali. Setki robotników zmarło przy budowie, tysiące zostało okaleczonych i kalekich, kując żelazo, przycinając i nosząc drewno, pracując w kamieniołomach, wykonując zadania murarskie czy stolarskie. Jednak był to koszmar o tak zadziwiających proporcjach, że trudno było nie odczuwać przewrotnego zdumienia na widok tego, co wznoszono w sercu głuszy.

Długo po tym, jak Komendant zapomniał, dlaczego właściwie żywi tak nieskończoną wiarę w informacje panny Anne i dlaczego są one dla niego tak ważne, wezwał do siebie Capois Deatha.

– Chodzi mi – wyjaśniał barmanowi-architektowi – o najpiękniejszą możliwą dekorację: o skopiowanie listów panny Anne wielkimi połączanymi literami wokół ścian Wielkiego Salonu Madżonga.

Capois Death przekrzywił głowę, tak żeby jego wzrok kierował się na sufit, nie na Komendanta.

– Malowanie tych świętych słów – kontynuował Komendant głosem tak wysokim, że niemal niesłyszalnym, starając się odpowiednio wykorzystać każde ważne słowo – to największy możliwy honor, wymagający religijnej wiary w świętość szlachetnej misji narodu.

Słuchając mocnych, ale łatwych do zapomnienia, wypowiedzianych falsetem słów Komendanta, Capois Death pomyślał o dźwięku, jaki wydaje strumień moczu trafiający w piach. Opuścił wzrok, by spojrzeć Komendantowi w oczy. Zapewnił go, że zna odpowiedniego człowieka do tego zadania.

## IV

Moje kiszki są teraz nic nie warte i zawiodły mnie w chwili wielkiej potrzeby. Wtedy jeszcze raczej opróżniały, niż irygowały; miałem przed sobą wspaniałą przyszłość jako narodowy artysta, a pod sobą solidne stolce, które w razie konieczności mogły pełnić funkcje defensywne. Teraz moje kichy zaciśnięte są mocniej niż gęba umierającego niszczyciela maszyn, boję się tej nędznej ryby, którą maluję, przez ostatnie cztery dni sram przez ucho igielne i dzisiaj nie miałem ani jednego solidnego gluta, którym mógłbym cisnąć w Pobjoya, kiedy się zjawił.

Nie mógł przestać mówić o swojej nowej pasji, o sztuce, w której jestem dla niego czymś w rodzaju przewodnika, trochę rywala, a trochę oszusta, a ja w tym wszystkim czuję się całkowicie bezbronny. Wydawał się zupełnie niewrażliwy na gryzący smród mojej kwatery, na moje stękania, a jeszcze mniej na wodniste argumenty, które wyciskałem radośnie z każdego otworu w płonnej nadziei, że sobie pójdzie.

Jak to Pobjoy nie bez przyjemności podkreślał, definicje należą do definiującego, nie do definiowanego. Teraz zdaję sobie sprawę, że jest to pomysł, który bardzo nadawałby się dla Króla w jego dialogu z Niebem, ale kiedy o tym wspominam, Król lekko się kurczy, co jest u niego sposobem okazywania skrajnej pogardy dla opinii innych niż jego własne.

Popatrz na Lycetta, kontynuował Pobjoy. Jego litografie z Ziemi van Diemena zostały wykonane bez uciążliwej konieczności odwiedzenia wyspy, a okazały się takim sukcesem w Londynie, co świadczy jedynie o tym, że im mniej sztuka ma związku z rzeczywistym światem, tym bardziej się podoba.

Nie mogę zaprezentować żadnych argumentów – bo w końcu co takiego, prócz zupy Pobjoya, przyniosły mi kiedykolwiek moje ryby? Usiłowałem skłonić go do jak najszybszego wyjścia, żebym mógł powrócić do pracy. Ze swoich alpejskich wyżyn Pobjoy wyciągnął mapę Ziemi van Diemena, żeby podeprzeć swoje rozumowanie, i zapytał, co mi przypomina jej kształt.

Pobjoy należał do ludzi, którzy nie potrafili patrzeć na wiązkę drewna, nie podniecając się nadmiernie. Niewątpliwie oczekiwał, że według mnie trójkątny kształt będzie przypominał kobiecy cud, więc to właśnie powiedziałem. Pobjoy zareagował tak, jakbym rzucił twardym gównem, nie słowem, skoczył na mnie i zaczął mnie okładać. Za to też mu podziękowałem, ponieważ oznaczało, że wkrótce sobie pójdzie. „Ty idioto! – wykrzykiwał Pobjoy, kiedy obalił mnie silnym jak młot ciosem prawej ręki. – Ziemia van Diemena wygląda jak maska, jak cholerna maska!”.

Kiedy skuliłem się niczym zdychająca ryba pod jego ruchliwymi butami, zdołałem przetrwać atak na tyle długo, by zdążyć mu powiedzieć, że zawsze uważałem się jedynie za jego najbardziej lojalnego sługę i wcale nie chcę postępować wbrew jego woli. Powiedziałem jeszcze, że ci na górze nigdy nie powinni nie doceniać chęci tych na dole, którzy pragną robić to, co należy. Opowiedziałem mu, że kiedy pracowałem u Palmera, fabrykanta powozów, stary Palmer – skłonny do dosadnych wyrażań – nie ukrywał w domowym zaciszu, że nic go nie łączy z dzikusami.

Jeden z jego zaufanych służących-skazańców często pożyczał od niego konia i jechał strzelać do kangurów. Stary Palmer skarżył się, że sługa używa tyle prochu i strzelania na głupie polowanie. Służący zaprotestował, że prochu potrzebuje po to, żeby ubijać czarnuchów. Stary Palmer uznał to za pyszałkowane bzdury i przechwałki. Pewnego razu musiał wsiąść na swojego konia natychmiast po powrocie służącego z wyprawy myśliwskiej. Zatrzymawszy się w wąwozie, sięgnął do torby przy siodle po manierkę, jako że chciał się napić, ale zamiast manierki znalazł głowę czarnego dziecka i trzy sfatygowane czarne ręce. Po powrocie do domu powiedział służącemu o swoim ponurym odkryciu. A tamten odparł: „Musi pan zrozumieć, że zawsze staram się jedynie panu przypodobać i nie opowiadam kłamstw”.

Pobjoy usadowił się w kącie i kręcił głową kompletnie zniechęcony. Wyglądał jak święty Alojzy, który usłyszawszy, że męczyzna puszcza wiatry, wybuchnął płaczem i szukał pociechy w modlitwie.

– Tak więc – mówiłem do Pobjoya – należy wierzyć w szczerść tego, co mówią słudzy. – Po tych słowach Pobjoy podniósł się rozwścieczony i stłukł mnie tak, jak mi się już dawno nie przydarzyło. „Gould, czy jesteś kompletnym durniem?” – wykrzykiwał. „Tak, jak najbardziej – odpowiedziałem, choć nie było łatwo się odezwać, kiedy pięści i buty Pobjoya waliły mnie w usta. – Z największym szacunkiem muszę przyznać, że jestem”.

Moje ciało ślizgało się po podłodze celi pod jego kopniakami, a ciężkie buciory odkopywały moją głowę w tę i z powrotem, zupełnie jakbym się z nim nie zgadzał, podczas gdy ja przez cały czas próbowałem jedynie powiedzieć mu dla dobra nas obu to, co chciał usłyszeć. Czułem, że mój umysł odpina się z zawiasów i wraca do tego okresu, kiedy przez całe dni malowałem radośnie historie panny Anne o Europie na ścianach Wielkiego Salonu Madżonga.

## V

Początkowo w zamglonym, wilgotnym wnętrzu rosnącej budowli wypisywałem litery na ścianach już pomalowanych. Następnie wraz z adiutantem Komendanta, porucznikiem Lethborgiem – który przynosił mi starannie wybrane fragmenty listów panny Anne i pilnował, by nie doszło do żadnej kradzieży – pozłacałem słowa najdelikatniejszymi złotymi płatkami.



Później, kiedy zaczęły się problemy finansowe, malowałem słowa panny Anne bezpośrednio na mokrym gipsie, słowa nienadzorowane i niepozlęcane, wszystkie jej opisy nowych cudów mechanicznej pary i nieograniczonej poezji. Tak jakby Komendant chciał równocześnie wychwalać te cuda i udowodnić przez sam fakt ukazania ich w Wielkim Salonie Madžonga, że wymknął się im, że uwięził wszystkie słowa wśród słoni Hannibala z papier mâché, popiersi Cycerona, Homera i Wergiliusza z prawdziwego gipsu – jakby uhonorowanie było najbardziej okrutną i najbardziej wyrafinowaną formą kpiny.

Kiedy listy panny Anne okazywały się materiałem zbyt wątlým, porucznik Lethborg zlecał Jorgenowi Jorgensenowi wymyślanie bardziej fantastycznych opowieści. Po raz pierwszy – choć nie ostatni – mogłem zetknąć się z geniuszem inwencji Jorgensena. Wymyślał rozmowy panny Anne z najtęższymi umysłami Europy: Gothem, Mickiewiczem, Puszkinem; ten ostatni rzekomo napisał następującą odę na cześć dokonań brata panny Anne:

Naturą nam sądzono stąd  
Wyrąbać okno na Europę,  
Przy morzu twardo stawić stopę<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Przełożył Julian Tuwim.

Napisałem to wielkimi czerwonymi literami w sali bankietowej, na wypadek gdyby ktokolwiek miał wątpliwości co do znaczenia tych słów, bo cała sprawa w przeciwieństwie do ryb zdawała się rozpaczliwie wymagać podkreślenia.

Komendant, który zauważył ten wiersz podczas inspekcji następnego dnia, był podobno tak wzruszony, że z oczodołu złotej maski pociekła łza i spłynęła jak bursztyn po jej błyszczącym policzku.

Wiersz Goethego natomiast, najwyraźniej stworzony w zapale tego, co znamy jako namiętność zrodzoną podczas krótkich wakacji w Londynie, namiętność, o której wiedzieliśmy, że nigdy nie mogła zostać skonsumowana z zawsze cnotliwą panną Anne, więc ten wiersz wypisałem fioletową kursywą w poprzek lustra zajmującego całą ścianę w łazience dam, nad podłużną toaletką z tekowego drewna, stanowiącą podarunek kupców jawajskich:

Wszystkie przemijające rzeczy

Są jedynie parabolą

Niedostępne

Tu się staje rzeczywistym

Osiąga się tu coś niesłychanego

Wieczna Kobiecość

Wciąga nas.

Mniej ezoteryczne uczucia i historie o tym, jak uwaga panny Anne na temat siły mgieł zainspirowała młot parowy Nasmytha, umieściłem w korytarzu, obok jej europejskich anegdot o skrzypku Paganinim, który po wieczorze spędzonym w jej boskim towarzystwie rozważał ćwiczenie na nowo palcówek; o tym, jak frunęła balonem nad Strasburgiem z braćmi Montgolfier, jak zauważył ją z ziemi Malus przez swój teleskop i w tym momencie doznał olśnienia na temat polaryzacji światła.

Była to ciężka praca, znacznie bardziej fizyczna, niż można by podejrzewać, ale dni nigdy nie wydawały mi się tak długie jak z tymi śmierdzącymi rybami. Miesiące dzieliły się na ileś liter, dni na ileś słów, a umysł Billy Goulda był wolny, nie tak jak przy rybach, które, jak wyczuwał, miały już na niego jakieś zakusy. O ile w ogóle można być szczęśliwym w więzieniu na wyspie, to powinien być szczęśliwy. Ale myślami wciąż powracał do Dwupensowej Sal.

Zawarł przyjaźnię, imponował innym swoim rzemiosłem wymagającym myślenia. Przy pisaniu liter wykorzystywał zarówno swoje krótkie doświadczenie z okresu malowania herbów dla fabrykanta powozów Palmera, jak i skromną, ale autentyczną twórczą zręczność. Niektóre teksty pisał rzymskimi wersalikami, inne pochyłą italicą; wielkim opisom nadawał niemal rzeźbiarską jakość, a intrygujące maksymy otaczała wolna przestrzeń, w której mogło się rozrastać ich znaczenie. Okazywał odpowiednią uniżoność, twierdząc, że jego zadanie naprawdę jest łatwe, kiedy dostaje tak wspaniały materiał jak list panny Anne. Jednak w istocie, ilekroć wymalował wyjątkowo pięknie jakieś słowo czy zdanie, nie było to na cześć panny Anne, tylko tej drugiej.

Kiedy zabrakło już ścian do malowania, cała ta pomysłowość i wazelinarstwo przyniosły owoce. Za pośrednictwem porucznika Lethborga dowiedziałem się, że Komendant zachwycony moją pracą polecił, żebym teraz namalował serię jego portretów w różnych historycznych pozach, a tymczasem, jeśli zechcę, mógłbym wykonać kilka kopii z albumu sztychów Rubensa.

W tym okresie losy wyspy uległy zmianie. Wyszła niekończąca się rzeka pieniędzy, wpływająca niegdyś do kolonii. Komendant został zmuszony do sprzedania wszystkiego, co się dało, w tym także bezcennej kolekcji Rubensa, by spłacić jeszcze większe długi u chińskich piratów i jawańskich lichwiarzy, którzy finansowali budowę salonu.

Kiedy wreszcie otwarto Wielki Salon Madżonga, na wyspie zapanowała radość, jednak nie zjawił się nikt, by zapłacić za grę w madżonga. Choć dla wszystkich na Wyspie Sary było czymś zupełnie niezrozumiałym, że ludzie nie chcą podróżować przez pół planety, żeby tracić pieniądze w tym cudzie Nowego Świata, nadal nikt się nie zjawił. Zimny wiatr przewiewał sale recepcyjne, okazałe apartamenty, ozdobne sale gry o sufitach tak wysokich, że gromadziły się pod nimi chmury. Nie było nikogo, kto wraz z nami dziwiłby się, jak to możliwe, by tak wiele znaczyło tak mało.

Wielki Salon Madżonga świecił pustkami. Czarne dzieciaki, którymi opiekowała się Dwupensowa Sal, mogły biegać po salach balowych, w których rozlegało się echo, i po wielkich jadalniach, goniąc ptaki i bawiąc się w chowanego pośród rosnącego zaniedbania.

We wciskającej się wszędzie coraz większej wilgoci i opadających mgłach, które królowały teraz we wnętrzach, listy panny Anne brudziły się coraz bardziej, a jej słowa zmywały się ze ścian. W bardzo krótkim czasie te wilgotne opowieści o cudach i glorii Europy, którymi ozdobiłem tyle ścian, nabrały plam, a potem pokryły je odchody rozelli bladoliczych o tęczowym upierzeniu i głośno krzyczących czarnych ar z żółtymi ogonami, które zaczęły przelatywać całymi stadami przez rozległą pustkę.

Deszcz, który wpadał teraz do wnętrza, sprawiał, że uwagi panny Anne o gazowym oświetleniu Pall Mail i o decydującej roli, jaką odegrała sama panna Anne w powstaniu traktatu hrabiego von Rumforda o wspólnych kuchniach, zaczęły się zlewać z jej opisami prasy parowej, roli magnetyzmu w leczeniu, a wkrótce wszystko oblepiła twardniejąca skorupa ptasiego gnoju. Rybołowy kręciły się wyżej, ale jerzyki zaczęły zakładać gniazda nad lirycznymi sprawozdaniami panny Anne o utwardzanych drogach. Podczas gdy nietoperze zamazywały jej uwagi o wynalezieniu elektrycznego telegrafu, tłum ar o żółtych grzebieniach zasiadał na grzędzie nad inspirowaną przez nią ostatnią przeróbką *Preludium* Wordswortha (najlepszy błękit Grasmere), a na odchodach zbierających się poniżej zaczął wyrastać niewielki las deszczowy. W tak użyźniającej kłęsce rozkładu wszystko stawało się niewyraźne, a potem wszystko razem i każdą rzecz z osobna pokrywała coraz bardziej i bardziej śmierdząca, zaskorupiała, ruszająca się od wszy i robaków warstwa gówna.

Poniżej owych inskrypcji, świętych dla europejskiej pomysłowości, europejskiej myśli i europejskiego geniuszu postępu, stalaktyty biało-zielonych odchodów z każdym dniem stawały się dłuższe. A potem gówno zbierające się na podłodze zaczęło się wypiętrzać do góry jak cudowne głosy chóru kastratów, wznoszące się aż pod wyrafinowane europejskie gzymsy; widziano nawet gówno wylewające się z uroczych europejskich gargulców jak wymowne augustiańskie argumenty. Gówno wybuchalo z wielkich europejskich okien jak Wezuwiusz, wypływało jak potężny Dunaj z wielkich europejskich drzwi, aż w końcu Komendant sprzedał cały ten smutny chaos zaskorupiałej w gównie Europy jako guano Peruviańczykom, którzy zapłacili za nie skrzynkami nędznego pisco – słodkiego, prymitywnego likieru popularnego wśród wielorybników – i wywieźli je na statkach do swojego kraju, żeby hodować na nim kukurydzę.

## VI

Komendant zaprzestał podróży Narodową Linią Kolejową Wyspy Sary, rzadko udawał się do swojego pałacu, spędzał teraz nie tylko większość dni, ale także wszystkie noce w swojej pojedynczej celi odosobnienia. Czasami więził przy sobie przez kilka dni tego czy innego ze swoich bliskich doradców, żeby mogli lepiej pojąć ostateczny cel Komendanta: miasto, w którym każdy człowiek będzie własnym dozorcą, żyjąc równocześnie w idealnej izolacji.

Stary Duńczyk – z którym Komendant spędzał teraz większość czasu, dyktując sprawozdania, listy i to, co uważaliśmy za administracyjne protokoły niezbędne do rządzenia powstającym Narodem – powiedział kiedyś Capois Deathowi, że podczas długiej gry w cribbage Komendant oznajmił z westchnieniem, iż wielkie miasto to wielka samotność. Długo podejrzewałem, że w tym komentarzu kryły się prawdziwe motywy działań, które kazały mu najpierw przekształcić wyspę-więzienie w miasto, a później to miasto w jeszcze większe, znacznie doskonalsze więzienie.

Marzenia Komendanta jak zawsze przekraczały nasze możliwości. Chciał, żeby miasto było milczące. Nie życzył sobie, żeby ludzie mówili; mieli komunikować się za pomocą skomplikowanego systemu pisemnych przekazów. Te zaś miały być zwijane i umieszczane w małych drewnianych cylindrach, posyłanych rurami siłą sprężonego powietrza. Przekaz wystrzeliwany byłby w miejscu swego przeznaczenia i pobytu adresata.

Poza zwykłą techniczną niemożliwością wprowadzenia takiego systemu, z całym szacunkiem zwrócono Komendantowi uwagę, kiedy siedział samotnie na gołej kamiennej posadzce swojej zaciemnionej celi, że trudno oczekiwać, by ludzie w przyszłości chcieli mieszkać w świecie, w którym mogliby się komunikować jedynie w sposób tak jałowy, nigdy nie oglądając się wzajemnie ani nie spotykając.



– Mowę dano człowiekowi do ukrycia myśli – powiedział Komendant, przy czym nęcza jego własnej mowy ograniczała się teraz do niezliczonych aforyzmów tego typu; niektórzy twierdzili, że widziano, jak uśmiecha się jego maska w przyćmionym świetle celi więziennej, a epolety z piór unoszą się i opadają w rytm wypowiadanych słów.

Komendant zaczął dowodzić, że właśnie to – i wyciągnął ręce, jakby chciał owinać je dokoła celi – to jest nasza przyszłość, co było twierdzeniem tak oczywiście humorystycznym, tak wyraźnie nieprawdziwym, że do końca dnia nikt nie podjął ani tego tematu, ani rozmowy z Komendantem. Pozostawiono go samego w posępnej czeluści celi, żeby wymyślał dalsze niepraktyczne bzdury i sarkastyczne maksymy, usprawiedliwiające takie wybryki bezużyteczności.

## VII

Kiedy zaczął zmniejszać się cień Wielkiego Salonu Madzonga, w miarę jak budowlę rozbierano, Komendant mógł czuć, jak rośnie inny cień, dopóki nie objął nie tylko Wyspy Sary, ale całej Ziemi van Diemena; cień, którego nie dało się przypisać do określonego ciała, a jednak wszędzie słyszało się o jego fizycznej obecności.

Ten cień nazywał się Matt Brady.

„Mutt Braddy – ryje nieznanym skazaniec napis w miękkim piaskowcu więziennego muru – WYZWOLICIEL”. Promienna legenda, jaką jest traper Brady, zesłaniec, który z czternastoma innymi uciekł na kradzionym statku wielorybniczym z Wyspy Sary i ścigany przez pilota Lucasa i uzbrojonego wartownika opłynął pod pełnymi żaglami połowę Ziemi van Diemena aż do miasta Hobart, gdzie porzucił statek i szybko stworzył budzącą największy strach i największy podziw bandę.

Jak ryby w morzu pływali traperzy przez nieuprawianą głuszę na wschodzie, zamieszkaną przez ekskazańców, magazynierów więziennych, pasterzy i tubylców, którzy ukrywali, karmili, dawali schronienie i znosili informacje najsilniejszym, najbardziej podziwianym pośród tasmańskich *banditti*.

Docierały do nas opowieści i plotki o tym, jak kipiała reszta Ziemi van Diemena, jak coraz więcej i więcej skazańców uciekało, by dołączyć do band w buszu, rosnących w siłę i coraz bardziej brutalnych. Niektóre z nich okazały się beznadziejnie nieskuteczne, inne bezsensownie okrutne. Jednak ogólny rezultat ich działań sprowadzał się do tego, że upadały rządy angielskiego prawa.

Ziemia van Diemena – która w zamierzeniach władz miała być przeniesioną tutaj Anglią – przekształcała się w świat z nieprawego łoża odwrócony do góry nogami; coraz częściej złożona z zesłańców i ekszesłańców populacja tego przekreślonego kraju upatrywała w Bradym przywódcę nowego świata.

Wyspa oczekuje.

Na ostateczną konfrontację, na ocenę.

Wobec rosnącej władzy Brady'ego, wobec coraz bardziej niespokojnego, niezdiscyplinowanego zachowania populacji zesłańców, wobec nieustających wojen czarnych osadnicy zaczęli opuszczać swoje farmy i wycofywali się do większych miast. Ścigał ich niezmordowany Brady, powiększający władzę tak jak jego nemezis, gubernator Arthur, także mistrz publicznych gestów.

Niewysoki, elegancki mężczyzna na wspaniałym dereszku wjeżdża do centrum miasta Hobart i wywiesza ogłoszenie wyznaczające nagrodę za głowę gubernatora Arthura. *Sierżant Matt Brady, Król Lasów*. Niewysoki mężczyzna ściga wodze deresza, uśmiecha się, zdejmuje kapelusz i opuszcza go nisko przed tłumem zbierającym się wokół niego, niby śmieci wirujące na skraju rzecznej progę.

Po czym próg znika.

Wywieszano ogłoszenia o jeszcze wyższych nagrodach. Więcej pieniędzy za jakąkolwiek informację o Bradym. Wolność dla każdego skazańca, który wyda Brady'ego. A wszędzie rosła nieustannie siatka donosicieli gubernatora Arthura; dzięki dostarczonym przez nich informacjom poplecznicy gubernatora za pomocą gróźb i szantażu zaczynają tworzyć sieć, z której nikt się nie wymknie. Błotniste uliczki Hobart spływają krwią terroru Arthura. Do czternastu par nóg dziennie tańczy chwiejnego backsteпа na szubienicy, do czternastu par spodni cuchnących głównem umierającego człowieka grzebie się wraz z ich nareszcie znieruchomiałymi właścicielami co wieczór w bezimiennych mogiłach.

A tymczasem Brady podbija serca dam, nigdy bowiem ich nie wykorzystuje. Traktując ich mężów i ojców jak nadętych głupców, którymi są w istocie, wciąga kobiety w konspirację tymi swoimi uśmiechami, wdziękiem, rzucającym się w oczy ubraniem – kamizelka w kolorze morwy, wyszukane spodnie z brokatu, pióro emu w kapeluszu, na szyi krzyżyk na złotym łańcuchu wysadzonym diamentami. Pieści nadgarstki dam jedwabnymi sznurami, budzi w nich ukryte pragnienia, które zabiorą do grobu jako wspomnienia najbardziej istotnych momentów w życiu.

Fakt, że nie nosi żadnej broni – w społeczeństwie, gdzie każdy wolny mężczyzna ma broń i marzy o przywileju zastrzelenia Brady'ego jak psa – jedynie wzmacnia towarzyszącą mu aurę niezniszczalności i przeznaczenia.

Jakby wypełniając pustkę, która wydawała się rodzić między naszymi marzeniami a życiem codziennym, rozeszły się głosy, że Matt Brady przysiągł, kiedy tylko ucichną zimowe zamiecie, przedrzeć się latem przez nieopisaną na mapach zachodnią część gór i lasów deszczowych, przeprowadzić swoje siły na zachód z zamiarem wyswobodzenia swego dawnego więzienia, Wyspy Sary, i wciągnąć uwolnionych zbrodniarzy do nowej armii.

Było to tak nieprawdopodobne, tak niemożliwe, że trudno było w to nie uwierzyć. Plotka dodawała jeszcze inne elementy – że Brady chciał wyzwolić wyspę ze straszego podporządkowania, jednocząc się z wojującymi dzikusami, że nawet sypiał z jedną z ich kobiet, z Czarną Mary; że to ona właśnie miała mu pokazać drogę na zachód przez nieopisane na mapie góry; że zamierzał wykorzystać nas jako bazę armii, która proklamuje republikę, gdzie wszystko, co stałe, rozpułynie się w powietrzu, a żaden człowiek nie pozostanie w niewoli.

Komendant napisał do gubernatora z prośbą o dodatkowych żołnierzy, by utrzymać porządek na wyspie, powstrzymać masowy wybuch i odeprzeć Brady'ego, który niechybnie zaatakuje.

Bo Brady dokonywał inwazji na lekko nieprzytomne marzenia Komendanta równie zdecydowanie, jak podbijał nasze rozgorączkowane wyobrażenia: Brady, który mógł dać radę dwunastu żołnierzom naraz; Brady, który przechytrył gubernatora; eteryczny Brady z naszych najbardziej świętych pragnień; lubieżny Brady z naszych najbardziej zdeprawowanych myśli; nieśmiertelny Brady o silnych rękach, który niszczył funkcjonariuszy rządu, bogaczy, donosiciele – nieustraszony Brady, wielki Brady, zadziwiający Brady, szalony, sprytny, dumny, dający radę dziesięciu chłopom, Brady! I wszyscy czekaliśmy na jego triumfalne wkroczenie i proklamowanie republiki, bo wszyscy już wiedzieliśmy, że wyzwolenie się zbliża.

Wówczas się budzę i jeszcze przed pełnym ocknięciem robię marzę modłę się maluję rybę przed apelem, nim strach rozum nadzieja myśl, na papierze zaczyna się pojawiać niewielka skórzasta płaszczka, nienajeżona kolcami, ale urocza zgodnie z własną prawdą, ryba, która żywi się nie tyle innymi rybami, ile wodorostami i planktonem, z czujnymi oczami, z jasnożółtymi płetwami dandysa, z miękką wypolerowaną skórą błyszczącą purpurowo pod skrzelami. Łagodna skórzasta płaszczka, piękna płaszczka z moich marzeń o nadchodzącym uwolnieniu, dla odmiany coś tak delikatnego po tylu okropnościach.

## VIII

A kiedy skończyłem malowanie i popatrzyłem na nieszczęsną skórzastą płaszczkę, która teraz leżała martwa na stole, zacząłem się zastanawiać, czy ze śmiercią każdej ryby zmniejsza się na świecie dawka miłości, jaką można odczuwać do takiego stworzenia. Czy w obiegu pozostawało o tyle mniej cudowności i piękna, kiedy kolejną rybę łapano w sieć? A jeśli nadal będziemy chwytać, plądrować i zabijać, jeśli w konsekwencji świat będzie się stawał coraz bardziej pozbawiony miłości, zachwyty i piękna, to co w końcu zostanie?

Zaczęła mnie niepokoić destrukcja ryb, wyniszczenie miłości, którą tak ślepo realizujemy, i wyobraziłem sobie świat przyszłości jako jałową monotonię, w której wszyscy pożarli tyle ryb, że już ich więcej nie zostało, w tym świecie nauka zna absolutnie wszystkie okazy, typy i gatunki, ale nikt nie zna miłości, ponieważ zginęła ona wraz z rybami.

Życie jest tajemnicą, zwykł mawiać Stary Gould, cytując innego holenderskiego malarza, a miłość jest tajemnicą w tajemnicy.

Ale po zniknięciu ryb, jakie radosne skoki i błyski pokażą, gdzie teraz zaczynają się owe kręgi?

## IX

Wilgotna ziemia i unoszące się mgły, uwolnione przez budowę Wielkiego Salonu Madżonga, pogorszyły gruźlicę Komendanta – którą zaraził się wśród liści paproci od syjamskich kobiet – do tego stopnia, że żadne puszczenie krwi zdawało się nie pomagać.

Zarówno Komendant, jak i Doktor zaczęli się obawiać, że choćby wypełnili jego krwią całą zatokę, nie przyniesie to najmniejszej poprawy. Gruźlica nie reagowała także na żadne inne niezmiennie skuteczne metody leczenia stosowane przez Doktora – jak conocne picie nocnikowego ługu, który Doktor fermentował z własnej uryny; czy codzienne połykanie *album nigrum*, szczurzych odchodów, które przynajmniej miały tę zaletę, że należały do najbardziej dostępnych leków na wyspie; w przeciwieństwie do tytoniu, używanego przez Doktora jako ostateczny, rozpaczliwy środek, co oznaczało, że wdmuchiwał dym tytoniowy w odbył Komendanta po każdym opróżnieniu kiszek.

Pragnąc stworzyć Komendantowi złudzenie, że coś jednak się robi dla jego ciała – poza umożliwieniem pierdzenia dymem – Doktor wpadł na pomysł nowej kuracji, która podobno odnosiła pewne sukcesy w Anglii. Początkowo Komendant z niechęcią podchodził do jedzenia dużych ilości masła kilka razy dziennie, tłumacząc się głupio, że wywołuje to mdłości, ale argumenty przemawiające za takim leczeniem były naukowe i niezrozumiałe, a więc nie do podważenia.



Fakt, że Komendant był teraz nie tylko chory na gruźlicę, ale także niedożywiony, nie poprawiał jego nastrojów, które z dnia na dzień stawały się bardziej kapryśne i jeszcze trudniej przewidywalne niż przedtem. Dręczyły go koszmary senne, w których widział siebie nie jako rzymskiego cesarza, ale jako poetę jezior, skłonnego do długiej zadumy nad Wzniosłością i Majestatem na brzegu Grasmere, tak jakby nawet jego sny służyły doprowadzaniu do świadomości idei tak silnej, że aż dławiącej, ponieważ Ojciec Narodu powinien urodzić się do tej roli, a nie walczyć o nią każdego dnia.

Wiedział, że nic mu nie przychodzi łatwo, nawet okrucieństwo, a wpadał w jeszcze większą złość, kiedy uświadamiał sobie, że w ciężkich chwilach, kiedy przydałoby mu się trochę wyrozumiałości od innych, wielu błędnie uważało, że surowość to jego druga natura; wszak musiał walczyć nawet o własną wrogość wobec innych, a potem także z tą wrogością.

„Rozumiesz mnie, O’Riordan?” – wykrzykiwał, zeskakując z siennika piechura, chwytając muszkiet od adiutanta i tłukąc go kolbą w twarz, raz za razem; porucznik przez cały ten czas prostował, że nie nazywa się O’Riordan, tylko Lethborg. To jeszcze bardziej oburzyło Komendanta, wiedział bowiem, że wszyscy jego żołnierze to nieudolni, tchórzliwi irlandzcy wieśniacy, a nie ulegało wątpliwości, że O’Riordan był nawet gorszy, był to bowiem naprawdę nieudolny, tchórzliwy, kłamliwy irlandzki wieśniak.

Komendant zaczął kopać go w jaja i w głowę, sycząc „Brady-brady-brady” z niepowstrzymanym wigorem, który można by wziąć za wesołość, gdyby nie to, że obaj najwyraźniej szlochali; jednemu ciekła krew z ust i z nosa, a drugiemu tylko łzy płynęły z zamaskowanych oczu, ponieważ był Komendantem i wypadało mu zachować pewną dostojność, zwłaszcza dlatego, że przebył tak trudną drogę, a poza tym nie układa właśnie *Tintern Abbey* nad jeziorem Rydal.

Skoro jego gniew został tak źle zrozumiany, Komendant kazał zaarrestować, związać i zakneblować porucznika i pluton przewrotnych papistów, którymi dowodził; nie mógł już znieść widoku ran O'Riordana, dlatego właśnie nie miał innego wyboru, jak kazać całą tę związaną i zakneblowaną masę zielonej zdrady wrzucić do morza, do ryb.

„Symptomy pogarszają się u niego z każdym dniem – napisał Doktor do sir Izajasza Newtona, wybitnego kolegi w Liverpoolu, z którym się uczył i u którego szukał teraz fachowej rady w sprawie tego, co trzeba zrobić dla Komendanta – w jego piersi coś hałasuje i trzepocze się jak uwięziona ćma”. Zważywszy na gigantyczną odległość, jaka ich dzieliła, odpowiedź na drugą stronę globu mogła przyjść po wielu miesiącach, a może latach, a tymczasem uwięziona ćma wyrosła w cefala schwytanego w zapadający się kosz żeber Komendanta.

– Rozumie pan, Komendancie – wyjąkał Doktor – te rzeczy wymagają czasu.

– Ale czas! – ryknął Komendant. – Czas, drogi Doktorze, to coś, czego nasz naród nie ma. – Bo teraz w jego umyśle własne przeznaczenie i przeznaczenie narodu stało się jednym i tym samym, dlatego właśnie Komendant nie mógł ignorować spokoju, jaki zapanował na wyspie po kolejnych niepowodzeniach narodowych kolei, Wielkiego Salonu Madžonga i po setkach innych monumentalnych katastrof.

W nocy nie mógł spać z powodu braku jakichkolwiek odgłosów istnienia narodu. Jedyne echo, jakie słyszał w opuszczonych arkadach rynku, w których miał królować hałas wymiany, handlu, tłumu ludzi, to pusty odgłos fal złowieszczo rozbijających się o brzeg.

Leżąc bezsennie, coraz bardziej przerażony, zaczął się zastanawiać, czy ten jedyny dźwięk wydaje morze, jego płuca czy przeznaczenie nawołujące nawet wtedy, wzywające go z powrotem; a może był to jego własny oddech świszczący brady-brady-brady, może to skazańcy i ich nieustanne perfidne plotki o tym, jak to Brady ich wyzwoli, bez względu na to, ilu starych recydywistów on postawi za pustymi straganami udawanego handlu; jak Brady ich pomści, bez względu na to, ile wspaniałych nowych kamiennych budowli on postawi pomiędzy sobą a swoimi nocnymi wizjami, bez względu na to, jak wiele Europy wzniosł pomiędzy sobą a milczeniem, powtarzał się ten sam senny koszmar: morza przybierającego bez końca, Brady'ego zbliżającego się coraz bardziej, coraz gorętszych płomieni piekieł...



## WĘŻOWY WĘGORZ

*Który nie jest tak długi jak inne rozdziały – Niekontrolowane popędy – Tworzenie nacji – Kastracja pana Lempriere'a – Bukszpryt cierpienia – Beczki mówiących czarnych głów – Kariera Cosmo Wheelera i inne nieszczęścia – Przykre zejście pana Lempriere'a – Castlereagh zabójca*

### I

Oto on, ten Gould, żaloszny fałszerz, pijaczek próbujący ze wszystkich sił raczej do czegoś dojść niż znaleźć się znowu, zakuty w łańcuchy, w Trójkacie czy Kołysce. Powiedzmy – co mu się na pewno spodoba – że próbuje podnieść się na drabinie społeczności skazańców; a tymczasem co się dzieje?

Po tym, jak kazano mu malować ryby, po tym, jak został uwolniony od tych małych kupek trędownatego śluzu, łusek; po tym, jak dostał najlepszy przydział i miał malować tego pajaca Komendanta w stu różnych historycznych pozach, co teraz widzimy?

Człowieka, który wykorzysta tę nowo zdobytą wpływową pozycję u Komendanta do przyspieszenia własnego awansu?

Nie.

Który ma zacząć przechodzić od statusu lokaja do doradcy, totumfackiego, powiernika ze wszystkimi wymaganymi przywilejami?

Nie, nie widzimy niczego takiego. Oczywiście, ten Gould chciałby tylko nadużyć własnej pozycji na własną korzyść, ale dręczą go Myśli. Chociaż pragnie jedynie łatwej gratki, prawda jest taka, że czuje się w coraz większym stopniu więźniem narastających pomysłów i fanaberii.

To, co widzicie – a obawiam się, że będę musiał to ujawnić – to idiota, który odczuwa nieznośne wręcz pragnienie, by raz jeszcze malować rybę.

A dlaczego? Dlatego, że to pasja?

Nie.

Ponieważ myśli, że ma do odegrania jakąś rolę w rozwoju nauki?

Nie.

Sztuki?

Niech niebo ma nas w swojej opiece, nie, nic podobnego! Ponieważ, szlochął Jezus, ponieważ tak się składa, że zaczyna odczuwać niekontrolowany pociąg do ryb!

Zanim jednak zajmę się tym wszystkim, muszę naostrzyć swoje pióro z kości rekina, umoczyć je ponownie w tym zielonym laudanum, wykonać objazd niezbędny, jeśli mamy dotrzeć do punktu przeznaczenia, do wzrastającej słabości umysłu naszego człowieka, do tej słonowodnej celi nieuniknionego i cuchnącego losu; i wrócić do jednej z nocnych bibek Komendanta w domku pana Lempriere'a z tymże panem Lempriere'em.

Pan Lempriere jest teraz, jak można się było spodziewać, bardziej niż troszkę ponury z powodu tego, że jego wielka naukowa misja poszukiwania transylwańskich ryb została czasowo, a może nawet permanentnie, zatrzymana w wyniku odczuwanej przez Komendanta potrzeby wykorzystania sztuki w celach raczej narodowych niż naukowych. Pozwólcie więc, że zmienię temat, że wrócę znowu na Wyspę Sary, ponad wartownikami z Moluków strzegącymi Komendanta, i ześlizgnę się pełnym sadzy kominem pana Lempriere'a do zadymionego saloniku, gdzie podchmielony Komendant przyznaje się do swoich oburzających ambicji.

– Stworzyć naród, mój Boże, tak, tym właśnie możemy i musimy się stać. Narodem – mówił do pana Lempriere'a. – Nie, mój panie, wcale się tego nie wstydzę. Niby dlaczego miałbym się wstydzić, skoro los przeznaczył mnie do tej roli? Naród i ja, jego założyciel, prawdziwy naród, nie jakieś tam przekłete męty Więziennej Wyspy. Naród, którego będę ojcem, ojcem, którego będą czcić i szanować, pisać o nim epickie wiersze i malować na grzbiecie białych ogierów stojących dęba na tle burzowego nieba. Słyszysz mnie, Lempriere? I nikt nie będzie wiedział, jakiej to wymagało pracy, naszej ciężkiej pracy, naszego potu i poświęcenia, które wyniosły tę wyspę, przerobiły ją z więzienia w naród.

– SIKACĆ – wymamrotał pijany Doktor. – MUSZĘ.

– Chwiejąc się mocno, zdołał podnieść swoje tak wychwalane zasuwane okno, wychylił się lekko i wzdychając *GOUTTE A GOUTTE*, zaczął się odlewać.

Pan Lempriere ubierał się w stylu sprzed lat trzydziestu, nosił spodnie do kolan i duże klamry na butach, które kiedyś kazał mi czyścić co wieczór. Zrobione były z jakiegoś stopu cyny dla ubogich, choć pan Lempriere upierał się, że są srebrne, mimo że były bardziej mętne niż pomyje. I w tych butach wspinał się na palce i wychylał do przodu, żeby poprawić trajektorię skierowaną za okno.



W chwili gdy zaczął odczuwać ulgę, po długiej i nierównej walce ze skurczami zbyt ciężkiego ciała, jedna z klamerek w końcu puściła. Stopa pana Lempriere'a poleciała do przodu. W tym samym momencie puścił okno i zachwiał się najpierw do tyłu, potem do przodu. Z silnym i gwałtownym hukiem okno spadło na parapet, na którym spoczywał wystający członek pana Lempriere'a niczym zagubiona gąsienica.

Po wszystkim, co powiedziałem, moglibyście przypuszczać, że w tym momencie Doktor zaryczał jak byk bramina lub zapiszczał straszny wysokim dyszkantem, ale nie, nic podobnego; jego twarz pod białym ołowianym pudrem zarumieniała się cudnym odcieniem koralowego rózu i przez moment nic nie wskazywało na koszmar, który właśnie się wydarzył.

Być może w tej chwili strasznego cierpienia wiedział, że żadne ryki czy wrzaski nie zmienią niezaprzeczalnego faktu strasznego zwałowania jego genitaliów podczas wypadku. Poczł przerażenie budzące zawrót głowy, spowodowane zarówno bólem, jak i świadomością, co to wszystko może oznaczać w przyszłości. Poczł, że nogi mu się uginają, zawodzą go i w tym samym momencie wszystko poczerniało.

## II

Kiedy pan Lempriere został przebudzony z omdlenia za pomocą soli, odmówił zastosowania własnej kuracji na wszystkie przypadłości, twierdząc, że puszczenie krwi z genitaliów byłoby afrontem dla mężczyzny tak godnego jak on. Zacytował sir Izajasza Newtona, wspominając o wielu przykładach zwisu piwnego, który przekształcił się w permanentną przypadłość po tak pospiesznym i nienaukowym leczeniu, więc zamiast się kroić, przyjął duże ilości laudanum, zabarwionego na zielono od miedzianego garnka, w którym trzymał je dla Komendanta. Oprócz dostarczenia wspaniałej wizji Komendanta jako słonia w okresie rui, narkotyki w ciągu kilku najbliższych tygodni nie wpłynął w żaden sposób na systematyczną przemianę jego genitaliów z żółtej czerwonej glisty w wielkiego czarnego ślimaka, którego nosił na niewielkiej sosnowej platformie, specjalnie w tym celu skonstruowanej. Codziennie przywiązywał ją do ciała za pomocą pętli z turkusowej jedwabnej wstążki, umocowanej wokół górnego skraju obfitych miłosnych uchwytów i zawiązanej w dużą ostentacyjną kokardę na owrzodzonym i owłosionym tłuszczu pleców.

Krażył po osadzie, a poły koszuli unosiły się jak żagle nad sosnowym cyplem – bukszpryt cierpienia, który nieustannie sprawdzał, ilekroć znalazł się sam, oglądał cud transformacji, kiedy sińce objęło zakażenie, ciało zaczęło cuchnąć, a czerwień zrobiła się czarna, po czym czerń zrobiła się zielona. W końcu smród stał się nie do zniesienia, rozwścieczył nawet odorofila Komendanta, polecił więc związanie pana Lempriere'a, któremu mimo intensywnych protestów wprowadzono do ust lejek i wlane tą drogą wiele kufla pisco. Podczas kolejnej procedury Komendant tulił głowę swojego drogiego przyjaciela niby noworodka, mamrocząc przy tym, że tego wymaga od niego uczucie, jakie żywi do Doktora. Po kwadransie oczekiwania Komendant znużył się własnym współczuciem. Kiwnął głową na więźnia-kucharza, który stał w zacienionym kącie, powoli przeciągając nóż do mięsa po kawałku stali. Kucharz postąpił do przodu i nim pan Lempriere zdążył zaprotestować czy to po francusku, czy po angielsku, jednym cięciem odrąbał ropiejący penis.

Po przykrej utracie członka pan Lempriere stał się początkowo jeszcze bardziej wojowniczy i wredny niż do tej pory. Ale potem jego choleryczny temperament doznał jesiennej przemiany, przechodząc stopniowo w melancholię tak głęboką, jakby całkowicie utracił zainteresowanie życiem; zginęła nawet pasja zbierania i katalogowania.

Stawał się coraz większym samotnikiem i nabrał dziwnego zwyczaju wygłaszania długich przemówień do Castlereagha – jeden smutny monolog po drugim o twardej ręce losu i o tym, co mogłoby się dziać, gdyby tylko Doktor wyspecjalizował się w porostach czy wątrobowcach. Wieprz, przyzwyczajony do demonstrowania swoich piekielnych nawyków w samotności, bez ingerencji, wydawał się coraz bardziej rozzłoszczony komentarzami pana Lempriere'a, tłukł łbem w ogrodzenie, ilekroć Doktor się pojawiał, a robił to z tak wielką siłą, że przy każdym ciosie drżała cała wyspa. Doktor nie uświadamiał sobie antypatii swojego towarzysza, nie zauważał, że im więcej mówił, tym bardziej wieprz się powiększał i stawał się bardziej dziki, aż zablokował słońce, aż został oskarżony o spowodowanie zaćmienia księżyca i zakłócanie niebieskiej nocnej nawigacji. Rozwścieczony zwierz kwiczał od czasu do czasu, jakby topił się w nieustającym potoku słów; był to pisk tak przenikliwy i drażniący, że pod jego wpływem ludzie uciekali jak najdalej w morze, szalejąc z bólu uszu, a jednak te żałosne demonstracje zdawały się jedynie podgrzewać opowieści pana Lempriere'a o utracie, niepowodzeniu i osobistym unicestwieniu.

Zagubiony, przygnębiony, zwałszony, przebywający najczęściej w towarzystwie monstrealnej świni – nie trzeba chyba dodawać, że Lempriere zupełnie się już nie interesował ściągnięciem mnie z powrotem od Komendanta do malowania ryb.

Próbowałem namalować kilka ryb farbami olejnymi, w które tak szczerze zaopatrzyła mnie intendentura do obrazów dla Komendanta. Jednak olej to medium bardzo ziemskie, zbyt naładowane siłą ciężkości, zbyt nieprzejrzyste, by służyć rybm. Potrzebowałem akwarel Doktora.

Postanowiłem odwiedzić pana Lempriere'a w nadziei, że rozbudzę na nowo jego zainteresowanie księgą ryb. Miałem zamiar zapytać, czy mogę pożyczyć zestaw akwarel, żeby postarać się nadal malować ryby w nielicznych wolnych chwilach.

Powiedziałem sobie, że chodzi tu tylko o przeżycie, o zapewnienie sobie alternatywy innej niż grupa skuta łańcuchem, jeśli kiedykolwiek skończy się mój przydział do Komendanta. Ale to było kłamstwo i choć starałem się oddzielić serce od umysłu, prawda była taka, że kiedy nie musiałem już malować na potrzeby nauki, mój stosunek do ryb po raz drugi uległ zmianie i zacząłem tęsknić za tym, czego poprzednio nienawidziłem. Z najdziwniejszych powodów znalazłem się teraz w takiej sytuacji, że potrzebowałem ryb.

Początkowo ryby były jedynie zajęciem, ale aby dobrze wykonać tę pracę i zachować płynące z niej niewątpliwe korzyści, musiałem zdobyć wiedzę o tych stworzeniach. Musiałem zbadać sposób, w jaki płetwy przechodzą z królestwa nieprzezroczystego ciała do przejrzystego cudu, sprężystą jedność ciał, relacje warg do nadmiernie wielkich łbów, łbów do powiększających się ciał, sposób, w jaki zachodzą na siebie łuski, by stworzyć roztańczony połysk. W jednej rybie starałem się osiągnąć doskonałość tych niewytłumaczalnie zmysłowych warg, w innej przezroczystość łusek. I muszę przyznać, że cały proces malowania i przemalowywania zaczął na mnie oddziaływać.

Może dlatego, że spędziłem z nimi tyle czasu, że musiałem podjąć próbę, żeby się czegoś o nich dowiedzieć, zaczęły mnie interesować, a potem złościć, co było jeszcze gorsze, bo one zaczęły wchodzić we mnie, a ja nawet nie uświadamiałem sobie, że kolonizują mnie równie niewątpliwie, jak porucznik Bowen przed wieloma laty skolonizował Ziemię van Diemena.

Wkręcały się we mnie, wnikały w pory mojego ciała w wyniku jakiejś strasznej osmozy. A kiedy zamigotała we mnie niespodziewana, lekko przerażająca wiedza, że biorą w posiadanie moje codzienne myśli i nocne sny, czułem się coraz bardziej przestraszony i marzyłem, żeby je odepchnąć, zwalczyć tak, jak robili to czarni. Ale jak zaatakować umierającego kurka? Cefala w szponach śmierci?

Tak jakby można było spędzić tyle czasu w towarzystwie ryb, żeby nic z ich zimnych oczu i drżącego ciała nie przeniknęło przez powietrze do twojej duszy.

Świadomie używam słowa „przez”.

To tak jakby ich duch poszukiwał nowego wodnego medium. W pewnych momentach, kiedy śmierć jest blisko, duch ów, by zapewnić sobie przetrwanie, przeskakuje przez śmiertelne medium, jakim jest powietrze, skokiem tak nagłym i tak szybkim, że niezauważalnym gołym okiem. Może w taki sposób niebieski płomień przeskoczył w moją matkę z ust skazanego mężczyzny na jarmarku. Zastanawiałem się, czy wszystkie duchy szukają innych oczu, by wejść w nie w strasznych momentach śmiertelnego zagrożenia, by uniknąć zesłania do jakiegoś dolnego świata zagubionych cieni.

Była to po prostu moja głupota. Jak wtedy, kiedy wróciłem do córki Starego Goulda, już po ogłoszeniu jej zaręczyn z kupcem żelaznym z Salford, i prosiłem, żeby ze mną uciekła, a ona roześmiała mi się w twarz, tak teraz też musiałem wrócić po dalsze ryby. Ale dlaczego? Bo dopóki spoczywał na mnie obowiązek malowania jeszcze większej liczby tych okrutnych nowych osadników, najpierw dla pomyłonego Doktora, a potem, co chyba jeszcze bardziej pomyłone, dla mnie samego, zdawało się, że nie ma ucieczki od ich podstępnej inwazji, żadnego odpoczynku, bo zaczęły już płynąć w stronę głębi mojego serca i umysłu, przygotowując się do przejęcia nade mną całkowitej kontroli.

A skąd mogłem wiedzieć tego dnia, gdy poszedłem do pana Lempriere'a, że w jego olbrzymiej głowie rodziła się właśnie ostateczna żalonna namiętność, która miała na zawsze połączyć w jedno mnie i ryby?

### III

Kiedy szedłem do domku pana Lempriere'a w ten spokojny błękitny zimowy poranek, minęli mnie dwaj skazańcy w brudnych łachach; zalewali się potem i pomstowali, ciągnąc wózek z wieloma podłużnymi ciężkimi workami z juty.

– Kolejne trupy czarnuchów – powiedział jeden z nich, nie oglądając się ani na mnie, ani na worki.

Tubylcy zjawili się w poprzednim tygodniu z białym mediatorem Gusterem Robinsonem w zimny, wietrzny dzień. Była to pstrokata, wyniszczona grupa; niektórzy cierpieli na choroby skóry, wielu nieustannie kasłało i charczało, kaleczyli swoje chore piersi i gardła potłuczonymi butelkami i ostrymi kamieniami. Kiedy choroba przybierała formę gorączki, w podobny sposób masakrowali czoła, ich twarze spływały krwią, co miało, jak mówili, „wypuścić ból”. Niemal natychmiast po przybyciu zaczęli umierać.

Nawet skazani na śmierć aborygeni uważali nas, skazańców, za stojących znacznie niżej. Według ich przekonania oni sami byli wolnymi i szlachetnymi ludźmi, którzy zostawili swój naród, idąc na wygnanie; teraz w zamian rząd zapewni im opiekę i nie będą musieli pracować tak jak my. Nocami niektórzy skazańcy w zakładzie karnym sikali przez deski na dzikusów ułożonych piętro niżej, by w ten sposób udowodnić wyższość uwięzionego białego człowieka nad przebywającym na wygnaniu czarnym.



Swemu donkiszotowskiemu, popieranemu przez rząd przedsięwzięciu dotyczącemu tubylców – w imię którego przejechał ciemne i dzikie lasy Transylwanii jak długa i szeroka – Robinson nadał wielką nazwę Konsyliacji, misji białego człowieka polegającej na zebraniu wszystkich dzikusów, którzy tak długo wydawali mu walkę i nadal pozostają na wolności w głębi kraju.

Na obrazach, które widziałem w mieście Hobart – wielkich płótnach próbujących bez powodzenia stworzyć dla antypodów szlachetną i tragiczną historię zbawców i przeklętych – Guster Robinson pojawiał się jako pulchna i wyrazista postać na tle monotonnego tła zgromadzonych tubylców. Jego palec wskazywał surowo jakąś niewidzialną przyszłość – renesansowy prorok w środku pstrokatego, oświeconego, wirującego białą i błękitem okresu regencji; Beau Brummell jako nieprawdopodobny i fircykowaty Mojżesz Południowych Mórz.

Kiedy jednak zostałem wezwany na spotkanie z Gusterem Robinsonem, nie prezentował się tak okazale.

Tubylcy określali go słowem, które w ich języku oznaczało węgorza, jednak nie mogę sobie tego słowa przypomnieć. Trzeba przyznać, że wyglądał rzeczywiście jak niedługi sznurek, znacznie bardziej wynędzniały niż jego czarni podopieczni. Przygarbiony, w łachmanach równie brudnych i zawszonych jak nasze, zagubiony apostrof w poszukiwaniu słowa, którego mógłby być częścią, nie sygnalizował niczego poza poczuciem wyższości z powodu samozwańczego zadania, które uważał za święte.

Robinson traktował dzikusów, jakby stanowili jego otoczenie, a oni patrzyli na niego jak na jednego z licznych zabłąkanych psów, które przygarniali podczas swoich wędrówek. Ani jedna, ani druga strona zdawała się nie zauważać, że ziemia usuwa im się spod nóg jak załamująca się fala.

Robinson uważał skazańców za szumowinę, a sam był typem, który radośnie paradowałby przed nami na golasa, bo osoby, które uważał za gorsze od siebie, cenił tak nisko jak psa, którego można kopnąć, czy nocnik, w który można nasikać. Kiedy przyszedłem, rozmawiał z Mushą Pugiem, którego jako więźnia-policjanta musiał sytuować trochę wyżej na szczeblach drabiny niż zwykłego recydywistę. Zamiast w jakikolwiek sposób zasygnalizować, że zauważa moją obecność, kontynuował rozmowę, opowiadał Mushy Pugowi, jak to czarne kobiety porwane przez łowców fok i przywiezione na wyspę utrzymywały, że podczas polowania na foki nawiedza je diabeł i ma z nimi związek, że często za sprawą tego ducha noszą w łonie dziecko i że zabijają w buszu diabelskie nasienie. Mówiły, że śpiewały, by przypodobać się diabłu, bo to diabeł kazał im, żeby dużo śpiewały.

Służąca Komendanta, Mulatka, Dwupensowa Sal, znana była na wyspach jako Kleopatra, powiedział. Zanim kwakrzy doprowadzili ją do chrześcijańskiego oświecenia, cieszyła się złą sławą jako autorka diabelskiego tańca. Diabelskie tańce były, według Robinsona, wyjątkowo obsceniczne, a znane jedynie kobietom łowców fok na wyspach, nie na głównym lądzie.

Porwał ją Clucas, łowca fok, który cieszył się złą sławą w całej cieśninie. Clucas wraz z kilkoma innymi wyruszył na łowy. Spędzili tłum czarnych na plażę, ale udało im się schwytać jedynie czarne niemowlę, zanim tubylcy zepchnęli ich z powrotem na statki. Łowcy fok nie ukrywali, że chłopiec teraz należy do nich, a jeśli matce zależy na dziecku, musi płynąć z nimi. Matką była Dwupensowa Sal.

Weszła na statek i zaproponowała im siebie, jeśli pozwolą dziecku wrócić do plemienia. Łowcy fok ją schwyтали. Clucas złapał chłopczyka za nogi i rzucił go na skały, rozbijając mu głowę. Po czym odpłynęli z Dwupensową Sal. Jeden z tubylców płynął za nimi i udało mu się uchwycić rufy. Clucas odrąbał mu ręce. Na wyspie Clucasa, gdzie była skazana na życie niewolnicy, Dwupensowa Sal urodziła podobno dwójkę jego dzieci i zabiła je, wpychając im do ust trawę.

Skończywszy swoją opowieść, Robinson zwrócił się do mnie i poinformował, że Komendant wyraził zgodę, abym namalował kilku „czarnych braci”, zaczynając od tego, którego nazywają Romeo.

Wysoki i elegancki, wyglądem przypominający trochę chasyda ze Wschodu, Romeo w swoim rodzinnym języku nosił imię Towtereh. Odkryłem, że był wodzem ludu z Port Davey, a okazało się także, że jest ojcem Dwupensowej Sal. Byłem świadkiem ich spotkania. Oboje bardzo płakali i zdawali się wzruszeni tym, że znowu są razem.

Podczas rozmów z Towterehem zorientowałem się, że zmieniam opinię o tubylcach; nie mogłem dłużej myśleć o nich tak jak poprzednio. Towtereh był bardzo dowcipny, chętnie układał kalambury, mieszając języki czarnych i białych. Poza tym był prawdziwym patriotą, nie dało się zakwestionować jego głębokiej miłości do kraju. Na moim portrecie prezentował się bardzo dostojnie, ale ten obraz z całkiem oczywistego powodu nie mógł znaleźć miejsca w księdze ryb.

Pośród czarnych, których poznałem za pośrednictwem Towtereha, był wytworny mężczyzna znany jako Tracker Marks. W odróżnieniu od nas, zesłańców, ubierał się jak prawdziwy dandys. Był niezwykle czysty i mimo panującego w kolonii brudu wręcz maniakalnie pilnował, żeby codziennie prać swoje ubrania. Nosił białą koszulę z dużymi kłapkami, które rozpościerał nad – zamiast pod – kołnierzykiem i sztywny okrągły kapelusz, coś pośredniego pomiędzy fezem a czapką amerykańskich wielorybników, z którymi kiedyś włóczył się po południowych oceanach. Był bardzo spokojny, jeśli nikt go nie zaczepiał, jednak ognisty wzrok i nerwowo zaciśnięte usta sugerowały, że rzucanie mu wyzwania nie byłoby rozsądne.

Tracker Marks pochodził z lądu. Przez jakiś czas pracował dla żołnierzy Ziemi van Diemena, śledząc traperów i wtedy z niewiadomych powodów dołączył do misji Robinsona, polegającej na wyprowadzeniu z głuszy wojujących plemion. Wydawał się niepokodzony z tym, co robił, ale nie okazywał jeszcze wrogości. Według jego słów grupa Robinsona to po prostu gromada, z którą można było się przemieszczać, ale nie podróżował po swojej ziemi i choć był czarny, nie uważał, że to jego lud. W przeciwieństwie do Barabasza, innego czarnego z Nowej Południowej Walii, nie wyśmiewał tubylców z Ziemi van Diemena jako skalnych małp, tak jakby poniżając ich, mógł się sam wzniesć trochę wyżej na europejskiej drabinie stworzenia. Zdawał się nie żywić żadnych uczuć do nikogo, jedynie olbrzymie dojrzałe znużenie.

Przez jakiś czas Trackera Marksa często widywano w towarzystwie Capois Deatha. Obydwaj rozmawiali bez przerwy dziwnym, skaczącym żargonem własnego pomysłu; była to mieszanka kreolskiego pod mocnym wpływem angielskim i języka aborygenów, również pod wpływem angielszczyzny. Tracker Marks opowiadał Capois Deathowi o swoich rodakach, o ich świecie, ich ziemi i ich miejscu na niej. Capois Death, którego jedynym dziedzictwem zawsze była rozłąka, słuchał bardzo uważnie. Każdy z nich zdawał się szukać w drugim tego, czego nigdy nie poznał: Capois Death chciał wiedzieć, skąd pochodzą czarni, dokąd pójda i co to oznacza, ale w rezultacie nie potrafił wyzwolić się od przekonania, wpojonego przez baty na plantacji San Domingo, że metody białego człowieka, nawet jeśli nie sam biały człowiek, są lepsze od metod czarnych ludzi. Bo Capois Death nienawidził białego człowieka, ale uwielbiał jego cywilizację.

Tracker Marks żywił wręcz przeciwną opinię. Choć wydawał się bardziej biały od białego człowieka, zupełnie nie cenił jego sposobu życia. W jego pojęciu sposób, w jaki teraz się ubierał i jak się zachowywał, w niczym się nie różnił od ukrywania się w cieniu drzew i stawania z wiatrem podczas polowania, by wtopić się w świat tropionej zwierzyny, zamiast rzucać się w oczy. Kiedyś celował w tańcu emu i tańcu kangura, potem wrodzony talent doprowadził go do tańca białego człowieka, tyle że teraz nie został już nikt z jego plemienia, kto mógłby śmiać się przy ognisku, wychwalając jego zdolność obserwacji i ukradkowego naśladownictwa.

Biali nie mają praw, powiedział do Capois Deatha, nie mają marzeń. Ich sposób życia nie ma najmniejszego sensu. A jednak nie żywił do nich nienawiści, nie gardził nimi. Ich głupota przekraczała wyobrażenie, ale mieli władzę i w jakiś sposób w umyśle Trackera Marksa ta głupota i władza były nierozzerwalnie związane. Ale jak?

– pytał Capois Death. Jak władza i ignorancja mogą spać w jednym łóżku? Capois Death nie znał odpowiedzi na te pytania.

Potem więcej czarnych zaczęło kasłać i charczeć. Z ich nosów wydostawało się dosyć gilów, by zapełnić całą przystań, a z pokaleczonych głów płynęło dość krwi, by zabarwić na różowo całą wyspę i w ciągu dwóch dni zmarło kolejnych siedmiu.

Niedługo potem Tracker Marks zniknął z Wyspy Sary. Może niepokoił się, jak długo jeszcze zdoła znieść tak często deklarowany przez Gustera Robinsona szacunek i miłość dla czarnych braci. Jego ostatnie słowa do Capois Deatha przed ucieczką były zupełnie niezrozumiałe dla byłego niewolnika z San Domingo, który nieustannie opowiadał i upiększał swą osobistą historię w przekonaniu, że to coś wyjaśnia i coś oznacza.

– Ukryj swoje życie – powiedział mu Tracker Marks.

– Całkowicie.

Kiedy tego ranka w drodze do pana Lempriere'a obserwowałem dwóch czarnych opróżniających worki do dołu tuż przy drodze, zauważyłem ze zdumieniem, że ciała czarnych nieboszczyków nie miały głów. Skazańcy szybko zasypywali bezgłowe ciała cienką warstwą ziemi, nie zapełniając reszty dołu, gotowego, jak przypuszczam, na przyjęcie kolejnych zmarłych.

– To tylko martwe czarnuchy – usłyszałem słowa drugiego skazańca, ale schodząc po stoku do Lempriere'a, nie obejrzałem się ani na niego, ani na dół. – Jeden z nich to Romeo, ale nie ma mowy, żeby któryś z pozostałych był Julią.

## IV

Domek pana Lempriere'a był pusty, ale zza niego dochodziły dziwne odgłosy, towarzyszące zazwyczaj wysiłkowi fizycznemu. Od czasu do czasu słyhać było trzask drzewa, jakby gigantyczny eukaliptus gubił konary. Ruszyłem boczną dróżką i zobaczyłem na tle błotnistego dziedzińca w kolorze umbry, który przylegał do zagrody Castlereagha, wyraźny profil wielkiej głowy pana Lempriere'a.

Intensywne słońce przypominało żółtko, niebo miało kolor żywej ultramaryny, a jednak było chłodno – typowa zimowa pogoda w krainie van Diemena. Pan Lempriere nigdy nie musiał szczególnie fatygować swej zwalistej postaci, żeby oblać się strumieniami potu, a tego ranka najwyraźniej był zajęty, bo krople potu wielkie jak paciorki spływały po ołowianobiałej twarzy. Stał pośrodku kręgu kilku drewnianych beczek; do jednej z nich więzienny bednarz dopasowywał pokrywę, a pan Lempriere walił pięściami w bok innej beczki, wykrzykując najrozmaitsze paskudztwa w sporze z kimś niewidocznym.

Kiedy mnie zauważył, uniósł rękę i odsunął ją od twarzy, jakby chciał powiedzieć, że ten spór go nie dotyczy.



– NIE ZWRACAJ UWAGI, TO SIĘ CIĄGLE ZDARZA –  
zapewnił mnie. – ALE! BECZKA ZAPIECZĘTOWANA,  
USPOKAJAJĄ SIĘ.

Podszedłem bliżej i uważniej przyjrzałem się beczce, z którą mocował się pan Lempriere. Zdawała się pełna solnej zalewy, ale nie mogłem przysiąc, że akurat taki był skład płynu do peklowania. Błysnęło mi coś ciemnego i początkowo uznałem, że beczkuje węgorze, których w tym roku była w zatoce obfitość. A potem pomyślałem: nie, chyba oczy płatają mi figle, to światło południa każe mi wszędzie widzieć mężczyzn pod postacią ryb.

A potem wolniutko i tak strasznie, że jeszcze po wielu dniach czułem się jak kompletny głupiec, dotarło do mnie, że w beczkach podskakują w górę i w dół, toczą się jak jabłka na jarmarku, kiszą się jak kule kapusty wcale nie węgorze, tylko odcięte głowy wielu czarnuchów. Jeśli pomnożyć to przez pół tuzina beczek, musi tu być od czterdziestu do siedemdziesięciu czarnych głów, obliczałem marynujących się tego pięknego poranka w połowie zimy na tyłach domku pana Lempriere'a.

Stało się też dla mnie oczywiste, że w oczach Lempriere'a te głowy martwych czarnych wrzeszczą na niego i wyśmiewają go. Starał się udawać obojętność na wymaginowane prześmiewki, ale co jakiś czas nie wytrzymał i zaczynał reagować krzykiem. Potem przybierał minę znużoną wymaganiami, jakie nakłada na niego naukowa szacowność, i spoglądał czule, niemal kokieteryjnie w stronę świńskiej zagrody, gdzie w najbardziej błotnistym zakątku spał Castlereagh. Pozwalał sobie na pełen wyrozumiałości uśmieszek na widok tak bukolicznego szczęścia, wypijał łyczek rumu z wyszczerbionego glinianego naczynia i wycierał brew pomalowaną na biało ołowiem, posługując się brudną, poplamioną jedwabną chusteczką do nosa.

Pan Lempriere wyjaśnił, że denerwują go głowy, bo się nie zanurzają, ale bez przerwy wyskakują ponad powierzchnię marynaty i pyskują. Martwił się, że twarze narażone na kontakt z powietrzem podczas długiej morskiej podróży do Brytanii mogą ulec rozkładowi. Ale po śmierci, tak jak w życiu, czarne głowy pozostawały siłą, z którą należało się liczyć, a ich otwarte oczy zdawały się towarzyszyć panu Lempriere, gdziekolwiek się udał, czym naprawdę nie był zachwycony. Zapytał bednarza, czy dałoby się zatopić głowy, obciążając je kamieniami. Bednarz powstrzymał westchnienie i ruszył na poszukiwanie sznurka.

Pan Lempriere miał wiele zalet, w tym również tę, którą nazywał zdrowym rozsądkiem. Podziwiałem go za to, że nie traktował mówiących głów tak, jakby nadal były częścią całego ciała i żyły nienormalnie lub paranormalnie; dla niego stanowiły jedynie praktyczną niedogodność. Było w tym coś tak niesamowicie i zdecydowanie angielskiego, że przez moment opanowała mnie przemożna tęsknota za kochanym Starym Światem, gdzie powstają tacy giganci jak ten sługa nauki o księżycowej twarzy, który wielokrotnie powtarzał milczącym głowom, żeby się zamknęły, podczas gdy on wraz z bednarzem spróbują rozwiązać problem ich obciążenia.

Ze środka kręgu głów, które podobno szczyły z niego i z jego pracy, powitał mnie jak dawno utraconego przyjaciela. Oparł się o zamkniętą beczkę i rozpoczął opowieść o rozpaczliwej sytuacji z tym, o którym w mojej obecności zawsze mówił z szacunkiem należnym mędrcom: z Cosmo Wheelerem.

– NA POCZĄTEK PO PROSTU ZBIERANIE KWIATÓW, KILKU LIŚCI, RZECZY – zaczął pan Lempriere i znowu wytarł brwi przybrudzoną chusteczką, ścierając puder i wydobywając na światło dzienne udreconą skórę z fioletowawym połyskiem. – TAKA PRACA – POWIEDZIAŁ WHEELER – ZAPEWNI MI CZŁONKOSTWO W TOWARZYSTWIE KRÓLEWSKIM – ALE POTEM LIST, NIC WIĘCEJ – OFICJALNE PODZIĘKOWANIE OD WAŻNEGO ORGANU – NA PEWNO WZRUSZAJĄCE WYRÓŻNIENIE – WYJĄTKOWO DOBRZE ZAKONSERWOWANE I ZAPAKOWANE – CO SPRAWIA, ŻE PRZESYŁKA NADAJE SIĘ DO BADAŃ NAUKOWYCH. I TYLKO! TYLKO TAKI LIST!

A POTEŃ PAN COSMO WHEELER STAJE SIĘ SIR COSMO WHEELEREM, W UZNANIU JEGO WIELKIEJ PRACY NAD FLORĄ ANTYPODÓW A NASTĘPNIE CHCE *EN UN MOT*, MUSZLI SKORUPIAKÓW, BRAK MUSZLI? NIE! DŁUGO, BARDZO DŁUGO, KAŻDY WOLNY DZIEŃ, PRZESZUKIWANIE TEGO CHOLERNEGO WYBRZEŻA W NIEPRZYCHYLNICH I... ŻAŁOSNYCH WARUNKACH PO TO, BY OTRZYMAĆ PO LATACH STRASZNEJ PRACY DRUGI OFICJALNY LIST Z TOWARZYSTWA KRÓLEWSKIEGO NAWET BARDZIEJ POCHWALNY NIŻ POPRZEDNI, ALE GDZIE WZMIANKA O MOIM CZŁONKOSTWIE W TOWARZYSTWIE?

– Nie ma – odpowiedziałem.

– OWSZEM, ŻADNEJ – wyjaśnił.

W tym momencie przerwał, by zająć się czymś, co uznał za nieprzyzwoity komentarz dochodzący z beczek, nim powrócił do przerwanej historii.

– WIĘC, JAK WIDZISZ – kontynuował pan Lempriere – PORUSZYŁEM TO, Z CAŁYM SZACUNKIEM, Z SIR COSMO, KTÓRY TERAZ ZOSTAŁ SEKRETARZEM TOWARZYSTWA W WYNIKU SWOICH PRZEŁOMOWYCH BADAŃ NAD KRĘGOWCAMI Z POŁUDNIOWYCH MÓRZ, ZE SPECJALNYM ODNIESIENIEM DO SKORUPIAKÓW Z ANTYPODÓW.

SIR COSMO ZAPEWNIŁ MNIE W ODREBNYM, PRYWATNYM LIŚCIE, ŻE MOJE OBAWY, IŻ ZOSTANĘ ZIGNOROWANY I – NIGDY NIE OŚMIELIŁEM SIĘ NAPISAĆ TEGO W MOIM LIŚCIE, A JESZCZE MNIEJ POMYŚLEĆ! – WYKORZYSTANY, SĄ ABSOLUTNIE NIE NA MIEJSCU, ZAPEWNIŁ MNIE, ŻE CAŁA SPRAWA JEST POD PEŁNĄ KONTROLĄ – UWAŻA MNIE, TOWARZYSTWO UWAŻA ZA NAJBARDZIEJ SŁAWNEGO I ZASŁUŻONEGO ZE WSZYSTKICH KOLONIALNYCH ZBIERACZY – NAJBARDZIEJ PRAKTYCZNEGO UCZONEGO. TAKA REPUTACJA WYMAGA JEDYNIIE WIELKIEJ, PODSUMOWUJĄCEJ PRACY, BY ZWIĘCZYĆ WSZYSTKIE NIEKWESTIONOWANE POMYSŁY – WTEDY BĘDĘ MÓGŁ POWRÓCIĆ TRIUMFALNIE DO ANGLII.

WIĘC CAŁA TA SPRAWA Z RYBAMI MIAŁA BYĆ MOIM WIELKIM DZIEŁEM – PRZEPUSTKĄ DO TOWARZYSTWA – SARDYNKI I KAŁAMARNICE DO TOWARZYSTWA, ALE TERAZ ON PISZE: „NIE, RYBY ZROBIŁ HOOKER, MÓWIĄC MIĘDZY NAMI, HOOKER WYKONAŁ RACZEJ NĘDZNĄ PRACĘ, JEDNAK RYBY SĄ SKOŃCZONE, ZROBIONE, WIĘC PROSZĘ MI NIE ZAWRACAĆ GŁOWY PRZYSYŁANIEM OBRAZKÓW BO JEST ZA PÓŹNO”.

NOWE I WAŻNE POLE TERAZ, PISZE – NOWA NAUKA, NOWE SPOŁECZEŃSTWO, NOWY WIEK, FRENOLOGIA, SZCZEGÓLNIJE W ODNIESIENIU DO POKONANYCH I PODRZĘDNYCH RAS – NAUKA GOTOWA DOKONAĆ WIELKICH POSTĘPÓW W ZROZUMIENIU LUDZKOŚCI W JEJ WYŻSZYCH I NIŻSZYCH FORMACH – WSZYSTKO TO Z BADANIA CZASZEK, DO KTÓREGO JEDNAK BRAKUJE ODPOWIEDNIH OKAZÓW.

Zrozumiałem wówczas – o ile można cokolwiek rozumieć z tyłu podrzędnych zdań – że sir Henry Hooker, który mimo uznania go za przeciętnego szarlatana przez sir Cosmo Wheelera wydawał się jego głównym naukowym rywalem, natrafił na sześć beczek napełnionych czarnymi głowami, należących do jego przyjaciela sir Josepha Banksa, które to głowy przed wielu laty Banks zebrał na Ziemi van Diemena. Późniejsza monografia Hookera o czarnych głowach Banksa – głosząca ich niewinność i brak związku z białą cywilizacją, a także szlachetność ich czarnych fizjonomii – wywołała duże zainteresowanie.

– TYLE NONSENSÓW À LA ROUSSEAU – kontynuował Doktor – POWODOWAŁO OMDLENIA DAM, TAK! – ALE SIR COSMO UWAŻA, ŻE PRACA HOOKERA OPIERAŁA SIĘ NA FUNDAMENTALNYH BŁĘDACH – MODNEJ FRANCUSKIEJ ZGNILIŻNIE – INTELEKTUALNYM ONANIZMIE!

GDYBY ON, SIR COSMO, MIAŁ DO DYSPOZYCJI WIĘCEJ WSPÓŁCZESNYH CZARNYH GŁÓW, RAZ NA ZAWSZE BY UDOWODNIŁ, ŻE PRACA HOOKERA, BO PRZECIEŻ NIE NAUKA, BYŁA PRÓŻNYM OSZUSTWEM.

WIĘC TERAZ ZAMIAST KWIATÓW, MUSZLI CZY RYB – CZARNE GŁOWY! JEŚLI W OGÓLE MAM BYĆ PRZYJĘTY DO TOWARZYSTWA KRÓLEWSKIEGO – CZARNE GŁOWY! ALE TO NIE TAKIE ŁATWE! GDZIE? JAK MOŻNA SCHWYTAĆ CZARNE GŁOWY – MOŻE W SIECI, A MOŻE PORWAĆ ZE SKAŁ PRZYBRZEŻNYCH? NIE! – CZY MOŻNA ZERWAĆ CZARNĄ GŁOWĘ JAK DZIKI KWIAT, SPŁASZCZYĆ I USUSZYĆ – CZY MOŻNA USTRZELIĆ JAK BEKASA, JAK ROBIĄ NIEKTÓRZY? JAK MAM POSTĄPIĆ?

ZMUSZONY DO NAJBARDZIEJ NIEAPETYCZNEGO HANDLU Z NAJGORSZYMI TYPAMI – GRABARZE, ZESŁAŃCY, STRÓŻE Z KOSTNICY, PRAWNICY W SYDNEY. REZULTAT? CAŁKOWICIE DO PRZEWIDZENIA: STRACONA WIĘKSZOŚĆ OSZCZĘDNOŚCI, DOSTARCZONA PEWNA LICZBA OŚLIZGŁYCH, CUCHNĄCYCH GŁÓW – ROZMAITYCH, ALE NIGDY CZARNYCH – GŁOWY SKAZAŃCÓW POMALOWANE JAPOŃSKĄ LAKĄ, CZASZKI BIEDAKÓW, UDRĘCZONE MIĘSO POPLAMIONE SMOŁĄ, WSZYSTKIE INNE GŁOWY NAJBARDZIEJ ŻAŁOŚNIE PRZEBRANE ZA CZARNE GŁOWY – OCZYWIŚCIE W OKROPNYM STANIE – SPRZEDADZĄ WSZYSTKO – WIELORYBNIK PRÓBOWAŁ MI WEPCHNAĆ DWIE WYSUSZONE GŁOWY MAORYSÓW, KTÓRE MIAŁ W WORKU PRZY PASIE JAK TUBYLCY Z ZIEMI VAN DIEMENA – NIE WIĘKSZE NIŻ ZWIĘDŁE JABŁKA POMALOWANE INDIAŃSKIM TUSZEM, A POTEM...

– Guster Robinson? – zasugerowałem.

– *VOTEZ-VOUS* – powiedział.

– Tragicznie – odparłem.

– *EN UN MOT* – TAM, GDZIE INNI WIDZIELI TRAGEDIĘ - JA WIDZIAŁEM, CO? – WIDZIAŁEM MOŻLIWOŚCI. – Pochylił się tak jak zawsze, kiedy chciał przekazać coś, co uważał za ważne.

– Nauka? – zgadywałem.

– CZARNE GŁOWY – potwierdził rozsądnie.

Przejechałem palcami po nadal wilgotnym drewnie beczek.

– POŚMIERTNE ODKUPIENIE – powiedział. – TRAGICZNYCH, NIECHRZEŚCIJAŃSKICH EGZYSTENCJI.

– Zbawienie – zaryzykowałem.

– MIEJMY TAKĄ NADZIEJĘ – oświadczył pan Lempriere – NIE TYLKO ZE WZGLĘDU NA NICH.

Pan Lempriere wytarł ponownie twarz i polecił bednarzowi, żeby przyniósł z domu herbatę i jeszcze więcej rumu. Usiedliśmy.

– NIE ZWRACAJ NA NICH UWAGI – powiedział pan Lempriere spokojnie, jakby znowu słyszał przyciszone protesty z wnętrza beczek i nie chciał się do tego przyznać.

– NIGDY NIE REAGUJ NA NIEWDZIĘCZNOŚĆ.



Bednarz powrócił, postawił czajniczek z herbatą i karafkę z rumem na zapieczętowanej beczce. Potem zabrał się do przybijania kolejnych pokryw, zupełnie niezainteresowany tym, czy głowy pływały, czy zatoneły, czy były obrażone, czy krzyczały. Pewnie nie był to najlepszy moment, żeby poruszyć to, co poruszyłem, ale rozpocząłem przemowę, tłumacząc, że ryby nadal były projektem o największej naukowej wadze, a jeśli sir Cosmo Wheeler nie jest już zainteresowany, to może pan Lempriere zastanowi się nad opublikowaniem ich na własną rękę u drukarza Benta w mieście Hobart.

Londyński druk z powołaniem się na nazwisko sir Cosmo Wheelera oznaczał sławę, uznanie, drogę powrotną do świata, na zewnątrz którego tak długo przebywał pan Lempriere, klucz do najbardziej przez niego upragnionej rzeczy: członkostwa w Towarzystwie Królewskim. Podczas gdy książka z miasta Hobart...

– *EST-CE QUE JE SUIS SI MALADE?* – wykrzykiwał Doktor. – KSIĘGA Z HOBART, SPRZECZNOŚĆ, SIR, PRAWDZIWA OBRAZA NAUKI, KULTURY!

Wypił następnie jeszcze trochę rumu i herbaty, a potem obszedł wszystkie beczki, wałąc w każdą młotkiem i wrzeszcząc, by się uspokoiły i były wdzięczne za to, że w końcu znajdzie się dla nich jakieś praktyczne zastosowanie w imię dobra cywilizacji.

Wrócił, usiadł i powiedział mi, że między czterdziestym a pięćdziesiątym stopniem szerokości leży strefa najbardziej umiarkowanego klimatu, i z tego klimatu powinno się wyprowadzać prawdziwe kolory ludzkości i idee różnych poziomów piękna.

– BO NIGDY NIE BYŁO NIGDZIE INDZIEJ  
CYWILIZOWANEGO NARODU – CAŁKOWICIE BIAŁEGO –  
GDZIEŻ INDZIEJ ZRODZIŁY SIĘ POMYSŁOWE  
PRZEDSIĘBIORSTWA, SZTUKA, I NAUKA? SZLACHETNA  
POSTAWA I WYCHOWANIE BIAŁYCH – I GDZIE, JEŚLI  
NIE NA ŁONIE EUROPEJSKIEJ PANIENKI MOŻNA BYŁO  
ZNALEŹĆ DWIE TAK PULCHNE I ŚNIEŻNOBIAŁE  
PÓŁKULE – PODMALOWANE CYNOBREM?

Mój biedny umysł zapełniła procesja białych półkul niezbyt  
pulchnych, półkul mniej niż półkolistych, czarnych półkul  
zanurzonych w ciemniejszej farbie, a w całej tej szczęśliwej  
procesji nie było ani jednej pary, z którą w takim czy innym  
momencie nie byłbym w mniej lub bardziej intymnych  
stosunkach i w której bym nie odkrył pewnych powabów i zalet...

Moje próby ukrycia szoku, jaki wywoływało we mnie to  
wszystko – niewygodna supremacja śnieżnobiałych półkul, czarne  
głowy, które zgodnie z przekonaniem pana Lempriere'a nigdy nie  
przestaną paplać i które jeszcze nie zdołały pojąć, że ich półkule  
znalazły się po złej stronie globu; smutny los życzliwości na tym  
świecie i jego żalosne konsekwencje; mój własny los teraz, kiedy  
każda nadzieja na łatwy przydział do malowania ryb zdawała się  
znikać – musiały się wydawać oczywiste.

– ZGODZĘ SIĘ NA NAUKĘ, GOULD, NIE NA  
CHOLERNY CYRK!

Następnie pan Lempriere obrócił się gwałtownie, jakby  
usłyszał jakieś szyderstwa czy kpiny. Stojąc plecami do mnie,  
ryczał w stronę beczek:

– NIE BĘDĘ Z WASZEGO POWODU OPŁAKIWAŁ CZARNYCH. JESTEM PATRIOTĄ NATURALISTĄ I PODOBNIIE JAK JA TEŻ PONIESIECIE OFIARY DLA NAUKI, DLA NARODU.

W jego odbiorze ogólna reakcja z beczek musiała się stać głośniejsza, bo schwycił ciężkie polano ze stosu drewna do palenia i maszerował od beczki do beczki, waląc nim w pokrywy i tłumacząc, że nikt nie mógł dla nich zrobić więcej niż on. Wrzeszczał, że przeszłość to przeszłość, ale jego interesuje przyszłość, a oni powinni szaleć z radości, że będą uczestniczyć w tak poważnym projekcie naukowym i wreszcie na coś się przydadzą cywilizacji. To ostatnie słowo nagle wyrwało Castlereagha ze snu; zaczął z kwikiem biegać po zagrodzie. Przyczynił się w ten sposób do ogólnej kakofonii dźwięków: pan Lempriere uderzał kijem w beczki i wykrzykiwał najbardziej ohydne obelgi, biegając w kółko, a jego wieprz kwiczał.

– KOCHAM WAS, ROZUMIECIE? – teraz już pan Lempriere szlochał. – Z MIŁOŚCI, TYLKO Z MIŁOŚCI ROBIĘ TO DLA WAS.

W końcu zdawało się, że pan Lempriere zrezygnował, jakby poczuł się pokonany. Odrzucił kij z taką siłą, że wylądował na jeszcze niewybudowanym Bulwarze Przeznaczenia Komendanta. Westchnął, uronił kilka łez, przygarbił się i podszedł do zagrody wieprza, starając się wciągnąć kwiczącego Castlereagha do konwersacji.

– ONI – i w tym momencie wskazał oskarżycielskim palcem na niesforne beczki, żeby wieprz mógł je zobaczyć – NIE POTRAFIĄ ZROZUMIEĆ – KSZTAŁT, WYMIAR, WZAJEMNE ZWIĄZKI POSZCZEGÓLNYCH CZĘŚCI *CRANIUM* – ZDECYDOWANE WYZNACZNIKI I CHARAKTERU, I INTELEKTU – PRACUJĘ NAD REFERATEM NA TEMAT – SAMA DUSZA, BADANIA CZASZKI WYKAŻĄ ZASADNICZE RÓŻNICE POMIĘDZY RASAMI – OKREŚLONY CHARAKTER I DOKŁADNE POWODY HIERARCHII RAS LUDZKICH.

Odwrócił się, pokręcił głową i znowu podszedł do mnie.

– WIDZISZ – kontynuował pan Lempriere, napełniając dzbanek rumem i herbatą – NAUKA SPOTYKA TUTAJ SWOJE NAJWIĘKSZE WYZWANIE – A WHEELER JEST ZDECYDOWANY JE PODJĄĆ I ROZWIĄZAĆ – NASI CZARNI BRACIA, TAK JAK PSY CZY PCHŁY, NIE POCHODZĄ OD ADAMA – BÓG STWORZYŁ ICH JAKO OSOBNY, ALE PODRZĘDNY GATUNEK – TAK JAK RYBY CZY WRÓBLE – JAKO ODRĘBNE, ALE GORSZE – JAKO SOLIDNI ANGLICY MY TO ROZUMIEMY, ZWYKŁY ZDROWY ROZSADEK – ALE BEZ NAUKOWEJ KLASYFIKACJI I KATEGORYZACJI NIE JEST TO JESZCZE WIEDZA NAUKOWA. SIR COSMO MA SKARBY NIEZRÓWNANE POD WZGLĘDEM GŁĘBI ANATOMICZNYCH SPOSTRZEŻEŃ, ALE SĄ TO WYŁĄCZNIE BIAŁE CZASZKI.

Pan Lempriere pochylił się do przodu, opuścił swój wielki łyse łeb, pokręcił nim w jedną i drugą stronę, co przypominało świńską głowę na rożnie, a kiedy upewnił się, że nikogo więcej nie ma w pobliżu i nikt poza mną go nie słucha, kontynuował konspiracyjnym tonem:

– NA TYM POLEGA PROBLEM, ŻEBY DOKOŃCZYĆ SWOJĄ WIELKĄ PRACĘ I UDOWODNIĆ, ŻE TO JEST NAUKA, WHEELER MUSI MIEĆ, KONIECZNIE POTRZEBUJE CZARNYCH CZASZEK DO OCENY I BADANIA.

Pan Lempriere odchylił do tyłu głowę jak gotowane jajko w filiżance i zasyczał:

– JESTEM MU POTRZEBNY.

## V

Kilka dni po tym, jak zostawiłem pana Lempriere'a i jego beczki, nie zabierając zestawu akwarel, otrzymałem wiadomość, że mam się z nim spotkać z samego rana, żeby omówić moją przyszłość w roli przydzielonego mu służącego. Bardzo się niepokoiłem, że oznacza to koniec, zarówno ryb, jak i mój. Postanowiłem zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby przekonać go o potrzebie kontynuowania tego projektu, więc idąc do jego domku w zimny ranek, zacierałem ręce, żeby je rozgrzać i usiłowałem wymyślić jakieś naukowe argumenty, bo tylko one mogłyby znaleźć posłuch u pana Lempriere'a.

W ciągu tego tygodnia od naszego ostatniego spotkania pan Lempriere nie tracił czasu w sprawie czarnych głów; zrezygnował z próby przetransportowania ich w całości w beczkach i postanowił zrobić z nich czaszki, czym zajmował się niemy skazaniec. Po skatalogowaniu czaszki miały być wysłane do Anglii.

Zdziwiło mnie, że dom jest pusty. Jeszcze bardziej zdziwiło mnie to, że ze świńskiej zagrody nie dochodzi żadne gwałtowne kwiczenie ani walenie w płot. Wyruszyłem na tyły domu na wypadek, gdyby Doktor poświęcał się akurat nietypowej milczącej medytacji w obecności Castlereagha. Wieprz, który wyjątkowo zdawał się nasycony, leżał na boku, pogrążony w głębokim i szczęśliwym śnie. Jednak nigdzie nie było śladu jego pana i powiernika, doktora Lempriere'a.

Dopiero później zauważyłem zdradliwy biały cień wokół ryja świni, przypominający zarost starca. Ale w tym momencie otoczył mnie niezwykle duży obłok pary – tak gęsty, że zasłonił część świńskiej zagrody, z której unosiła się lepka i kwaśna woń, niemal całkowicie przesycająca obłok mgły. Zamknąłem oczy powodowany dziecinnym odruchem, że w ten sposób wymażę rzeczywistość. Jednak odór się wzmaczał, aż stał się przytłaczającą obecnością, tak dokuczliwą, że zdawała się ciężarem na mojej głowie, tak wilgotną, że czułem kwaśną rosę na twarzy, i tak cuchnącą, że moje nozdrza zdawały się płonąć.

A kiedy wreszcie otworzyłem oczy, zorientowałem się, że gryząca mgła uniosła się w górę jak teatralna kurtyna i nie można już było nie zobaczyć, co takiego leży przede mną w błotnistym koszmarze świńskiej zagrody.

## VI

Był to glut.

Olbrzymi.

Mógł nawet być, stwierdziłem z przerażeniem, największym świńskim glutem na całej planecie tego ranka. A może w ogóle największym. Niewątpliwie był to widok zaskakujący, który trudno było od razu skojarzyć z pojęciem świńskiego gnoju. Jakże błyszczał w czerwonym świetle wczesnego zimowego ranka ten parujący obelisk gówna. Łatwo można było uznać go za piękny i niezwykle cenny złoty samorodek, gdyby nie trochę umazana, ale trudna do przeoczenia tania cynowa klamerka do buta, kiedyś naprawiana, dziś mocno pognieciona, wystająca u podstawy piramidy.

Wdrapałem się na płot i przyjrzałem się dokładniej. Na stratowanej ziemi wokół lśniącej góry świńskiego gówna dostrzegłem – porzucone jakby po ekscesach bachanaliów – strzępy koszuli (zakrwawione), połę czarnego surduta (podartą), niebieski jedwabny rękaw (pocięty) i połowę poplamionej jedwabnej chustki do nosa (zasmarkanej).

A potem zauważyłem coś, co nieprzyjemnie przypominało ludzką kość biodrową. Inne krwawe, ubłocone kości. Zebra. Udo. Kości piszczeli. Przedramiona. Kręgosłup. I wtedy zobaczyłem rzecz najważniejszą: wielką pokrwawioną czaszkę leżącą na boku, niby jakiś upadły idol Południowego Pacyfiku.

Castlereagh pierdnął wonią zarazem słodko-kwaśną, straszliwie silną; w tym momencie, ponieważ stałem pod wiatr, nie miałem już wątpliwości, że znajomy smród musi być zatowizowaną istotą pana Lempriere'a.

W odległym krańcu zagrody dostrzegłem potłuczone skorupy i rozpoznałem je jako pozostałości dzbanków, w których fermentowaliśmy z Dwupensową Sal Łotrowską Zupeł. Castlereagh przetoczył je przednimi łapami pod ogrodzeniem do swojego kojca, potem stłukł i wypił mocną zawartość. Spojrzałem na wieprza. Otworzył ślepią i popatrzył na mnie.

Mogę przysiąc, że uśmiechnął się drwiąco.

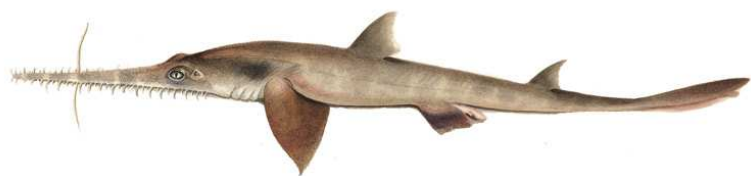
Cofnąłem się z obrzydzeniem, zasłaniając usta ręką.

Jak męczący sen stanął mi przed oczami obraz tego, jak musiał skończyć pan Lempriere: siedział na ogrodzeniu i popijał, upił się i mówił do Castlereagha – wybuchowy wieprz był jego ostatnim słuchaczem – o nauce, cywilizacji, traktatach kabalistycznych i śnieżnych półkulach, będących nie czym innym jak popsutą i psującą się pamięcią. Widziałem oczyma duszy Castlereagha upitego naszym ostrym rumem, jeszcze bardziej rozszoszczonego, który dreptał tam i z powrotem i zastanawiał się – o ile pijane świnie zdolne są do aktywnego myślenia – kiedy ten denerwujący hałas się skończy. Widziałem też, jak w końcu Castlereagh wydał ogłuszający kwik i całą siłą zaszarżował na płot.

I wtedy pan Lempriere, tracąc te resztki równowagi, jakie mu jeszcze zostały, runął w próżnię.



Musiał wtedy zobaczyć wiele rzeczy, których oglądania unikał przez bardzo długi czas. Musiał słyszeć odgłos mlaskania przybliżający się truchtem. A potem, przypuszczam, musiał nadejść moment, w którym uświadomił sobie, że już niczego nie da się uniknąć.



## PIŁONOS AUSTRALIJSKI

*Chrystus, kabaliści i świńskie gluty – Co się przytrafiło  
miłosnej bruździe – Halucynacje historii – Ucieczka w samą  
porę – Odpowiednia klasyfikacja – Jorgen Jorgensen – O tym,  
jak został królem Islandii – Sprawozdanie z Waterloo – Nowa  
misja Jorgensena – Odkrycie głowy Woltera. – Wpadka  
Goulda – Druga Księga ryb*

### I

Zamiast infantylnej i fatalnej w skutkach wiary pana Lempriere'a w możliwość udoskonalenia świń postanowiłem zapamiętać jego intensywną, choć krótkotrwałą, pasję dotyczącą ryb. Była ona tak silna, że w jego myślach przybrała nieszczęsny, religijny wymiar. Utwierdził się w tym złudzeniu, kiedy w starym kabalistycznym traktacie pożyczonym od Jorgena Jorgensena odkrył, że pierwsze litery greckich słów określających Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, Zbawiciela – ich-th-ys – są takie same jak grecka nazwa ryby: *ichthys*.

– GOULD, WSZYSTKO, CO ŻYJE, JEST ŚWIĘTE, ALE NAJBARDZIEJ ŚWIĘTE ZE WSZYSTKIEGO SĄ RYBY – powiedział mi kiedyś, zanim jego pomyłona pasja stała się moją wiarą. – DLATEGO WŁAŚNIE PIERWSI CHRZEŚCIJANIE POSŁUGIWALI SIĘ RYBĄ JAKO SYMBOLEM CHRYSZTUSA.

Niestety, Bóg pozostał w swoim niebie, wielki uczony w piramidzie świńskiego gówna i w obłoku śmierdzącego metanu. Ryby teraz były ze mną, ale ja nie byłem ani Ojcem, ani Synem, ani Duchem Świętym i nie miałem pojęcia, co zrobić z rybami i ze szczątkami pana Lempriere'a, nie wiedziałem też, co w końcu oni wszyscy zrobią ze mną.

Próbowałem potraktować to fiasko jak błogosławieństwo, może nawet boską interwencję ze strony starego Ichthysa. Teraz *Księga ryb* nigdy nie zostanie opublikowana z adnotacjami i pod fałszywym autorstwem sir Cosmo Wheelera. Zupełnie jakby śmierć Doktora oddała ryby mnie, nieobciążone wymaganiami nauki czy towarzyskimi ambicjami pana Lempriere'a, co wychodziło prawie na jedno i to samo. Oddziaływanie ryb, poprzednio tak ograniczone, nagle zdawało się nie mieć końca. Powinienem odczuwać euforię, ale stanąłem przed problemem zbyt poważnym, bym mógł czuć cokolwiek prócz przerażenia. Ponieważ było wiadomo, że miałem dzisiaj odwiedzić pana Lempriere'a, ponieważ jego śmierć niewątpliwie się wyda, a śmierć na wyspie zesłańców nieodmiennie traktuje się jak morderstwo, wiedziałem, że jeśli nie pozbędę się jakoś jego szczątków, to ktoś pozbędzie się mnie.

Nie twierdę, że zrobiłem wtedy coś bardzo sprytnego czy że był to najmądrzejszy postępek w moim życiu. Ale przynajmniej załatwiłem sprawę kości Doktora. Wziąłem to, co mi jeszcze pozostawało z przydziałowego grogu, i chlusnąłem do zagrody morderczego Castlereagha, budząc go ze snu, w który zapadł po tak wspaniałym posiłku. Wieprz siorbał i żłopał rum z takim zapałem, że po kwadransie stał się bezwładną śpiącą masą. Castlereagh przekręcił się na grzbiet i zasnął, a cztery nogi unosiły się w powietrzu jak cztery puste butelki.

Sprawdziłem, czy wieprz zapadł w wystarczająco głęboki sen; rzucałem w niego kamieniami i patrzyłem, jak odbijają się od porośniętej szczeciny skóry bez żadnej reakcji z jego strony. Zsunąłem się więc z płotu do wnętrza zagrody i rozpocząłem straszliwą pracę poszukiwania w gównie szczątków pana Lempriere'a. W szalonym pośpiechu cisnąłem jego ubrania do ognia w domu, pasek i sprzączki zakopałem w pobliżu, a kości wrzuciłem do starej beczki na wodę na tyłach domu. Cofnąłem się, wziąłem głęboki oddech i zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób i gdzie na tak zaludnionej wyspie zdołam ukryć beczkę z cuchnącymi ludzkimi kośćmi.

## II

Dwupensowa Sal nie miała lepszych pomysłów niż Billy Gould na temat ukrycia kości. Billy wypełnił swoimi problemami jej maleńki i ciemny pokój, niewiele większy od celi, z bardzo niskim sufitem, o wilgotnych ścianach, z łóżkiem polowym wypchanym nędznym słomianym siennikiem; jedynym dodatkowym meblem w tym pomieszczeniu było złamane wiklinowe krzesło. Rozpoczął od dylematu, jak niepostrzeżenie pozbyć się przeszłości, a kończył na skraju Oświecenia, kiedy drzwi sypialni zaskrzypiały, otwierane nieudolnie.

Billy Gould ledwo zdążył ukryć swoje nagie ciało pod łóżkiem Dwupensowej Sal, kiedy usłyszał ciężki, trudny do pomylenia świst, a po nim skrzypnięcie. To Komendant zasiadł na połamanym wiklinowym krześle, gdzie było mu tak samo niewygodnie jak spanikowanemu Billy'emu Gouldowi w tym samym momencie. Dopiero teraz, za późno, zorientowałem się, że częściowo wystają spod koca.

W ciemności i w stanie otępienia Komendant wziął dwa półdupki wyłaniające się spod łóżka za rozwalający się stołek. Kopnął je kilka razy obcasem, żeby trochę napuszyć spłaszczone wiekiem policzki i zamienić w coś bardziej wygodnego, potem zaczął przeciągać butami w tę i z powrotem po szczelinie między moimi pośladkami. Mężczyźnie trudno zachować milczenie i klęczeć nago, kiedy starą bruzdę miłości ktoś nieustannie poszturchuje. To straszne, a męki nie zmniejszał bynajmniej monolog, który Komendant właśnie rozpoczął, choć – jak się później domyśliłem – zrobił to dopiero po przyjęciu kilku kropli laudanum.

W narastającym delirium mówił, jak to historia wcale nie jest przeszłością, wprost przeciwnie, jest stale obecna. Wszyscy ci, którzy podczas stuleci świadomie czy przypadkiem odkryli Ziemię van Diemena, są, jego zdaniem, tutaj i żeglują do sypialni Dwupensowej Sal. Widział dwunastowiecznych kupców arabskich w ich *dhow*s o trójkątnych żaglach; czternastowiecznych piratów japońskich, chorych i wyniszczonych długą podróżą, którzy mieli wkrótce umrzeć z niewyjaśnionej melancholii – ich lekkie bezwłose ciała stały się tak lekkie, że unosiły się w powietrzu i trzeba było przywiązywać do nich kamienie, żeby zatrzymać je w grobach. Widział chorych na szkorbut piętnastowiecznych portugalskich podróżników w trzech karawelach poszukujących złota i tubylców chętnych do przyjęcia chrześcijaństwa, usiłujących pogodzić swoje ptolemejskie mapy, na dole których leżała nieokreśloność oznaczona jako *terra incognita* – ziemia nieznaną – z absolutnie pewną rzeczywistością nagich czarnych aborygenów, tak bardzo niezainteresowanych handlem, że odrzucali Portugalczykom wszystkie otrzymane dary, zachowując jedynie czerwone chusteczki do nosa, by obwiązywać kędzierzawe głowy.

Komendanta wyraźnie smuciła podobna niewinność. Portugalczycy opuścili sypialnię, zwracając swoje karawele na południe, gdzie – jak słyszał ich przywódca Amado Nieustraszony – na ruchomych górach lodowych żyje rasa bardziej komercyjnie nastawionych ludzi, którzy nie mają nosów, tylko otwory podobnie jak wąż, a żywią się głównie zapachami, za które chętnie wymieniają złoto.



Poczułem, że pchła gryzie mnie w krocze, i nieświadomie pokręciłem tyłkiem. Komendant wymierzył porządnego kopniaka w to, co pewnie uważał za chwiejący się stół, i podjął opowieść o ludziach, którzy według niego przebywali teraz razem z nami w tej bardzo zatłoczonej sypialni historii.

Następnie Komendant zaczął wrzeszczeć na Holendrów – w podnieceniu polerując but o moje jaja – którzy płynęli po grzbiecie łóżka Dwupensowej Sal w tych swoich klocowatych *fluyts*, rozglądając się za handlem, a tuż za nimi sunęli Jawajczycy w swoich długich wąskich *proa* przygnani z dalekich łowisk na północnym zachodzie, a także ekspedycja francuskich naturalistów, astronomów, artystów, filozofów, encyklopedystów i uczonych w Szóstym Roku republiki – choć znajdował się raczej tu i teraz – pod wodzą rycerskiego monsieur Perona; ten po wylądowaniu na długiej plaży, którą brał za Ziemię van Diemena, zdjął rękawicę, składając ukłon przed czarną kobietą, a ona wrzasnęła, przekonana, że Francuz ściągnął własną skórę. Jej obawy dało się uśmierzyć dopiero wtedy, gdy ku jej ogromnemu rozbawieniu monsieur Peron zaśpiewał *Marsylianę*, a ona mogła zdjąć mu spodnie, żeby się przekonać, czy wygląda jak prawdziwi mężczyźni.

A potem Komendanta ogarnął najokropniejszy strach.

– A jeśli czas w ogóle nie upływa? – wrzasnął. Zupełnie jakby Arabowie, Japończycy, Portugalczycy, Holendrzy, Jawajczycy i Francuzi zawsze byli tu, w sypialni Dwupensowej Sal, odkrywając Ziemię van Diemena wraz z majorem de Grootem, który uśmiechał się i mówił, nie zważając na truciznę, razem ze wszystkimi zmarłymi w Kołysce, o umysłach bardziej zrobaczywiałych niż plecy. Raz jeszcze ożyli wraz z tysiącami innych i płynęli teraz długą procesją przez drzwi pokoju Dwupensowej Sal, a na końcu porucznik Lethborg ze swoim plutonem – ich ciała, umęczone i napęczniałe wodą jak balony, próbują wmaszerować do wnętrza, utrzymując bojowy szyk. Komendant nagłym ruchem zdjął nogi z swojego tyłka, wstał i zataczając się, wyszedł bez słowa.

Później Capois Death powiedział mi, że według tego, co słyszał, halucynacje Komendanta, wywołane narkotykami, zawsze przybierały taką formę. A jednak przed wieloma laty, kiedy Komendant po raz pierwszy zażył laudanum, efekt był podobno znacznie głębszy. W nędznym pokoiku Dwupensowej Sal, jak wszystkie wydarzenia o znaczeniu duchowym degradowane przez intymność i powtórzenia, sprowadzał się teraz do smutno zredukowanego królestwa sztuki czy wręcz rozrywki.

Teraz wykrzykiwał, kiedy znikali Jawajczycy; syczał na Francuzów i śmiał się z umierających Japończyków. Ale wtedy historia stała się koszmarnym snem, z którego Komendant nie mógł się obudzić. Pod złotą maską na twarzy wybuchła plaga karbunkułów wywołanych zmartwieniami. Wszędzie zaczął dostrzegać niepokojące dowody na to, że przeszłość jest chaosem w równym stopniu co terażniejszość, że nie istnieje linia prosta, tylko niekończące się kręgi, jak koła zawsze skierowane na zewnątrz od kamienia tonącego w wodzie terażniejszości. Zażywał coraz więcej i więcej zielonego laudanum. Podwoił, a potem znów podwoił dawkę rtęci na swojego trypra, który zdawał się pożerać nie tylko jego ciało, ale i umysł. Ponad wszystko obawiał się, że oszalał i stał się teraz więźniem swojej wyobraźni.

Zesłańcy mogli zawsze uciec, ale takie wyzwolenie, nawet gdyby miała to być śmierć w głuszy, nie było pisane jemu. Kiedyś szukał Mulatki po to, by potwierdzić własną egzystencję, by zatracić sens swojego życia, zapomnieć o pomieszaniu, które gnębiło go co dzień bardziej i bardziej. Jednak to wcale nie pomagało. Mulatka pochylała się i zarzucała spódnicę na plecy, eksponując wspaniałą tyłek, który tak go podniecał, prosiła tylko, żeby się pospieszył, bo ona ma jakieś zajęcia. Komendant orał samotną bruzdę, przeklinał ją i wycofywał się, udając triumf, o którym oboje wiedzieli, że jest złudzeniem.

Można by zapytać, dlaczego i w jaki sposób Dwupensowa Sal – a z oczywistych powodów także i Billy Gould – uniknęły trypra, którym przeżarty był Komendant. Ale ta choroba towarzyszyła mu od bardzo dawna i zgodnie ze swoim charakterem dotykała teraz wyłącznie jego; tak samo jak jego myśli, stała się już nie do przekazania.

Przed wieloma laty, w dniu kiedy Komendant po raz pierwszy zorientował się, że nie da się uciec przed horrorami przeszłości, dość długo przepytywał Jorgena Jorgensena, a potem wydał jednoznaczne polecenie, odlewając się w kącie swojej celi.

– Zobowiązuję cię – powiedział Komendant – do prowadzenia kartoteki całej wyspy.

Odwrócił się do starego Duńczyka, wkładając krostowaty penis w spodnie bez najmniejszego wstydu czy skrępowania, jedynie z lekkim drżeniem wywołanym intensywnym bólem.

– Jeśli nie mogę kontrolować przeszłości teraz – kontynuował, wycierając wilgotne palce w epolety z ptasich piór, a jego maska świeciła tak jasno, że stary Duńczyk musiał zasłonić oczy dłonią – będę przynajmniej kontrolował ją w przyszłości.

W porównaniu z takimi ambicjami panowania nad czasem problemy Billy'ego Goulda były naprawdę drobne. Niewątpliwie w przyszłości ludzie mogą traktować podjęte przez niego działania jako „wewnętrzny bunt” czy „gorącą deklarację ludzkości”. Jednak obaj z Królem wiemy co innego: Billy Gould znalazł się w jeszcze większym gównie niż kości Lempriere'a i musiał się stamtąd wydostać tak szybko, jak tylko mógł.

### III

Ubrałem się i opuściłem kwaterę Dwupensowej Sal. Jej jedyna sugestia nie wydawała się najlepsza, ale miała przynajmniej tę zaletę, że była w ogóle jakimś pomysłem, podczas gdy w mojej przerażonej głowie kołatał jedynie strach, że zostanę przyłapany, tak samotny w moich myślach jak kawałek mięsa w więziennej zupie.

Poniosłem beczkę kości z powrotem Bulwarem Przeznaczenia, udając przed wszystkimi, których spotykałem po drodze, że to zjełczała peklowana wieprzowina, którą Doktor zwraca. Kierowałem się do tego pomieszczenia w intendenturze, gdzie przechowywano czaszki aborygenów zebrane przez pana Lempriere'a.

W ponurym, pozbawionym okien pokoju, oświetlonym jedynie migotliwym światłem trzech lampek na olej wielorybi, pachnącym żałobnymi krzykami umierających waleni, pan Lempriere cierpliwie, chwilami tylko gwałtownie, przyuczył niemego więźnia Heslopa do czyszczenia, katalogowania i odpowiedniego pakowania czaszek przygotowywanych do wysłania do sir Cosmo Wheelera do Anglii.

– MISJA – powiedział niememu więźniowi – CHWALEBNA I ŚWIĘTA – KTÓRĄ CI POWIERZYŁEM – CO TY NA TO, HESLOP, CO? – Na co niemowa, oczywiście, nie miał nic do powiedzenia.

Kiedy dałem Heslopowi ostatni zestaw kości do skatalogowania, był niezadowolony. Sądził, że skończył już z kośćmi martwych czarnuchów i spodziewał się, że będzie mógł wrócić do znacznie przyjemniejszego katalogowania roślin i kwiatów – wyjaśnił mi za pomocą gestów. Zajrzał do wnętrza beczki, którą z trudem przyniosłem na plecach – zaskakująco śmierdzącej świnia – w której odkrył w błotnistej, mętnej mazi jeszcze jedną świeżą czaszkę ludzką, umazaną szczególnie nieprzyjemnie wyglądającym torfem. Niemowa kręcił głową i mruczał ze złością.

Nic dziwnego, że wściekał się na pana Lempriere'a, że spycha na niego jeszcze więcej kości. Współczułem mu. Tego wieczoru do miasta Hobart wracał kuter, a pan Lempriere nalegał, żeby odpłynął nim pełny zestaw kości aborygenów, przeznaczony dla Londynu.

Więc trzeba było to zrobić, a żeby uniknąć gniewu pana Lempriere'a, Heslop od razu zabrał się do oczyszczenia, zakonserwowania i skatalogowania czaszki, tak mocno uszkodzonej podczas ekshumacji, że zdawała się nadgryziona przez dzikie zwierzę. Wziął do ręki różową czaszkę z brązowymi plamami. Złość mu już mijała i pokazał mi gestem, jaka to ulga, że w przeciwieństwie do innych głów ta nie wypowiada milczącej nagany, kiedy zabrał się do jej odskrobania, ugotowania i wyczyszczenia. Pomagałem mu w miarę swoich możliwości, starannie notując pomiary kości w katalogu, który miał płynąć z czaszkami.

W tym wszystkim była symetria i piękno, które nie uszły mojej uwagi – to, że jak Wielki Uczony po śmierci stał się częścią swojego Nieśmiertelnego Systemu. Byłem niemal bliski łez, kiedy zapisywałem na wilgotnej stronicy katalogu to, co miało być zarazem numerem identyfikacyjnym czaszki i epitafium pana Lempriere'a, równie zwięzłym, co odpowiednim, przypominającym sflaczałą rybę najeżkę wrzuconą do ognia. Jako trzydziesta szоста czaszka w zbiorze Macquarie Harbour, zgodnie z metodą pana Lempriere'a, miała otrzymać sygnaturę MH-36. Podniosłem pióro i sypnąłem piaskiem na stronicę katalogu. Przyglądałem się, jak owe cztery płynne znaki zasychają w rzeczywistość.

Tego wieczoru załadowano kuter specjalnie skonstruowanymi skrzyniami, z których każda podzielona była na indywidualne przedziały, a w każdym z nich znajdowała się jedna czaszka aborygena, starannie obsypana pachnącymi trocinami miejscowej sosny. Przeznaczone były dla

*Sir Cosmo Wheelera*

*Królewskie Towarzystwo*

*Londyn*

Napisano to na każdej skrzyni zgodnie z poleceniami pana Lempriere'a. Dziwił jednak brak jakichkolwiek komentarzy znanego kolonialnego lekarza-zbieracza w dołączonym rejestrze opisów, zapakowanym wraz z czaszką oznaczoną MH-36. To bardzo podejrzane, uważał niemowa, ale nie zamierzał narażać się na reprimendę, pytając o przyczyny.

Poklepałem Heslopa po plecach i podziękowałem za dobrze wykonaną pracę, ale powinienem był wiedzieć, że zniknięcie pana Lempriere'a nie przejdzie tak łatwo.

Minęło kilka dni. Przez większą część czasu padało nieustannie, a ja pracowałem w pokoju w pałacu Komendanta, malując jego nowy portret. Pływał na nim po zatoce w otoczeniu kochających tłumów. W szmerze deszczu nie usłyszałem go, poczułem jedynie jego wonną obecność za sobą. Kiedy się odwróciłem, stał tam pies na trzech nogach i zmoczona postać w łachmanach, którą poznałem od razu, bo naszyjnik z lapis lazuli połyskiwał w świetle późnego popołudnia.

– Kto kocha dłużej? – zasyczał Jorgen Jorgenesen.

– Mężczyzna czy kobieta?

Przełknąłem ślinę.

Kundel stanął na tylnych łapach i zagwizdał. Jorgen Jorgensen kopnął go zdrowo. Nie oczekiwał od swoich słuchaczy aplauzu, jedynie współuczestnictwa w tworzeniu opowieści. Choć Elsynor był bardzo uzdolniony, Duńczyka wściekały czasem jego wyraźne ograniczenia w tym względzie.

W wyciągniętej ręce trzymał butelkę perfum w kształcie głowy Woltera, do połowy pustą, do połowy pełną. Po raz pierwszy zauważyłem, że miała kolor turkusowy.



## IV

Samo określenie „turkus” zawiera sugestię egzotycznej inności, Zachodu. Wywodzi się, jak mi kiedyś powiedział Doktor – pewno niedokładnie – z francuskiego *pierre turqueise*, co oznacza kamień turecki. Równie pełen tajemnic jak zielony atrament, którym teraz zapisuję to zdanie, był ktoś, kogo już zawsze będę kojarzył z tym kolorem, ktoś, kto teraz pokazywał mi zdradziecką atrakcyjność głowy Woltera: Jorgen Jorgensen.

Kiedy stał przede mną w to wilgotne popołudnie i odczytywał zarzut morderstwa, którego nie popełniłem, uświadomiłem sobie straszną prawdę o Wyspie Sary: nie była to wcale kolonia ludzi, była to kolonia ryb udających ludzi. Kiedy z taką gwałtownością wypowiadał się o mojej przyszłości, rozpoznałem w nim nie Jorgena Jorgensena, ale piłonosą australijskiego, tnącego mnie na kawałki swoim wydłużonym pyskiem.

Gdybym próbował przypisywać jakieś motywacje uczynkowi Jorgena Jorgensena – na przykład zazdrość o rzekomy wpływ na Komendanta czy dążenie urzędnika do znalezienia wyraźnej przyczyny i skutku – byłyby to po prostu literatura, nie życie, w którym trudno znaleźć wytłumaczenie czy powody ludzkich poczynań. Przypuszczam, że miał po prostu taką naturę, całkiem jak australijski piłonos.

Miałem odkryć później – za późno – że Jorgen Jorgensen podobnie jak Komendant cierpiał na poczucie rozbieżności. Przeczytał zbyt wiele książek i zainspirowany opowieściami o romansach i przygodach, pewnego dnia w 1798 roku w wieku lat szesnastu wyruszył z rodzinnej Kopenhagi właściwie po to, by odkryć, że świat nie ma żadnego związku z tym, co przeczytał.

Rzeczy się rozpadały, nic się nie trzymało kupy. Książki były solidne, a jednak czas się rozpląwał. Książki były konsekwentne, ale ludzie nie. Książki zajmowały się przyczyną i skutkiem, a jednak życie przedstawiało niewytłumaczalny nieporządek. Nic nie było tak jak w książce, co wzbudziło w nim trwałe żal i pretensje, które w końcu wyraziły się w zemście.

Nic nie trzymało się też na miotanym sztormami angielskim węglowcu, na który się zaokrętował; dzielił zawieszony hamak z innym marynarzem, który w ogniu namiętności, we wszechogarniających ciemnościach zatłoczonej, niskiej przestrzeni, gdzie sypiali, pod wpływem jego drżącej, wędrującej dłoni okazał się kobietą. Nic nie trzymało się w kartach, które przypadały mu z rozdania przy tych rzadkich okazjach, kiedy znalazł się na brzegu; niezmiennie zostawał potem bez pieniędzy, a ich rozpaczliwą potrzebę mogła zaspokoić jedynie inwencja: historie – lub, jak wolicie, kłamstwa – które sprzedawał za kredyt, pozwalający następnego wieczoru zagrać przy zielonym stoliku. Zaczął od wykorzystywania plotek, by wkraść się w łaski, a skończył jako szpieg opowiadający agentom różnych rządów o strachach, które powinni znać.

Przekonał się, że jego umiejętność wymyślenia świata na nowo może dorównywać jedynie zdolnościom tegoż świata do autodestrukcji. Był, jak mawiał, po stronie Erazma z Rotterdamu. „Realność rzeczy – powtarzał cytując wędrującego Holendra – zależy jedynie od opinii”. Wierzył, że przykład jego życia zdecydowanie potwierdza tę maksymę. Kiedy świat darzył go niewielkim zaufaniem, jego losy układały się marnie; został pobity, uwięziony i w końcu zesłany, a wszystko z powodu błędnego przekonania, że nie zamierzał honorować swoich długów. „Są słowa – mówił na ławie oskarżonych, mając nadzieję zdobyć przychylność sądu jeżeli nie dzięki swojej historii, to dzięki głoszonej filozofii – i są rzeczy, i tej pary nie da się pogodzić”. Była to jednak nieprawda, a on o tym wiedział. Przerabiał słowa na rzeczy, na tym polegał jego dar i to przyczyniło się do jego upadku.

Bardzo cierpiał na tęsknotę za realizmem; przepelniony idea wielkiego romansu stulecia, przeprowadził własną rewolucję najlepiej, jak potrafił, obalając w wieku lat dwudziestu sześciu bezbronnego duńskiego gubernatora Islandii przy pomocy angielskiego pirata. Wysłał sześciu uzbrojonych ludzi na tyły domu gubernatora w Reykjaviku, sześciu od frontu, a sam wkroczył do środka, obudził nieszczęsnego człowieka z popołudniowej drzemki na sofie i zaarrestował go. Następnie wciągnął na maszt starą flagę Islandii i wydał proklamację głoszącą, że naród islandzki, zmęczony podporządkowaniem duńskiemu jarzmu, zwrócił się do niego z jednogłośnie prośbą, by stanął na czele nowego rządu. Później już zawsze domagał się, by tytułowano go królem Islandii, choć Anglicy przejęli jego suwerenność w ciągu tygodnia.

Przybył pod Waterloo dzień po zakończeniu wielkiej bitwy o przyszłość z dominującą przeszłością, przywołując swój szczególny talent zjawiania się zbyt późno w nieodpowiednim miejscu, co – jak słusznie uważał – kwalifikowało go do zawodu dziennikarza, choć jego sprawozdanie (w znacznej mierze ściągnięte z gazet) z pola bitwy nie cieszyło się wielkim powodzeniem u ulicznych sprzedawców broszur w Londynie owej głodnej zimy 1816. W każdym razie został błyskawicznie aresztowany jako francuski żołnierz umykający w przebraniu i zdołał uciec jedynie dzięki przekupieniu wartownika na służbie połową lornetką, którą zabrał zabitemu angielskiemu żołnierzowi.

Jorgen Jorgensen był człowiekiem, który miał skłonność do opowiadania historii – prawdziwych czy nieprawdziwych, to nie miało dla niego znaczenia i nie przeszkadzało innym, bo było jego rzemiosłem. Był wędrowcem historii, podróżnikiem po republice fikcji. W swoich historiach starał się przedstawić siebie i swoje przygody tak, jakby był narratorem jednej z tych awanturnych powieści, które w ostatnim stuleciu stały się tak modne wśród panien kredensowych i służby, a które on sam również czytał z tak wielkim zapalem, że pan Lempriere za jego plecami nazywał go Josephem Josephsonem.

Miał ziemistą cerę, potargane siwe włosy, nos długi i spiczasty; nosił opadające wąsy, takie, które niczym wydłużone kosmyki leżą na wargach, a tłuszcz z zupy zastyga na ich końcach w małe perełki.

Długo przed przybyciem porucznika Horace'a Jorgen Jorgensen został wysłany do kolonii jako intendent, rzekomo po to, by zarządzał rządowymi magazynami, ale w gruncie rzeczy jako agent gubernatora Arthura, gotów donieść o każdej intrydze, jaka mogłaby się zrodzić na tak wysuniętej placówce niewielkiego wówczas imperium despoty Ziemi van Diemena. Jednak porucznik Horace pozwolił mu poznać granice własnej perfidii.

Później, kiedy praca miała ich związać węzłem równie świętym jak morderstwo, mówiło się, że uwagę Komendanta zwróciły konspiracyjne zdolności Jorgena Jorgensena, owa umiejętność wymyślenia w każdej chwili takiej historii, jaką Komendant chciałby usłyszeć. Niewykluczone, że Jorgen Jorgensen uznał za konieczne wkraść się w łaski nowego Komendanta swoimi opowieściami, a może także – tamtego dnia dawno temu, kiedy powierzono mu prowadzenie kartotek wyspy – odkrył w Komendancie lustrzane odbicie swoich dawno przytłumionych pragnień, by zdradzić świat w sposób bardziej fundamentalny, ponieważ uważał, że świat zdradził go kiedyś, kiedy okazało się, że nie jest taki jak książki. W Komendancie wyczuł twórczą manię prawdziwego audytorium, zdecydowane pragnienie, by uwierzyć za wszelką cenę.

Trzymając nadal głowę Woltera przed sobą jak czaszkę Yoricka, Jorgen Jorgensen powiedział tym swoim niezwykłym głosem – równie afektowanym, o czym miałem się przekonać, jak jego wyraźnie ozdobny, pochyły charakter pisma – że nie da się już dłużej przedstawiać odejścia pana Lempriere'a jako przypadkowej śmierci w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Okoliczności wymagały, by zezwierżenie człowieka było od czasu do czasu pokazywane, a po pokazaniu ukarane. Rodzina Doktora nie zgodziłaby się na nic innego, a Komendant nie potrzebuje śledztwa prowadzonego przez miasto Hobart, zważywszy na zasięg jego przedsięwzięć komercyjnych i ambicji politycznych. Komendant kazałby mnie zabić w sposób szczególnie powolny i barbarzyński za kradzież jego ulubionych perfum, gdyby mu o niej powiedziano. Z drugiej jednak strony on, Jorgen Jorgensen, gotów jest dać mi okazję zrobienia na koniec czegoś dobrego zarówno dla narodu, jak i dla mnie samego. W tym momencie zamilkł, trochę obscenicznie przeciągnął językiem po nędznej tasiemce swoich wąsów, po czym mówił dalej. Ułatwi mi, powiedział, przejście na drugą stronę dzięki stosunkowo szybkiej śmierci na szubienicy, jeśli podpiszę oświadczenie, w którym wyznam, że zamordowałem pana Lempriere'a.

Z takim przekonaniem, na jakie mogłem się zdobyć, wyjaśniłem mu, że konstabl Musha Pug, kiedy był pomocnikiem magazyniera w intendenturze, sprzedał mi tę butelkę perfum – które, jak sam się chwalił, wykradł po to, żeby osiągnąć jakieś postępy w pogoni za Mulatką, pokojówką Komendanta – i w związku z tym nie mogę niczego podpisać.

## V

Podpisałem. Stało się to następnego ranka, deszcz nadal padał, a Jorgen Jorgensen dostarczył mi malownicze oświadczenie, zawierające moje szczegółowe i dumne przechwałki, jak to utopiłem pana Lempriere'a, a jego ciało rzuciłem rekinom. A wszystko to potwierdzało długie wyznanie, napisane i podpisane przez czarną pokojówkę Komendanta.

W zatoce Macquarie nie było rekinów, ale zdawało się, że nie ma powodów, żeby zwracać uwagę na to czy na fakt, że Dwupensowa Sal nie umie pisać. Szczerze mówiąc, nierozsądne wydawało się niepodpisanie po wysłuchaniu przypadkowej wzmianki o tym, jak konstabl Musha Pug został obudzony w środku poprzedniej nocy, a pachwinę wymłócono mu młotkiem, tak że torba na jaja przybrała rozmiary worka na cukier, w którym pływały zapiaszczone resztki jego męskości w ragoût obwisłego horroru.

Kiedy wziąłem już udział w sprawiedliwym procesie o zamordowanie pana Lempriere'a – razem z Ryczącym Tomem Tkaczem, sądzonym za ubieranie się w halki pokojówki – i siedzieliśmy na ławie skazanych, ustawiono obok nas w ramach ożywienia starych zwyczajów wyraźne przypomnienie naszych niedalekich losów: dwie trumny, zupełnie jakby był to pies i kot.



Ryczący Tom Tkacz śmiał się, wchodząc następnego dnia na szubienicę, z szerokim uśmiechem rozwiązał wstążkę i rozpuścił swoje bogate jasne warkocze, pochylił się, ściągnął pozbawione sznurowadeł buty i rzucił nimi w starego Boba Muffa, który zajmował się nim zaraz po tym, kiedy przybył na Wyspę Sary, pełen planów ucieczki i wolności. „Chodź ze mną, Bob”! – wrzasnął, po czym podjął swoje sławne ryki i zawodzenia. Nie ulegało wątpliwości, że jest pijany, pełny jak bluzka tłustej dziewczyny; wszyscy wiwatowaliśmy i śmieliśmy się, a jego ryki i lamenty unosiły się z nami, przez nas, poza nas.

Kat, oburzony takim przedstawieniem, kpiącym z surowej powagi najwyższej kary, przyspieszył egzekucję. Zapadnia otworzyła się z głuchym stukotem, Ryczący Tom upadł, zadrżał i zatrząsł się, a ryki rozsadały go po raz ostatni; stało się oczywiste, że katowi nie wyszła pętla i nie złamał karku Ryczącego Toma. Zamiast szybko umrzeć, Ryczący Tom miotał się i dusił powoli, a jego ryki przekształciły się w ostry bulgot. Kat przeszedł na przód szubienicy, pokręcił głową, wskoczył na podest, chwycił nogi Ryczącego Toma, uwiesił się na nich i kołysał wraz ze skazanym, próbując przez to dodatkowe obciążenie przyspieszyć śmierć. To było straszne, nawet Capois Death ku mojemu zdumieniu wydał zduszony krzyk.

Następnego ranka w zakładzie karnym obudzono skazańców na apel. Hamaki zrolowano i powieszono porządnie na hakach w ścianie. Na jednym z nich wisiał teraz stary Bob Muff. Haki były wbite na wysokości łokcia, ale do zawisnięcia nie jest potrzebna wysokość, wystarczy kawałek sznura i silna wola. Obawiano się, że mogą zrobić to samo i umknąć spod szubienicy, więc przeniesiono mnie do tej słonowodnej celi i oddano we władzę Pobjoya.

W sądzie pytano mnie o wyjaśnienie, ale co można było powiedzieć? Że po raz pierwszy zobaczyłem w rybach ludzi? Że im dłużej przyglądałem się tym smutnym stworzeniom, jeszcze umierającym, okazjonalne śmiertelne machnięcie ogonem czy rozpaczliwe uniesienie skrzeli sygnalizowały, że milczący koszmar jeszcze się nie skończył? Że im dłużej patrzyłem w nieskończone głębie ich oczu, tym bardziej coś z nich zaczynało przechodzić we mnie?

I jak mógłbym się wtedy przyznać do czegoś nawet jeszcze dziwniejszego, bardziej szokującego: że ostatnio jakaś maleńka cząstka mnie samego, bez mojej woli, rozpoczęła długą, brzemioną w skutki podróż do ich wnętrza! Jakaś maleńka część mnie samego, a potem coraz większa i większa staczała się w dół, wpadała przez ich oskarżycielskie oczy do owego krętego tunelu, który miał się skończyć jedynie nagłą świadomością, że już nie spadam, tylko toczę się coraz wolniej w morzu, nie wiedząc, czy jestem w końcu bezpieczny, czy też w końcu martwy, a w pewnym momencie mojego spadania uświadomiłem sobie z przerażeniem, że patrzę do góry na pylonosa, udającego Jorgena Jorgensena i że w ludziach widziałem ryby!

Odczuwałem ogólne swędzenie i oblewałem się potem na samą myśl o tak przerażających rzeczach, a co dopiero o publicznym ich wypowiedzeniu, wiedziałem bowiem, że aby przeżyć i prosperować, nie można żywić żadnych uczuć do nikogo ani do niczego, a wiedziałem też, że chcę przeżyć i prosperować. Jednak z powodu mojej nowo odkrytej bliskości z czymś, co dotychczas było niemal wyłącznie wonią owiniętą słuzem i łuskami, zacząłem marzyć, że w tym niezwykłym wszechświecie, który otwierał się przede mną, nie było niczego, mężczyzny ani kobiety, rośliny ani drzewa, ptaka ani ryby, wobec których mógłbym nadal pozostawać obojętny.

Ostentacyjnym przestępstwem, o które mnie oskarżono, a następnie miano sądzić i w sposób nieunikniony uznać za winnego, było morderstwo. Ale moje prawdziwe przestępstwo...?

Moje prawdziwe przestępstwo polegało na tym, że widziałem świat taki, jaki jest, i malowałem go jako rybę. I tylko z tego powodu z radością podpisałem wyznanie winy bez potrzeby Kołyski czy Knebla, bez względu na to, jak nieprecyzyjne mogły się wydawać szczegóły mojej zbrodni.

Przebywałem w tej słonowodnej celi już prawie półtora roku, czekając na egzekucję, którą Pobjoy skutecznie odsuwał dzięki rozmaitym podstępom. Początkowo bardzo mi to odpowiadało. Moje oryginalne malunki ryb zostały zebrane i oprawione przez Pobjoya, który następnie sprzedał je doktorowi Allportowi w mieście Hobart. Nie miało to dla mnie znaczenia, ponieważ nigdy nie byłem zadowolony z żadnej pracy do księgi ryb pana Lempriere'a. Dziwne, ale dopiero teraz, kiedy maluję jedynie z zawodnej pamięci w kiepskim świetle słonowodnej celi, czuję, że moje ryby godne są swojej nazwy.

Pobjoy zorientował się, że od momentu zamknięcia w słonowodnej celi moja wiara odżyła, że mój talent rozwija się tutaj jak liście paproci w cieniu. Pobjoy, dla którego poprzednio stanowiłem jedynie obiekt do bicia i kopania, był pod wrażeniem tego, jak bardzo przejmowałem się teraz malowaniem – i tylko tym – a jeszcze większe wrażenie zrobiła na nim suma, jaką doktor z miasta Hobart gotów był zapłacić za księgę ryb pana Lempriere'a.

Pobjoy zobaczył, że obrazy były towarem bardziej przydatnym niż tytoń czy rum, jeśli prowadziło się pertraktacje w odpowiednich miejscach. Żebym jednak mógł malować, a Pobjoy zarabiać pieniądze, potrzebne mi były materiały, których on dostarczał z właściwą sobie ostrożnością.

W mojej słonowodnej celi postanowiłem, że pod przykrywką więziennych Constabli namaluję na nowo z pamięci wszystkie ryby, tym razem dodając do nich te zapiski. Pobjoy dostarczył mi farb olejnych i płótna na Constable, a także papieru, bo upierałem się, że będzie mi potrzebny na wstępne szkice. Jednak do skończenia mojej drugiej księgi ryb potrzebowałem farb akwarelowych.

Ostatni raz widziałem Dwupensową Sal, kiedy przyszła do celi, rzekomo przynosząc jedzenie. Moje życie w celi płynęło cudownie monotennie i miałem to szczęście, że prócz Pobjoya oszczędzono mi problemów ludzi. Niebo to inni ludzie, zwykł mawiać stary ksiądz, który masował moje stopy w nadziei, że pomasuje jeszcze coś, ale przypuszczam, że zupełnie to samo dotyczy piekła. Nie chciałem więc widzieć Dwupensowej Sal – prawdę mówiąc, nigdy nie chciałem oglądać jej ponownie. Ale zjawiła się, w stroju służącej, którą czasami udawała.

Po dużym brzuchu poznałem, że jest w zaawansowanej ciąży. Ale naprawdę nie mówiliśmy o tym, ani też o śmierci jej ojca. Chociaż nic nie powiedziała, wiedziałem, że wkrótce ucieknie z powrotem do buszu, pozostawiając nie tylko Komendanta ze złamanym sercem, ale także mnie w posiadaniu zarówno akwarel pana Lempriere'a, które tego dnia przeszmygłowała do celi, jak i jego miedzianego naczynia z zielonym laudanum, w którym, muszę wyznać, po jej wyjściu poszukałem pocieszenia.

Zieleń – płodność, narodziny, nieśmiertelność, zmartwychwstanie sprawiedliwych. W sztuce oznacza nadzieję, radość. U Greków i Maurów – zwycięstwo. W Kościele – szczodrość Boga, wesołość, zmartwychwstanie. Planeta to Wenus. Jednak odór świńskiego gówna, złowieszcza moc zazdrości i oblicze halucynacji mają dla mnie już na zawsze barwę turkusową.

Z oczami utkwionymi w jej brzuchu, zastanawiając się, którego diabła to sprawka, powiedziałem tylko jedno słowo, kiedy odwróciła się do wyjścia.

– Moinee? – zapytałem.

Stary kumpel – odpowiedziała.



Myślicie, że byłem tylko uwięziony? Miałem ochotę krzyknąć, kiedy się odwróciła, trzykrotnie zastukałem w drzwi, żeby przyszedł Pobjoy i otworzył, bo byłem także strażnikiem. Czy myślicie, że nigdy nie kłamałem, by ustrzec skórę od chłosty? Nigdy nie okradłem kumpla? Mam słabość do niebieskiego dżinu, starych kobiet, białego rumu, młodych dziewcząt, portera, pisco, towarzystwa ludzi i do laudanum Komendanta. Bardzo boję się bólu. Jestem ponad wstydem. Myślicie, że nigdy nie doniosłem na kumpla? Byłem zarówno kumplem, jak donosicielem, lubiłem ich i płakałem nad ich losem, kiedy ich zabierali, by wychłostać na podstawie fałszywych informacji ode mnie. To było złe i niesłuszne, a ja równie dobrze mogłem być biczem zdzierającym skórę z ich pleców, kiedy wymieniałem duszę za okruchy jedzenia czy farby. Rozdałem wszystko, czego potrzebowałem. Byłem podłą sztuką więziennego gówna. Cuchnąłem oddechami moich towarzyszy. Smakowałem kwaśny odór ich zgniłych egzystencji. Byłem śmierdzącym karaluchem. Byłem brudną wszą, która nie przestawała swędzieć. Byłem Australią. Umierałem, jeszcze nim się narodziłem. Byłem szczurem zjadającym swoje młode. Byłem Marią Magdaleną. Byłem Jezusem. Byłem grzesznikiem. Byłem świętym. Byłem ciałem, apetytem ciała, związkim ciała, a śmierć i miłość zdawały się jednakowo obrzydliwe i jednakowo piękne w moich oczach. Tuliłem ich połamane umierające ciała. Całowałem ich ropiejące wrzody. Myłem ich kościste piszczele z wrzodami, gnijącymi kraterami ropy; ja byłem tą ropą, byłem duchem, byłem Bogiem, byłem niewytłumaczalny i niepojęty nawet dla siebie samego. Jakże siebie za to nienawidziłem. Jak pragnąłem wypróbować



wszehświat, który kochałem, który był także mną, i jak bardzo pragnąłem wiedzieć, dlaczego w moich snach przelatywałem oceany i dlaczego, kiedy się budziłem, byłem ziemią pachnącą świeżo wykopany torfem. Żaden człowiek nie mógł odpowiedzieć na moje pełne złości lamente, nikt też nie mógł słyszeć moich żartów, dlaczego muszę cierpieć takie życie. Byłem Bogiem, byłem ropą, a cokolwiek było mną, było Tobą, Twoja świętość, Twoje stopy, Twoje jelita, Twój wzgórek, Twoje pachy, Twój zapach, Twój dźwięk i smak, Twoja upadła Piękność, byłem boski w Twoim obrazie i byłem Tobą, i miałem już niedługo przebywać na ziemi; dlaczego nie ma słów, które powiedzą, dlaczego byłem tak bardzo obolały, bolący, wypowiadający pożegnanie?



# PASIASTA SINORÓŻKA

*Aureole pani Gottliebsen – Inne zaskakujące fenomeny –  
Dwupensowa Sal i jej kręgi – O tym, dlaczego pasiasta  
sinoróżka zadrżała – Tajemnicze nieszczęście – Odkrycie  
Rejestru, – Wymysł starego Duńczyka – Fatalna konfrontacja  
– Literatura morderstwa – Głowa Doktora nieustannie  
powielana – Rozwinięcie kokonu*

## I

Widzę, że opowiadając tę historię, postawiłem wóz przed koniem, podczas gdy pani Gottliebsen przez cały czas czekała, gotowa, w odpowiedniej uprzęży, by przyspieszyć moją drogę do fatalnego miejsca przeznaczenia.

Jeśli czytelnik powziął przekonanie, że Billy Gould – zanim został odkryty jako zabójca Oświecenia i pracował jeszcze jako malarz ryb dla Doktora – będąc z Dwupensową Sal, pozostawał jej wierny, to czytelnik będzie miał zarazem zupełną rację i głęboko się pomyli. Ona folgowała sobie z Mushą Pugiem, a Billy Gould został przedstawiony pani Gottliebsen, żonie pastora Gottliebsena; pastorostwo płynęli słupem do Sydney i zatrzymali się z wizytą na Wyspie Sary.

Znosili gościnność pana Lempriere'a, który udostępnił im swój domek, podczas gdy sam dokonywał inspekcji wysuniętych placówek kolonii w górze Rzeki Gordona. Zostałem poinstruowany, by występować w roli służącego i zawiesić malowanie ryb do końca ich wizyty.

Pastor Gottliebsen był wymizerowany i napięty. Nie brakowało mu owej specyficznej pewności siebie, która zjawia się zupełnie nieskrępowana potrzebą myślenia, i tylko z tego powodu nie cieszył się moją sympatią. Miał horyzonty wąskie jak szyjka butelki do octu, postrzegał siebie jako estetę, prawdziwego poetę jezior; interesowała go bowiem koncepcja artysty-kryminalisty, bo jak mi powiedział, kiedy podawałem wieczorem kolację, interesowało go, czy takie dwa bieguny mogą – a może muszą? – istnieć pod parasolem jednej duszy.

Gdyby ktoś zapytał o moje zdanie, powiedziałbym, że to bardzo poszarpany i nieszczelny parasol, pod którym szukałby schronienia tylko ktoś całkiem głupi, ale pastor Gottliebsen nie pytał, więc nie odpowiadałem, zapewniłem go tylko, że jako człowiek najwyraźniej w kwiecie wieku, mógłby zainwestować znacznie gorzej niż w sztukę.

– Dlaczego malujesz? – zapytał, a zanim zdążyłem odpowiedzieć, że to lepsze niż zbiorowy gwałt za drzewem, sam odpowiedział na swoje pytanie: – Bo musisz znaleźć piękno w tym najbardziej nieprzyjaznym świecie. Bo nawet pośród najbardziej zdeprawowanych – zauważył, żebym mógł potwierdzić tę wyświechtaną maksymę – istnieje nadzieja na boskie odkupienie przez naturę, która jest sztuką.

– Nie ma pan przypadkiem szczypty tytoniu? – spytałem.

Pan GottliebSEN zamilkł i przekrzywił głowę, zachwycony własną przenikliwością. Pokręcił głową, ogarnięty podziwem dla chwały człowieka, jego nieskończonego pragnienia, by wstąpić do eterycznego królestwa.

– Do mojej fajki – kontynuowałem. – Pan Lempriere nie będzie miał nic przeciwko temu.

Chyba nie słyszał, ale po chwili rozluźnił się i poczęstował mnie tabaką, co przyjąłem jako możliwą alternatywę, podobnie jak jego przemyślaną opinię, że skłonność do przestępczości jest bezpośrednim wynikiem nierównowagi cielesnych płynów, co jego zdaniem można by naprawić, gdyby w dzieciństwie osoby takie jak ja zawieszać do góry nogami na kilka godzin codziennie przez kilka lat w ramach działań leczniczych.

Może gdybym był jako dziecko zawieszany do góry nogami, skończyłbym inaczej, może dzięki temu byłbym lepszy. Ale wtedy już wycierpiałem wystarczająco dużo upokorzeń i nie wydaje się, by w jakikolwiek sposób wpłynęły na mnie korzystnie, a pozwólcie sobie powiedzieć, że często musiałem znosić coś znacznie gorszego niż odwrócenie do góry nogami i proste zawieszenie za kostki u nóg.

Drugiego wieczoru ich pobytu, kiedy już przyniosłem karafkę najlepszego rumu z Martyniki – rozwodnionego zgodnie z poleceniem Doktora – pani Gottliebsen położyła dłoń na mojej ręce. Powiedziała, że mąż widział niektóre moje prace i uznał mnie za sensualistę, niewątpliwie z powodu niezrównoważenia płynów cielesnych. Podniosła moją rękę do ust i pocałowała, pogłaskała przedramię i spytała, czy mógłbym ją wziąć, podczas gdy pastor Gottliebsen będzie obserwował z dyskretnej odległości. Zaproponowała za to sześć uncji najlepszego tytoniu. Za sześć uncji, powiedziałem, pastor Gottliebsen może podejść tak blisko, jak będzie chciał; jednak pani Gottliebsen nie zdawała się tym zachwycona.

Poprosiła, żeby zawiązać jej oczy i przywiązać ręce sznurem do łóżka. Za te sześć uncji czułem się zobowiązany pokazać jej wszystkie moje najlepsze kroki, tańczyliśmy więc starą holenderską martwą naturę, potem gigę aż do Oświecenia, a ona w ślepej rozkoszy krzyczała wciąż od nowa. Dla niej to wszystko było doskonałe, ale dla mnie dość beznadziejne, bo flamandzki malarz wcale nie ładował się z palety.

Biedna pani Gottliebsen! Była śmiałą kobietą, a ciało miała jeszcze bardziej śmiałe: ogromne alabastrowe biodra, tłusty brzuch, ciężkie piersi z wyjątkowo dużymi aureolami. Z twarzą zarumienioną od wysiłku krzyczała teraz: „Zniewól mnie! zniewól mnie!”. Ale wszystko, co mogłem zrobić, to przytknąć nos do jej bioder, przejechać palcami po sutkach, poczuć pod językiem te cudownie hojne aureole i popadać w coraz większą desperację, bo wszystko to na nic się zdawało.

Biedny Billy Gould! Kiedyś przygwoździłby majtki do pułapki na szczury. A gdzie były teraz jego niezrównoważone płyny cieleśne, kiedy najbardziej ich potrzebował? Czułem się oszołomiony. Przeklinała mnie jako zdeprawowanego potwora. Byłem zgubiony. Rzuciła się bardziej niż świeżo złowiona ryba. „Ty bestio!”, krzychała. Zaryczałem w odpowiedzi. „Ty straszna bestio!”, krzyknęła w zachwycie. Zabczałem. Pani Gottliebsen zaczęła jęczeć. To było straszne. Rżałem, parskalem, muczałem i beczałem. Stałem się całą menażerią głośnej żądz. Jednak bez względu na to, ile wydawałem humorystycznych odgłosów, które mogły jeszcze na chwilę przedłużyć fikcję mojej namiętności, byłem jedynie echem szukającym zagubionego głosu. Ani dzikie, bardzo przyziemne krzyki pani Gottliebsen, ani moje wewnętrzne nawoływania i zewnętrzne popisy nie robiły najmniejszego wrażenia na moich sflaczałych łądźwiach. Gottliebsenowie pragnęli lewiatana, a ja przekształciłem się w sardynkę.

Trudno uwierzyć, spoglądając wstecz, że Billy Gould mógł dostać zaszczytu poznania takiej ilości ciała i nadal pozostać nieporuszony. Nie będę obrażał pani Gottliebsen, która pod wieloma względami była przyjemną kobietą i bardzo atrakcyjną, jeśli nie liczyć twarzy, ale kto ogląda gyzms kominka, rozpalając ogień? Tyle że ja nie mógłbym zapalić nawet świecy, nie mówiąc o rozpaleniu i utrzymaniu ognia. Pomyślałem, że może to z powodu tej opaski, i próbowałem sobie wyobrazić oczy pani Gottliebsen, ale nie mogłem ich sobie przypomnieć, a potem zbiło mnie z pantałyku wprost niewypowiedziane zachowanie pastora Gottliebsena na sofie za mną, więc raczej próbowałem sobie wyobrazić, że go tam nie ma.

Potem wpadłem w złość, że zmuszali mnie do odgrywania takiej roli. Usiłowałem sobie wyobrazić każdą możliwą niegodziwość, mój umysł wypełniało więcej wyobrażeń, niż można sobie wyobrazić, ale nadal byłem wobec niej jak dziecko. Przerażony zacząłem się modlić do świętego Guignola, patrona impotentów, w nadziei że uda mi się naśladować jego słynną statwę w Breście, znaną ze stojącego członka, który – mimo ciągłego oskrobywania przez zrozpaczonych kochanków – w cudowny sposób zachowuje tę samą długość i pozycję.

Ale prawda jest taka, że moje myśli opanowała nagle Dwupensowa Sal i mimo wszystkich modlitw, usilnych starań i gorących pragnień nie chciała ich opuścić, nie pozwalając mi tym samym stanąć na wysokości zadania. Pani Gottliebsen rozpościerała się przede mną szerzej i bardziej biało niż cała Europa i nie pozostawało mi nic innego jak tylko podbić ją niczym Aleksander, a potem szlochać. Widziałem jednak tylko wątle szalowe sznurki ciemnych bicepsów i przedramion Dwupensowej Sal, żebra otaczające małą beczkę jej torsu pod niewielkimi lekko obwisłymi piersiami, pełną rozstępów chwałę jej pomarszczonego brzucha, wargi jak wilgotne muszle wzywające mnie do środka...



Nie odczuwałem lojalności wobec Dwupensowej Sal – mimo wszystko trudno byłoby uznać ją za nieskalaną dziewicę – ale jednak to coś, co było między nami, stało teraz pomiędzy mną a wijącą się panią Gottliebsen, która wygadywała wszystkie świństwa określające mnie jako zwierzę. Gdybyśmy tylko mieli takie szczęście! Doprowadzało mnie to do wściekłości, bo było zupełnie nieracjonalne; chciałem przecież zadowolić w równym stopniu siebie, co panią Gottliebsen, a wiedziałem, że do tego po prostu nie dojdzie i że nie ma to żadnego związku z rozumem. Dzięki tej myśli z wdzięcznością przypomniałem sobie wielkiego filozofa.

Złapałem Woltera i pospiesznie wykorzystałem, a pani Gottliebsen zaczęła kwiczeć głośniejsze niż Castlereagh. Pastor Gottliebsen jęczał, oczy wpadały mu w głębię oczodołów, więc nie jestem pewien, czy przez te wszystkie jęki naprawdę widział, co się działo, bo kiedy żegnałem się z nimi następnego dnia w porcie, ciągle przyłapywałem ich ukradkowe spojrzenia na moje krocze, które najwyraźniej uważali za dolinę ukrytych olbrzymów, a nie za pustynię pożądania, czym rzeczywiście było.

Obliczyłem, że te sześć uncji tytoniu, starannie racjonowane, wystarczy mi na cztery miesiące. Połowę wypaliłem w dwa dni, a potem wysłałem wiadomość do Dwupensowej Sal, że mam trochę tytoniu, jeśli jest tym zainteresowana. Odpowiedziała następnego dnia.

Była zainteresowana.

## II

Dwupensowa Sal pokazała mi na czarnych łydkach dwa koła wycięte w ciełe, a potem przypalone, żeby powstały wypukłe blizny, stalowoniebieskie w kolorze, dziwnie miękkie w dotyku. Dotknęła jednego kręgu i powiedziała: „Słońce”, dotknęła drugiego, podzielonego, ale nie przerwano pojedynczą linią i znowu powiedziała po angielsku: „Księżyc”.

Potem znalazła w stosie drewna przy kominku Doktora patyk zakończony literą Y i po zaostrzeniu obu końców kuchennym nożem kazała mi podciągnąć koszulę i położyć się na brzuchu. Czułem, jak dźga patykiem u nasady moich pleców i posługuje się nim jak kompasem, wycinając koło z każdej strony kręgosłupa. Pod wpływem bólu, przy powolnym obracaniu patyka zadrzałem i podskoczyłem niespodziewanie, kiedy zaczęła dzielić drugie koło linią przez środek.

Kiedy wcierała w rany popiół z ognia pana Lempriere'a, żeby stworzyć zagojoną bliznę, dotknęła znowu pierwszego koła i powiedziała: *Palawa*, słowo oznaczające jej rodaków; a potem, wcierając popiół w drugi krąg, który przedzieliła, powtarzała w kółko: *numminer*, jakbym był niedorozwiniętym dzieckiem, mówiła, śmiejąc się *numminer, numminer*.

– Nie jestem *numminer* – powiedziałem po jakimś czasie, przekręcając się na plecy. Wiedziałem, że *numminer* to ich słowo, które oznacza zarazem duchy i białego człowieka, ponieważ wierzyli, że ich duchy po śmierci udają się do Anglii, żeby tam się odrodzić jako angielskie kobiety czy mężczyźni; że biali ludzie to ich przodkowie, którzy powrócili.

Żeby to udowodnić, kazałem jej się położyć. Przyglądałem się kolistej rybie i kolistemu płótnu przede mną. Studiowałem rozmaite wypukłe blizny w kształcie kręgów na ciele Dwupensowej Sal. Słońce, księżyc. Czarna kobieta, biały mężczyzna. Jednak dla mnie najbardziej zachwycającym kręgiem był ten, na którym zacząłem wtedy malować.

Rozmaitość piersi jest nieskończona, a każda pierś to obraz zarazem humorystyczny, jak i piękny: piersi stanowiące ledwie aluzję do swego istnienia, niewielki wzgórek złożony z aureoli i sutka, jakby koncentrujący całe swoje piękno w tej stożkowej istocie; wielkie piersi, które zdają się marzyć o tym, by je zwiąć i brać w dłonie; psie cycki, krowie wymiona, obdarzone niezaprzeczalnym ładunkiem erotyki; piersi, po których przeciąga się językiem; piersi przytrzymujące między sobą kutasa; piersi, które nie patrzą na siebie, niczym kłótlive małżeństwo, co to nigdy się nie rozstanie, ale też nigdy się do siebie nie odezwie; piersi matki z niebieskimi żyłkami, pachnące skwaśniałym mlekiem; piersi jędrne i piersi zwiotczałe; piersi o sutkach jak lufa rewolweru i piersi o wciśniętych sutkach, które trzeba dopiero wysssać, żeby wskoczyły do ust, jakby stały na baczność. Ale obraz, jaki tamtego dnia przywoływały piersi Dwupensowej Sal, kiedy leżała na zakurzonej podłodze pana Lempriere'a, to była niewielka okrągła ryba, która uwija się między rafami jak ciekawski kręcący się bączek, niezwykle ozdobnie udekorowana aksamitnymi pasami.

Zaostrzyłem czubek pędzla na jej języku, a potem wolniutko przejechałem nim po jej policzku i czerwonej ochrze, którą się różowała. Najpierw zwilżyłem językiem jej brązową pierś, a potem zacząłem kłaść czerwoną ochrę jako podkład, początkowo pędzlem, który marszczył i więził ciało, a potem palcami, prowadząc je powoli w koło i w koło, pozostawiając dolny półksiężyc piersi bez zmiany.

W prawo od sutka położyłem błękitny kolor z jakiegoś pigmentu ultramaryny. Małe różki namalowałem białym ołowianym pudrem pana Lempriere'a, a na wyraźnie żółte źrenice ryby użyłem maleńkiego złotego płotka, który dawno temu podkradłem z Wielkiego Salonu Madżonga. Bardzo delikatnie pocierałem między dwoma palcami poczernione węglem rzęsy Dwupensowej Sal, a na palecie zaimprovizowanej na jej brzuchu rozpuściłem tę odrobinę czerni w ślinie, tworząc ciemną pastę. Tym zarysowałem kontur piersi. W końcu ponad jej usytuowanym niesymetrycznie sutkiem, wydłużonym i ciemnym, z zaciekawieniem pociągnąłem lekkie ślady linii, by nadać mu wygląd buńczucznej płetwy piersiowej. Rezultat był zarazem niecałkiem zadowolający i całkowicie żywy. Dwupensowa Sal uniosła się na łokciach, ale ja widziałem tylko pasiastą rybę, która poruszała się powoli.

Odłożyłem pędzel.

Kiedy pochyliłem się i dotknąłem koniuszkiem języka płetwy piersiowej, zadrżała, jakby w przedsmaku życia.

Miałem nadzieję, że Sal nie żywi do mnie nieprzyjaznych uczuć, ale nie łudziłem się, że będzie mnie wspominała z sympatią; to znaczy, jeśli w ogóle będzie o mnie pamiętała. Byłem jednym z procesji; dostarczałem ekstra jedzenie, picie, tego dnia trochę tytoniu, ale poza tym nie istniałem dla niej. Kiedy pomyślałem o tym, jak pieniądze, brud, gorączka ludzkiego pożądania i gorzki posmak życia zbiegają się razem, kiedy w jakikolwiek sposób kupuje się kobietę, poczułem, że kręci mi się w głowie, jakbym wpatrywał się w nieskończoną czarną dziurę i tracił równowagę. Pomyślałem: to nie jest nieuczciwe, to najbardziej uczciwy wyraz całego nieskończonego smutku nas wszystkich. Chętnie przepłynąłem niby rtęć przez ręce zbyt wielu kobiet, ale przychodzi chwila rozliczeń. Nie ma odpuszczenia miłości, nie ma zbawienia w myśli o tym, że cały świat skurczył się jedynie do dwójki ludzi. Bo w niej tego dnia poznałem, że jestem absolutnie niczym.

Spojrzałem do góry na skomplikowane arabeski pajęczyn wysnutych przez duże pająki; jedwabiste odgałęzienia łączyły kruszące się ściany i sufit nędznego domku pana Lempriere'a. Kiedy znowu spojrzałem w dół, wydało mi się, że dostrzegłem na twarzy Sal wrażenie nieobecności; być może właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, nadawało jej – przynajmniej w moich oczach – pewną pogodną głębię. Jej oczy zdawały się pełne mądrości, kiedy jednak się odezwała, chodziło jej jedynie o więcej pisco, a potem zatańczyła.

Tamtego jesiennego dnia w domku pana Lempriere'a, kiedy zimny wiatr na zewnątrz przeradzał się w sztorm, tego jednego jedyne go dnia wróciła do mnie, skuszona chyba moimi obietnicami tytoniu i pisco, stanęła naga, za nią huczał ogień strzelających wilgotnych polan mirtu; tańczyła tak, jakby unikała strzałów z muszkietów, udawała, że kieruje się w jedną stronę, potem skręcała się i wyskakiwała w innym kierunku. W jej tańcu nie było niczego kobiecego; niczego, co moglibyśmy określić słowami kobieta czy kobiecość. Było to gwałtowne, bezwstyde, pozbawione wdzięku, zdawało się nie aspirować do piękna, miało jedynie opowiedzieć historię, którą w swoim zarozumiałstwie uznałem za przeznaczoną dla mnie. Zdawała się próbować istnieć wbrew ciężarowi, wbrew sile ciężenia. Pasiasta sinoróżka skakała, brykała i śmigiała przez ocean swego tańca.

Po tańcu była spocona i zimna. Ja się nie ośmieliłem, a ona nie miała ochoty kopulować na stęchłym łóżku pana Lempriere'a, więc zrobiliśmy to na brudnej podłodze. Całowałem jej plecy; obróciła się, a ja zacząłem ssać i lizać. Kiedy tańczyliśmy stare Oświecenie i uśmiech rozumu Woltera, narastała w niej powolna fala, która tylko czekała, by się wyrwać; widziałem to wszystko: na jednym nadgarstku duże srebrne koło, na drugim duży nieprzekłuty czyrak. Wpatrująca się sinoróżka. Wesz wspinająca się po jej ręce, aż na pierś sinoróżki; ten widok jednego ciała ustępującego innym, nieunikniony postęp śmierci i równocześnie jej transformacja w nowe życie uderzyły mnie jako coś strasznego i wspaniałego. Niczego nie dało się pogodzić, wszystko było piękne.

W jej smaku była goryczka, odrobina soli, trochę owocu, lekka kwaśność, nieco cynamonu, a całość jak coś wielkiego, silnego i słodkiego. Kiedy leżałem z nią na brudnej podłodze pana Lempriere'a, widziałem, jak jej ciemne ramiona, biodra i tors mieszają się z kurzem, brudem, padłymi muchami, i wtedy błękit jej blizn, ciemna barwa skóry zdawały mi się jeszcze bardziej błyszczące, jeszcze piękniejsze przez to, że leżała w takim brudzie.

Tamtego dnia im bardziej ją kochałem, tym bardziej stawała się dla mnie tajemnicza. Zacząłem od pewności: że jest czarna, że dla mnie znaczy rozkosz i że mogę się z nią kochać bez żadnych konsekwencji. Kończyłem wśród wątpliwości co do tego, kim ona jest, a co jeszcze bardziej szokujące, kim jestem ja sam.



Obróciłem piłkę jej głowy we wnętrzu moich dłoni, przytrzymałem w palcach krótkie, kędzierzawe kosmyki włosów i pociągnąłem głowę do tyłu, trzymając za skręcony węzeł włosów tak mocno, aż obawiałem się, że sprawiam jej ból; a jednak im mocniej trzymałem jej głowę, tym lepiej jej uparty tyłek zdawał się odpowiadać, unosząc się i opadając rozkoszą, pchając i domagając się więcej i więcej moich napiętych łądźwi, a im bardziej wpatrywałem się w jej twarz, tym lepiej uświadamiałem sobie, że nie ma to nic wspólnego z jej twarzą czy moim pustym, jałowym pyszałkowatym przekonaniem, czym jest piękno i gdzie według mojego głupiego przekonania przebywa; im dokładniej szukałem w jej zamkniętych oczach, tym lepiej wiedziałem, że jest bardzo, bardzo daleko, odpływa coraz dalej ode mnie, wymagając tylko tego, żebym nadal odchyłał jej głowę, ciągnął za włosy i odpowiadał z taką siłą, jaką mi jeszcze zostawiły wznoszące się i opadające pchnięcia jej aksamitnych bioder, przewalające się nade mną jak najwspanialszy sztorm, który miał już na zawsze uczynić ze mnie wrak, gdy tymczasem pod nami pasiasta sinoróżka powoli rozpuszczała się w zapotniałe smugi zagubionych, zmatowiałych barw.

### III

Akwarele były niemal do końca zużyte. Dwupensowa Sal odeszła. Doktor stał się cuchnącą miazgą. Garnek z laudanum był pusty. Pobjoy robił się coraz wyższy. Capois Death zniknął – jedni mówili, że uciekł; inni, że go zamordowano na wyraźne polecenie Komendanta w wyniku niefortunego wyczyszczenia zmarzniętych pustkowi Przełęczy Północnej, gdzie od iskier z parowej lokomotywy powstał ogień i wszystko spłonęło w trakcie nocnej podróży Komendanta pociągiem. W tym czasie nie było jeszcze Króla, z którym mógłbym omówić swój coraz bardziej żalorny los, bo to, o czym opowiem, wydarzyło się, zanim dołączył do mnie w celi.

Krótko mówiąc, mojej kronice nie pozostawało już nic do interpretowania. Moja praca i moje życie osiągały zgodność, na którą nie pozostawałem całkowicie ślepy, bo jedno się kończyło, a drugiemu niewiele brakowało.

Wiedziałem, że była to wigilia Bożego Narodzenia, bo wobec szybko zbliżającej się śmierci miałem wyostrzoną świadomość upływającego czasu. Dzień był niezwykle upalny, więc kiedy wieczorem zaczął się przypływ, chętnie przyjąłem pogodną obecność wody. Woda się podnosiła, a ja wraz z nią, aż zacząłem unosić się po mojej zupełnie ciemnej celi, a nos od czasu do czasu podskakiwał do sufitu. Właściwie bez powodu nabrałem zwyczaju trącania jednej z wielkich płyt kamiennych ponad moim nosem; podtrzymywana przez ciężkie belki stanowiła część sufitu.

Od niepamiętnych czasów bawiłem się tak bezmyślnie z sufitem, przysłuchując się powolnym uderzeniom morza odbijającego się od zewnętrznych ścian celi; dźwięk ten dawał mi niepojęte wręcz ukojenie. Przeciagałem wierzchem pomarszczonych od wody dłoni po delikatnej chropowatości sufitu, popychałem go i poszturchiwałem bez specjalnego celu czy pragnienia, aż zdarzyła się rzecz przerażająca.

Nagle coś gwałtownie pchnęło mnie w dół, w głębię zimnej, zupełnie czarnej wody. Choć rzucałem się we wszystkie strony i bronielem zajadle, nadal tonąłem. Myśli galopowały, przekształcały się w pływające bąbelki – tyle skomplikowanych pytań, na które nigdy nie znajdę odpowiedzi. Czy to Armia Światła Brady'ego podjęła oblężenie i rujnuje ogniem artyleryjskim budynek, w którym jestem przetrzymywany? Czy jeden z klientów Pobjoya przyszedł pod osłoną nocy, żeby mnie utopić, ponieważ stał się wielbicielem Tycjana i moje więzienne Constable wydają mu się teraz dziełami nędznymi, niegodnymi jego pasji?

Kiedy zastanawiałem się, jak długo jeszcze potrwa, nim ból w piersiach, pulsowanie w głowie, ściśnięte gardło sprowadzą śmierć, poczułem, że wielki ciężar, który spychał mnie w dół, zsunął się z mojej piersi, raniąc przy okazji ciało. A moje ciało przestało tonąć, zaczęło się unosić do góry.

Dopiero kiedy wypłynąłem z powrotem na powierzchnię i przez kilka minut plułem i chwytałem powietrze, jak chwyta chleb człowiek umierający z głodu, napełniając usta, ale nie mogąc zaspokoić łaknienia, zaczęło do mnie docierać, co się stało. Wyciągnąłem rękę do góry i przekonałem się, że jestem nie na górze swojej celi, ale we wgłębieniu trochę większym od tego, które niedawno opuściłem. Ostrożnie wyciągnąłem rękę po raz drugi i wyczułem nad sobą brzegi pękniętej płyty kamiennej, która mogłaby służyć za punkt oparcia.

Ilekrót czegoś dotknąłem, na twarz leciały mi grudy piachu, słonego i wilgotnego, i wpadały do półotwartych ust. Wtedy uświadomiłem sobie, że miejscowy piaskowiec, miękki z natury, nie wytrzyma codziennego kontaktu ze słoną wodą. Moje pociąganie i poszturchiwanie sprawiło, że zaczął się rozpadać, wielki kawał płyty odpadł z sufitu i popchnął mnie na dno zatopionej celi.

Zacząły znowu wyłaniać się możliwości, które zbyt długo odsuwałem. Ożywiało mnie podniecenie, o które jeszcze przed chwilą nawet bym się nie podejrzewał, macałem wokół jak ślepiec, zrzucając sobie na twarz mnóstwo małych kawałków piaskowca. Szukałem niewielkiej szczeliny, w którą mógłbym włożyć palce i posłużyć się nią jak punktem podparcia. Tak intensywnie poszukiwałem, że zmiękczona wodą skóra na moich dłoniach zaczęła schodzić, a piaskowiec wydał się niezaprzeczalnie chropawy i ostry jak tysiąc igieł.

Nie miałem żadnego planu, nie zastanowiłem się nad tym, co mógłbym zrobić. Nie wiedziałem nawet, czym jest mroczna pustka nade mną, czy to otwarty teren, czy po prostu inna cela. Uniosłem ręce w tę nieznaną ciemność, w końcu znalazłem oparcie i uchwyciwszy je mocno, zacząłem się podciągać.

## IV

Nie bez trudu się podciągnąłem, a częściowo wdrapałem obok dyndających, połamanych belek stropowych i pękniętej płyty kamiennej do tego wspaniałego nowego świata, który otwierał się nade mną. Jak na człowieka, który zawsze szczyił się brakiem siły fizycznej, a co więcej, spędził wiele miesięcy w celi szerokiej na rozpiętość ramion, żywiąc się odpadkami rzucanymi przez Pobjoya, było to nie lada osiągnięcie.

Zorientowałem się, że leżę na wilgotnej kamiennej podłodze i ciężko dysząc, wdycham mieszaninę bogatych zapachów: kurz, suszone szyszki chmielu, wilgotna skóra, dym tytoniowy i przeważający nad wszystkim ten szczególnie odór stęchlizny, który – jak miałem się później przekonać – jest zapachem pergaminu połączonym z nieuniknioną bliskością śmierci.

Chciałem wstać i uderzyłem głową w coś, co okazało się rodzajem stołu, znowu upadłem, wyczołgałem się i tym razem stanąłem wyprostowany, nie zważając na niebezpieczeństwa. Okazało się, że jestem w dużym pomieszczeniu skąpanym w jasnym, zimnym, metalicznym świetle księżycy, które nadawało otoczeniu ultramarynową tajemniczość. Pokój wydawał się zupełnie pusty, to znaczy jeśli nie liczyć książek.

Książki były wszędzie, gdziekolwiek spojrzałem, widziałem więcej książek, a wszystkie porządnie ułożone i ustawione na ledwo oheblowanych, ciężkich drewnianych półkach, w wielkich regałach sięgających od podłogi do sufitu, rozchodzących się jak szprychy w kole od centralnego punktu, gdzie stało ogromne koliste biurko, spod którego wychynałem jak mól ze swojego kokonu, sztywny i niezręczny.

Otaczało mnie tak wiele książek, że samo patrzenie przyprawiało o zawrót głowy, trudno było pojąć, że nie tylko może istnieć tyle woluminów, ale że w dodatku znajdują się w jednym pomieszczeniu. Nade mną stały wysokie tomy oprawione w welin, a poniżej ogromne zakurzone tomiszczka. Za mną znajdowały się rękopisy rozmaitych wymiarów, powiązane sznurkiem, a przede mną nowsze, mniejsze ozdobne rejestry, oprawione w ciemną marokańską skórę.

Chciałbym powiedzieć, że w świetle pełni księżyca wpadającym przez okna pod sufitem pomieszczenie nabrało koloru ciemnego miodu i bursztynowego wdzięku starej biblioteki. Ale to byłoby kłamstwo. To właśnie ten typ nonsensu, jaki Pobjoy chciałby widzieć na moich obrazach i jaki może wypisywać panna Anne. Prawda była taka, że pomieszczenie stanowiło ruchomy labirynt szarości i niebieskich cieni, brzydki i posępny.

Na okrągłym biurku leżał otwarty tom in folio, oprawiony w delikatny welin z krowich embrionów. Patrzyłem na kolumny wypisane niebieskim atramentem, pochyłym, uciekającym pismem o ozdobnych archaicznych pętlach i zawijasach, które rzucały długie cienie monstrualnych łańcuchów, jakby cały świat był skuty kajdanami i zniewolony.

To, co następnie przeczytałem, wydało mi się niezupełnie zrozumiałe: miał to być spis działań więźniów w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, wydawał się jednak błędny niemal w każdym szczególe. Wyjaśniało to co prawda przynajmniej jedną zagadkę: przeznaczenie tego pokoju. Uświadomiłem sobie, że był to tajemniczy Rejestr kolonii. Na półkach mieściły się wszystkie archiwa wyspy, a przy okrągłym biurku pośrodku zasiadał pewnie codziennie stary duński urzędnik, Jorgen Jorgensen, żeby pracować nad układaniem jedyne go trwałego wspomnienia o naszym dziwnym świecie. A robił to dłużej, niż sięga czyjkolwiek pamięć.

Nadszedł świt i zrobiło się widniej. Nie musiałem już wycęzać wzroku, niechętnie jednak zamknąłem tom dopiero częściowo przeczytany i przygotowałem się na powrót do podziemia.

Skupiłem się na tym, żeby uczynić moje włamanie jak najbardziej niewidocznym. Na szczęście zniszczona przeze mnie część podłogi pod kolistym biurkiem była miejscem wilgotnym i ciemnym do tego stopnia, że trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek w ogóle tam zaglądał. Wziąłem duży i na pozór rzadko używany tom z górnej półki jednego regału i rozpostarłem go na otworze. Było to dość rozpaczliwe działanie, ale nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.

Ustawwszy tę prymitywną klapę, wróciłem do swojej celi. Starannie poprawiłem połamane belki, w nadziei że nie rzuca się w oczy, przykryłem kawałek płyty kamiennej kamyczkami i żwirem, którymi wysypana była podłoga mojej celi, żeby Pobjoy nie odkrył niczego niezwykłego. Mniej niepokoiłem się tym, że może spojrzeć do góry i zauważyć, że z sufitem coś jest nie w porządku, było to bowiem mało prawdopodobne z uwagi na jego zwyczaj pochylania się, a zresztą sufit i tak znajdował się w głębokim cieniu.

Możecie zapytać, dlaczego Billy Gould nie uciekł stamtąd wtedy, próbując wymknąć się przez niezamknięte drzwi Rejestru, na które wcześniej się natknął. Postanowił – demonstrując tę szczególną śmiałość, tak dla niego typową – odłożyć ucieczkę, dopóki nie przeprowadzi odpowiednich przygotowań. Prawdę mówiąc, myślę, że zachowywał się jak ptak wypuszczony z klatki – pierwszą reakcją jest strach, potem tęsknota za czymś znanym; a podstawową myślą po prostu powrót do świata, który jest znajomy, do własnej słonowodnej celi.



A poza tym istniała jeszcze sprawa tego, co przeczytał owej pierwszej nocy w leżącej na biurku otwartej księdze – były to rzeczy tak niepojęte i szokująco bezczelne, a równocześnie tak przykuwające klarownością szaleństwa, że wymagały dalszego przestudiowania, żeby mógł lepiej przeniknąć i – miał nadzieję – odgadnąć ich tajemnicę.

## V

Przez kolejnych siedem nocy nie mogłem się doczekać, by przyplływ podniósł się wystarczająco szybko. Zbyt powoli zdawał się ogarniać moje tonące w muszelkach kostki, zawieszane krocze, pokryty strupami brzuch; musiałem czekać niemal tak długo, jak długie były niekończące się listy panny Anne, unosić się na wodzie, podpływać, by wreszcie móc dotknąć ostrego, pękniętego piaskowca i wciągnąć się do pomieszczenia Rejestru na gorze.

Przez siedem nocy, żeby światło nie zdradziło mojej obecności, siedziałem na podłodze przy okrągłym biurku w niewielkiej kałuży jasności od świecy. Całość pomieszczenia oświetlał przyćmiony blask księżyca, a ja kontynuowałem czytanie opasłych tomów, tak ciężkich, że samo zdjęcie ich z półki wymagało ode mnie wszystkich sił.

To, co odkryłem pomiędzy sztywnymi okładkami, nie było kroniką znanej mi kolonii karnej, narodu Komendanta z Nowej Wenecji. Kartkując zestaw memorandów, księgę korespondencji, zamówienia czy spis więźniów, szukałem zapisów, rysunków, planów budowlanego cudu Wielkiego Salonu Madżonga.

Niczego takiego nie było.

Przez siedem nocy przeglądałem dokumenty intendenty, szukając rachunków, faktur, kwitów, które mogłyby świadczyć o zakupie przez Komendanta lokomotyw południowoamerykańskich; próbowałem znaleźć papiery, które definitywnie ustaliłyby sprzedaż transylwańskiej głuszy czy choćby jeszcze bardziej śmiałą wymianę kontynentu australijskiego i nabycie biżuterii molukańskiej, chińskich leków, jawańskich mebli i statków wyładowanych syjamskimi dziewczynami.

Niczego takiego nie było.

Przez siedem nocy grzebałem w osobistych listach i dziennikach w poszukiwaniu najdrobniejszych szczegółów, które stanowiłyby wskazówkę, że Komendanta nigdy nie opuściły dawne koszmarne wizje arabskich kupców, nieśmiertelnych piratów japońskich i nagich francuskich racjonalistów.

Niczego takiego nie było.

Kiedy przedzierałem się przez pisaninę starego Duńczyka, moje odczucia ewoluowały od oszołomienia do zastanowienia, dlaczego napisał tak wiele w takiej sprzeczności z rzeczywistością.

Konieczność okłamywania gubernatora Arthura w mieście Hobart i Biura Kolonii w Londynie była wystarczająco jasna: natknąłem się na listy z Urzędu Kolonii sprzed wielu lat, domagające się pełnych wyliczeń, raportów, inwentarzy i audytów. Wszystko to wymagało nieprawdziwej odpowiedzi, przedstawiającej kolonię karną tak, jak mogli ją sobie wyobrazić, ale nie taką, jaką my znaleźmy.

W którym momencie i dlaczego ta konieczna urzędnicza inwencja przekształciła się w znacznie szerszy projekt wymyślenia na nowo kolonii karnej, nie mam pojęcia. Jasne było jedynie to, że Komendant wybrał starego Duńczyka do opracowania pełnych dokumentów kolonii w taki sposób, by zgadzały się z oczekiwaniami, nie z rzeczywistością.

Jednak w pewnej chwili dzieło Jorgena Jorgensena zaczęło wykraczać nawet poza ambicje mistrza, stając się osiągnięciem zupełnie szalonym. Choć godził się początkowo, by jego pracą kierowały pragnienia Komendanta, wyraźne więc było piętno kaprysów i inwencji innej osoby, powoli jednak zajmował się własną niezwykle koncepcją alternatywnego świata.

Kiedy nadchodziły kolejne noce, a ja wciąż czytałem, jasna stała się skala jego tupetu, a mój podziw zamienił się w zwykły lęk.

Świat, jaki opisywał na tych stronicach Jorgen Jorgensen niebieskim atramentem, pozostawał w wojnie z rzeczywistością, w której żyliśmy. A zła wiadomość polegała na tym, że rzeczywistość przegrywała. Była nie do rozpoznania. Nie do zniesienia. W końcu stawała się nieludzka. Nie można też było oderwać się od czytania.

Próbowałem wyobrazić sobie starego Duńczyka, zmuszonego początkowo do tego, by przerobić całe barbarzyństwo i koszmarną naszą kolonię na porządek i postęp, materialny, moralny i duchowy, jak zapisuje to przy mrugającej lampce na olej wielorybi swoim eleganckim, pochyłym pismem w oficjalnych dokumentach osady. Był to dla niego, jak przypuszczam, niezbędny ciężar i na początku pewnie widział swoją pracę w kategoriach zamiany własnego życia na niewiarygodną i zupełnie nieprawdziwą historię, tak jak kiedyś wymienił kłamstwa za kredyt pozwalający grać przy zielonych stolikach Europy.

A potem, po pewnym czasie – po roku? po kilku latach? – nadszedł być może moment tak ekscytujący, że już na zawsze został uwięziony w jego szalonej sile wyzwolenczej, moment, w którym po raz pierwszy wykroczył poza własną świadomość, nurzając pióro w demonach i odkrywając ku własnemu przerażeniu i zdumieniu, że w nim samym mieszczą się wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety; całe dobro, całe zło, cała miłość, cała nienawiść i cały czas, w tym jednym momencie, kiedy jego dusza eksplodowała w miliony kulek mgły, przez które zaczęło przesączać się światło jego wyobrażeń, rozpadając się na tęczę historii i przybierając konkretne formy sprawozdań, poleceń, spisów skazanych, ksiąg korespondencji i memorandumów.

Bo w opowieści starego Duńczyka wszystko było odmienne. Każde życie, każde działanie, każdy motyw, każda konsekwencja. Czas, będący zdaniem Komendanta czymś, z czego wszyscy jesteście nieodwołalnie stworzeni, naszą podstawową substancją i siłą życiową, w tych sprawozdaniach stanowił coś zupełnie odrębnego od nas – określona liczba cegieł o jednakowej wadze, które razem tworzą mur teraźniejszości, uniemożliwiający nam wszelkie związki z przeszłością, a tym samym jakiegokolwiek poznanie siebie samych.

Podczas gdy za panowania Komendanta przebudzenie, sny i koszmary senne były jednością, w archiwach starego Duńczyka wszystko stało się beznadziejnie podzielone i przeciwstawne. Koszmary senne zostały wygnane, niedopuszczalne były jakiegokolwiek zmowy między życiem a marzeniem. Było to największe karciane oszustwo w historii; jakże dumny byłby stary poczciwy marszałek Blucher ze swego jednorazowego partnera w skacie.

## VI

Pozwólcie mi dodać, że ja także czułem wzrastający podziw dla Jorgensena, a uczucie to wzmocniło się zdecydowanie dzięki odkryciu siódmej nocy zapasu duńskich sznapsów, ukrytych za stosem nieużywanych formularzy zamówień intendencji. Kiedy czytałem, siedząc pod okrągłym biurkiem w woskowym świetle letniego księżycy, przerywając jedynie po to, by zabić komara, pociągnąć łyk sznapsa czy szybko siknąć do dziury prowadzącej do mojej celi, nauczyłem się doceniać to, że inwencja starego Duńczyka była równie subtelna, jak nieograniczona: w świecie, który przez tyle lat tworzył na użytek swego pana, każdy szczegół – choćby najdrobniejszy – był powiększony, zakwalifikowany, opisany.

Mogłem jedynie zachwycać się wszystkim, co stworzył Jorgensen: na przykład długie, uporządkowane kolumny statystyk pokazujących coraz mniejszą częstotliwość stosowania chłosty w ciągu kilku lat; zbiory ręcznie pisanych kazań, rysunki nowych cel itd., z czego wyłaniał się obraz, w którym reżim niezbędnych kar cielesnych zwalczających wrodzoną brutalność skazanych powoli ustępuje miejsca bardziej oświeconym praktykom, stosowaniu izolacji i misjonarzom od Wesleya.

Niewątpliwie dla Jorgensena była to praca powolna i często nudna, ale podporządkowując się prawom szablonu i naśladownictwa, przyczyny i skutku – które nigdy nie charakteryzują życia, ale są niezbędne przy słowie pisanym – stworzył obraz kolonii, który przekona potomnych zarówno o zezwierzęceniu skazańców, jak i o mądrości administratora; świadectwo działania stałej, łagodnej dyscypliny, która przekształca kieszonkowców w szewców, a sprzedajnych chłopczyków w chrześcijan.

W tych księgach kryły się – splecione jak włókniste korzenie perzu, ale dające się rozplątać – indywidualne historie, głównie skazańców, ale także ich strażników, jak choćby prozaiczna, choć skuteczna kariera porucznika Horace'a, ostatnio Komendanta, równie nieprawdopodobna jak życie każdego ze świętych. Wywodził się z najskromniejszego środowiska, urodził się w domku, który zbudował własnymi rękami, w wojsku awansował z chorążego w 91. Pułku. Odznaczył się rycerskością na rozmaitych stanowiskach administracyjnych, pracował skutecznie jako oficer sztabowy w Hondurasie Brytyjskim, obchodząc się po ludzku i w sposób oświecony z miejscowymi Indianami w okresie poprzedzającym ich masową egzekucję, a następnie przeniesiono go na Wyspę Sary. Jego humanitarną postawę poświadczają jeszcze dodatkowo kopie wielu listów do ukochanego przyjaciela Williama Wilberforce'a o okropnościach systemu niewolniczego.

Wypiłem za to łagodne więzienie, tak wspaniale, że chętnie zapłaciłoby się za opuszczenie Anglii tylko po to, żeby przyjechać i osiedlić się tutaj; wypięm za to, że dopuszczano nawet do samodzielności skazanych. Nieustannie wznosiłem toasty za wszystkie udane fałszerstwa rzekomo przemycanych listów więźniów, które potwierdzały szczegóły zawarte w oficjalnych raportach, za stałe podobno skargi przestępców, którzy rzucali narzędzia i odmawiali wykonywania pracy, dopóki nie zostaną spełnione określone warunki czy zaspokojone zażalenia. Na jednej z wyższych półek stały nawet słoje ze skórą powieszonych, na której znajdowały się tatuaże, zgodne z życiem złoczyńców i wymierzoną im karą, co dało się przeczytać w wielu tomach korespondencji; w ten sposób prawdziwe fragmenty martwych ciał zyskiwały odpowiedniki, a nawet więcej, tchnienie prawdziwego życia w opowieściach starego Duńczyka: wznosiłem toast za każdą kotwicę, każdego anioła, każdą maksymę zapisaną niebieskim atramentem.



Coraz więcej i więcej historii, coraz więcej i więcej sznapsów. Wciąż od nowa piłem za Jorgensena, a ilekroć jego szklanka była pusta, wydawało mi się, że należy ją jeszcze raz napełnić, żeby znowu wypić za wspañały świat, który stworzył Duńczyk: system penitencjarny jako oświecony plan masowej migracji, wymyślonej przez wielkoduszną starszyznę, w którym koszmar zdarza się tylko sporadycznie, nigdy jednak bez powodu, i w którym ludzie są raczej dobrzy niż źli. Ten świat nie był wynikiem stworzenia, na dobre czy na złe, w którym ludzie ciągle na nowo się wymyślają, ale systemem, w którym każdy miał przydzieloną niegodną, lecz niezbędną rolę, jak tłok czy taśma w maszynie parowej, którą szkocki tkacz kiedyś zniszczył na próżno.

Żłopałem na większą chwałę maszyn i systemów, a w głowie kręciło mi się od bezczelnego tupetu tych wszystkich fałszowanych raportów, listów i poleceń, niesugerujących bynajmniej potworności czy szaleństw, które stały mi się tak dobrze znane, których część stanowiłem.

Wypiłem za zupełną nieobecność tego rodzaju rzeczy, wypięm za włączenie tych wszystkich nowych wspañałych kłamstw. I wtedy zabrakło mi pretekstów, za które mógłbym wypić, więc kończyłem, pijąc prosto z butelki, aż poczułem się niewyraźnie. Ogarnęło mnie poczucie winy i zacząłem się martwić, że świat Jorgensena może być piekłem, które wypełniło oczy i usta niszczyciela maszyn, zanim usiadł na nim Capois Death.

Następnie – a jest to dla mnie tak haniebne, że mogę opisywać siebie jedynie w trzeciej osobie – Billy Gould poczuł pilną potrzebę zwymiotowania. Nie chodzi o to, że w pojęciu Billy'ego Goulda wymiotowanie było czymś złym, bo Doktor wyjaśnił mu, że w ten sposób ciało pozbywa się niechcianych płynów i humorów; zapobiega to także koszarowi nietrzeźwości i wzdęcia następnego dnia.

W istocie, żeby przyspieszyć to terapeutyczne czyszczenie organizmu, które, w co nie wątpię, znalazłoby aprobatę pastora Gottliebsena, Billy Gould włożył nawet dwa palce do gardła. Poruszał nimi w przód i w tył, póki nie poczuł, jak podnosi się w piersi, wypełnia krtań, a następnie wyrywa się z jego ust jak strumień, który przerwał groblę, wśród pomidorów i marchewek, których nigdy nie jadłem, straszliwa świadomość, że wszystko, co przeczytałem, to było po prostu wyobrażenie Komendanta o racjonalnym społeczeństwie jako o więzieniu, o czym nie śmiała marzyć nawet panna Anne w Europie, a ten twór finalny, pod wieloma względami być może jego najbardziej monstrualne, choć niezamierzone osiągnięcie, przewyższał Wielki Salon Madżonga i linię Narodowej Kolei Żelaznej w nieświadomej, ale groteskowej rewerencji dla Starego Świata.

Trudno było osiągnąć taki stopień świadomości, a równocześnie paprać stopy i chlapać ubranie – to za dużo, mówiąc absolutnie szczerze – ale Billy Gould zaczęłby wtedy od razu czyścić cały ten bałagan częściowo strawionej Europy, gdyby nie uświadomił sobie jeszcze jednej rzeczy, znacznie gorszej od tamtej pierwszej.

Spadło to na niego jak najcięższy, najbardziej nieznośny ciężar, uderzający w czubek głowy, kiedy wycierał usta wierzchem dłoni: w całej tej uniwersalnej historii wszystko, co widział i poznał, czego był świadkiem, co przecierpiał, przepadło teraz i straciło znaczenie jak sen, który rozplywa się przy przebudzeniu. Jeśli wolność, jak utrzymywał Capois Death, noszący duchy przeszłości w butelce po piolunówce, istnieje tylko w przestrzeni pamięci, to i on, i wszyscy, których znał, są skazani na wieczne uwięzienie.

## VII

Mój umysł opanował obezwładniający koszmar, którego nie da się opisać słowami. Gargulcowe twarze zdawały się gromadzić przy oknach wysoko w górze; błagały o coś, co uśmierzyłoby ich niekończące się cierpienia, zapomniane, nieopisane. Miałem wrażenie, że te straszne, obdarte ze skóry czaszki wysuwały się do przodu i cofały – z wystającymi czerwonymi kośćmi, jakby obgryzionymi przez psy – jakby chciały, żebym naprawił przeszłość, co całkowicie przekraczało moje możliwości.

Czytałem i czytałem, a przeszłość nadal pozostawała niepomszczona i niezauważona. Jak mógłbym przerobić ją tak jak wszystko inne? Z wpatrzonych we mnie, oskarżycielskich oczodołów czaszek szkockiego tkacza, Ryczącego Toma Tkacza, skradzionej czaszki Towtereha, ze zmiążdżonej czaszki jego wnuka wypęły karaluchy. Pchły wylatywały z potłuczonych kości nosa. Czaszki zaczęły ociekać cuchnącymi łzami z ropy i krwi, które przenikały przez szkło i rozlewały się po mnie. Przerazony tarłem nerwowo ramiona, ręce, głowę, jakbym w ten sposób mógł się ich pozbyć. „Nie! – krzychałem. – Nie! Proszę zostawić mnie w spokoju!”. Ale te groźne cienie nie odchodziły, błagając mnie o coś, co było niemożliwe. Ja, pokryty odłazącym gnijącym ciałem, czujący, jak pełzają po mnie wszystkie robaki, które kiedyś pełzały po ciele białej na pal martwej czarnej kobiety, ja, śmierdzący pełnią rozkładu, wszystkimi chorobami i wszystkimi nawrotami, widziałem wcielenie świata mijającego mnie w całej swojej zgrozie i w całej krasie, jak więc mogłem powiedzieć, że obie były nie do uniknięcia?

Jestem tylko czytelnikiem; starałem się przekonać owe cienie. Ale nie słuchały, nie mogły słuchać, nigdy nie będą słuchać, zdawały się zainteresowane jedynie tym, by uczynić mnie narzędziem zemsty.

I wtedy Billy Gould poczuł się nie tylko lekko niedysponowany, ale wręcz bardzo chory.

Bo świat nie istniał już, żeby stać się księgą. Teraz istniała księga z obsceniczną ambicją, by stać się światem.

## VIII

Osunąłem się na podłogę. Leżałem tak przez jakiś czas niby chińska latarnia bez światła, zwinięty i płaski, z głową tonącą w niedowierzaniu i zaskoczeniu. Czy to właśnie pewnego dnia ludzie będą pamiętać jako swoją przeszłość?

Dokładnie wtedy usłyszałem dziwny, przenikliwy gwizd. Przerażony odwróciłem się gwałtownie, zakrywając równocześnie głowę rękami w geście obrony.

Przedemną w świetle księżyca stał na dwóch tylnych nogach niewielki, wyleniały pies i gwizdał. Umilkł, opadł na swoją jedyną przednią nogę i popatrzył do góry przez moje ramię. Zanim zdążyłem się z powrotem odwrócić, zanim usłyszałem jego słowa, wiedziałem, kto znalazł się za mną.

– Jesteś fałszerzem, Gould – powiedział, a jego słowa ślizgały się i pochylały jak jego charakter pisma.

Odwróciłem się i zobaczyłem, jak uśmiecha się do mnie akurat on, Jorgen Jorgensen. Przez chwilę myślałem, że stoi na krześle albo na półce z książkami, wydawał się tak wysoko. Pochylił się nade mną, spychając mnie tym samym w cień; wyglądał jak półka na książki, która zaraz się przewróci. Bardzo powoli, nie mając odwagi oderwać wzroku od jego oczu, wstałem.

Jorgen Jorgensen był, jak wszystko w Rejestrze, monochromatyczny i zimny. Jego szarą skórę przecinały białe linie przybierające rozmaite formy: linia białej piany łamiąca krzywe usta, długie kosmyki białych włosów zwisających pod dziwnymi kątami z przechylonej głowy jak przerwane nitki pajęczyny.

– Skazany – mówił, rozkoszując się tym słowem – na cierpienie mąk przez całą wieczność.

Jorgen Jorgensen nie był dobrym Bogiem: przede wszystkim nie miał brody, jedynie te nędzne wąsy z połową wczorajszej zupy zwisającą w zastygłych kroplach rosy. Poza tym cuchnął psującymi się wnętrznościami, a Bóg, który jest wszystkim, tak naprawdę wcale nie jest, bo w takim razie byłby każdym okropnym smrodem na świecie, tak samo jak żonkilami, miłością, wschodami słońca itd. Jednak odnosiło się wrażenie, że Jorgensen chce grać właśnie rolę Boga, bo stworzywszy świat na nowo, zdawał się teraz zdeterminowany, by wygłosić kilka oświadczeń przy bramie do niebios; a pierwsze z nich głosiło, że muszę umrzeć.

Odkąd ksiądz z przytułku powiedział mi, że tylko miłość boża sprawiła, że tak bardzo zapragnął masować moje stopy, doszedłem do wniosku, że nawet zaakceptowanie czegoś jako woli bożej nie oznacza, że musi nam się to podobać. Można, na przykład, zgodzić się, że pada deszcz, bo taka jest wola boża, ale nie znaczy to, że chce się nadal stać na deszczu. I tak dalej. I choć godziłem się z argumentacją Jorgensena, że moja nędzna skóra naprawdę nie zasługuje na nic innego jak najmniejsza śmierć, to nie zgadzałem się z tym, że mam umrzeć tu i teraz. Toteż kiedy nagle rzucił się na mnie z siłą i zręcznością zupełnie nieproporcjonalną do jego nędznego ciała i wieku, wyciągnął z pochwy zardzewiałą szablę i skierował prosto na moje serce, odskoczyłem na bok, przewracając przy okazji świecę.

Świeca zgasła, a ja pobiegłem się schować za regał, jednak stary Duńczyk znał ten labirynt książek lepiej niż szczur swoje gniazdo. Jeszcze nim dotarł do mnie zapach rozkładającej się wątroby, poczułem zimne, płaskie dotknięcie szabli na szyi.

– Jak Adam z Brescii Dantego – zasyczał – który sfałszował florenckiego florena, twoje ciało wydmie się jak mandolina od tortury opuchlizny w ciemności śmierdzącego, ósmego kręgu Malebolge w Hadesie.

W miarę jak jego język stawał się coraz barwniejszy, bezzębne usta wypełniała pienista ślina, jakby wszystkie przymiotniki napowietrzały pianę zbierającą się wokół warg. Mocniej przycisnął bok szabli do mojej szyi i zacząłem się dławić. Drżałem w sposób tak niekontrolowany, że regał, o który się opierałem, również zaczął się trząść. Na nierównej podłodze prymitywny regał kołysał się niezręcznie; wyczuwałem całym ciałem, że jego równowaga była bardzo niepewna.

Stary Duńczyk przyparł mnie do półek, przekazując własną wizję mojego przyszłego piekła nie tylko zwykłymi słowami, ale także towarzyszącą im zaślinioną pianą, której drobinki lądowały na mojej twarzy.

– Będzie cię gnębiło pragnienie i straszne choroby – prysnął. – Będziesz jednym z nieskończonej procesji złamanych nieboszczyków, kolejny okaleczony cień, skazany na życie w przyprawiającym o mdłości smrodzie gnijącego ciała... wy wszyscy fałszerze, pokryci ohydnyimi strupami i nawzajem swoim odpadającym ciałem.

Przy tych słowach mocno pchnął szablę. Pod brzegiem jej zardzewiałego ostrza w poprzek mojej szyi pojawiła się cieniutka, przerywana krwawa linia. Kiedy pchnął szablę jeszcze mocniej, jedna z moich oślizgłych od wymiocin stóp omsknęła się do tyłu. Niezdolny do utrzymania równowagi kontynuowałem ślizg, tyłkiem uderzyłem w ten niestabilny regał, a jego ciężar ustąpił chwilowej możliwości obrotu. Pomyślałem o kręgach Dwupensowej Sal, o jej unoszącym się tyłku, choć niesłuszne byłoby przypisywanie czemukolwiek, co wówczas zrobiłem, dumnego określenia „myśl”.



Z całą siłą, jaka mi jeszcze pozostała, pchałem zadek mocno jak cholera w tę chwiejną konstrukcję regału.

Skorpion książkowy musiał coś usłyszeć – może krótkie skrzypnięcie drewna, a może głuchy stuk jednego tomu wpadającego na drugi w efekcie domina – bo nagle spojrzął do góry. Nie wiem, czy zobaczył chwiejący się regał, ale wszystko wydarzyło się tak szybko, że wydawało się jedną czynnością, nie trzema. A więc spojrzął do góry, cofnął się trochę i potknął o własne stopy. Tracąc równowagę, przewrócił się w tym samym momencie, w którym książki zaczęły spadać na podłogę.

Ostatni raz widziałem go, jak bezskutecznie próbował parować szablą atak olbrzymich tomów, które leciały teraz na niego ciężkie jak głazy, wszechobecne jak deszcz, przerażające jak lawina. Kiedy te książki spadły na Jorgena Jorgensena, słyszałem, jak skrzeczał, że nic już się nie trzyma, nawet książki.

Ale potem nic już nie słyszałem, bo znalazłem się w głębi jaskini spadających książek, zadkiem do góry, głową w dół, wykorzystując resztki siły, by przesunąć regał trochę wyżej na plecy. Znajdowałem się blisko podstawy mebla, co powinno oznaczać, że spadające książki i półki nie leciały na dużą odległość, mogły więc raczej lekko mnie uderzyć niż poważnie zranić. Ale nagle jedna z wyższych półek zaczęła się szaleńczo i gwałtownie wyginać w moją stronę.

Nigdy nie poczułem jej uderzenia.

Bo podpierałem spadałem spadałem nie wiedząc czy będę mógł dłużej żyć pod wielkim ciężarem tyłu słów.

## IX

Słyszałem odgłosy porannego apelu, kurczaki szukające pożywienia, radosne pokrzykiwania mordercy Castlereagha. A jednak wszystko wokół mnie było pogrążone w ciemności. Jak długo pozostawałem w tych ciemnościach, nie mam pojęcia. Umysł miałem zamglony i tak ociężały, że na moment wpadłem w panikę, przekonany, że moja głowa, odcięta, ale nadal przytomna, kołysze się w beczce wysyłanej do Anglii.

Kiedy poczułem księgę rozpostartą na twarzy, ciężkie rogi okładek innych tomów uwierające w żebra i brzuch, tors spowity poważnym ciężarem nieotwartych ksiąg, zrozumiałem, że nadal muszę stanowić jedność z moją głową. Czułem zapach pergaminu, welinu, cierpkiego potu, rozkładających się nerek Jorgensena. W dole pleców po lewej stronie umiejscowił się tępy, silny ból; sądziłem, że to róg regału opierający się na mnie. Gdzieś w dali wykrzykiwano nazwiska i odpowiedzi. Słyszałem głucho pobrzękiwania łańcuchów, kiedy skute grupy skazańców wyruszały do pracy. Przekleństwa drwali, powarkiwanie konstabli.

Zdawało się jednak, że nikt ani nie usłyszał, ani nie zauważył, kiedy kichnąłem kilkanaście razy z powodu nieznośnego kurzu otaczających mnie papierów.

Zastanowiłem się nad sytuacją.

Słyszałem. Czułem zapachy. Ale nic nie widziałem.

Olbrzymi ciężar materii nieożywionej, która zdawała się tak ważna dla Jorgensena, po prostu mnie oślepił i musiałem się spod niego wyzwolić. Obawiałem się go, bałem się sposobu, w jaki mnie zabije, jeśli nie znajdę drogi ucieczki. Czułem, że w każdej chwili mogę zacząć krzyczeć w sposób zupełnie niekontrolowany z powodu poczucia przeklętego zamknięcia i ciasnoty.

Nawet gorzej niż poszarpana barania skóra te książki naśladowały każde moje poruszenie, kpiły ze mnie, starały się przytłoczyć mnie jeszcze bardziej skutecznie, kiedy wiłem się we wszystkie strony. Z dużym trudem ześlizgiwałem się i pchałem, aż wyczołgałem się tyłem z tych ciemności.

Było mi niedobrze, kręciło mi się w głowie. Nad przewróconym regałem unosił się ten szczególny, słodki zapach żywicy ze świeżego drewna połamanych i rozrzuconych półek. Udało mi się wstać.

I wtedy na końcu regału dostrzegłem czarną kałużę. Podeszedłem do niej krokiem chwiejnym, potykając się o serty książek i połamanego drewna. Kałużę tworzyła zastygła krew, posypana kurzem i poprzecinana kosmykami włosów prowadzących pod olbrzymią księgą.

Odciągnąłem księgę.

Jedno oko starego Duńczyka zwisało z zakrwawionego oczodołu, wypchnięte uderzeniem rogu jakiejś okładki albo skrajem półki. Wiekowy, zniszczony tom nadział się częściowo na jego szablę; przy bliższym sprawdzeniu okazało się, że to *Historia naturalna* Pliniusza. Zastanawiałem się, czy on rzeczywiście nie żyje, czy po prostu znalazł się w stanie łaski jak święta Krystyna Dziwna, która wydawała się martwa, ale wyfrunęła z trumny aż pod krokwie dachu w połowie mszy żałobnej. Jednak w tym, co widziałem, nie było niczego ze stanu łaski. Pchnąłem nogą ciało, a potem głowę starego Duńczyka, kopnąłem kilka razy, ale ciało już sztywniało.

Przyglądałem mu się dłuższy czas.

Nie wiem, jak długo.

Po długim, a może po krótkim czasie, po wieczności czy po kilku sekundach przeszukałem jego kieszenie. Zaczęło się to jak nieistotny remanent śmieci, przyniosło jednak kilka pożytecznych przedmiotów – dwa złamane pióra, jeden szczyryk, trochę ciemnego chleba w dobrym gatunku, pieczonego dla oficerów, a więc bez trocin i błota; okulary (jedno szkło potłuczone) i złotą obrączkę. Znalazłem też dwanaście dolarów bengalskich wszytych w kołnierz żakietu; później miały się okazać nieocenione.

W pomarszczonych fałdach jego szyi zdawało się pulsować intensywne niebieskie światło. Stary Gould nauczył mnie, że niebieski to kolor kobiecy, najdroższy z pigmentów, którym wielcy malarze renesansu zdobili mankiety Najświętszej Paniienki, że nazwa ultramaryna wywodzi się stąd, że trzeba było barwnik ten importować z Bliskiego Wschodu – zza morza.

Ja jednak musiałem pokonać znacznie mniejszy dystans. Wystarczyło jedynie wyciągnąć rękę, wyszarpać ten naszyjnik z lapis lazuli z fałdów jego szyi i tego samego dnia rozkruszyć ów jaskrawoniebieski kamień, żeby otrzymać proszek na ultramarynowy atrament, którym teraz piszę tę opowieść o śmierci, tak jak należy. Niebieski mówi o poranku, niebie, o morzu. Ale, jak nauczyły mnie ryby i przeplatające się barwy, w każdym kolorze zawiera się jego przeciwieństwo, więc niebieski jest także kolorem smutku, niepokoju i lubieżności. A w ten gorący letni poranek naprzeciwko mnie leżały zwłoki, powoli nabierające tego samego przekłętego koloru, pokryte rosnącą liczbą much. Jeśli szybko się ich nie pozbędę, będę zamieszany w drugie morderstwo.

Śmierć to taka prosta sprawa, a jednak, jak mnie nauczyło łajno Castlereagha, może mieć nieprzewidziane konsekwencje, których zdecydowanie chciałem uniknąć. Zaciągnąłem ciało niegdysiejszego króla Islandii do kolistego biurka, odkopałem na bok pustą butelkę po sznapsie, otworzyłem zaimprovizowaną klapę i pchnąłem zwłoki przez kałużę wymiotowanej Europy, aż spadły do mojego świata poniżej.

Był to postępek głupi, ale skoro już to zrobiłem, nie było odwrotu. Teraz przy odpływie ukrywam ciało za drzwiami celi wraz z kawałkami drewna z częściowo zapadniętego sufitu. Przyływ sprawia, że razem dryfujemy po wodzie.

Pod tak wieloma względami zwłoki stanowią negatywny obraz żywego człowieka; odkryłem jednak, że pod wieloma względami przewyższają człowieka, który zamieszkiwał kiedyś to wiotczące ciało. Podczas gdy Jorgen Jorgensen próbował nagiąć świat do swoich pragnień, jego ciało – Król – uwolnione od subordynacji tego typu, co maska Komendanta, która odpadła wraz z resztą skóry – stanowi prawdziwy wzór zachodniej akceptacji. Podczas gdy Jorgen Jorgensen pragnął powiedzieć potomności, co myśli, Król zadowala się przyswajaniem prostoty moich dywagacji.

Dużo można by mówić o późniejszym towarzystwie Króla, który, jak wspominałem, zjawiał się, by wypełnić moją pustkę i którego nauczyłem się podziwiać. Na przykład bez niego i bez jego zachęty nigdy nie zrobiłbym takich postępów z obecną *Księżą ryb*. Nigdy nie krytykował moich wysiłków, nie pomniejszał moich ambicji, nie atakował ubóstwa stylu. Była to postawa dobrodusznego zaniechania, mocno wierzę, że moje piarstwo bardzo na tym zyskało.

Początkowo jednak zmętniałe oczy, zapadnięte policzki i ciągle rosnące paznokcie sprawiały, że zwłoki Jorgena Jorgensena były – muszę to przyznać – niepokojące. Później, kiedy napęczniał od gazów śmierci, a ciało szerniało, następnie zzieleniało i zrobiło się oślizgłe, kiedy skóra zaczęła odchodzić od jego nowego słoniowatego kształtu w cuchnących, tłustych strzępach, śmierdzący balon jego zwłok zderzał się ze mną, gdy obaj unosiliśmy się na wodzie.

Próbowałem go odepchnąć drżącymi rękami, zde gustowany, a moje ręce, jakby w wyniku magii, przechodziły przez jego mocno opuchnięte, gnijące ciało, aż dotknęły ostatniej twardej części Króla: jego kości, kości nóg czy rąk, kości żeber czy czaszki. Przypominam sobie ostatnie słowa Króla do mnie tamtej nocy w Rejestrze – o cierpieniach wynikających z puchliny wodnej, jakim będę poddany jako fałszerz w moim dantejskim piekle; i oto pływało wokół mnie ciało prawdziwego fałszerza, a jego ostatnim królestwem stała się moja cela, teraz krąg jego piekła.

## X

Następną noc powróciłem do Rejestru. Minął niezwykle upalny dzień i nawet późnym wieczorem pomieszczenie było duszne, powietrze gęste i lepkie. Wszystko było tak, jak zostawiłem: przewrócony regał, połamane półki, księgi rozrzucone i rozpostarte w dziwnych, nierównych stosach. Rejestru – jako domeny starego Duńczyka – jeszcze nikt nie odwiedził, nikt nie ośmielił się wejść tu w ciągu dnia. I nikt tego nie robi, uświadomiłem sobie, póki jego nieobecność nie zostanie dostrzeżona, co może potrwać wiele dni. Podniosłem księgę, która wcześniej leżała na twarzy starego Duńczyka – róg okładki był zakrwawiony w miejscu, które wydłubało jego oko – żeby zobaczyć, co i czy uda mi się tam znaleźć na temat niezamierzonego zabójstwa.

Był to duży, elegancki tom in folio, wydany bardzo niedawno. Na okładce złotymi gotyckimi literami wytłoczono tytuł:

## *CRANIA TASMANIAE*

Sir Cosmo Wheeler

Otworzyłem książkę i przeczytałem dedykację:

*Tobiaszowi Lempriere*

*Od kolegi – szeregowca nauki*

*Cosmo Wheelera, Kawalera Orderu Łaźni*

W środku znajdowało się wiele wycinków z uczonych pism, wszystkie wylewne. W jednym chwalono *Crania Tasmaniae* jako *magnum opus* Wheelera, w innym ogłoszono go brytyjskim Blumenbachem, zauważając, że:

podczas gdy wielki pruski kranioetra Johann Friedrich Blumenbach ustalił ponad wszelką wątpliwość istnienie rasy europejskiej, którą nazwał „kaukaską”, odrębnej od czterech pozostałych ras; jego teoria o wyższości rasy kaukaskiej nad wszystkimi innymi – aż do brzemiennej w skutki publikacji *Crania Tasmaniae* – była jednak raczej śmiałym teutońskim twierdzeniem niż udowodnionym faktem naukowym.

Uzupełnieniem czaszki Blumenbacha z regionu Kaukazu, której kształt i forma reprezentuje jego zdaniem najbardziej wysublimowane cechy rasy ludzkiej i która skłoniła go do nazwania rasy europejskiej mianem „kaukaska” właśnie na cześć owej czaszki, jest negroidalna czaszka z Ziemi van Diemena zaprezentowana przez sir Cosmo Wheelera, znana jedynie jako MH-36, w której zdegenerowane i...



Kompletne zdumienie spowodowało, że wycinek wypadł z moich spoconych palców na podłogę. Pod nim w książce była recenzja stwierdzająca:

Słonność do nadmiernych ekscesów zwierzęcej namiętności typu seksualnego, pobudliwość, najlepiej widać w sposobie, w jaki ta dekadencja energia w ciągu całego życia opróżnia większą niż zwykle przestrzeń po obu stronach czaszki (powodując opóźnienie reszty cerebralnego wzrostu) pomiędzy wyrostkami sutkowatymi, tuż między uchem a podstawą kości potylicy. Sir Cosmo Wheeler prawidłowo opisuje MH-36 jako posiadającą „amatywne wgłębienia Wielkiego Południowego Łądu, nieproporcjonalnie wielkie ciemne luki oczekujące dalszych naukowych badań”.

Wydaje się to okrutną ironią, kiedy zastanawiam się nad smutnym losem penisa Doktora. Ostatnia recenzja, jaką przeczytałem przed odrzuceniem całości, prezentowała bardzo zdecydowane opinie, że:

należy się przyrzeć nie tylko ohydnyemu znieprawieniu, owczemu ustawieniu i ogólnie regresywnemu kształtowi czaszki MH-36, żeby zrozumieć, dlaczego Crania Tasmaniae jest jednym z wielkich naukowych osiągnięć tego stulecia.

Wheeler udowadnia ponad wszelką wątpliwość, że tasmański Murzyn należy do zupełnie odrębnego gatunku, może bardziej jeszcze barbarzyńskiego niż New Hollanders, zbliżonego do zwykłego zwierzęcia.

Oznaki umysłowej niższości i rasowej degeneracji są widoczne wszędzie w skażonych cechach czaszkowych, tak wspaniale zilustrowanych w książce. Zdają się świadczyć na korzyść coraz bardziej rozpowszechnionej naukowej teorii, że tak nędzne, nawet jeśli fascynujące, okazy musiały być stworzone odrębnie od Europejczyków.

Nie wywodzą się więc z Ogrodów Edenu, ale spoza nich, ze wszystkimi duchowymi, moralnymi i użytkowymi konsekwencjami, jakie wnosi to w nowoczesne ludzkie problemy.

Kartkowałem książkę, rozdzierając kciukiem nierozcięte jeszcze strony. Było tam wiele skomplikowanych sztychów czaszek tubylców z Ziemi van Diemena, doskonale narysowanych. Jednak najstaranniej wykonano kilka stron poświęconych wyłącznie rozmaitym fragmentom owej jakże istotnej czaszki MH-36. Na tych rysunkach czaszkę powielano bez końca, oglądano z góry, z dołu, z boków. Takie pełne rewerencji traktowanie przypomniało mi świętego Agapita; co najmniej pięć jego doskonale zachowanych czaszek czci się na całym włoskim półwyspie.

Książce towarzyszyły dwa listy, obydwa zaadresowane do pana Lempriere'a. Pierwszy, z nietkniętą pieczęcią Towarzystwa Królewskiego, informował pana Lempriere'a, że w uznaniu jego pracowitości i wytrwałości w zbieraniu okazów historii naturalnej Towarzystwo postanowiło nagrodzić go pochwałą i wyróżnieniem.

Drugi list był osobistym listem od sir Cosmo Wheelera, w którym ten wielki frenolog naszego stulecia zapewniał swego drogiego przyjaciela, że intensywnie walczył w Towarzystwie o przyznanie mu członkostwa. Powiedział kolegom, jak podstawowe znaczenie miała kolekcja czaszek; a w szczególności czaszka oznaczona symbolem MH-36, która zdecydowanie potwierdziła dłuгоletnie przekonania sir Cosmo. Wyraźniej niż jakakolwiek czaszka, którą zdarzyło mu się badać, to szczególne *cranium* demonstuje moralny niedostatek, ograniczone możliwości i regresyjny charakter tasmańskiej czarnej rasy, co w końcu doprowadzi do jej destrukcji, bez względu na przybycie cywilizowanych i postępowych Europejczyków.

Niestety jednak musi donieść, że dobra praca, tak jak piękne słowa czy masło bez pietruszki, tak jego propozycje dotyczące przyjęcia Lempriere'a przegrały z bardziej powszechną wolą Towarzystwa. Niemniej, kontynuował sir Cosmo, pochwała od instytucji o takim prestiżu nie zasługuje na lekceważenie i posłuży niewątpliwie jako istotny szczebel w osiągnięciu ostatecznie członkostwa.

A tymczasem – czy nie myślał o tym, żeby kolekcjonować jajka? Bowdler-Sharpe robił to raczej beznadziejnie, a sir Cosmo rozważał studium porównawcze jajek ze Starego i Nowego Świata i zastanawiał się, czy Tobiasz nie zechciałby wziąć udziału w tym wielkim kolektywnym przedsięwzięciu.

## XI

Czułem, że powoli się duszę, jakby spadały i przyciskały mnie stronice wielkości kamienic, jakbym był jedynie kwiatkiem do zasuszenia i zachowania dzięki spłaszczeniu; jakby księga wielka jak niebiosy owijała się wokół mojej skromnej postaci i wkrótce miała się zamknąć na zawsze.

Życie ludzi nie jest postępem, jak to się konwencjonalnie przedstawia na historycznych obrazach, nie jest też serią faktów, które można wyliczyć i zrozumieć w odpowiednim porządku. Jest raczej serią transformacji, czasem błyskawicznych i szokujących, czasem tak powolnych, że niedostrzegalnych, a jednak tak kompletnych i przerażających, że pod koniec życia człowiek może na próżno szperać w pamięci, by odnaleźć chwilę, gdy on sam jako starzec odpowiadał sobie samemu w młodości.

Nie potrafię powiedzieć, kiedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że długotrwały pobyt na Wyspie Sary był w istocie niezwykle powolnym procesem metamorfozy. Kiedy próbowałem nieśmiało wyrwać się z ciemności *Crania Tasmaniae* i znajdujących się w niej listów, jak mogłem zgadnąć, że wkrótce odrodzę się zupełnie nowy i inny? Że proces malowania ryb był tak bolesny i żmudny nie dlatego, że ryby umierały, a ja nie mogłem sprostać ich formie, ale dlatego, że po to, by moja forma mogła zacząć się zmieniać, ja też musiałem umrzeć? Skąd mogłem wiedzieć, że przez cały ten długi czas moje obrazy przekształcały właśnie mnie; że tworzę pędzlem nie tyle pewną liczbę obrazów, co przędę z niezliczonych nici moich malunków pojedynczy kokon?

I skąd mogłem wiedzieć, kiedy rzucałem na ziemię ten list, próbując w końcu opuścić swoją poczwarkę, że moja rozpaczliwa misja ucieczki właśnie miała się zacząć?



# GRZEBIENIASTY KLINEK

*W którym opowiada się o najbardziej śmiałej i odważnej  
ucieczce – Wózek udaremnionej pamięci – Brady, anioł  
pomsty – Powrót Capois Deatha – Zaatakowany przez  
czarnych – Morderstwo – Stos pogrzebowy*

## I

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo. Ze starym Duńczykiem na początku było tak samo jak z Bogiem – wszystkie rzeczy były zrobione przez niego, a bez niego nie było zrobione nic z tego, co było zrobione.

Ale wtedy Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami jako część naszej ciemności i nie obejmowało naszej ciemności, bo jej ciało było cuchnące i oślizgłe – zielone, rozdęte, gnijące szmaty unoszące się jak odpady wokół mojej celi. Kiedy próbowałem utrzymać głowę ponad tym śluzem, który co noc wyrastał wokół mnie, uniknąć uczucia, że zatapiam się na zawsze w pierwotnym Słowie, najświętszym pragnieniem mojego życia stało się ujawnienie tego, że Słowo i Świat nie były już tym, czym się wydawały, że już nie tworzyły Jedności.

W dzień Nowego Roku 1831 byłem zdecydowany dotrzymać niedawno podjętego postanowienia, by odejść – jednak moje ambicje znacznie przekraczały zwykłą ucieczkę: miałem zamiar raz na zawsze zniszczyć system więzienny. Broń, która pomoże mi w osiągnięciu tego celu, to duży wybór materiałów archiwalnych, wykradzonych z Rejestru.



Grupa Rolo Palmy, zarzucająca sieci rybackie, zgodziła się przerzucić mnie wraz z papierami na drugą stronę zatoki pod osłoną ciemności. Zapewniłem ich w zamian, że ani oni sami, ani żadne władze już nigdy nie zobaczą ich więziennych kartotek, dałem sześć dolarów bengalskich i egzemplarz bardzo cenionej, choć trochę podniszczonej, częściowo nawet uszkodzonej książki wydanej w 1628 roku w Rotterdamie. Był to pierwszy angielski przekład Philemona Hollanda *Historii naturalnej* Pliniusza Starszego, pełen opowieści o dziwnych rasach – o Tybianach z dwiema źrenicami w jednym oku, a obrazem konia w drugim; o Monokolach, którzy skaczą z zadziwiającą szybkością na swojej jedynej nodze, a żeby w upalny dzień zasłonić się przed słońcem, kładą się i unoszą nogę jak parasol; o Astomach, którzy nie mają ani ust, ani nosów, tylko otwory zamiast nozdrzy jak wąż, a żywią się zapachami.

W kolonii panowało wielkie poruszenie: niewyjaśnione zniknięcie starego Duńczyka, plotki o rychłym nadejściu Matta Brady i Armii Światła, odosobnienie Komendanta – wszystko to sprawiło, że ludzie biegali w tę i z powrotem bez wyraźnego powodu. W takim nerwowym chaosie ucieczka nie była szczególnie trudna i nie będę się tu zajmował jej nudną historią. Musiałbym bowiem wyjaśniać wszystkie szczegóły – moje pierwsze nocne spotkanie z Rolo Palmą, nów księżycy dający dosyć, acz nie za dużo światła, sprzyjająca fala przyptywu, mąka, peklowana wieprzowina, siekiera i garnek, buty, wózek i sposób, w jaki to wszystko kupiłem wraz z moją wolnością – detale nigdy mnie nie interesowały. W każdym razie nie była to sprawa odwagi i śmiałości, jak to się często zdarza, raczej przekupstwa i odpowiedniej pory.

Wspominając ostatnie spotkanie ze mną, grupa zarzucająca sieci mówiła później o rejestrach więźniów, księgach korespondencji, różnych archiwaliach, dokumentach i rękopisach wyłaniających się z szarości wstającego dnia jako wybrzuszenie wyglądające jak szałas na wózku z sasafrasem.

Ludzie Rolo Palmy pociągnęli swoimi ledwo oheblowanymi wiosłami i poczuli, jak łódź wielorybnicza powoli ożywa wraz z ich rytmem. Początkowo było to ledwo drgnięcie, ale potem już niewątpliwy ślizg po czarnej i milczącej wodzie w drodze powrotnej na Wyspę Sary.

Tym chłodnym letnim świtem ludzie chcieli się ogrzać swoją pracą; słyszałem ich głosy przepływające z kępkami mgły nad spokojną wodą do miejsca, skąd próbowałem pociągnąć wózek w głąsę, jeszcze ciemną i wilgotną od rosy – obdarty mężczyzna przywiązany do swojego ciężaru uprzężą ze skóry kangura.

– Wygląda świetnie – słyszałem słowa Rolo Palmy – jak modliszka próbująca pociągnąć cegłę.

Po czym wzeszło słońce i musieli sobie uświadomić, że szalas, podobnie jak ich wielorybnicza łódź, ożył i także zaczął się ruszać, bo słyszałem ich okrzyk zdumienia, że zniknął – połknięty przez zielony ogrom, który rozciągał się setki mil na wschód, a byli tam tylko czarni, dzikie zwierzęta i jeszcze dziksze rzeki, Bóg jeden wie, jakie jeszcze potworne rasy i stworzenia, a także uciekający szalencie skazani na zapomnienie.

## II

Trzeba zrozumieć, że Billy Gould przypisywał archiwom moc, którą potrafią docenić – co nie oznacza, że pojąć w pełni – jedynie ci, którzy zbyt długo zanurzają się w papierach. Niepokoiłem się, że jeśli czegoś nie zrobię, to pewnego dnia po kolonii pozostaną jedynie kłamstwa, które teraz ciągnąłem za sobą, a potomność będzie sądziła wszystkich, którzy wcześniej odeszli – Capois Deatha, pana Lempriere'a, Komendanta, nawet nieszczęsnego Castlereagha – będzie sądziła ich i mnie, nas wszystkich, przez konstrukcję potwornej fikcji Komendanta. Jakby to była prawda! Jakby historia i słowo pisane pozostawały w przyjaźni, jakby nie były wrogo do siebie nastawione!

Wiedziałem, że był tylko jeden człowiek, który będzie wiedział, co zrobić.

Matt Brady dla nas wszystkich stanowił zagadkę, ale w ciemności mojej cuchnącej celi, kiedy stary duński skryba powoli rozkładał się wokół mnie, Brady stał się dla mnie światłem przewodnim. Żadna ze znanych mi osób nigdy go nie widziała, toteż opowieści o jego fizycznym wyglądzie bardzo się różniły. Byłem jednak przekonany, że jeśli się spotkamy, rozpoznam go natychmiast. Niektórzy twierdzili, że jest wysoki i smagły, z maoryskim tatuażem na jednym policzku; inni utrzymywali, że jest w połowie Samończykiem, co tłumaczyłoby jego wojownicze skłonności; jeszcze inni mówili, że jest niski, piegowaty, a rude włosy wiąże w dwa długie końskie ogony. Dla Szkotów był Williamem Wallace'em, dla Irlandczyków Cuchulainnem, a dla wszystkich bohaterem.

Jedynie dla mnie Brady był tym, który mógłby pomścić Historię.

Moje pragnienia, czego pewnie zdążyliście się domyślić, były różnorodne, ale powinienem być wiedzieć, że również nie nadawały się do realizacji. Zamierzałem najpierw sparaliżować kolonię, pozbawiając ją bazy administracyjnej, archiwalnych zapisów jej wymyślonej historii, niezbędnej fikcji, dzięki której utrzymywano rzeczywistość wyspy-więzienia. Postanowiłem, że następnie odnajdę Brady'ego i oddam mu owe archiwa. Działiałem bowiem pod wpływem złudzenia jeszcze potworniejszego niż mój sasafrasowy wózek prymitywnie oheblowanych nadziei – przekonany, że kiedy Brady będzie miał zarówno oficjalne, fikcyjne kartoteki, jak i moje prawdziwe świadectwo jako materiał korygujący, będzie mógł zorganizować swoją zemstę, gdy przybędzie wyzwalać Wyspę Sary.

Brady postawi przed boską sprawiedliwością szczury, które donoszą, i więziennych konstabli, którzy sprzedawali kumpli za dogodny przydział, bo wszyscy oni opisani są w kartotekach starego Duńczyka jako bohaterowie, jako wartościowi i godni szacunku skazańcy. Brady wyzwoli pozostałych, a skazaniec bez kartoteki pozostanie człowiekiem wolnym, bo teraz nie ulegało już dla mnie wątpliwości, że zniewalały nas właśnie te fałszywe słowa. Kto potrafi bez nich powiedzieć, który człowiek jest wolny, a który nie? Po uwolnieniu więźniowie będą mogli podróżować w dowolne miejsca, nazywać się wolnymi ludźmi, a w braku kartotek, kiedy przestaną żyć w więzieniu papieru, nikt nie potrafi udowodnić, że nie są wolni. A później Brady będzie rozpowszechniał prawdziwe sprawozdanie, które zdemaskuje koszmar tej kolonii, pokazując, jaka naprawdę była, jak kłamały oficjalne dokumenty, wszystkie oficjalne dokumenty, a robiąc to, zasieje wzdłuż i wszerz Ziemi van Diemena ducha buntu.

Tak więc, wreszcie mając narzędzie do osiągnięcia chwalebnego celu, powoli zagłębiałem się w nieznane z moim dziwnym ciężarem, a cały czas towarzyszyła mi wizja mojego zbawcy Brady'ego.

Jednak nawet bez wózka tak bezczelnych ambicji moja podróż była niedorzeczna. Kraina przemocy nie istniała na mapie, a miejsce pobytu Brady'ego w tej głuszy o powierzchni Anglii było nieznane. Teren, gęsto porośnięty pierwotnymi drzewami i paprociami, miejscami był wręcz nie do przebycia. Wznosił się wielkimi dzikimi falami gór, opadał ostrymi kataraktami, białymi błyskami granitu.

Podróż stała się niewyobrażalną torturą. Kiedy ciągnąłem sanie zawiedzionej pamięci przez śnieg, deszcz ze śniegiem, przeprowiałem się przez kolejny wąwóz czy trawiastą równinę, przez wiele łańcuchów górskich i tyleż samo wezbranych rzek, nigdy, nawet w chwilach największej rozpacz, największych cierpień fizycznych, nie dopuszczałem myśli, że nie znajdę Brady'ego, ponieważ Brady, kiedy go już znajdę, zrozumie to wszystko. Brady będzie wiedział to, czego ja nie wiedziałem. Brady powie mi, jak można ten świat odwrócić do góry nogami i ponownie wyprostować, jaki był kiedyś i jaki powinien być.

### III

Wszedł w jaskrawy krąg światła mojego ogniska wczesnym wieczorem. Pełne strupów, obolałe ciało było wychudzone i wynędzniałe; był właściwie nagi, jedynie na głowie miał kapelusz z trawy. W prawej ręce trzymał poobtłukiwany, bezkształtny dzbanek z ceramiki, na tyłku miał znak „S”, wielki jak dwie pomarszczone i splecione podkowy.

Urządziłem sobie gniazdo pod skalną półką z łuszczącego się łupku i w równym stopniu zaskoczyła mnie jego desperacka odwaga, co – przynajmniej w pierwszej chwili – zastanowiła tożsamość. Zacisnąłem rękę na siekierze. Kiedy jednak wystąpił ze swoją śmiałą propozycją, nie było wątpliwości, że nikt inny w takiej sytuacji nie próbowałby obrócić swojej słabości na własną korzyść.

– Gdybyś podzielił się jedzeniem – powiedział Capois Death – pomógłbym dźwigać twój ciężar.

Dałem mu trochę peklowanej wieprzowiny. Obserwowałem, jak żuł ją jedną stroną szczęki jak pies, i domyśliłem się, że reszta zębów wypadła. Zapytałem, dlaczego uciekł; w końcu miał uprzywilejowaną pozycję, dużo lepszą niż ktokolwiek inny na wyspie.

Nie przestając żuć, Capois Death zdjął kapelusz z trawy i z czubka głowy odlepił pomięty i brudny skrawek papieru. Składano go i rozkładano tyle razy, że zagięcia stały się rozdarciami, były to więc właściwie cztery odrębne kawałki papieru.

Drogi Cap,

byłeś zawsze moim jednym i jedynym byłeś wszystkim  
jak słodko jak dobrze nigdy nie zapomnę jak kochałem  
twój krzywy uśmiech twoje kędzierzawe włosy jak  
zawsze cię kochałem na zawsze twój kochany

Tommy

Oddałem list Capois Deathowi.



Po powieszeniu Ryczącego Toma Tkacza ostatniej zimy, powiedział, serce mu pękło. Początkowo zamierzał się zabić, ale po jakimś czasie postanowił uciec najbliższego lata. Zbiegi w sześciuosobowej grupie przed kilkoma tygodniami; rozdzielili się, kiedy wyczerpali zapasy jedzenia. Jeden kumpel utonął, przepływając się przez rzekę, inny wrócił do obozu wypalaczy lip, żeby się poddać. Capois Death zwyciężył tasmańskiego diabła w walce o padlinę wombata, ale to było przed tygodniem, a od tamtej pory nic.

– Tak – powiedział, choć nie miałem pojęcia, na co odpowiada. Odkorkował dzbanek, który niósł, nadal napełniony płynem koloru moczu, kiedyś zwanym Łotrowską Zupą; jego umysł, uświadomiłem sobie teraz, był przyćmiony. Wyciągnął oślizgłe źdźbło trawy i opowiedział, jak wkrótce po przybyciu na Wyspę Sary był świadkiem przesłuchania więźnia przyłapanego na ucieczce.

Skazaniec – pasztetnik z Birmingham – ukrywał się i uciekał przez kilka tygodni wraz z trzema nadal niezłapanymi uciekinierami. Z braku pożywienia w tym trudnym środowisku zjadł swoich towarzyszy, jak przypuszczano, bezskutecznie próbując przedrzeć się przez dzikie góry z zachodu na zasiedlony wschód, nim w końcu jako zagłodzona ruina wrócił do kolonii i poddał się.

Oświadczywszy, że zmęczyło go takie życie, przyznał się do kanibalizmu, jednak nie uwierzono mu, póki nie pochwalił się mokasynami z ludzkiej skóry. Jednak znacznie ciekawsze od wyznawania nieprawości było to, czego pasztetnik dowiedział się o nieznannej transylwańskiej głuszy; Musha Pug nalegał, by opisał prawdziwy charakter krainy, przez którą podróżował.

Zdesperowany pasztetnik pochylił się do przodu i poprosił Komendanta o pozwolenie, wziął kartkę papieru od Jorgena Jorgensena, który sporządzał protokół tego przesłuchania. Gwałtownym ruchem więzień zgniótł kartkę w brzydką kulę.

– Sir – powiedział spokojnie – Transylwania wygląda tak. – I cisnął pognieciony papier do swoich stóp.

Ze względu na tę odrobinę jedzenia, jaka mi jeszcze została, Capois Death wędrował teraz ze mną po tym pogniecionym labiryncie wodospadów, lasów deszczowych, wąwozów i warstw piaskowca, które przekształcały się przed naszymi oczami w coś, co nie dawało się opisać słowami.

Zmierzaliśmy do Frenchman's Cap, wielkiego masywu Transylwanii. Widoczny zewsząd z odległości stu mil wyraźny kształt złamanego półksiężyca, oglądany z tak daleka przez więzionych na Wyspie Sary, kojarzył się z francuską czapką frygijską; właśnie tam, jak miałem powody przypuszczać (powody oparte na ciągłych pogłoskach i pewnych sekretnych listach od gubernatora do Komendanta, jakie znalazłem), mieścił się obóz Brady'ego.

Zmierzaliśmy do Frenchman's Cap, ale nie byliśmy pierwsi. Trafialiśmy na ogniska biwakowe, w których czasami walały się kości biodra czy przedramienia. Trafiliśmy raz na korzenie drzewa splecione ze skutym kajdanami szkieletem bezimiennego uciekiniera.

Staliśmy bez ruchu, nasłuchując nie wiadomo czego.

– Co chcesz robić? – spytał Capois Death, drapiąc duży, jakby rozzłoszczony strup, który utworzył się na wypalanej na przedramieniu śmiejącej się masce.

Kuśtykaliśmy dalej. Skończyła się peklowana wieprzowina. Księgi zwilgotniały, stawały się omszałe, gromadziły się na nich owady i zakwitało życie roślinne. Strup na przedramieniu Capois Deatha zrobił się septyczny: Capois poruszał się wolniej, a umysł miał rozgorączkowany. Skończyła się nam herbata. W jakiś sposób straciliśmy siekiere, choć podejrzewam, że Capois Death mógł ją wyrzucić w obawie, by któryś z nas nie uległ pokusie posłużenia się nią tak jak pasztetnik. Skończyła się też mąka. W głębokiej dolinie rzeki natknęliśmy się na uschnięte białe drzewo eukaliptusowe, w obwodzie miało szerokość kilkunastu mężczyzn. Na pniu w prostej linii przybite było coś, co wyglądało z daleka na kawałki kory. Rozgorączkowany Capois Death uważał, że to zwielokrotnione oczy niszczyciela maszyn, wpatrujące się w niego, zdecydowane się zemścić, nie chciał więc podejść bliżej. Ale nie było to nic takiego: przekonałem się, że kawałki kory to dwanaście par zeschniętych czarnych uszu.

Później zeszlśmy z wystającej skały na wielką równinę porośniętą wysoką trawą w kolorze miedzi, z niewielkimi kwiatkami i świeżymi odrostami. Zobaczyliśmy, że przez tę równinę przemierza się w naszym kierunku nieregularne migotanie; po pewnym czasie rozpoznaliśmy, że to dwóch czarnych tubylców.

Żaden się nie wystraszył, kiedy uciekliśmy się do starej sztuczki z kijami, które przyłożyliśmy do ramion, udając, że to muszkiety. Nie było sensu uciekać, mieliśmy nawet nadzieję, że mogą się okazać przyjaźni i podzielą się z nami kangurem, którego zauważyliśmy na ramieniu jednego z mężczyzn.

Ale kiedy podeszli bliżej, stało się jasne, że niczym się nie podzielą. Jeden mężczyzna był wysoki i jakby sparszywiawy, drugi zaś niższy, bardziej przysadzisty. Widzieliśmy, że byli źli. Nie zauważyliśmy dzid, które ciągnęli po ziemi, trzymając je palcami u nóg.

– *Numminer? Numminer?* – dopytywali, a ja, głupi biały człowiek, przekonany, że mają na myśli białego, związanego ze wszystkimi koszmarami, na jakie biali ludzie narazili czarnych, powiedziałem: – Nie, nie jestem *numminer*.

Capois Death, sprytny czarny mężczyzna, przekonany, że słowem *numminer* określają ducha i że potrafi odegrać straszdyło wobec tak prostych dusz, wyprostował się i całą siłą woli powstrzymywał gwałtowne dreszcze, żeby się nie zorientowali, jak bardzo jest w rzeczywistości słaby i chory.

Głosem tak mocnym, na jaki jeszcze było go stać, oświadczył:

– Tak, ja *numminer*; ja cholerny wielki *numminer*.

## IV

Capois Death przed swoją żalną śmiercią miał zobaczyć całą smutną historię własnego życia przewijającą się od końca. Wszystkie zmienne koleje losu na Wyspie Sary, niszczyciela maszyn, Chrabąszcza, sukcesy w pubie w mieście Hobart, pobyt w Liverpoolu, oglądał w głębi dzbanka z piołunówką.

Podniósł głowę i zobaczył, jak płynie z powrotem na statek niewolników i oddaje się w niewolę po upokarzającym akcie z białym mężczyzną; obserwował z rosnącym smutkiem, jak stopniowo zanika jego gorące pragnienie wolności, podczas gdy Francuzi ze śmiechem wyciągają gwoździe z drewnianych epoletów, tak dziwacznie przyczepionych do ramion czarnego generała Maurepas.

Maurepas patrzył na rozbawionych Francuzów, drżąc z niezrozumienia, podczas gdy jego żona z dziećmi wracała z morza, a psy wymiotowały szczątkami ludzkimi, które zmieniały się w pełnych ludzi, gdy brutalne stłumienie buntu niewolników przekształciło się w krótkotrwałą wolność, a w końcu po raz kolejny w niekończące się poddaństwo.

Capois Death czuł, jak niepoahamowana wściekłość i determinacja ucieczki od zniewolenia maleją niczym gasnący płomień świecy. W miarę jak tracił siłę mężczyzny i wcielał się w coraz słabsze ciało dziecka, po prostu zaakceptował świat nieustannej pracy, niekończącej się brutalności, bezsensownej przemocy zarówno ze strony panów, jak i towarzyszy, jako normalny sposób życia, tutaj, tam i wszędzie indziej. Jedyne smak gwajawy wykradzonej z jego ust i zaszczerpionej z powrotem na drzewie ratował tamten długi czas, który dobiegł wreszcie końca, kiedy czarny nadzorca wywlókl do przodu szlochającą czarną kobietę.

Biała kobieta z wielką siłą nalegała, by pchnąć Capois Deatha, teraz niemowlaka, do krzyczącej kobiety, której krzyki prawie natychmiast ucichły, kiedy przez krótką chwilę przytrzymała jeszcze mokre i zakrwawione dziecko przy piersi, potem przykucnęła na zakurzonym dziedzińcu pod drzewem gwajawy i pozwoliła Capois Deathowi w końcu powrócić do jedyneo okresu pogody, której nigdy nie zaznał, i wejść, nogami do przodu, w jej ogrom, przez dziką, poszarpaną, krwawą jaskinię otwarcia.

Właśnie w tym ostatnim momencie, nim ciemność zagarnęła go na zawsze, Capois Death odwrócił się i zobaczył swoje odbicie w lustrze coraz bardziej pustej butelki z piółonówką, w której czas się zatrzymał, kręcąc się wstecz, a teraz gwałtownie nawijał się do przodu. Jednak Capois nie przejmował się swoją przyszłością, zachował obojętność wobec objawienia własnego losu, z którego wynikało, że on i ja wyskakujemy z uprząży wózka i próbujemy uciekać od czarnych i od dwóch dzid, wchodzących w i przechodzących przez jego rozgorączkowany tors.

Capois Death odwrócił się, wziął głęboki oddech, powoli wstał, zrobił zaledwie trzy powolne kroki, oddalając się od butelki, która cofała się i wybiegała do przodu w czasie, i wtedy poczuł pierwszą dzidę jak cios kilofa. Zauważył, że się ślania, i wtedy nastąpił drugi cios, jeszcze silniejszy od pierwszego. Obrócił się niczym kos nadziany na szpikulec i niezdarnie opadł na kolana. Kiedy próbował się odczołgać, poczuł, że tłuką go maczugami, że język zaczyna odpływać, słowa zlewają się ze sobą i nic nie ma sensu, powraca zapach gwajawy, a Tommy mówi chodź ze mną daleko daleko tommy! tommy! zimno zimno i...

Uciekając, spojrzałem przez ramię i zobaczyłem, że czarni biją maczugami Capois Deatha. Robili wrażenie, jakby chcieli połamać mu kości we wszystkich kończynach. Zobaczyłem, jak podnosi powoli jedną rękę, dziwnym i niewystarczającym gestem. Może żegnał się z kimś lub z czymś. Bili go po głowie, rzucali się na niego ze wszystkich sił. Ukryty w gąszczu drzew herbacianych patrzyłem, jak odchodzą, zostawiając go w agonii.

Kiedy następnego ranka bardzo ostrożnie powróciłem po wózek, zastałem go w stanie nienaruszonym, czego nie dało się powiedzieć o zwłokach Capois Deatha. Trzewia zwieszały się z zapadniętego brzucha jak grube kiełbaski, widać było też inne wnętrzości barwy zakrzepłej krwi w miejscach, gdzie nocą zaczęły się pożywiać tasmańskie diabły i tygrysy.

Zamglone oczy nadal wpatrywały się w opróżnioną, stłuczoną butelkę duchów, która stała obok jego głowy. Wokół fragmentów butelki rozrzucone były zawarte w niej historie: połowa pierścionka z granatem, jakieś kamyczki, wodorosty, trzy małe muszelki – pobrzeżka i maleńkie małże, stłuczona muszla przegrzebka. Był jak Zupa Łotrowska obrabowana z piółunu. Był krwią ptaka bez ciała, które można by nią wysmarować i kazać mu latać. Był historią.

Moimi biednymi rękami malarza i zgniłymi patykami, które co chwila się łamały, zacząłem kopać grób w nędznym żwirku, tworzącym pod bujną trawą wilgotną pustynię. Po jakimś czasie poddałem się, całkowicie wyczerpany; udało mi się ledwie wykopać płyciutkie wgłębienie. Wciągnąłem tam zwłoki Capois Deatha i odszedłem, nie odwracając się uciekając pragnąc chcąc żeby życie było inne.

Czas mijał.

Zacząłem majaczyć.



Czas nie upływał. Moje wizje i widzenie stały się jednym i tym samym. Czas zataczał koło. Ciągnąłem sanie kłamstw, zwanych historią, przez głuszę. Czas śmiał się. Czekałem na śmierć, która nigdy się nie zdarzy, w celi kolonii karnej Wyspy Sary. Czas kpił! Kaleczył! Ranił! Łamał! Pisałem książkę w innym czasie, próbując zrozumieć, dlaczego nie ma słów na to, co się wydarzyło.

Żadnych.

Niczego.

Pólnagi, wyniszczony, rozpocząłem ostateczną część marszu, wejście na Frenchman's Cap. Codziennie wycinałem kolejny pasek kamizelki z kangurzej skóry i żułem go, żeby się odżywić. Obliczyłem, że z kamizelki da się wyciąć dwadzieścia pasów. Mogłem posłużyć się powolnym znikaniem odzieży jako kalendarzem, a tymczasem moje zęby zaczęły się ruszać w zboląłych dziąsłach, a potem wypadać.

Znacznie później w stosunkowo zacisznym miejscu, osłoniętym ogromną granitową skałą, mniej więcej w połowie zachodniego grzbietu, spotkałem najbardziej nieoczekiwaną grupkę znajomych twarzy, skupionych przy ognisku mimo deszczu. Ostatni pasek kamizelki zjadłem przed dwoma dniami.

## V

Były tam trzy małe dziewczynki i młody chłopiec, ich wątłe ciała niemal zupełnie nagie; kilka wygłodniałych, nędznych psów i bosonoga kobieta, w której rozpoznałem jedną z kobiet Komendanta, zwaną przez niego Mulatką, przez Robinsona Kleopatrá, którą więźniowie i ja nazywaliśmy Dwupensową Sal. Łamała konary, by dołożyć do ognia. Dla niektórych – nie, właściwie dla wszystkich – nie byłby to szczególnie ujmujący widok, ale dla mnie, który nie widziałem bratniej ludzkiej istoty zdawało się od wieków, byli oni niewyobrażalnie piękni.

Dwupensową Sal miała na sobie starą czarną spódnicę bawełnianą, zgrzebny, wełniany żółty zakiet więzienny i czerwoną trykotową czapkę. Na plecach, w torbie ze skóry walabii, niosła niemowlę; jak przypuszczałem, było ono bliźniakiem tego, którego małeńką czaszkę Dwupensowa Sal zwyczajem swojego plemienia przywiązała do ubrania, co oznaczało, że jeszcze je oplakuje. Dziecko miało jaśniejszy odcień skóry niż jej pozostałe dzieci, a oczy niebieskie. Uświadomiłem sobie, że to może być moje dziecko. Zresztą niewykluczone, że jeśli urodziło się jakieś moje dziecko, Dwupensowa Sal mogła je zabić. Czarny mężczyzna odwrócony do mnie tyłem wkładał do ognia trzy poturu, żeby się upiekły. Początkowo nawet nie zadał sobie trudu, żeby się odwrócić, kiedy zawołałem go po imieniu.

Kiedy jednak Tracker Marks w końcu podniósł głowę, doznałem szoku. Nie był to już elegancki silny mężczyzna, którego spotkałem na Wyspie Sary przed kilkoma miesiącami. Był teraz nie tyle wyniszczony, co wręcz skurczony; niegdyś wytworna kasztanowa kamizelka, teraz zatłuszczona i czarna, zwisała na nim tak ciężko jak kiedyś na mnie żelazne okowy, cienka koszula w niebieskie paski brudna i porozdzierana, strzępy ciemnych moleskinowych spodni wisiały wokół chudych piszczeli.

Wyglądał groteskowo. Twarz miał okaleczoną, a kiedy podszedł bliżej, nie ulegało wątpliwości, że obcięto mu uszy i nos. W miejscu tych organów pozostały jedynie nie do końca zagojone kawały ciała, czerwone i zaognione. Na całej zmaltretowanej twarzy niby liczne i okrutne mięsożerne żuki zobaczyłem wymowne syfilityczne wrzody. Tracker Marks, którego zawsze chciałem namalować pod postacią dandysowatego grzebieniastego klinka, teraz przypominał jedynie zwinięte, wiotkie i cuchnące kawałki mięsa, w jakie przekształcała się ryba po kilkudniowym pobycie w domku pana Lempriere'a.

Nie mogłem przestać mu się przyglądać. I wtedy Tracker Marks zrobił coś, czego nie mógłbym przewidzieć, nawet gdybym do tego akurat miejsca przewędrował tysiące mil przez setki głuszy.

Wyciągnął rękę.

W moją stronę.

Grzbietem palców dotknął mojego policzka i warg.

## VI

Oderwał rękę od mojej twarzy, a ja usiadłem na ziemi przy ognisku. Kiedy futro poturu zaczęło się palić i syczeć, Tracker Marks za pomocą gestów i miejscowego dialektu zwanego *dementung*, częściowo będącego językiem czarnych tubylców, a częściowo białych złoczyńców, powiedział, że spodziewali się mnie już od jakiegoś czasu, od wielu dni bowiem widzieli i lokalizowali dym z moich ognisk, w miarę jak wdrapywałem się powoli na zbocza gór.

Dwupensowa Sal zapaliła fajkę i po paru pyknięciach podała mi ją. Był w niej jakiś miejscowy tytoń, mocny, tłusty i odświeżający. Przekazałem fajkę Trackerowi Markswi, który zaciągnął się raz, zaczął kichać i kaszleć – kaszel wydawał się niedobry, głęboki – a potem opowiedział, jak postanowił porzucić Wyspę Sary, żeby polować na kangury. Po kilku dniach drogi dotarł do ujścia rzeki, które biali nazywają Pieman Heads. Tutaj natknął się na grupę żołnierzy, których wysłano, by go odnaleźli i poprosili o pomoc w odszukaniu sławetnego trapera Matthew Brady'ego.

W tym miejscu Tracker Marks przerwał opowieść, żeby zdjąć z ognia osmalone poturu. Wypatroszył je zręcznie ostrym kamieniem i znowu włożył do ognia, chwilę pokasłał i kontynuował historię:

Żołnierze zaproponowali mu złoto, a także grunty w pobliżu Jericho, gdzie Tracker mógłby założyć własną farmę. Przez kilka kolejnych tygodni przemierzali Transylwanię wzdłuż i wszerz. Tracker pokazywał im skały Brady, stawy Brady, ryby Brady, przeprowadzał ich przez szybkie kaskady głębokich górskich potoków Brady, kazał im stać na zimnym wietrze Brady, a potem oni mieli go dosyć, obcięli mu nos i uszy, przy czym jedno z kawałkiem policzka; jeszcze później nieźle go stłukli i zapowiedzieli, że jeśli natkną się na niego jeszcze raz, zastrzelą go jak bezczelnego szopa za to, że tak długo odwoził ich od ofiary.

Wysłuchawszy tej historii, poczułem dreszcz ekscytacji. Duszę rozgrzało mi tak niespodziewane towarzystwo, a umysł zdawał się dziwnie jasny po tytoniu. Niemal jak rewelacja spadła na mnie pewność, że moja podróż zmierza do wspaniałego końca. Tracker, choć najwyraźniej wiedział, gdzie biwakuje Brady, zręcznie unikał zaprowadzenia tam żołnierzy. Teraz zaprowadzi mnie.

## VII

Świat nabrał szarości, kiedy wielkie chmury, ciężkie i czarne, zasłoniły niemal całe światło, przyspieszając zapadnięcie nocy. Niemal natychmiast, zgodnie z perwersją charakteryzującą tutejsze lato, zaczął padać deszcz ze śniegiem.

Mokry śnieg syczał z pogardą w ognisku, Tracker Marks wyjął upieczone zwierzęta i pociął je na kawałki, rozdając wszystkim. On sam nie jadł, nawet kiedy Dwupensowa Sal rozłupała kość biodrową upieczonego poturu i przytknęła mu do ust, błagając, by wysał szpik dla nabrania sił, a kiedy odmówił, natarła mu szpikiem policzki i czoło, jakby w ten sposób mógł zdobyć siłę.

Kiedy po posiłku zapytałem Trackera, gdzie jest Brady, odpowiedział, że Brady to skały, stawy, ryby...

Mogłem ubolewać, że nie tylko ciało Trackera Marksa, ale również jego umysł zdawał się popadać w ruinę. Ale prawdę mówiąc, czułem przede wszystkim ogromne znużenie po nagłym i niespodziewanym posiłku złożonym z torbaczy; miałem lekkie mdłości, ale czułem się dziwnie nasycony. Przysunąłem się bliżej ognia, póki Dwupensowa Sal nie zawołała, żebym dołączył do nich w przypominającym jaskinię wgłębieniu w skałach, dokąd się wszyscy schronili.

Kiedy znalazłem się pod nawisem skalnym, Tracker Marks dał znak, że będę spał z nimi. Przed nami płonęło ognisko, psy zwinęły się w naszych głowach i nogach, jego dzieci przytuliły się do mnie z jednej strony, Dwupensowa Sal z drugiej, a sam Tracker Marks ułożył się przy jej drugim boku.

Ta bliskość była dla mnie nieoczekiwana i – szczerze mówiąc – trochę niestosowna, ale skoro nikomu innemu nie wydawała się w najmniejszym stopniu dziwna, przewróciłem się na bok i zorientowałem się, że wtulam nos w tę, którą Komendant nazywał Mulatką, Robinson Kleopatrá, więźniowie znali ją pod imieniem Dwupensowej Sal, a ja z nagłym poczuciem wstydu uświadomiłem sobie, że nigdy nawet nie próbowałem się dowiedzieć, jak brzmi jej imię w jej ojczystym języku aborygenów.

Jak dziecko, miałem mgliste przekonanie, że moja niewiedza jest nieokreślonym, ale najprawdziwszym grzechem, strasznym, nie do opowiedzenia, który jednak został wybaczony. Zasnąłem. We śnie moje mięśnie i kości powoli się rozgrzewały i rozluźniały i po raz pierwszy od wielu, wielu dni poczułem się bezpieczny.

## VIII

Kiedy się obudziłem, była noc, ciemności rozpraszało jedynie ognisko. Choć wcześniej zdawało się skazane na wygaśnięcie w wilgoci i chłodzie, teraz buzowało i płonęło, wielkie szalone płomienie sięgały na wysokość trzech jardów i zajmowały na ziemi powierzchnię koła o promieniu co najmniej tyłuż jardów, wypełniając naszą jaskinię pulsowaniem żółtego światła.

Obok mnie nie było Trackera Marksa, Dwupensowej Sal, dzieci ani psów – wszyscy zniknęli. Do moich nozdrzy dotarł zadymiony, a jednak znajomy zapach, który przypomniał mi tę szczególną stęchliznę, jaką poczułem, kiedy pierwszy raz wszedłem do Rejestru.

Po przeciwległej stronie ogniska zobaczyłem Dwupensową Sal tańczącą z dziećmi. Porzuciła europejskie ubranie i prócz pomalowanego czerwona ochrą paska ze ścięgien i skóry kangura, owiniętego wielokrotnie wokół talii, do którego teraz przyczepiona była mała czaszka, nie miała na sobie niczego, jeśli nie liczyć czerwonej ochry rozsmarowanej na twarzy i włosach łonowych; te ostatnie wyglądały jak zardzewiałe opiłki żelazne przyciągnięte przez magnes jej narządów płciowych. Włosy posmarowała gęstą pomadą z czerwonej ochry i tłuszczu, a ułożone były w zazębające się łuski, jak u ryby. Dzieci były równie nagie i podobnie ozdobione.

Kiedy szedłem do nich wokół ogniska, poczułem, że coś spada mi na ramię, a potem na ziemię. Zatrzymałem się, odwróciłem i popatrzyłem w dół. Za mną leżała żarząca się czarna dłoń, zakończona dymiącym kikutem przedramienia.





## SŁODKOWODNA LANGUSTA

*Król Kanut – Autodafe na antypodach – Odejście  
Dwupensowej Sal – Metamorfoza – Palenisko z czaszkami –  
Pieśń Salomona – Chatka ul – Cena czytania – Zjedzenie  
dziennika Brady'ego – Świat horroru, nieskończoność miłości  
– Clucas prowadzi – Jego perfidia wynagrodzona*

### I

Z poczuciem nadchodzącego horroru zatrzymałem się, odwróciłem i spojrzałem do góry. Początkowo nie chciałem uwierzyć w to, czego byłem świadkiem. Myślałem, że była to niezgodność wzroku i umysłu, że brałem nieskończenie płynną formę płomieni za coś innego. Im dłużej się wpatrywałem, tym większą miałem pewność, że nie może być mowy o pomyłce.

Bo pośrodku ognia stało kurczące się, płonące, ciemne polano, podparte ze wszystkich stron palącymi się gałęziami. Tym ciemnym polanem był czarny król Kanut, szczęśliwy na tym tronie, podczas gdy żółto-niebieska fala płomieni wokół unosiła się coraz wyżej. Mrugnąłem raz i drugi, ale nie mogło być mowy o pomyłce: królem Kanutem był Tracker Marks, już nieżyjący, a to była jego kremacja.

Czarny dandys, którego charczący kaszel ucichł już na zawsze w roztańczonym sercu ognia, spalał się w coś zupełnie nierozpoznawalnego. Czerwone płomienie owijały się wokół jego talii niby przypochlebne dłonie, pieściły tors, pragnęły podbródka. Ramię zakończone łokciem strzelało iskrami. Otwór uszny płonął miękkim żółtym płomieniem niby świeca woskowa.

Usłyszałem skomlenie i zobaczyłem, jak jeden z wynędzniałych psów próbuje zbiec z ręką Trackera, która najpierw spadła na mnie, a potem na ziemię. Na dłoni wylądowała stopa; rozpoznałem tę stopę i stwierdziłem z zadowoleniem, że stopa nie płonęła, była żywa i należała do Dwupensowej Sal, która pochyliła się, wyszarpnęła dymiącą jeszcze dłoń z pyska psa, wymierzyła psu kopniaka i niezdarnym gestem wrzuciła dłoń z powrotem do ognia.

Jeśli czytelnik przypuszcza, że w tym momencie Billy Gould krzyknął czy zapiszczał, to bardzo się myli. Jeśli sądzi, że Billy Gould śmiało skoczył w ogień, wyciągnął ciało Trackera i następnie pochował jak należy, po chrześcijańsku, to myli się jeszcze bardziej.

Po pierwsze, mogłem jedynie nadal stać nieruchomo. Po drugie, nigdy nie należałem do tych, którzy mówią ludziom, w jaki sposób mają żyć, a zważywszy na moje doświadczenia, nie było nierozsądne objęcie tą zasadą także śmierci. Już dwukrotnie zająłem się zwłokami – jedne przekształciły się z łąjna w system naukowy, a drugie stały się oślizgłym mędrcom. Nabrałem pewności, że nic dobrego, w sensie naukowym czy duchowym, nie wynika z kombinowania z trupami. A poza tym odniosłem wrażenie, że Tracker wygląda na szczęśliwego tam na szczycie swojego ogniska, jak błyszcząca gwiazda betlejemska na szczycie choinki w Boże Narodzenie. Nie było to ani piękne, ani brzydkie. Nie było ani słuszne, ani niesłuszne. Miałem nadzieję, że pewnego dnia Castlereagh będzie wydzieliał podobny odór.

Zdałem sobie sprawę, że Dwupensowa Sal patrzy na mnie. Czulem na twarzy gorąco od ognia, widziałem, jak płomień rysują tańczące liście czerwonego światła i czarnego cienia na jej ciele, na twarzy, na czarnych oczach mokrych od łez. Z niewielkiego koszyczka z kangurzej skóry, który wisiał na pasku z kangurzego ścięgna owiniętym wokół jej talii, wyjęła grudkę czerwonej ochry i skruszyła ją na proszek na mojej dłoni, potem wymieszała ze śliną do konsystencji pasty, powtarzając słowa *ballewinny, ballewinny, ballewinny*, przy czym cały czas płakała; jej twarz wykrzywiła się i drżała w migoczącym świetle, nie przestawała mi się przyglądać, a ja tylko od czasu do czasu spuszczałem wzrok, by popatrzeć na mieszanie rozrobionej śliną czerwonej ochry, zbyt zażenowany, by zrobić cokolwiek innego, nawet kiedy zbliżyła umazany w czerwonej farbie palec do mojej twarzy i zaczęła rysować na niej znaki.

Wcierając ochrę, wpatrywała się we mnie, jakbym był dawno utraconym przyjacielem, jakbym był jej mężczyzną, bratem, ojcem, jej synami, wszystkimi, którzy poprzedzili Trackera Marksa, a dla których rozmażywała ochrę na swojej twarzy i węgiel na swoim ciele na znak żałoby, kiedy jeden za drugim ginęli z zimna, ospy, syfa, strzałów z muszkietu; jakby łączyło nas coś, co wykraczało poza nasze ciała, naszą historię, naszą przyszłość; jakby znacząc mnie czerwoną ochrą miała sprawić, że również będę coś o tym wszystkim wiedział.

Ale w ruchomych światłach i cieniach od ogniska, ze znakami życia i śmierci na twarzy i tajemnymi misteriami, o których opowiadały, czułem jedynie, że nic nie wiem.

Czarna kobieta odwróciła się, wzięła duży konar i zaczęła tłuc nim mocno w płonącą głowę Trackera Marksa, aż rozbiła czaszkę i wystawiła na pastwę ognia idealnie zachowany mózg. Następnie sprawdziła za pomocą konara całe ciało, poszturchując, podnosząc, popychając; pełna determinacji, by dopilnować odpowiedniego spopielenia Trackera.

Kiedy zaczęła śpiewać, dzieci dołączyły do niej. One śpiewały razem, a ona oktawę wyżej i tworzyli harmonię tak idealną, że nawet nie rozumiejąc słów, czułem się głęboko poruszony.

Właśnie w tym momencie, kiedy próbowałem się pozbyć frustracji z powodu niezrozumienia ani słowa z tego, co śpiewała, choć równocześnie ogarniało mnie podejrzenie, że w istocie rozumiem wszystko zbyt dobrze; ta kobieta o wielu imionach, do której nie wiedziałem, jak się zwracać, odwróciła się w drugą stronę, zaczęła wydzierać stronicę z książki i wrzucać je do ognia.

Podniosłem wzrok i zorientowałem się, że głowa Trackera, skierowana na północ, była obsypana kartkami rejestru skazanych, ksiąg korespondencji, sprawozdań i zleceń, wspólnie teraz zredukowanych do roli paliwa stosu pogrzebowego, do wybuchania płomieniem, wznoszenia się i przepływania obok radośnie zwęglającej się twarzy Trackera; powiewające kartki oświetlało przez chwilę światło z ucha Trackera, nim rozplynęły się w ciemności jako płatki rozkładającego się węgla.

Kiedy Dwupensową Sal przeszła na tę stronę ogniska, która znajdowała się bliżej mnie, zobaczyłem, że nie przerywając tańca, przez cały czas dorzuca do ognia kartki, które z wielkim zapalem wrywała z rejestrów.

Rejestry!

Rejestry, które wlokłem za sobą przez tyle dni z tak wielkim poświęceniem! Rejestry, dzięki którym Brady mógłby nas wyzwolić! Rejestry, które zabiły Jorgena Jorgensena, dla których ja ryzykowałem życie, a Capois Death mimo woli je oddał...

Rzuciłem się i wyrwałem jej księgę, którą darła i rzucała w płomienie, zdecydowany walczyć o to, by ocalić choćby jeden tom z tego maniakalnego autodafe na antypodach, ale ku mojemu zdumieniu niespodziewany atak nie spotkał się z najmniejszym oporem. Poddawa się.

Kiedy próbowałem rozprostować nadpalone brzegi ksiąg, zauważyłem niektóre słowa oświetlone płomieniami.-. W blasku ognia czytałem zdania, które nie miały najmniejszego sensu – o kupowaniu krzesel jako próżnym akcie zadośćuczynienia za niesprecyzowane, ale bardzo realne grzechy. Potem płomień przeskoczył ze strony na moją rękę, a stronica, już wyrwana z tomu, wpadła do ogniska. Podniosłem wzrok na Dwupensową Sal, ale ona nadal patrzyła w dół, na księgę, w której przeczytałem wówczas to, co stało się jej początkiem. Na częściowo wyrwanej stronie pierwsze czytelne słowa brzmiały: „... bo jestem William Buelow Gould, pijany tarniówką, zielonooki, z niepełnym uzębieniem, brudnymi włosami, kiepskimi kiszkami, zamierzam malować obrazy ryb i uchwycić na nich jeszcze jedną duszę taką jak moja”...

Miałem poczucie jakiegoś niejasnego, wypaczonego rozpoznania. Przewróciłem kilka kolejnych stron; były tam obrazki ryb i proza, która tu i tam łatwo dawała się rozpoznać jako moje dzieło, ale miejscami była humorystyczną brednią, choć niepozabawioną ciekawych, czasami niepokojących zbieżności z rzeczywistością na Wyspie Sary.

Jednak dopiero kiedy mój wzrok zatrzymał się na kilku liniijkach na dole strony, na początku tomu, doznałem czegoś w rodzaju paniki.

„William Buelow Gould – czytałem – urodził się obdarzony pamięcią, której nie tłumaczyło ani doświadczenie, ani historia. Spędzał cały czas, starając się wymyślić coś, co nie istniało, powodowany interesującym przekonaniem, że jego wyobrażenia może stać się jego doświadczeniem, a tym samym zarówno wytłumaczyć, jak i wyleczyć problem niepocieszanej pamięci”.

Postanowiwszy nie czytać więcej podobnych fantazji, podarłem tę obraźliwą stronę i rzuciłem w ogień, poczułem jednak, że oddycham coraz płycej i szybciej; po plecach płynęła drażniąca strużka potu, a kiszki tańczyły wodnistą gigę.

Dwupensowa Sal otarła łyżę z policzka i pokazała, że przeciwniegi kraniec stosu wymaga więcej paliwa. Rozwścieczył mnie jej zupełny brak zainteresowania moimi odczuciami, postanowiłem też, że nie przeczytam już ani słowa i że spróbuję zdecydowanie wymazać tę chwilę z mojego życia.

Podejmę na nowo poszukiwanie Brady'ego, który powie mi, że wszystko, czego teraz jestem świadkiem, to zwykłe delirium człowieka zagubionego i umierającego z głodu w dzikich lasach Transylwanii. Ale to się na nic nie zdawało – Billy Gould nie mógł się pozbyć coraz silniejszego podejrzenia, że dostał się w pułapkę książki jako postać, której przyszłość, tak samo jak przeszłość, została już napisana, zdeterminowana, przewidziana, równie niezmienna, jak nieznośna. Jaki inny wybór mu pozostawał, prócz zniszczenia książki?



Bardzo energicznie wyrwałem jeszcze z tuzin kolejnych stron i rzuciłem je w ogień, ale ciąg powietrza uniósł je do góry i odrzucił z powrotem prosto w twarz. Odrywając częściowo spaloną kartkę od własnego nosa, nie mogłem się oprzeć, by nie przeczytać: „Na ziemi za mną leżała żarząca się czarna dłoń, zakończona dymiącym kikutem przedramienia”. Gwałtownym ruchem zgmiotłem kartkę i wrzuciłem do ognia, i zaraz zobaczyłem na następnej stroniczce obrazek słodkowodnej langusty. Zdawało mi się, że namalowano ją, naśladując idealnie mój styl. Rozpaczliwie próbując uniknąć konkluzji, że jeśli ta księga ryb jest historią kolonii, to może także być proroctwem jej przyszłości, zorientowałem się, że książka wcale się jeszcze nie kończy, że zawiera jeszcze kilka dalszych rozdziałów. Z rosnącym przerażeniem przeczytałem na następnej stronie, jak...

## II

Dziwnie, w sposób absolutnie dla mnie niewytłumaczalny, pozwoliłem wówczas, by cała *Księga ryb* wpadła do piekieł, i dołączyłem do czarnej kobiety, drącej na strzępy inne księgi i rzucającej w ogień wyrwane strony.

Na stos te opisy licznych indywidualnych przeszłości i zawartych w nich pomysłów jednej przyszłości! Jakże radośnie trzaskały zgłodniałe płomienie! Jak to bardzo dawno temu powiedział mi Pobjoy, definicja jest własnością definiującego, nie definiowanego, nie chciałem więc już, by moje życie i śmierć przepowiadali inni. Zbyt wiele wytrzymałem, by dać się zredukować do takiego pomysłu. Na ten stos rzuciłem tak wiele, wiele słów – tę całą nieprawdziwą literaturę przeszłości, która związała i podporządkowała mnie równie skutecznie jak kolczaste żelazne obroże na szyi i nogach, jak poszczerbione okowy i kule, jak łańcuchy i ogolona głowa – wszystko, co tak długo odmawiało mi swobodnej wypowiedzi i podania historii, których opowiadanie uważałem za konieczne.

Nie chciałem już dłużej czytać kłamstw o tym, kim jestem i dlaczego. Wiedziałem, kim jestem: jestem wychłostaną przeszłością, ale jestem też chłoszczącym, który zanurza batog w kubie z piachem, żeby rzemienie chłostały ostrzej; jestem przeszłością, która spadła ze zduszonym krzykiem przez zieloną drewnianą zapadnię szubienicy, ale jestem też katem huśtającym się na nogach umierającego mężczyzny; jestem przeszłością kupioną, skutą łańcuchem i zgwałconą przez łowców fok, ale jestem też łowcą fok zmuszającym czarną kobietę, by zjadła własne uda i uszy.

Do ognia wrzuciłem owe księgi zdrady, fantastycznych pogłosek, historii raczej fałszywych niż prawdziwych, pełnych oszustw wielkich i małych, kryjących przed nami hańbę tego, że stworzono nas jako więźniów i strażników zarazem. Ani my, ani nasze dzieci, ani ich niezliczone potomstwo nigdy nie zapomnimy wstydu, jeszcze długo po tym, gdy zaginie wspomnienie o jego przyczynie. Do ognia wrzuciłem *Crania Tasmaniae* – te piękne litografie kradzionych czaszek, które też tańczyły wokół zwęglonego ciała. W ogień, w jego zgłodniałe serce wrzuciliśmy też te wszystkie kłamstwa, które zaciemniały tajemnice, poszlaki, echa, pytania i odpowiedzi, aby w końcu całkowicie i na zawsze uniknąć tego więzienia; do ognia wrzucaliśmy ostatnie rejestry, każdą luźną kartkę, następną i następną, a one kolejno płonęły.

Początkowo taka ilość wilgotnego papieru po prostu przytłumiła ogień, ale wkrótce płomienie znowu się pojawiły i ogień odrodził się jak wielka kula, jakby system był smokiem, którego właśnie zabito i oto umiera, dysząc apokaliptycznie, jakby uwolniono tysiąc rozjuszonych duchów. Ogień trzeszczał i skrzypiał, wystrzelał gejzerami iskier w nocne niebo, wszystkie krzaki wokół jasno oświetlał roztańczony czerwony blask.

Wielki ogień szalał, aż okoliczne krzaki spontanicznie zajęły się jego czarodziejskim oddechem, a nocne niebo zaczęło powtarzać coraz głośniejsze, czarodziejskie zawodzenie. Ogień zaczął się rozprzestrzeniać; najpierw stanęły w płomieniach najbliższe sosny, a potem las za nimi, wreszcie, jak daleko sięgałem wzrokiem, płonęło wszystko; zorientowałem się, że mimo woli i bezmyślnie przyłączyłem się do tańca czarnej kobiety, skąpany w dzikim świetle czerwonej ochry rzucanym przez piekło.

Ciągnąłem wyniszczone, owrzodzone nogi, naśladowując nędznie, choć zdecydowanie jej skoki i podrzuty; wraz z nią i z dziećmi odtńczyłem wiele rzeczy, które zalegały w mojej duszy tak głęboko, że robiło to wrażenie oczyszczającego ognia. Była to i radość, i smutek, a wszystko niemożliwe do wytłumaczenia. Był to tkacz i moja biedna matka, był to Audubon i wszystkie ptaki, które zastrzelił, Stary Gould i jego córka, Wolter i pani Gottliebsen, Doktor i ryby, Komendant i Towtereh, Capois Death i jego ukochany Tommy, poturu i Tracker. Tańczyliśmy coś, co wykraczało poza słowa. Moje ciało żyło tak dzikim życiem poza mną, że bałem się o moje stare kości, które mogą się połamać w tym nieustannym, dziwacznym żłobieniu ziemi.

Po długim czasie, kiedy już płomienie odeszły na odległe zbocza, obok nas pozostały jedynie ciepłe popioły, a dym unosił się w dali wzdłuż odległych grzbietów górskich we wstającym świetle świtu, obserwowałem, jak czarna kobieta zbiera popioły zmarłego Trackera Marksa i miesza je z wodą, by wytworzyć muł, szary i grudkowaty, którym następnie wysmaruje siebie i swoje dzieci. Tak przystrojeni w noc swojej żałoby, przygotowali się do odejścia rankiem, z czego, jak się wydawało, Dwupensowa Sal nie chciała rezygnować.

– Nie martw się, Tracker pojechał do Anglii – powiedziała. – Tracker teraz *numminer piccaninny*.

– On nie żyje – odparłem. – Po śmierci nie odradzasz się jako Anglik.

– *Numminer!* – wykrzyknęła. – Tracker *numminer!* Gould *numminer*, ale długo przedtem byłeś *Palawa*. – Wyciągnęła rękę i zatoczyła duży łuk na tle jaśniejącego świtem nieba. Wyciągnięty palec zaczynał się na mnie, a kończył na drugim krańcu jej świata, wskazując w dół na zwęgloną ziemię.

– Dawno temu – powiedziała – byłeś nami.

Popatrzyłem na nią, ale potem nie mogłem na nią patrzeć, więc spojrzałem na ziemię zasypaną popiołem, naruszonym przez taniec.

– Gould, ty chodź – powiedziała.

Kopnąłem w ziemię, poczułem, że drzę i przęłykam ślinę.

– Wracaj, przyjacielu – powiedziała.

### III

Ale ja, którego obsesję stanowiła przeszłość i jej kroniki, zorientowałem się, że nie mam ani ochoty, ani energii, żeby iść w przyszłość za Dwupensową Sal.

Obserwowałem, jak odchodzą – ta kobieta, której imienia nigdy nie znałem, i jej dzieci w łachmanach, z których jedno mogło być moje – w zwęglony, nadal żarzący się las. Wkrótce ich nagich sylwetek nie można było odróżnić od spalonych grubych pni i młodych drzewek sterczących w tej pięknej wypalanej krainie.

Szedłem ze wschodnim wiatrem, w przeciwną stronę niż ona i ogień buchający na zachód; coraz dłuższa ściana dymu oddalała się od moich pleców. Szedłem przez górską krainę wzgórz i niewielkich krzaków, zmierzając ciągle w stronę Frenchman's Cap. Nieobciążony już wózkiem i księgami, przekonałem się, że choć jestem słaby, posuwam się znacznie szybciej.

W połowie popołudnia natrafiłem na strome wzgórze. Wyrastało kilkaset jardów ode mnie przy górskim stawie, niewielkim jeziorku w małej skalistej dolinie, przypominającym wodę zebraną w stuloną dłoń. W lecie strumień był jedynie łagodną kaskadą spływającą z dużych skał, na których teraz coś błyszczało zielenią i kolorem brzoskwini, coś, co wyłaniało się z dużej muszli, co najmniej długości jarda.

Przez dłuższą chwilę nie wiedziałem, co to jest, póki nie rozpoznałem, że to słodkowodna langusta, należąca do gatunku, który więźniowie czasami łowili w rzekach. Zrzuciła skorupę i wylaniała się nowsza i większa, a jednak taka sama. Patrzyłem na przezroczystą skorupę, którą zostawiała langusta i podziwiałem metamorfozę, podziwiałem magiczną moc, która pozwalała jawić się w jednej postaci, a stawać się inną, zdolność pozostawiania za sobą obrazu siebie, który nie był już aktualny.

Pomyślałem, żeby ją złapać, bo jest bardzo smaczna. Ale w chwili gdy rzuciłem trzymany w rękę kawałkiem skały, z powrotem skoczyła do wody. Kamień wylądował z plaśnięciem w miejscu, gdzie przed chwilą przycupnęła langusta, pozostały jedynie sugestie tego, co było: skorupa, w której żyła, wilgotny cień na skale, na której siedziała, wir spienionej wody, w której zniknęła.

Zrezygnowałem i szedłem dalej. Za stawem minąłem sosnowy zagajnik i wyszedłem na polankę, na której stało z tuzin albo więcej kopulastych budowli ustawionych wokół. Po kształcie dużych uli i starannych, skomplikowanych strzechach z krzewów herbacianych i trawy rozpoznałem, że to domki tubylców, bo jedna z ich wiosek usytuowana była nad stawem.

Jednak czarnych tubylców nie było.

W środku wioski zobaczyłem miejsce po ognisku. Z brudnego popiołu wyrastał mech, a na nim piętrzyły się, niby wytłumaczenie, stopy kości i ludzkich czaszek, od dawna już wyczyszczonych przez zwierzęta, ptaki i owady. Resztki ozdób czarnych kobiet gnijące na niektórych kościach, a czarnych mężczyzn na innych. Czaszki z jedną, najwyżej z dwoma niewielkimi otworami – jak przypuszczałem, od kul z muszkietu. Czaszki roztrzaskane z tyłu, gdzie przegryzły je diabły tasmańskie, by dostać się do mózgu. Czaszki kompletnie wybielone czaszki porastające zielonym mchem. Wielkie czaszki, małe czaszki, bezzębne, przezroczyste jak pergamin.

#### IV

Leżałem na ziemi, szybko dysząc i drżąc ze strachu w sposób niekontrolowany. Górską ziemię dosięgała mnie ze wszystkich stron słodkim ciężarem śmierci. Ciało miałem coraz cięższe i cięższe, głowę jak kamień, a świdrujący natarczywy głos ciągnął mnie w dół, namawiając do snu – śpij, śpij, Billy chłopcze. Zamglonymi oczami zauważyłem w odległości kilku jardów wejście do jednej z większych kopulastych chat, niski otwór szerokości najwyżej stopy i mniej więcej dwukrotnie wyższy.



Zacząłem się czołgać, oddalając się od tego paleniska czaszek w stronę wąskiego otworu; okrutna, przerażająca droga po ziemi usianej piórami emu, połamanymi kośćmi tego dostojnego ptaka, a także kośćmi kangurów i oposów. Przeczolgiwałem się nad zmyślnie tkanymi z trawy torbami, gniotąc swoim ciężarem roślinki wyrastające z tej gnijącej plecionki.

Przerwałem to niezwykle powolne pełzanie, żeby odpocząć, i zobaczyłem litery ze wszystkich moich dziecinnych modlitw, odrzucone i rozsypane na ziemi niczym strony wyrwane z Biblii i pomazane czerwoną ochrą. Przyglądając się niektórym kartkom, zorientowałem się, że zawierają takie na przykład fragmenty: „Śniada jestem, lecz piękna, córki jerozolimskie” czy „Łono twe, czasza okrągła: niechaj nie zabraknie w niej wina korzennego! Brzuch twój jak stos pszenicznego ziarna okolony wiankiem lilii”; rodzaj bredni, jakimi mógłbyś się posłużyć, żeby zyskać względy u kogoś tak chętnie zmieniającego łóżko jak żona właściciela pubu. Uznałem jednak, że to tak bardzo nie pasuje do mnie, aż nie mogłem się powstrzymać od bluźnierstw; że tak zupełnie nie odnosi się do mojej sytuacji, aż wytarłem nos tymi stronami. Zważywszy, że przy wielu okazjach wysyłałem Bogu dwadzieścia sześć liter – to prawda, że dawno temu – uważam, że Bóg mógłby się jednak trochę bardziej postarać. Ostatnia strona, na którą spojrzełem, leżała przy wejściu do chaty przypominającym norę wombata. Był to jeszcze bardziej nieistotny tekst: „Powiedziałem o śmiechu, że jest szaleństwem, pytałem, jaki pożytek niesie radość”.

Niech to wszyscy diabli. Cisnąłem kartki na ziemię. Kiedy wreszcie wczłogałem się do wnętrza chaty, przytłoczyło mnie bogactwo zapachów – nieprzyjemny odór ludzki i zwierzęcy, dym i gotowane mięso, rozkład i wzrost, ale przede wszystkim rozkład – powodujące skurcz żołądka. Zacząłem rzygać, ale poturu Trackera Marksa nie chciały się ruszyć z moich wnętrzności, jedynie gardło płonęło od żółci. Położyłem się na plecach, odwracając swoje wyniszczone ciało. Dłuższy czas leżałem niedaleko niskiego wejścia, wyczerpany, skulony, usiłując opróżnić umysł i przyzwyczaić oczy do ciemności.

Powoli zacząłem dostrzegać zadziwiająco wygodne wnętrze, wyjątkowo ciepłe i suche, wystarczająco duże, by pomieścić ze dwadzieścia osób, choć aktualnie były w nim tylko dwa poturu, bo tygrys tasmański wymknął się zaraz po moim wejściu.

Czułem się jak w gigantycznym gnieździe orła bielika odwróconym do góry nogami, bo ściany kopuły zawijały się wokół mnie, obwieszane umocnionymi w siarce piórami papug i kruczoczarnymi piórami ptaka *currawong* o szatańskich oczach. Tu i ówdzie do nierównych ścian przyczepiono patyczkami skóry zwierzęce. Wokół mnie leżały ostre kamienie używane przez aborygenów jako narzędzia, tylna część lustra i coś, co wydawało się zamkiem skałkowym, spłaszczonym w niewielkie, ostre narzędzie przypominające nóż. Podobnie jak moje oczy, tak i nos zaczął się przyzwyczajać i mocne zapachy, początkowo tak niepokojące, stawały się znajome, wręcz dające ukojenie.

Udało mi się usiąść. Dłuższy czas patrzyłem na wygasłe palenisko pośrodku chaty, pogrążony w rozpacz. Bo co miałem zrobić? Doszedłem tak daleko tylko po to, by zobaczyć, jak płoną wszystkie archiwa? By przyznać, że nie mogę pójść nigdzie dalej? By już nie przejmować się tym, czy żyję, czy umieram, a już na pewno nie tym, czy znajdę Brady'ego? Moje zapasy, siły, nawet moje życie zdawało się kończyć na donkiszotowskiej misji, która nie doprowadziła do niczego, z wyjątkiem głębokiego rozczarowania.

Miałem skurcze w plecach, czułem je jak masę bolesnych węzłów jeszcze ciaśniej splecionych. Stawy moich nóg przypominały skały z dna rzeki, trące wzajemnie o siebie. W głowie kręciło mi się od lekkiej gorączki. Byłem zmarznięty, stary, samotny w krainie, której żaden biały człowiek nigdy nie widział na mapie, a jeszcze mniej w swoim sercu, poza możliwością ocalenia w aborygeńskim domu z piór. Chociaż było ciepło, ogarniał mnie chłód, straszny i gwałtowny. Czułem absolutną nieruchomość, jednak zataczałem koła zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne. Z niespodziewaną jasnością uświadomiłem sobie, że umieram i że jeśli niczego nie zrobię, bardzo szybko przestanie mnie to obchodzić. Zorientowałem się, że walczę ze śmiercią, a co gorsza, z chęcią życia.

Byłem przerażony.

Postanowiłem pomodlić się do Boga.

Postanowiłem wypowiadać Mu się ze wszystkiego.

Niezręczny kaszel pomógł mi oczyścić gardło. Ukląkłem w przyływie poczucia godności. Po prostu wyrzucę z siebie wszystko, wszystko, od ulubionych napojów Castlereagha do strasznych zębów Ackermanna, a także setki, tysiące innych rzeczy, naprawdę będzie wspaniale w końcu to wszystko powiedzieć, dłużej już nie dusić w sobie.

– Boże – zacząłem, a moja modlitewna spowiedź brzmiała tak:

## V

– A-B-C-D-E-F-G-H-I-J-K-L-M-N-O-P-Q-R-S-T-U-V-W-X-Y-Z.

## VI

Ta spowiedź była cudowną arką i naprawdę umieściłem w niej wszystko, co znałem, żeby mogło żyć: wszystkie rośliny, ptaki, ryby i zwierzęta, które kochałem, nie mówiąc o nieświeżym oddechu Komendanta i wspaniałych aureolach pani Gottliebsen, o tańcu Dwupensowej Sal, a wszystko to miało długość akurat dwudziestu sześciu liter.

Nie przyniosło jednak żadnego pożytku – ale jaka modlitwa przyniosła? A nie mogąc klęknąć na opoce Kościoła, chwiałem się spadałem śniłem obejmowałem ziemię.

## VII

Prawdopodobnie umarłbym bardzo szybko po tym upadku, gdyby nie został on tak niewygodnie przerwany przez niewielkie skupisko skał zabarwionych ochrą. Kiedy staczałem się, jęcząc z powodu nowego kompletu siniaków i bóleści, zobaczyłem, że z na wpół zawalonego kopca kamieni wystaje książka.

W tym momencie mało co mogłoby mnie przygnębić bardziej niż straszna perspektywa czytania, bo czytanie stało się dla mnie jedynie źródłem rozczarowania i utraty złudzeń, zdawało się wręcz odwracać całe moje życie do góry nogami, w sposób nieporównywalny z niczym przygnębiało mnie i dręczyło, kazało przypuszczać, że wszystko, co dotychczas uważałem za oczywiste na tym świecie, było po prostu niesłuszne i nieudane.

Zrozumiałem, jak czułaby się pani Gottliebsen, gdybym w mgnieniu oka nie odkrył Woltera. Poczułaby się tak jak ja wobec książek. Oszukana.

W końcu do klęski Jorgensena przyczyniło się czytanie w wieku chłopięcym wszystkich tych romansów i przygód, przez co uznał, że potrafi przerobić świat na obraz i podobieństwo książki. To czytanie idiotycznych listów panny Anne doprowadziło Komendanta do tych szaleństw; czytanie dzieł Linneusza i Lamarcka skłoniło pewną rybę najeżkę do myślenia, że ma do spełnienia świętą rolę w porządkowaniu na nowo świata, który miał ją też sklasyfikować na nowo jako najwspanialszy przykład zdegenerowanej czaszki aborygena.

Właśnie nonsens tego całego czytania, a potem mojego durnego wtykania nosa w księgi w Rejestrze, czego nie powinienem był robić, doprowadziły mnie do tego smutnego, samotnego umierania w lesie bez nazwy.

Pomyślałem: tylko głupiec by jej dotknął.

Głaskałem palcami zakurzoną zachętę okładki. Odsunąłem rękę, spojrzałem na sufit, z dala od tej głupiej książki, wystającej spod kamieni i kuszącej zupełnie jak żona właściciela pubu zza baru przed tyloma laty tym zmysłowym milczącym wezwaniem. Obróciłem się na bok, wyciągnąłem rękę, odgarnąłem resztę kamieni i wyciągnąłem książkę z suchego gruzu.

Nie był to duży i opasyły tom jak te, w których Jorgen Jorgensen na nowo wymyślił Wyspę Sary, ale niewielki, prymitywnie wykonany tomik. Strony zdawały się związane nicią z jelita, która musiała zostać rozciągnięta i zmięczona systemem aborygenów: żuciem. Okładka – ze skóry walabii, jak i reszta książki – poplamiona była na czerwono ochrą, taką samą jak ta – co sobie teraz uświadomiłem, dotykając policzka – jaka nadal pozostawała na mojej twarzy, gdzie rozsmarowała ją czarna kobieta.

Pomyślałem: tylko szaleniec by ją otworzył.

Książka otworzyła się w mojej wyciągniętej ręce i na pierwszej stronie zobaczyłem wypisane całkiem dziecinnym charakterem pisma nazwisko:

Matt Brady.

Pomyślałem: nie zniosę czytania dalszego ciągu.

Kiedy skończyłem czytać, przez dłuższy czas oddychałem głęboko. Poczułem swędzenie skóry, oddech stał się płytszy. I wtedy zacząłem płakać. Choć starałem się zdusić szloch, wpychając pięść do ust, wyrwał się ze mnie jak dziwne, gryzące bąbelki wylewające się z płonącego garnka. Próbowałem opanować drżenie głowy.

Czułem jedynie gigantyczną pustkę. Wielkie rozczarowanie. Czas... dobra, co mnie teraz obchodzi czas? Może się zatrzymał albo ruszył, albo tańczył, albo zasnął, albo poszedł do pubu na kilka Łotrowskich Zup. Mdłości trochę się zmniejszyły. Głód – nieustanny, niedający się uniknąć – znowu mnie opanował. Wepchnąłem do ust okładkę książki ze skóry walabii, próbowałem też zjeść samą książkę, w równym stopniu po to, by się jej pozbyć, jak żeby zaspokoić żołądek.

Jednak okazało się to bezcelowe, bo książka była równie niejadalna co niezrozumiała. Jak mogę przekazać całkowitą bezużyteczność tego, co przeczytałem? Chyba najlepiej można było to opisać jako rodzaj osobistego dziennika, pisanego według słów autora krwią kangura. Kiedy chwyciłem dziennik, zauważyłem wśród kamieni mały gliniany kałamarz.

Była to w istocie absolutna mieszanina spraw i rzeczy. Były tam uwagi o obyczajach i życiu aborygenów, które wydawały się bezcelowe. Były wulgarne żarty, zapisane rozwlekłe i nudno, przez co traciły nawet tę odrobinę humoru. Były fragmenty czegoś, co określiłbym jako filozofię osobistą: rozmaite slogany na temat przyjaźni, jak na przykład: „Miłość nie może istnieć bez nieustannego wybaczenia grzechów” i temu podobne brednie. Przepisy na kataplazmy w buszu i lecznicze napary. Obserwacje zwierząt i ptaków. *Currawong. Quoll*. Bielik. Tygrys tasmański. Czy nie miał strzelby? Czy nie miał przynajmniej odrobiny przyzwoitości, jak Audubon, żeby ustrzelić jedną czy dwie sztuki i zrobić kilka niedobrych obrazków? Nie. Jego styl odznaczał się zbyt wystudiowaną prostotą. „Dzierzba nawołuje cudownie, jakby utraciła starego kumpla i woła Jo Witty? Jo Witty?”. Nie miał ambicji. Ilekroć jakaś myśl czy obserwacja przytłaczała go, zamiast próby wyciągnięcia wniosków pisał: „I tak dalej i dalej, dokoła”, jakby potrzeba konkluzji nie miała sensu.

Na próżno szukałem na tych stronicach, czasami sztywnych i grubych, czasami cienkich i lekkich jak zasuszone kwiatki, nawoływania do buntu, wspomnienia rebelii, planów rewolucji, a nawet czegoś, co mogłoby pretendować do zarysu zorganizowanego powstania, szkicu deklaracji niepodległości republiki – czegokolwiek, co mogłoby zasadniczo zagrozić Systemowi.

Niczego takiego nie było.



Jedynie kolejne strony patetycznych potwierdzeń miłości białego mężczyzny i czarnej kobiety, po których czułem się nieszczęśliwie. W pewnym momencie znalazłem typowy enigmatyczny dopisek: „Kochać nie jest bezpiecznie”.

I co to miało znaczyć?

Nie miałem pojęcia.

Atrament wysechł, a sny dotyczyły jedynie miłości Brady'ego do czarnej kobiety, budowy domu białego mężczyzny i czarnej kobiety, będącego tak naprawdę czymś innym niż zbitką obydwóch czynników – domu ozdobionego piórami ptaków księżycowych i czarnych łabędzi, domu z dużym warzywnym ogródkiem, gdzie on i ona mogą żyć, poznawać to miejsce, siebie nawzajem, swoją rodzinę przez długie lata, starzejąc się wspólnie.

Kochać nie jest bezpiecznie. Pełne koło, czarny mężczyzna. Koło przepołowione, biały mężczyzna. Naprawdę było to zupełnie jak u Kartezjusza, a może to Kartezjusz był naprawdę taki jak oni – mówił o wirach, oni o kołach, a wszystko to podobny nonsens. Miłość. Wybaczenie. Miłość, miłość, miłość, myślałem – czy to wszystko? Czy o to chodzi?

Tak, jeśli nie liczyć przepisu na pasztet z kangura.

Zamknąłem książkę.

Kim był Brady?

Przyszło mi do głowy, że to mógł być Tracker Marks. Albo Kartezjusz. Albo że mógł być tą czarną kobietą, aborygenką, której imienia nigdy nie poznałem. Zastanawiałem się, czy w końcu nie był jedynie pojęciem, ale wtedy jego historia należałaby do królestwa literatury, a nie do tej wiarygodnej opowieści, która zajmuje się tylko prawdziwymi rybami.

I co właściwie się stało?

Czy to on zabił czarnych, którzy mieszkali w tej i w innych chatach-ulach? Czy został zabity wraz z nimi? Czy jest teraz skazany na jakiś podziemny świat takiego typu; jaki opisał Pliniusz Starszy w książce, którą znalazłem nadzianą na szablę starego Duńczyka, i żyje razem z Monokoli, Astomi i wszystkimi innymi baśniowymi ludami?

Przewróciłem się na plecy, wyczerpany ponad miarę. W końcu wygasła wszelka nadzieja.

## VIII

Przygotowywałem się na śmierć.

Przez wiele godzin po prostu pozwoliłem oczom błądzić po wnętrzu chaty, wpatrywałem się w fakturę strzechy z krzewu herbacianego, w podszycie z piór, tak ostre, a tak delikatne; chata przypominała stare powyginane ręce, z których wyrosły owijające się wokół mnie wielkie skrzydła; całość miała nudny kolor tytoniu, który, jak przypuszczam, daje dym z ogniska, kiedyś igrającego pewnie na wygasłych dziś czarnych węglach pośrodku.

Skóry walabii, oposów i *quolli* wisiały na ścianach pod niezwykle kątami, jakby na chwilę przybrały swoją pierwotną formę zwierząt i skoczyły na dół. Patrzyłem na obrazki wyrysowane na skórkach za pomocą tłuszczu zabarwionego węglem drzewnym i czerwoną ochrą; rysunki tygrysów, diabłów tasmańskich i kangurów, wypraw myśliwskich, tańczących mężczyzn i kobiet, księżycy w różnych przebraniach, a muszę przyznać, że wszystkie odznaczały się pewną siłą przyciągania.

Zdjąłem skóry ze ścian, położyłem się na części z nich, resztą się okryłem. Zwinąłem się w kulkę, nad którą kangury, wombaty, diabły tasmańskie, tancerze, myśliwi i księżyc krążyli w historiach, jakich nie mogłem zrozumieć. W tej pogodnej ciemności chaty-ula z piór, pokrytej niezrozumiałymi opowieściami, z książką Brady'ego o niestrawnej miłości u boku, wreszcie zapadłem w sen.

Podobnie jak langusta wskakująca tyłem do wody po odrzuceniu skorupy, przygotowywałem się do porzucenia skorupy tego, czym i kim byłem, do metamorfozy w coś zupełnie innego. Kiedy oczyma duszy widziałem błyszczącą lunę niebieskich płomieni, cuchnących nadpalonym barchanem – a zapach ten wyciągały z moich nozdrzy owe tańczące zwierzęta, aż wreszcie wylatywał z chaty – w końcu i ja poczułem, jak ulatuje mój duch.

Pisanie historii to stały postęp; zdanie buduje się na zdaniu, tak jak cegłę kładzie się na cegle, a przecież uroda tego życia w jego nieskończonej tajemnicy jest kolistą. Słońce i księżyc, ciała niebieskie bezustannie kręcą się w kółko. Czarny mężczyzna, pełne koło, biały mężczyzna, koło przepołowione; życie, trzeci krąg, dalej i dalej, w koło i w koło.

Śniło mi się, że naplułem na popękaną sepię skrzepłej krwi kangura na dnie kałamارza Brady'ego i że powstał szkarłatny atrament koloru niespokojnej zorzy. W tym mokrym, ciemnym płynie zanurzyłem koniec starego pióra, którym zapisałem w dzienniku Brady'ego ze skóry kangura, w miejscu gdzie zakończyły się marzenia Brady'ego, a zaczęły czyste, puste strony:

*Orbis tertius,*

moje pierwsze słowa oznaczające ten trzeci krąg po łacinie.

I wtedy, nareszcie, przerywając pajęczynę niekończącej się pamięci, w której się zanurzyłem, śniłem o mężczyźnie, jakim byłem – o więźniu fałszerzu, który sam siebie nazywał Williamem Buelowem Gouldem i który po odkryciu, że w pojedynczym koniku morskim zawiera się *implicite* cały wszechświat, że każdy ma zdolności bycia kimś lub czymś innym, że *Numminer* to *Palawa*, a *Palawa* to *Numminer*, namalował kilka dziwnych wizerunków ryb i umarł.

## IX

Wykradłem pieśni Bogu.

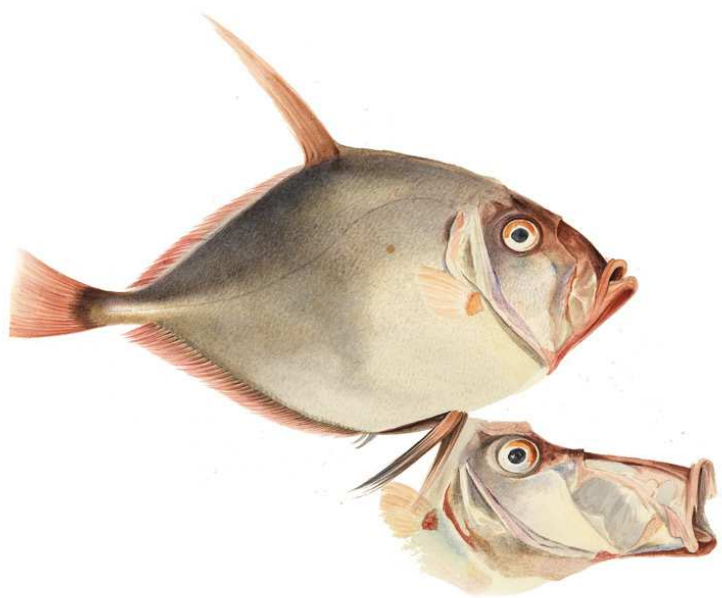
## X

Śpiąc, zacząłem się zastanawiać, czy – jeśli to wszystko było jedynie snem, a ja śniącym – liczne dziwaczne formy mojego snu nie są też po prostu mną. Czy to możliwe, że chociaż Komendant panował nade mną, byłem też Komendantem? Czy to możliwe, że choć to pan Lempriere polecił mi namalować ryby, byłem panem Lempriere? I że choć namalowałem ryby, to...?

Jednak nie dało się tego kontynuować.

Rozległy się krzyki, przekleństwa, odgłosy ciężkich kroków, okrzyk zdumienia, ostry amoniakalny zapach podnieconego strachu, nagłe kliknięcia zamków skałkowych. Otworzyłem oczy i zobaczyłem lufy rozchodzące się promieniście od mojej głowy, jakbym był jeżem morskim, a opuszczone muszkiety moimi kolcami. Bronią palną wymachiwały nędzne wojskowe ciury, wielkie kurki – niedojdy z naburmuszonymi policzkami, czerwieniszymi nawet od ich parszywych mundurów, i z wyłupiastymi oczami. Miałem wrażenie, że wystarczył jeden ruch, by ściągnąć mnie z łoża ze skór i wytaszczyć na zewnątrz. Jęknąłem, wyplułem torf, który wdarł się do moich ust podczas tak brutalnego lądowania, i podniosłem głowę.

Obok miałem zniszczoną czapkę z tygrysiej skóry i martwe oczy kogoś, czyja strasznie zakrwawiona głowa zdawała się znajoma, a poniżej bezsensowne nagie ciało, od którego została odcięta. W końcu rozpoznałem, że to *banditto*, zdrajca, morderca dzieci, gwałciciel i poławiacz fok, Clucas. Nie wiedziałem wtedy, że dotrzymał umowy i dostarczył wiele tuzinów beczek z prochem, a potem zapłacono mu jego własną monetą śmierci. Kiedy jednak spojrzałem trochę dalej, to nawet nie widząc twarzy, poznałem nazwisko jego zabójcy. Bo wschodzące słońce zasłaniała mi teraz charakterystyczna, potwornie ociążała sylwetka wielkiej moszny Mushy Puga.



## SREBRZYSTY PASZCZAK

*O komplikacjach z czasem – Pożar Nowej Wenecji –  
Zdradzony przez zjadacza opium – Przeczucie  
nieśmiertelności – Wypatroszenie – Bunt – Srebrzysty  
paszczak eksploduje – Spadający z nieba deszcz marzeń,  
nadziei i wagonów kolejowych – Opowieści miłosne opłacone  
śmiercią – Refleksje na temat Rembrandta van Rijna i wielu  
innych spraw – Zemsta rybiego spisku*

### I

Billy Gould obudził się przestraszony. Kręcąc głową, przeciągnął ręką po zaroście na brodzie i zaczął się drapać we wszystkie straszne miejsca, gdzie gryzły go straszne wszy. Poczł nagłe pragnienie, by się poruszyć, choćby po to, żeby się na chwilę wyzwolić od swędzenia i bezczelności snów, poderwał się więc i chwytając umieszczone wysoko więzienne kraty, podciągnął się do szczeliny okna i wyjrzał na zewnątrz. Poczł ulgę, patrząc na rozciągającą się wokół żalną wspaniałość Nowej Wenecji Komendanta. Moje serce pęczniało wdzięcznością dla Mushy Puga za to, że przywiózł mnie z powrotem.



Powinienem był wiedzieć, dlaczego tu jestem, ale tak naprawdę nie wiedziałem. Szczerze mówiąc, choć namalowałem wszystko, co wiedziałem, nie ulega wątpliwości, że to, co wiedziałem, to było zupełnie nic. Natomiast to wszystko, czego nie wiedziałem, jest naprawdę imponujące; Biblioteka Aleksandryjska nie pomieściłaby wszystkich szczegółów mojej ignorancji. Nie wiem na przykład, dlaczego mam teraz zawisnąć za dwa morderstwa, których nie popełniłem, a nikt nie odpowiada za palenisko czaszek. Nie wiem też, dlaczego zamordowanie Budynia czy Jorgensena uznane jest za zbrodnię, podczas gdy mordowanie całego ludu jest w najlepszym razie problemem, a w najgorszym naukowym imperatywem. Jest jeszcze wiele innych rzeczy, których nie wiem. Na przykład: dlaczego ludzie czytają Bowdlera-Sharpe'a, a baśnie odrzucają jako bzdury? Dlaczego alfabet może się zmieścić w świecie, a świat w abecadle nigdy się nie zmieści? Te sprawy i wiele innych stanowią dla mnie tajemnicę. Dlaczego łódki unoszą się na wodzie? Dlaczego układamy nasze życie na zasadzie drabiny, podczas gdy ziemia kręci się w kółko? Jak działa zaprawa murarska? Dlaczego mężczyzna drży jak ryba, kiedy obok przechodzi kobieta? Dlaczego budynki się nie walą? Dlaczego możemy chodzić, ale nie możemy latać? Dlaczego śniło mi się, że przekształciłem się w las, ale kiedy się obudziłem, orałem gębą ziemię, aż uderzyłem w buty Mushy Puga?

Bez względu na bardziej ukryte zamiary, oficjalnym celem wyprawy oddziału Puga było zebranie informacji o poruszeniach Brady'ego. Przez chwilę myśleli nawet, patrząc na moją wynędzniałą i śpiącą postać, że w końcu udało im się schwycić tego wielkiego człowieka. Powiedziałem im, że istotnie spotkałem tego, którego szukają, i wskazałem na kierunek przeciwny niż ten, w którym poszła Dwupensowa Sal.

– Myślałeś, że Brady zdoła cię uratować? – śmiał się Musha Pug, kopiąc mnie w głowę.

– Oczywiście – odpowiedziałem, bo to chciał ode mnie usłyszeć, choć teraz wiedziałem już, że prawda była zupełnie inna.

Nawet gdyby miał przed sobą wszystkie historie świata i wszystkie związane z nimi cierpienia, Matt Brady, kimkolwiek i gdziekolwiek był, nie mógłby nas ocalić. Nic nie mogło. Nie nauka Doktora. Nie kultura Komendanta. Nie Bóg, który jest nieskończonym czasem. Nie mogliśmy też ocalić się sami. Nie było pocieszenia w przeszłości. Nie było pocieszenia w przyszłości. Nie było pocieszenia nawet w samej idei ocalenia. Były tylko buty Mushy Puga, a kiedy wymierzyły kolejny cios w mój policzek i prześlizgnęły się po moich ustach, ucałowałem je. Ucałowałem je, bo poza nimi nie pozostało mi już nic do kochania.

## II

Ze szczeliny okna, przy którym wisiałem, roztaczał się widok zarówno cudowny, jak pouczający: na prymitywnym pomoście używanym przez grupę rybaków wznoszono szubienicę; zachęta dla nas – skazanych, obserwujących to z góry, żebyśmy skupili myśli na żalu i skrused, nim w końcu wszystko przepadnie. Przy odpływie poniżej pomostu białaly na słońcu wypłukane czaszki i kości plutonu porucznika Lethborga. Przeprowadzono mnie do nowej celi – celi śmierci – zaraz po pojmaniu, miałem tu czekać na rychłą egzekucję. Wyznaczono ją za osiem dni.

Ten nowy dom nie był pozbawiony zalet. Nie zalewała go codziennie woda, nie wydawało się też prawdopodobne, by sufit się zarwał. Była to jedna z trzech dużych cel po przeciwległej stronie wyspy niż główna kolonia; czułbym się niemal szczęśliwy mimo zbliżającego się odejścia, gdyby nie Pobjoy, który w tym momencie uznał za stosowne przerywać moją cudowną samotność.

Próbowałem nadal wisieć jak Chrystus, nie byłem jednak naprawdę tak bardzo zainteresowany cierpieniem na własny rachunek, a jeszcze mniej na rachunek całego świata, jak nauczał stary ksiądz. Moje nędzne ręce nie mogły już dłużej utrzymać nawet tak nędznego ciężaru jak mój, opadłem więc z powrotem w ciemność celi, podczas gdy Pobjoy, jak zawsze zstępując na zupełnie niezwykle niziny, oznajmił, że oczekuje na zwrot zestawu farb olejnych. Do tej chwili uważałem, że interes Pobjoya i jego zapotrzebowanie na stałe dostawy więziennych Constabli będą zbieżne z moją chęcią życia. Okazało się wręcz przeciwnie: spokojnie oświadczył, że już go nie martwi nadchodząca egzekucja.

– Czuję – powiedział, wkraczając zdecydowanie do celi, chwytając zestaw farb i mojego najnowszego więziennego Constabla, po czym poprawił się: – Wiem, że potrafię kontynuować to, co zacząłem.

Tym razem podniosłem wzrok, by spojrzeć na jego twarz. Choć wysoki, miał czerwony okrągły cyferblat i zeza, co mogło wyjaśniać jego równie nieproste złudzenia. Miał wystającą dolną wargę, złe czerwone policzki ogolone niestarannie, niczym paskudna gęba srebrzystego paszczaka, a choć zupełnie nie potrafię tego wytłumaczyć, nigdy nie polubiłem paszczaków. Zawsze oznaczają kłopoty.

Powinienem był się domyślić z pewnej nonszalancji, z jaką ostatnio nosił swój czerwony mundur z niezapiętymi guzikami, że ogarnęły go straszne potrzeby. Jego pragnienie było wielkie.

– Chcę – powiedział, odrzucając głowę do tyłu ruchem wyniosłym i nerwowym, jakby ujawniał jakąś ukrytą namiętność, która może go dużo kosztować – zostać Artystą. – Powiedziałem mu, że bywają gorsze ambicje, choć w danej chwili żadna nie przychodziła mi na myśl.

Im więcej mówił, tym bardziej czerwieniała mu twarz i tym mocniej rzucał głowę w przód i w tył. Im więcej rzucania głową i czerwienienia się, tym bardziej uwypuklały się jego wargi, jakby przewycięzał kompleks z dzieciństwa związany z mówieniem. A im bardziej wystawały mu te wargi, niby rozciągliwe bez końca usta srebrzystego paszczaka, tym bardziej się zastanawiałem, czy on coś do mnie mówi, czy próbuje tą wielką gębą coś ze mnie wyssać, coś tak fundamentalnego, że może mu się przydać do wykarmienia tego gigantycznego szaleństwa estetycznych aspiracji.

A potem, być może pod wpływem nostalgii za szczęśliwszymi czasami, porządnie mnie skopał. Później zapewniłem go, że ma wszelkie atrybuty niezbędne do kariery artystycznej, choć niestety wargi miałem zbyt spuchnięte, bym mógł Pobjoyowi dokładnie wszystko wyliczyć: przeciętność; zdolność do przemocy wobec potencjalnych rywali; nie tylko pragnienie zwycięstwa, ale i chęć, by nie powiodło się kolegom artystom; wielka nieszczerość i umiejętność zdrady. Fortuna faworyzuje szaleństwo, próbowałem powiedzieć, ale udało mi się jedynie wypluć trochę śliny i zębów.

Potem Pobjoy szlochał i mówił, że zawsze miał pecha; miał pecha, kiedy wzięto go do wojska; jeszcze gorszego pecha, kiedy wysłano go na tak potworną placówkę jak ta, i jeszcze gorszego, kiedy kazano mu pilnować takich idiotów jak ja. Udało mi się znowu poruszyć ustami i zacząć mu opowiadać jakąś historię, by pocieszyć go z powodu tego pecha, ale zdawało się, że to go jedynie rozzłościło, i kazał mi się zamknąć.

– Kaze cię związać i poćwiartować – wrzasnął. – Osobiście wychłosczę ci plecy, aż rzemienie sięgną na drugą stronę i połaskoczą ci cyce.

Wciągnął gile z nosa do ust i z tej swojej wysokości napluł na mnie.

– Gould, czy jesteś takim kretynem?

Byłem na tyle mądry, by wiedzieć, że z władzą należy się zgadzać, więc wycierając twarz dłonią, pokornie przyznałem, że niewątpliwie jestem.

– Zamknij się! Zamknij się, ty głupi draniu! Nie widzisz, że mam potąd ciebie i twoich wszystkich durnych historyjek? Powiesz jeszcze słowo, a znowu cię skopię.

Powiedziałem mu więc, że znałem kiedyś niejakiego Neda Hennessy'ego, który pochodził spod Waterford i był głupkiem, a przyjaciele postanowili zrobić mu kawał. Udali, że jeden z ich grona zmarł, ułożyli go w trumnie i poprosili Neda Hennessy'ego, żeby czuwał przy nim przez noc z pistoletem, na wypadek gdyby duchy z tamtej strony chciały go wykraść. W środku nocy zmarły poderwał się i powiedział: „Cześć, Ned”. A Ned, który bał się ciemności i ukrył pistolet w spodniach, strzelił teraz do kumpla żartownisia – bang! – i zabił go strzałem w czoło.

– Zamknij się! – powtórzył Pobjoy bezbarwnie.

– Ned Hennessy – zakończyłem – to naprawdę ktoś.

Tym razem Pobjoy stłukł mnie porządnie, używając w tym celu pięści i głowy, zdzielił mnie nawet parę razy pudłem z farbami, ale nie wykorzystał butów, wiedziałem więc, że nie ma już serca do takiej przemocy, biedny Pobjoy!

– Mężczyzna taki jak pan – zacząłem, ale mówiłem niewyraźnie, przez moje słowa sączyła się krew, trudno było cokolwiek zobaczyć, leżąc na podłodze – wyraźnie w kwiecie wieku...

Usłyszałem trzask zamykanych drzwi celi, zasuwane rygle i wypluwając ostatnie zęby, musiałem przyznać, że nie było to szczególnie przyjemne spotkanie, że straciłem farby i tym razem to może być prawdziwy koniec.

### III

Następnego ranka, znowu uwieszony u zakratowanego okna celi, wyglądałem na zewnątrz, starając się unikać widoku szubienicy. Wpatrywałem się w odległe pióropusze dymu, które z każdym dniem oddalały się od Frenchman's Cap, a przybliżały do nas. Reszta kolonii początkowo nie zwracała specjalnej uwagi na coraz większy ogień trawiący olbrzymie niezbadane lasy mieszane, których Komendant nie sprzedał, a Japończycy nie wywieźli.

Nikt by mi nie uwierzył, gdybym opowiedział, jak ten ogień się zaczął, ale kimże byłem, żeby mówić takie rzeczy? Kimże byłem, by twierdzić, że pożogę podsyciła najpierw poezja samego Systemu?

Początkowo wszyscy traktowaliśmy pożar jedynie jako podbudowanie naszych szczególnych, indywidualnych próżności. Dla części więźniów rosnąca ilość pyłu w powietrzu była kolejnym opresyjnym elementem w naturalnym świecie, który istniał jedynie jako strażnik więzienny. Komendant natomiast przez swoją połączoną wizję postrzegał katastrofę jako kolejną merkantylną okazję i natychmiast wysłał posłańców do wielu portugalskich kolonii, proponując kontrakty na węgiel drzewny, który wraz z rtęcią stosowano do wytapiania złota w dalekich dżunglach Nowego Świata. I tak to trwało. Każdy z nas widział ogień jedynie jako przedłużenie naszych różnych światów, a nie jako ich koniec, jak miało się okazać.

Pięć dni przed tym dniem, kiedy miano mnie powiesić, niewielkie grudki popiołu zaczęły spadać z nieba. Kiedy zerwał się wiatr, spadały na nas większe liście mirtu i paproci, zwęglone i kruche, ale w idealnym kształcie i formie, tyle że kompletnie czarne; zapowiedzi naszego losu wpadające we włosy, w nozdrza, układające się na ramionach jak przybysze z innego miejsca i czasu, co zinterpretowaliśmy błędnie, a więc zniszczyliśmy bezpowrotnie.



Trzy dni przed tym dniem, kiedy miano mnie powiesić, spadło już tyle popiołu, że w niektórych miejscach potworzyły się zasy, sięgające mężczyznom do uda, a następnego ranka słupy osady, górne piętra wyższych budynków i wąskie uliczki, oczyszczane nieustającą pracą skutych łańcuchami więźniów, stanowiły jedyny dowód, że na wyspie oprócz coraz wyższej góry popiołu istniała kiedyś osada.

Kiedy z północnego wschodu wiatr wiał coraz mocniej i mocniej, kiedy ogień powiększał się i zbliżał, więźniowie – w celach skazańców, w skutych łańcuchami grupach czy przy wygodniejszych zadaniach – zaczęli wyczuwać jego skalę, nabierali świadomości jego mocy i wierzyli, że to musi być sprawka Brady'ego, część jego wielkiego planu, który nas wszystkich wyzwoli. Jakim geniuszem był ten człowiek! Żeby posłużyć się tą samą Przyrodą, która nas więziła, do uwolnienia nas, a równocześnie zniszczyć tę Przyrodę! I czekali na chwilę, gdy on, McCabe i reszta wielkiej bandy wychynie z tego inferna jak wspaniali jeźdźcy Apokalipsy, niosąc płomienny sąd na muszkietach piorunów i w zamkach skałkowych sprawiedliwości.

Skoro więźniowie wiedzieli, że chwila sądu się zbliża, nie przejmowali się ani żołnierzami, ani strażnikami. Dzień przed tym dniem, kiedy miałem zawisnąć, słyszałem strażników na zewnątrz szepczących, jak to Ben Joshua odmówił zejścia na dno dołu z trocinami, mówiąc do Mushy Puga: „Brady ciebie też dostanie, Musha. Zwiąże cię, ściśnie ten wielki wór z jajami, zaknebluje twój parszywy ryj i potrzyzyma ci łeb pod wodą tak długo, aż ci gały wypłyną, a czaszka się spłaszczy!”.

Musha Pug uderzył go mocno, ale był to cios odpowiedni raczej dla kobiety, nie dla mężczyzny, nie pięścią, a wierzchem dłoni; Musha Pug następnie odwrócił się plecami i odszedł na tych swoich trzech nogach, a wszyscy widzieli, że był to klaps, nie uderzenie. Wszyscy widzieli, jak Musha Pug odchodzi i wszyscy wiedzieli, dlaczego był to klaps, nie uderzenie. Potem grupy skute łańcuchami śmiały się z więźniów-konstablów, kiedy kazali im pracować, ale odmówili użycia siły, choć oficerowie polecieli im przywrócić porządku. Zamiast od razu stłuc więźniów do nieprzytomności, konstable albo rozbiegli się do swoich szop i kryjówek z dala od reszty, albo starali się wkraść w ich łaski, proponując tytoń, żartując i snując domysły, kiedy, jak, pod jaką postacią i z jaką siłą pojawi się Brady.

Grupa wycinająca las odmówiła opuszczenia wyspy i popłynięcia w górę rzeki. Stoczniowcy pokładli się w kadłubie statku, który budowali, bednarze zostawili niedokończone beczki, które bez nałożonych obręczy wyglądały jak więdnące kwiaty. Żadne groźby ani prośby nie mogły zmusić żadnego złoczyńcy do żadnego ruchu i wkrótce wyspa stanęła, a wszyscy – strażnicy i recydywiści – zajęli się po prostu czekaniem.

Potem Musha Pug rozbił beczkę rumu, później następną i poczęstował nią więźniów – drwali, budowniczych statków i bednarzy w stoczni – powtarzając bez końca, że przyjaciele to nie donosiciele. Później przyszedli żołnierze, ale tylko po to, żeby zamówić antałek, który wzięli do koszar, gdzie zasiedli spokojnie i pili z powagą, dla kurażu lub zapomnienia. O zachodzie słońca cała wyspa była pod dobrą datą, w rozmowach przewijały się dzikie marzenia o nowym kraju, o tym, jaki będzie, a wszystkie oczy skupiały się intensywnie i z nadzieją na górach na wschodzie, wypatrując w dymie sygnału, który mógłby zapowiadać rychłe nadejście Brady'ego. Nawet ja, siedząc w niemal kompletnych ciemnościach celi śmierci i oczekując na egzekucję następnego dnia, nie mogłem zgasić maleńkiej iskielki nadziei.

## IV

Nikt z tej garstki, która miała przeżyć, nie potrafił później zadowolająco opisać całej niezwykłości tamtego czasu, tych obrazów horroru, wokół których wzmagał się ogień piekielny i chybotał się jak epolety Komendanta z ptasich piór.

Wyobraźcie sobie, tak jak ja musiałem to sobie wyobrazić rankiem ósmego dnia po tym, jak pierwszy raz dostrzeżono ogień – zaledwie kilka godzin przed moją egzekucją – stojąc nago w zadymionym piecu celi i od czasu do czasu przytykając usta do ciemnej szpary w drzwiach, gdzie minimalny duszny podmuch zdawał mi się upragnionym przewiewem, mistralem, który wszędzie indziej pozostawiał obrazy koszmaru.

Wyobraźcie sobie uduszone w dymie ptaki – miejscowe jerzyki i papugi, których jeszcze nie złapano i nie pomalowano; sójki, których nie złapano i nie zjedzono; wszystkie bieliki i czarne kakadu, gałacze i niebieskie strzyżyki – które martwe spadały z nieba do gotującego się morza. Linia przypływu ich zwłok otoczyła wyspę, bariera z ptaków, o którą rozbijały się nasze płonne nadzieje, bo wyspa już wtedy zaczynała się tlić i nie było gdzie uciekać, można było jedynie rzucać martwe, poczerniałe ptaki w płomień, które zaczęły się pojawiać na całej wyspie.

Cała wyspa przekształcała się w jeden piec, w jeden płomień nieskończony jak piekło, w wieczność cierpienia, w którym istnieje tylko dalsze wzmaganie się ognia, a potem ogień znajdujący drogę do serca kolonii.

Na wszystko i wszędzie rozchodzi się tylko ogień, wiatr i dym, dym cierpki jak grzech, gęsty jak kurz, żar wywołujący bąble na skórze, palący włosy i przedostający się wszędzie językami wszechobecnej czerwieni.

Wyobraźcie sobie mężczyzn wyłaniających się i znikających w dymie, jak biegną od płomienia do płomienia, który teraz, kiedy zjawiał się główny strumień ognia, jest jednym i tym samym. Litujcie się nad żołnierzami i więźniami, którzy przestali walczyć ze zbliżającą się nawałą ognia; teraz, rezygnując z nierównej walki i wykorzystując całą energię, jaka jeszcze im pozostała, biegną na nabrzeża, pstrokata tłuszcza żołnierzy w czerwonych mundurach i kanarków w żółtych szmatach, ruchome przerażenie, szukające ochrony pod nabrzeżem, w wodzie, wracające do morza, by uciec przed piekielnym gorącem, a ci, którzy jeszcze nie umarli, bardzo tego żałują.

Biegną po płonącej ziemi, mijają wózki, beczki, niedokończone statki, pomosty, nawet palących się ludzi eksplodujących jak bomby, oddech zamienia się w płomień, zanim zdążą wykrzyknąć ostateczną agonię; uciekają od płomieni układających się w wiry ognia strzelające sto jardów do góry; klną, nienawidzą i biegną, uciekając od płomieni spadających z nieba w żółtej, niebieskiej, czerwonej burzy, ogarnięci jedną tylko myślą, od której nie da się uciec: UCIEKAJ!

## V

Jeśli jednak ośmielisz się zatrzymać na chwilę, by złapać oddech, pomyśl o Billym Gouldzie w tej nieszczęsnej celi, bez możliwości ucieczki. Bo mógłbyś przypuszczać, że tych wszystkich więźniów z pojedynczych cel wypuszczono, żeby im też umożliwić ucieczkę przed ogniem.

I tutaj kompletnie byś się pomylił. Nasz strażnik uciekł pod molo, odmawiając otwarcia drzwi cel bez rozkazu Pobjoya, a Pobjoy – z powodów, które zamierzam wyjaśnić – został wezwany do kolonii, krótko przedtem, nim zamieniła się w piekło; miał, choć nikt z nas tego jeszcze nie wiedział, już nigdy nie wrócić.

Pozostawiony w celi, żebym się upiekł, wdychałem dym tak gęsty, że przeradzał się w gardle w zjełczały tłuszcz, oczy tak mi łzawiły, że gdybym akurat malował, mógłbym moczyć pędzel we własnych łzach; mogłem poprawie swoje samopoczucie, jedynie zastanawiając się nad losem kogoś w znacznie gorszym położeniu niż ja – jedynej prócz mnie osoby na wyspie, która nie biegła, nie dlatego, że nie mogła tak jak ja, ale dlatego, że nie chciała.

Komendant siedział na sofie, na której leżał przez jakiś czas po opuszczeniu dymiących zgliszc swojej celi, kiedy to schronił się w pałacu, jednym z ostatnich stojących jeszcze budynków na wyspie. Poczul wilgotny, uperfumowany sosnową żywicą ręcznik odrywający się od maski i ciągle z tą samą przyjemnością powrócił do obserwowania cudownego spektaklu swego pałacu, który teraz też zaczął płonąć. Zakasłał. Parę nitek krwi popłynęło czerwienią po czarnych wargach i spłynęło na pomazaną maskę.

Kilka towarzyszących mu jeszcze osób proponowało wszelkie formy pomocy i pociechy, przekazując mu fałszywe informacje o sukcesach w hamowaniu ognia i podając filiżanki zimnej herbaty z sasafrasu, żeby obmył sobie wargi i ukoił gardło podrażnione gruźliczym kaszlem. Wszystko to jedynie utwierdzało go w poczuciu, jak bardzo są od niego oddaleni, jak zupełnie go nie znają i nie mają pojęcia o jego prawdziwej naturze.

Bo, prawdę mówiąc, od czasu, gdy po raz pierwszy spotkał Mulatkę, nic nie dało mu większego szczęścia. Czuł wielką satysfakcję, kiedy dachy zaczęły się zapadać w kaskadach ognia. Potem, kiedy wszystko, o co walczył, bił się i zabijał, na jego oczach pochłaniał ogień, poczuł, jak ta satysfakcja przemienia się w wielkie uspokojenie; kiedy roztapiał się w ogniu nieznośny ciężar przedmiotów nieożywionych, które stały się gigantyczną kotwicą przykuwającą go tak długo do osoby – Komendanta – którą już nie chciał być; do miejsca – Wyspy Sary – które początkowo znosił tylko dlatego, że nie było na świecie innego miejsca, gdzie mógłby pozostawać wolny i bezpieczny; do życia – jego własnego – które teraz uznawał za niewątpliwie absurdalne.

Salon, w którym podejmował zagranicznych dygnitarzy; sala balowa, gdzie odbywały się wielkie przyjęcia i orgie, gdzie ukrył się za długą zieloną kotarą z japońskiego jedwabiu, czekając na Mulatkę, by wziąć ją tam, od razu; Wielki Hol Historii Narodowej z licznymi portretami w całej postaci, na których namalowałem go jako szlachetnego mędrca, bohatera narodowego, starożytnego filozofa, nowoczesnego zbawcę, rzymskiego cesarza i napoleońskiego wyzwoliciela na stojącym dęba białym ogierze; wszystkie obrazy teraz pękały, wyrzuszały się i wybuchały płomieniem, a kiedy płótna pęczniały od intensywnego gorąca, postacie wydymały się, jakby nagle ożyły, jakby wreszcie zostały uwolnione ze swego wygnania na odległych ścianach i mogły uciec w dym wraz ze wszystkimi drażniącymi słabostkami i pragnieniami.

Wrzucił teraz w płomienie list sprzed ośmiu miesięcy od Thomasa De Quinceya, który dopiero co otrzymał. Autor był zrozpaczony: panna Anne zniknęła i bardzo się obawiał o jej bezpieczeństwo.

De Quincey miał też sen wywołany opium:

W oddali, jak plamka na horyzoncie, rysowały się kopuły i dachy wielkiego miasta – obraz lub błada abstrakcja, zapamiętana pewnie z dzieciństwa z jakiegoś widoku Jerozolimy. Bliżej niż w odległości strzału z łuku, w cieniu palm siedziała na kamieniu kobieta, przyjrzałem się jej, a była to... panna Anne! Wyglądała bardzo spokojnie, choć jej twarz miała wyraz niezwyklej, solennej powagi; patrzyłem teraz na nią z pewnym lękiem, ale nagle jej obraz zrobił się niewyraźny; odwrócony w stronę gór, dostrzegłem mgły kłębiące się między nami; za moment wszystko znikło, nadeszła głęboka ciemność i w mgnieniu oka znalazłem się bardzo daleko...

Komendant, rozumiejąc, jakim przekleństwem jest chęć spodobania się audytorium, czuł jednak, że De Quincey nie mógł napisać swego listu tak, by nie brzmiało w tym pragnienie usłyszenia uprzejmego aplauzu salonów dla jego sztuczki, kiedy ten londyński *literato* trąbi posepnie, pisząc, że nie mógł jej znaleźć, że docierały jedynie pogłoski o jej śmierci, a nawet gorzej: że ona w ogóle nie istniała, była jedynie postacią ze współczesnej powieści, którą autor się zmęczył i wysłał ją na emigrację do kolonii. Może on, jej ukochany brat, widział ją tam?



Jednak łzy Komendanta nie mogły ukryć przed jego zamglonym wzrokiem tego, co było tak oczywiste: charakter pisma De Quinceya i panny Anne były identyczne.

Siostra zdemaskowana jako fałszerz, podobnie jak jej brat; popioły jego narodu. Komendant odrzucił perfumowany ręcznik i wciągnął powietrze tak głęboko, że gęsta cierpkość dymu wywołała wymioty. Pojęcie nadchodzącego złotego wieku, ledwie ukrytego upadku, sprofanowanej utopii, piekła, które można wymazać tylko zdeterminowaną amnezją, wszystko to w końcu poczuł w dymie swego płonącego pałacu jako szaleństwo tych, którzy nie mogą zaakceptować życia.

Ogarnęło go przemożne uczucie, że się budzi, nie ze snu, tylko z jego przerażającej odwrotności, budzi się z rzeczywistości z przekonaniem, że wszelkie życie, prawidłowo rozumiane, jest szalonym snem, w którym jednostkę przemieszczają przypyływy, wiatry, wiedza – ciągle grozi jej zagubienie – że jest jedynie oniemiałym z wrażenia świadkiem codziennego cudu.

Myślał – nie denerwujcie mnie pytaniem, skąd Billy Gould wiedział, co Komendant myślał, bo jeśli do tej pory nie stało się oczywiste, że wiedział znacznie więcej, niż przyznawał, to już nigdy się nie stanie – myślał o wielu banałach, które przytaczam tu bez zachowania określonego porządku.

Nie ma Europy wartej skopiowania, nie ma mądrości poza płomieniami pożerającymi mój pałac. Istnieje tylko to życie, które znamy w pełnym cudzie jego brudu, świństwa i wspaniałości.

Pojęcie przeszłości jest równie bezużyteczne jak pojęcie przyszłości. Może się do nich odwoływać każdy przy wszystkich okazjach. Nigdy nie ma więcej piękna niż w tej chwili. Nie ma więcej radości, smutku czy cudowności niż w tej chwili, ani więcej doskonałości czy zła, czy dobra niż w tej chwili.

Prowadziłem życie bez znaczenia dla tego jednego znaczącego momentu i tego, co teraz wiem, a wiedza ta wyzwolił mój umysł i serce równie gwałtownie, jak się tam dostała.

Zastanawiał się, czy sam wytwórca perfum Chardin mógłby napęlić głowę Woltera zapachem tak ostrego Oświecenia.

Doszedł do wniosku, że poznał wszystkie te rzeczy w pełni i całkowicie, i odczuł to jako łaskę, uwieńczenie zupełnie poza tym bezcelowego życia. I wtedy zrozumiał, że jego myślenie było ostateczną, bezużyteczną próżnością i że jego myśli, tak jak jego pałac, rozpraszają się w dymie, a on tymczasem stoi z filiżanką herbaty z sasafrasu w ręku, a ta herbata staje się dziwnie ciepła.

Kiedy płonący dach pałacu się zapadł, kiedy trzeszczały zwęglone drewniane belki, trzaskały płomienie, przed przerażonym wzrokiem Komendanta zaciągnięte dymem niebo pociemniało od tysięcy ptaków powracających do swoich nor na piaszczystych wydmach. Silne przeczucie powiedziało Komendantowi, że zaraz otoczy go noc.

Myślał.

Byłem wszystkim tylko po to, by odkryć, że wszystko to nic.

Zgadywał.

Reszta jest milczeniem.

Sasafrasowa herbata w filiżance zaczęła się gotować. Jeszcze zanim zdążył rzucić ją na ziemię z powodu bólu, poczuł ze zgrozą, że złota maska tak samo się nagrzewa i zaczyna się topić jak melasa, zbyt późno poczuł, że wypala mu ciało, osmala skórę; nagle krzyknął, bo zrozumiał, że maska topi się na jego twarzy, na zawsze utrwalając jego obraz w obrazie kogoś, kto nie był nim, ale teraz nim się stał.

Sam w swoim pałacu wiedział, że jego przeznaczenie i przeznaczenie jego narodu były tym samym. Jedynym dźwiękiem wędrującym teraz po zasypanych popiołem korytarzach był trzask ognia; czy były to jego płuca, płomień, czy przeznaczenie nawołujące nawet teraz *klap, klap, klap* i wzywające go, czy był to jego własny oddech skrzeczący *brady, brady, brady*, czy skrzyp ognia skaczącego, podlatującego coraz bliżej, czy był to ten sam koszmar morza unoszącego się wyżej, wyżej, wyżej, i *brady, brady, brady* podchodzący coraz bliżej, bliżej, bliżej, a płomień piekielny coraz gorętsze...

## VI

W końcu wróciła mu jasność umysłu. Kiedy Komendant leżał z krwotokiem w zakrwawionej nadbudówce czarnego statku, zdarzyło się to, czego się od dawna obawiał: stał się nieśmiertelny. Nie przemienił się w wieloryba, jak utrzymywali później jego domniemani mordercy, tylko powróci do morza, skąd przyszedł.

Wcześniej, kiedy skrępowanego brudnym płóciennym kaftanem bezpieczeństwa niósł twarzą do ziemi duży oddział specjalnie wybranych żołnierzy wśród gasnących płomieni i nadal żarzących się belek tego, co było jego pałacem, ci wszyscy, którzy dostrzegli go przez spirale dymu, wiedzieli, że tego szamoczącego się, płaczącego karla nie można mylić z wizjonerem o zapędach tyrana, który tak długo był ich przywódcą.

Niemożliwe, by tego wrzeszczącego głupka – z cuchnącymi plamami na spodniach w miejscach, gdzie się posikał i zesrał, z czarną pianą rtęciowej śliny spadającej z rozkołysanych ust; którego twarz przypominająca surowy befsztyk została tak strasznie poraniona, kiedy żołnierze obcęgami ściągali stopione złoto maski – ktokolwiek mógł wziąć za naszego groźnego, wspaniałego patriarchę, który kiedyś na naszych oczach przemieniał statki w obłoki i zapraszał nas do wspólnego lotu, który zmienił, o czym nas stanowczo zapewniał, kolonię karną w Nową Wenecję.

Na długo przedtem i przed zamachem stanu pod wodzą Mushy Puga oznaki rozkładu były już widoczne dla czujnego obserwatora. Z chodników wyrastały grzyby, palmy kiełkowały ze ścian, nasiona drzew zwieszały się z otworów rynien, ale początkowo tylko nieliczni gotowi byli przyznać, że cała ta próżność działań, ten wspaniały karnawał handlu był iluzją, teatrem merkantylnego triumfu, który miał ukryć beznadziejność wyspy przed jej smutnymi mieszkańcami.

Jednak w miesiącach poprzedzających skok po władzę Musha Pug – obwisły worek z jajami huśtający się w tę i z powrotem – udawał, że w ogóle tego nie zauważa. Widziano go wszędzie, kuśtykał po całej wyspie jak zdradziecki trzynożny potwór, szepcząc słowa konspiracji i pretensji, czyniąc dwulicowe obietnice podziału łupów przyszej władzy, odkąd zaczął na drugim piętrze wiatraka gromadzić sekretny arsenał nowoczesnej broni amerykańskiej i liczne beczki chińskiego prochu obok dwustu niepotrzebnych zestawów do madżonga, już wcześniej tu zmagazynowanych.

Jednak wszystko, czego pożądał Musha Pug, już się waliło. W lecie przed pożarem przeznaczenie, które teraz wydawało się nieuniknione, jeszcze raz się zmanifestowało, kiedy diabły tasmańskie i zdziczałe świnie zaczęły błądzić po opuszczonych magazynach, a oposy zagnieżdżyły się w pokojach urzędników i aktuariuszy, zjadając przetykane złotem purpurowe zasłony. Kiedy pacholki na wielkich pustych nabrzeżach rdzewiały z braku polerowania przez liny zwijające się w jedną i drugą stronę, śliskość gnijących płatków geranium była wszędzie pod stopami – zapach rózu rozpuszczającego się w brąz, cielesne przekształcające się w fekalne.

Cholera, pomyślał Komendant, kiedy ludzie, których prześmiewał jako zdradzieckich buntowników, otoczyli go i polecili pod groźbą kary śmierci, żeby się poddał. Wszystko poszło w cholerę. Nic jednak nie powiedział, podniósł ręce, uznając, że cisza niezaprzeczalnej samotności powraca na zawsze.

Posadzili Komendanta i skłonili go, żeby pod ostrzem bagnetu podpisał wiele wyznań. Wszystkie były nieprawdziwe i żadne w swojej litanii kryminalnych zamiarów nawet nie zbliżało się do prawdziwych osiągnięć Komendanta, on jednak rozumiał potrzebę porządku u władz i podpisał, ponieważ archiwa były bożym żartem z pamięci, jedynym zrozumieniem dzisiejszego dnia, które pozostanie jeszcze nazajutrz.

– Historia, najokrutniejsza z bogiń – powiedział Komendant, oddając pióro po potępieniu siebie samego w imię licznych fikcji, zadziwiających go jedynie banalnością – prowadzi swój rydwan po ciałach zamordowanych.

– Powoli – odpowiedział strażnik na kolejne uprzejme pytanie Komendanta, dotyczące rodzaju czekającej go śmierci, kiedy czarny statek wypływał z Bram Piekielnych na wzburzone morze, żeby tam rzucić go na głębiny, ponieważ musieli to zrobić, nie mieli wyboru. Historia była tak szalona, zbrodnie tak olbrzymie, na szali znalazła się wina tak wielu innych, ponieważ mu uwierzyli, poparli go i wszyscy byli winni, więc lepiej, żeby umarł prorok, niż żeby ukarano jego wyznawców. „Nie tylko dlatego, że musimy – powiedział marynarz uśmiechając się, a miał łagodne, śliczne usta – także dlatego, że daje to jakąś przyjemność”.

W końcu stało się tak, jak od dawna przewidywał Komendant: żeby nie popełnił błędu co do zasady przyczyny i skutku i żeby zrozumiał, że życie jest głupio linearne, a nie tajemniczo koliste, na wyraźne polecenia marszałka Mushy (jak teraz nazywał siebie dawny konstabl) zwałszyli go i zmusili, żeby zgniótł własne jaja na miazgę młotkiem; potem nie udało im się pierwszym nożem rozpruć mu żeber, musieli wziąć piłę od bednarza, żeby dokończyć dzieła, żeby wyciągnąć jego serce i wymachiwać nim, wykrzykując triumfalnie:

– Ty draniu bez serca! Kto ci to dał?

... i nikt nie odczytał imienia Mulatki wypisanego na nim tak wyraźnie i jasno, żeby wszyscy widzieli; nikt nie dostrzegł, że tłuste serce było jej, na zawsze i zawsze, po prostu śmieli się i nie mogli przestać. Ale podczas tego całego karnawału owego dnia byli też tacy, co milczeli, nie z litości czy ze strachu, ale z zachwytu – bo on był ludzki, choć potworny, ale co go takim uczyniło, co odseparowało ich od niego?

Chciał powiedzieć, że w końcu zna odpowiedź na pytanie, które prześladowało go od tak dawna. Dążenie do władzy, stwierdził w swoich ostatnich chwilach przenikliwości, było najsmutniejszym wyrazem braku miłości, a co gorsze, zdolności do kochania. Miał ochotę krzyknąć: „Jestem uwięziony w samotni mojej miłości!”. Chciał wrzeszczeć: „Popatrz, jest tylko to, a ja tego nie widziałem!”. I w istocie nie był zupełnie pewien, czy nie krzyczał, bo jego oprawcy najpierw odskoczyli do tyłu, kiedy z jego ust wydobył się cichy jęk, a potem krzyknęli triumfalnie, zdecydowawszy, że był to ostatni wydech z płuc, wymuszony częściowym wybebeszeniem, który potrwa na pachnącej octem nadbudówce jeszcze przez kilka chwil.

## VII

W tym samym momencie, kiedy Komendant przekształcał się w legendę wielorybich rozmiarów, Pobjoy, zaczerwieniony nie tylko od rosnącego upału, stał przed wiatrakami – kwaterą główną *coup d'etat*, jedną z niewielu budowli nadal wystarczająco bronioną przed ogniem – opanowany przerażeniem. Kilka dni wcześniej sprzedał marszałkowi Mushy autentycznego Constable'a – moje najostatniejsze dzieło – za znaczną sumę bengalskich dolarów. Podczas wieszania odkryto na odwrocie obrazu malunek srebrzystego paszczaka, a marszałek Musha szybko odgadł charakter i przyczynę oszustwa.



We wnętrzu wiatraka, rozzuchwalony łatwością, z jaką przejął władzę, bez uciekania się do znacznej siły ognia, którą morderczo zgromadził na piętrze poniżej, marszałek Musha spędził ostatnią godzinę, krzycząc ze złością na swoich nowych zwolenników, że jest zbyt zajęty sprawami państwa, by rozmawiać, podczas gdy przez ten czas układał listę możliwych tytułów dla siebie.

Tytuł „marszałek” miał znajomy koloryt koszar, który początkowo mu się podobał, ale teraz go niepokoił. Szaleństwo Komendanta polegało na myśleniu, że można przerobić kolonię karną w naród, podczas gdy dla Mushy Puga nie ulegało najmniejszych wątpliwości, że znacznie skuteczniejsza byłaby spółka. Skreślił słowa takie jak Najwyższy, Pierwszy Konsul, Beneficencja, Wspaniałomyślność (miał tu naprawdę duże kłopoty z ortografią), i zakreślał właśnie Prezesa, kiedy wszedł Pobjoy, żeby się z nim rozmówić.

Pragnąc przekonać wszystkich obecnych, że czas to pieniądz, marszałek Musha wstał, podszedł do ściany, na której wisiał więzienny Constable i na oczach strażnika wyrwał płótno z rami i zmiażdżył je. Rzucił zwiniętym w kulkę płótnem do stóp Pobjoya i zażądał do następnego ranka podwojenia sumy, którą zapłacił za obraz, w przeciwnym razie Pobjoya spotka los dużo gorszy od tego, który wkrótce stanie się udziałem nędznego malarza Goulda. I na tym rozmowa się skończyła.

Po wyjściu Pobjoya marszałek Musha rozkazał oddziałowi gwardii pospieszne udanie się na drugi kraniec wyspy i powstrzymanie egzekucji Williama Buelowa Goulda. Cokolwiek wart był fałszywy Constable na wyspie Sary, jego wartość w Londynie była znacznie większa. Zbrodnią Komendanta było to, że zbyt wiele marzył, pomyślał marszałek Musha, a zbrodnią Pobjoya, że marzył zbyt mało. On sam jednak zamierzał iść drogą czysto merkantylnego, umiarkowanego wymuszania, które okazało się tak skuteczne z ludźmi pokroju Clucasa.

Na zewnątrz Pobjoy wypuścił z ręki zgnieciony obraz, który wpadł w popiół, pokrywający teraz wszystko. Żarzący się węgiel wypalił czerwoną dziurę w kuli płótna. Pobjoy splunął na dłoń. Myśląc, że chociaż stracił obraz, to przynajmniej zyskał świnie, ujął rączki wózka, na który załadowany był Castlereagh. Wzdychając z wysiłku, rozmyślał o skutecznym wykradzeniu Castlereagha z jego zagrody przed półgodziną, w zamieszaniu pożaru i buntu, nie zauważył więc teraz podmuchu wściekle gorącego wiatru, który porwał spod jego stóp kulę płótna i rzucił ją w powietrze.

Oczyrna duszy widzę ryby, świnię, Pobjoya; krótko mówiąc, całe nieszczęście. Pobjoy teraz odchodzi, o Boże, spójrzcie tylko na niego, jak wraca Bulwarem Przeznaczenia, oddalając się od wiatraka, pochylony, spocony, dyszący, zieleniejący z wysiłku, do którego nie jest przyzwyczajony; chudy niczym wędzący asparagus męczyzna, pchający mocno skrepowaną i niezręcznie przywiązaną monstualną świnię w wózku ręcznym, nieprzystosowanym do takiego obciążenia. Zarówno Świnia, jak i Pobjoy nie zdawali sobie sprawy, że za nimi hulający wiatr zmienił błyszczącą czerwoną dziurę w płótnie w płomień.

Proszę tylko nie pytać, skąd wiem takie rzeczy, bardzo proszę: jeśli chodzi o ryby, wiem wszystko – albo prawie wszystko – a poza tym niegrzecznie jest przerywać w połowie opowiadania o tym, jak ten biedny zgnieciony paszczak wybucha płomieniem, przekształca się w większą kulę ognia i jak następnie ta rosnąca ognista kula podrywa się na wietrze w całej swojej ognistej wspaniałości, dociera na drugie piętro wiatraka i wpada przez okno do tajemnego arsenału Prezesa, gdzie trafia w sam środek kilkudziesięciu baryłek z prochem.

## VIII

Usłyszałem wielki wybuch.

Poczułem, jak pulsuje ziemia i powietrze, niczym żywe rozhuśtane urojenia.

Wydawało się, że upłynęło całe życie, choć pewnie nie trwało to dłużej niż sekundę czy dwie, nim rozległy się okrzyki tych, którzy w odróżnieniu ode mnie mogli obserwować spektakularny widok statycznego świata w nagłym i całkowicie majestatycznym ruchu – oto lokomotywa Komendanta wyskakująca pod niebo w ryczących kawałkach; wagony wystrzelone w stronę gwiazd niby kij rzucony psu; wszędzie fruwały wielkie żelazne koła jak spłaszczone kule armatnie; gipsowe popiersia Cyncerona i drzazgi półek z Rejestru; strony otwartych ksiąg trzepoczące jak skrzydła konających ptaków; a także ściany – jeszcze z obrazami i lustrami – wydymające się jak arkusze papieru na wietrze; skulone ciała, już bezwładne, wbite w różny sposób na tyczki, balaski poręczy, nogi krzesel, nierówne deski podłogi wznoszące się jak liście jesienne dziwnie przekrzywione w stronę dzikiego czerwonego słońca; tysiące fragmentów listów panny Anne, wyśpiewujących istnienie Europy, wybuchających w tysiące atonalnych dźwięków, i ostatni krzyk marszałka Mushy rozpadający się na równie wiele cząsteczek jak rozerwana torba na jaja.

Słońce stawało się jakby większe i bardziej czerwone, aż przybrało kształt monstrualnej krwawej kuli, której dokładne zarysy niknęły w tej ciemnej katastrofie pamięci; zgubiony w niej na zawsze Brady i jego wielka armia wyzwolénca, cud Pliniusza, nasze nadzieje, wizja Narodu Komendanta, listy miłosne, pionki do madzonga, republika marzeń, świńskie kłykcie i kawałki Pobjoya.

Ale skąd mogłem wiedzieć w mojej celi, że inni będą odbudowywali wyspę, na nowo pisali historię i że raz jeszcze potępią nas wszystkich? Bo kiedy wystawiałem rękę przez kraty, czułem jedynie łągodny, choć intensywny czarny deszcz spadający na ziemię, a wszystko, co mogłem zobaczyć, to nasze zbiorowe próżności powracające teraz do nas jako masa popiołu; ale nigdy nie mogłem się dowiedzieć, że dymiące morze to rozczłonkowany obraz tego, który jest odpowiedzialny za ostateczną apokalipsę: zwęglone szczątki srebrzystego paszczaka.

## IX

Kołnierze z lanego żelaza, łańcuchy, kolczaste okowy, zapach umierających ludzkich dusz i żywych ciał, a także prawdziwy kolor cierpienia, cudowna prawda pogardy, wspaniała wolność zaniedbania, niemożliwy do wypowiedzenia strach wielu ryb i moja nieodwzajemniona miłość do nich: rzeczy, które poznałem i nigdy już nie poznam. Ten świat mnie zranił, wystawiłem więc moją duszę na widok publiczny pod postacią słów i obrazów, ale pozwolono mi to robić bez żadnych innych zobowiązań, bez oczarowania czymkolwiek innym niż tylko tą samą drżącą nagą duszą.

Gdyby taki temat moich obrazów uczynił mnie sławnym, wiedziałbym o tym: byłbym uwodzony, pochlebiano by mi, okłamywano by mnie, moje niedorzeczne opinie uznano by za znaczące, moją nędzną obecność za błogosławieństwo, a moją nieciekawą twarz za atrakcyjną. Fałszywe honory, ponura powaga sukcesu, więzienie reputacji; mężczyźni pragnęliby zasypać moje oczy złotym deszczem, kobiety położyć się ze mną, wszyscy byliby spragnieni mojego towarzystwa czy choćby najdrobniejszego dowodu mojego zainteresowania, szkicu, notki, aluzji, że zostali zauważeni. To wszystko należałoby do mnie. Byłoby moje i więcej niż moje; moje nazwisko stałoby się czymś więcej niż moja praca. Moja praca znaczyłaby coraz mniej i mniej, szczególnie dla mnie. Chciałbym własnej śmierci.

Przez wiele lat malowałem ryby i prawdą jest, że ostatnio byłem niewierny. Porzuciłem je i spaliłem, ale nigdy nie przestałem ich kochać. Byłem jak Wolter, który kochał madame du Châtelet tak bardzo, że mógł zajmować się całą plejadą innych kobiet, aż w końcu ona też miała krótki romans, w wyniku którego zaszła w ciążę. Zbyt późno Wolter uświadomił sobie, co mógł utracić, powrócił więc, by być świadkiem, jak jego wielka miłość umiera w połogu – i dlatego właśnie, spodowawszy tyle cierpień, skończył, co było słuszne i odpowiednie, jako pustogłowa butelka do perfum, używana po wsze czasy do dawania kobietom przyjemności.

Świat na zewnątrz błyszczał czerwienią. Wewnątrz celi, brązowym atramentem wykonanym z ostatniego najbardziej rozpaczliwego środka – gnojówki złożonej ze śliny i pocisków normalnie zarezerwowanych dla przyjemności Pobjoya – zapisywałem teraz ostatnie godziny kolonii i moje, tym prawdziwym atramentem więźniów, ową umbrą biedaków, którą wykorzystują do mazania swojego protestu, wściekłości, nienawiści i strachu przed tym gównianym światem, upapranych w gównie rękami robią gówniane napisy na ścianach celi w nadziei, która, jak się łudzą, nie będzie płonna – że miłość jednak znajdzie ich w końcu, jeśli tylko wkopią się wystarczająco głęboko we własny rozpad.

Billy Gould wolał raczej słowa i pozostałe kartki papieru Pobjoya, co sprowadza się właściwie do tego samego: możecie odczytać jego bazgraninę dowolnie – jako pretekst do kolejnego bicia, jakby powiedział Pobjoy; wściekanie się na noc, jak mógłby to określić krytyk; jako testament wiary, jeśli chcecie, lub, jak on woli – wyznanie niepowodzenia.

Przez wiele lat malowałem ryby i muszę teraz powiedzieć, że to, co zaczęło się jako rzecz narzuconą, co zaczęło się jako rozkaz, stało się wygodną potrzebą, a potem aktem kryminalnym – teraz jest moją miłością. Początkowo próbowałem, mimo artystycznych niedociągnięć, stworzyć zapis tego miejsca, historię jego ludu i jego historii, a wszystko to miało być rybą. Początkowo miało obejmować każdego z nich, wszystkich tych ludzi pozbawionych twarzy, niemających portretów, którzy istnieją poza swoimi ciałami tylko jako wyrok wygnania, kartoteka więźniów, lista chłosty, tatuowany inicjał na torsie czy ramieniu współskazańca, siny i zarośnięty włosami; tandetny wisiołek na grubej pomarszczonej szyi, kojarzący się z jędrnym, słodkim ciałem młodej kobiety; pamięć zanikająca szybciej niż nadzieja.

Marzyłem o tym, że będę malować ryby lepiej niż ktokolwiek w historii; że Rembrandt van Rijn, Rubens czy jakikolwiek mistrz renesansu nie mógłby dorównać Billy'emu Gouldowi, że moje ryby będą wisały w najwspanialszych domach, szczegóły łusek i skrzeli chwalić będą pokolenia profesorów w perukach.

Wypełnię wielką londyńską galerię tymi zmutowanymi obrazami, tak że ludzie przychodzący je oglądać zorientują się wkrótce, że pływają w dziwnym oceanie, którego nie potrafią rozpoznać, poczują wielki smutek z powodu swojej tożsamości i wielką miłość dla tych, kim nie są, a wszystko to będzie niewyraźne i bardzo jasne zarazem, i nigdy nie potrafią niczego z tych rzeczy wytłumaczyć nikomu.



Wtedy dotarło do mnie, że to próżność. Nie przejmując się wcale, czy w ogóle gdzieś zawisną, nie przejmowałem się już nawet tym, czy moje obrazy były dokładne lub słuszne w taki sposób, jak tego wymagał Doktor czy księgi naukowych opisów Linneusza. Chciałem po prostu opowiedzieć historię miłości, a było to o rybach, o mnie, o wszystkim. Ponieważ jednak nie mogłem namalować wszystkiego, ponieważ mogłem namalować tylko ryby i moją miłość i ponieważ nawet tego nie umiałem robić bardzo dobrze, możecie uznać, że nie jest to nadzwyczajna historia.

Zrobiłem się starszy. Moim szefem została Świnia. Byłem skazany na śmierć. Postawiliśmy świat w płomieniach. Zdałem sobie sprawę, że to nie rybę usiłowałem złowić w sieć, tylko wodę, że chodziło o samo morze i tak jak sieć nie może zatrzymać wody, tak ja nie potrafię malować morza.

Jednak kontynuowałem sporządzanie *Księgi ryb*, ponieważ nie mogłem jej prześmiać czy przetańczyć, co potrafiłaby zrobić Dwupensowa Sal, ponieważ nie umiałem jej przepłynąć i przeżyć, tak jak moi bohaterowie, ponieważ ta najbardziej niewspółmierna forma komunikacji – te obrazy i słowa, które spływają martwe z mojego pędzla i pióra – to było wszystko, co potrafiłem sobie uświadomić.

A jednak moje obrazy miały być – jak pouczył mnie pierwszego dnia Doktor – Życiem, nie Śmiercią. Miałem zrozumieć sposób poruszeń ich łusek, ciała i skrzeli, żeby zrobić możliwie najdokładniejsze studia i za każdym razem, ilekroć były na stole bliskie wyzinięcia ducha, miałem wrzucić je z powrotem do rynienki z morską wodą, żeby je ożywić i żeby one, tak jak ja, mogły jeszcze troszkę dłużej trzymać się życia.

Chciałem opowiedzieć historię miłości, zabijając powoli tamte ryby i nie wydawało się to w porządku, że powoli zabijałem ryby po to, żeby opowiedzieć taką historię. Złapałem się na tym, że mówię do umierających ryb, kiedy ich ruchy robią się niezdarne, kiedy ich mózgi stopniowo przestają funkcjonować z braku tlenu.

Powiedziałem im wszystko o sobie, o tym, że byłem podłym draniem, który na nowo podrobił samego siebie jako gorszego malarza, ale jednak malarza. Chciałem opowiedzieć historię miłości, kiedy tak powoli zabijałem tamte ryby i wyjaśniałem im, że moje obrazy nie były przeznaczone dla Nauki czy Sztuki, ale dla ludzi, żeby ich rozśmieszyć, skłonić do myślenia, dać im towarzystwo, dać nadzieję i przypomnieć tych, których kochali i tych, którzy ich jeszcze kochają, za oceanem, za śmiercią, i że w chwili malowania wydawało się ważne, by malować właśnie tak.

Ale ludzie nie to chcieli widzieć w obrazach, chcieli widzieć swoje zwierzęta martwe i swoje żony martwe, chcieli czegoś, co pomagało im klasyfikować, sądzić, trzymać martwe zwierzęta, martwe żony i bliskie rychłej śmierci dzieci na właściwym miejscu, w więzieniu ram i ta sprawa szmuglowania nadziei mogła ich skłonić do zastanowienia, mogła być siekierą, co rozbiła zamrożone w środku morze, mogła sprawić, że martwi się obudzą i popłyną swobodnie. I nie był to obraz wart dwa penty, ale coś bardziej kryminalnego niż kradzież.

Oszukiwałem się nadzieją, że ta śmierć, jaką narzucałem każdej malowanej rybie, może być dla niej chwilą głębokiego wyzwolenia, czymś, na co może wyczekiwać, tak jak ja czekam teraz na szubienicę jako błogosławione wyzwolenie.

Prawda jednak polegała na czymś innym: że ryby wyczuwały, że ja też jestem umierający, że z każdym mijającym dniem coraz mi trudniej oddychać powietrzem tej cuchnącej osady, tej gęstej, zadymionej chmury opresji, degradacji i podporządkowania. Moje ruchy też stawały się coraz wolniejsze, skóra też mnie piekła, oczy zachodziły mgłą i wszyscy wiedzieliśmy, że ryby, od tak dawna obiekt mojego zachwyty, wkrótce wezmą odwet.



# ZAROŚNIĘTY PŁAWIKONIK

*Traktujący o tragicznej śmierci Brady'ego – Krótka bitwa –  
Dramatyczna ucieczka spod szubienicy – O towarzystwie ryb  
– Zagubiony w morzu – Wyspa zapomnienia – Heretyckie  
myśli – Powrót pana Hunga – Rychłe schwytanie*

I

Moją tragedią było to, że stałem się rybą. Tragedią Brady'ego było to, że się nie stał. Bo ja nadal żyję, a Brady nie; wiem, że on nie żyje, bo ja też ucztowałem na jego bezgłowym ciele (jego głowa, w przeciwieństwie do życia, najwyraźniej miała jakąś wartość dla gubernatora), kiedy wrzucono je z nabrzeża Konstytucji do rzeki Derwent. Dla mnie nie istniała magiczna transformacja, kiedy wypadają włosy, skóra powoli rogowacieje i dzieli się na nieskończoność łusek, kiedy kończyny gną się i szarpią, stają się przezroczyste i zaostrome jak płetwy; nie ogarnęła mnie świadomość cudowności, kiedy zacząłem odczuwać moc napędową i kontrolną długiego ogona wyrastającego za moim tyłkiem, nie poczułem żadnej paniki, kiedy za moimi ustami wyskoczyły skrzela, a potrzeba wody stała się znacznie silniejsza i głębsza niż to, co można określić zwykłym i prześmiewczym słowem pragnienie.

Po prostu przebywałem zbyt długo w ich towarzystwie, patrząc na nie, popełniając niemal kryminalne szaleństwo polegające na myśleniu, że jest w nich coś indywidualnie ludzkiego, podczas gdy prawda polega na tym, że to w nas jest coś nieodwracalnie rybiego. W jednej chwili byłem więźniem fałszerzem, łotrem udającym artystę, stojącym na szubienicy na molo, a w następnym momencie widziałem, że został mi już tylko ostatek energii, który muszę wykorzystać. Wspaniałym saltem wykręciłem się z pętli, odbiłem od słupka pomostu i wpadłem do morza.

Muszę jednak być bardziej precyzyjny.

My, skazani mieszkańcy cel śmierci i dwunastu naszych strażników, byliśmy odizolowani od katastrofalnych wydarzeń, które tak szybko ogarnęły wyspę. Ogień szalał na grzbiecie wzgórz tuż za celami, buntownicy nie szukali pomocy czy wsparcia żołnierzy na wysuniętych placówkach, byliśmy więc niespaleni i nieświadomi ważnych wydarzeń rozwijających się za wzgórzem po drugiej stronie wyspy. Jednak rozmaite pogłoski o inwazji rozpoczętej przed godziną przez angielską Królewską Marynarkę Wojenną, o zamachu stanu, o zamordowaniu i cudownym zmartwychwstaniu Komendanta, o gigantycznej eksplozji, która według obdartych i rannych rozbitków, docierających powoli w naszą część wyspy, jest zaledwie początkiem zemsty Komendanta, wywoływały coraz większe zdenerwowanie grupki strażników. Sierżant utrzymywał dyscyplinę, twierdząc, że muszą działać tak jak dotychczas, bo inaczej Komendant na pewno ich zabije, a najważniejszą sprawą jest przeprowadzenie wyznaczonej na ten dzień egzekucji.

Zaprowadzono mnie na nabrzeże, wszedłem na szubienicę, popatrzyłem tęsknie na niebo w kolorze wędzonego łososia, a potem, już z opaską na oczach, wyczułem, że niebiosa nie są puste, lecz pełne martwych dusz, wzywających, bym do nich dołączył. Nie słuchałem żadnych modlitw kapłana, pogodnie pomachałem w kierunku, skąd dochodziły odgłosy grupki współwięźniów, zmuszonych do asystowania i oglądania, śmiałem się z nimi i pławiłem się w podziwie, jaki okazywali mojej białej komeźce z rękawami dużo dłuższymi niż ręce. Wspaniały haft przedstawiający rybę ozdobił moje piersi, dekorację stanowiły też długie wstążki wodorostów, którymi obrzucili mnie prześmiewczo strażnicy – „Hej, królu Neptunie!” – i na długo przedtem, nim zauważyli to pozostali, wiedziałem, że jestem potępiony w sposób znacznie gorszy.

W moich ciemnościach wyczułem ich nadejście, czułem dudnienie ziemi pod ciężkimi stopami, zacząłem w myślach pisać książkę, moją własną popularną broszurkę za sześć pensów, która zaczynała się jak wszystkie porządne wyznania skazańców – *Moją matką jest ryba*, a kończyła mniej więcej tak: *klik-klak, tik-tak, głuptas Billy Gould na koniku morskim jedzie do Banbury Cross*. Ta księga ryb, którą wymalowałem kolejnymi pociągnięciami pędzla, w tym momencie pomiędzy chwilą, gdy jeszcze byłem ciałem, a już nim nie byłem, momencie zakończonym najbardziej niespodziewanie...

Ale akurat wtedy rozległ się krzyk. Nie odwróciłem się i nie uciekłem, jednak zwróciłem się przodem w tamtą stronę, żeby lepiej skoncentrować wszystkie zmysły na moim losie.



Na widok zbliżających się żołnierzy z opuszczonymi bagnietami na muszkietach niewielka, poprzednio wylękniona, a teraz przerażona grupka strażników, którzy mieli mnie powiesić, wpadła w panikę. Strzelili do zbliżających się żołnierzy, którzy z kolei ukłękli za przewróconą łodzią rybacką i szykowali się do podjęcia walki. Żaden strzał nie był przeznaczony dla mnie, teraz oczywiście to wiem – ci nadchodzący żołnierze mieli mnie uratować i uwolnić, prawda?

Ale moi strażnicy zajęli pozycje, traktując szubienicę jak barykadę. Muszkiety nawet w najdogodniejszych sytuacjach są boleśnie niedokładne, a ja, z głową nadal w pętli kata, stanowałem jedyny nieosłonięty cel.

To ja poczułem gorący zapach prochu, nim pozostali zobaczyli opuszczone i wycelowane muszkiety przeciwników; tylko ja poczułem lekki podmuch powietrza, wywołany ruchem muszkietowej kuli lecącej bezapelacyjnie od przewróconej łodzi wielorybniczej w stronę szubienicy, podczas gdy spokojnie czekałem na nieunikniony wybuch w moich piersiach, co trwało wielokrotność jednego życia.

Widzicie więc, że był to zarówno mój los, który zaakceptowałem i przeciwko któremu się buntowałem, jak i moje przeznaczenie, by świadomie pochwycić tę kulę moim ciałem, ale posłużyć się jej impetem do tego, by przechylić się w tył, wyszarpać głowę z niechlujnie zawiązanej pętli, nagłym saltem wyskoczyć ze zniewolenia, dać susa z szubienicy na pomost. Czuję, jak moje ciało wygina się do tyłu, niby żagiel prężący się powoli przy pierwszym uderzeniu wiatru, i zaczyna się podróż w nieznane; wypełniałem się i wydymałem, staczając się z pomostu, wpadłem w morze koloru ochry i czerwieni, wtedy woda zdjęła opaskę i moje przytępione oczy znowu zaczęły widzieć; wiedziałem, że moje wyznania niemal dobiegły końca, a zaczęła się kara.

Ciało płonęło niewymiernym bólem pokuty. Moją równowagę tak bardzo naruszyło długie przebywanie poza wodą, że początkowo unosiłem się, leżąc na boku, a dopóki nie wciągnąłem kilku głębokich wdechów wody, w ogóle nie mogłem wykonać żadnego ruchu.

Usłyszałem krzyk dowódcy żołnierzy zza łodzi wielorybniczej:

– Tylko jego chcemy! Musimy odprowadzić z powrotem Goulda malarza!

Poczułem kroki żołnierzy i gapiów pędzących wzdłuż pomostu, by obejrzyć i omówić cud, który się właśnie zdarzył.

Słyszałem okrzyki pomieszania, które co prawda dochodziły do mnie z góry jako dziwne niskie wibracje, nie jako przenikliwe wrzaski niedowierzania. Wyczuwałem kłótnie tych, którzy widzieli, z tymi, którzy nigdy nie zobaczą, jako bezsensowne, płytkie, choć głośne dudnienie. Odzyskany wzrok pozwolił mi zobaczyć, jak powoli spadają kule z muszkietów, jak siłę ich wybuchu amortyzuje zderzenie z wodą; jedynie grawitacja ciągnęła je w dół, niewielką mżawkę ospałych czarnych ziaren, a dalej wiosła na próżno uderzające o powierzchnię wody, próbujące pewnie trafić we mnie, a potem, trochę sprytniej, rozciągniętą w pobliżu sieć.

Później zobaczyłem haczyki oszczepu opuszczające się w moją stronę i wiedziałem, że próbują wyciągnąć mnie z powrotem do niewolnictwa. W męczarniach, których żadna istota ludzka nigdy nie zrozumie, a żadna ryba nigdy nie potrafi opisać, zmusiłem swoje ciało do schodzenia w dół, daleko, daleko od światła.

## II

Unosiłem się, wdychałem wodę, opadałem, wznosiłem się znów, mój ciężar zdawał się niczym w porównaniu z tym, co znałem kiedyś, frunąłem przez wodę, przedzierając się przez roztańczone lasy wodorostów, dotykałem morskiej sałaty, koralu, wszystkich ludzi, których znałem, brzuchatych koników morskich, *kelpys*, ryb najeżek, skaberów, skórzastych płaszczyk, węgorzy, piłonosów, grzebieniastych klinków, srebrzystych paszczaków, a morze było nieskończoną miłością, obejmującą nie tylko tych, których kochałem, ale i tych, których nie kochałem, tak samo Komendanta jak Capois Deatha, aborygenów, którzy zabili Capois Deatha, tak jak Trackera Marksa, Doktora i niszczyciela maszyn, oni wszyscy mnie dotykali, a ja dotykałem ich, tak jak Tracker Marks już całe życie temu wyciągnął rękę i dotknął mnie.

Kto mógłby się bać takiej słodyczy?

W pobliżu rafy natknąłem się na pasiastą sinorózkę; podała mi swoje prawdziwe imię, a ja rozsunąłem fałdę między jej pośladkiem a udem i polizałem ją tam, szukając spełnienia obietnicy jej zapachu, a potem przejechałem językiem po jej udzie i lizałem mięśnie łydek, wspaniały łuk podbicia, radosne wałeczki palców u nóg, a we wszystkim czułem smak tysiąca składników jej zapachu, które jeszcze nie były jej zapachem, i wymówiłem jej imię i wszystko było wodą, smakowałem wysuszoną sól z patelni jej pleców, przekręciła się wolniutko i odwróciła wzrok, ale ja widziałem tylko cud unoszących się piersi i badałem wargami ich ciężar, smakowałem jej ramiona, zanurzałem nos w cudowne wgłębienia pach i poczułem, że jej ruchy, początkowo chętne, choć sztywne, stają się bardziej powłóczyście, ociążałe, potem popatrzyła na mnie z bliska, zamknęła oczy, jej kończyny rozkwitły, a ja lizałem to miejsce, które było trochę słone, trochę cierpkie i jeszcze inne, jej gorący oddech urywał się i rzęził, obróciłem jej pośladki, moje nozdrza zaczęły się poruszać, zacząłem poznawać obietnicę spełnienia jej zapachu i przypomniałem sobie historię Astomich, którzy odżywiali się wyłącznie zapachami, a skąd miałem wiedzieć, że przez niemal dwieście lat ja również tak żyłem? – jak opisał to Pliniusz dawno temu i jak na próżno szukał tego na morzach południowych Amado Nieostrożny – żywiąc się jedynie zapachem kobiety i wtedy już nie lizałem, nie patrzyłem, nie wąchałem, jechałem na jej zapachu, a ona na moim i byłem jej zapachem i oboje byliśmy poza jej zapachem i buntowaliśmy się na swój sposób i pomyślałem: „O moja słodka, jakże na to czekałem!” i jeszcze pomyślałem:

„Jak umrę, poznawszy to?”.

Wszystko to, co jest poza nami, wszystko, co trwa i trwa, zawsze do zewnątrz, świat bez końca, nasz trzeci krąg.

### III

To było dawno, dawno temu.

Teraz żyję w idealnej samotności. My, ryby, przebywamy w towarzystwie, to prawda, ale nasze myśli należą do nas i są absolutnie nieprzekazywalne. Nasze myśli sięgają głęboko i rozumiemy się wzajemnie tak gruntownie, że pojąć to mogą jedynie nieobciążeni mową i związanymi z nią komplikacjami. Jest więc nieprawdą, że ani nie myślimy, ani nie czujemy. W istocie poza jedzeniem i pływaniem tylko to zajmuje nasze umysły.

Lubię moje towarzyski ryby. Nie narzekają z powodu drobnych, nieistotnych spraw, nie wyrażają poczucia winy z powodu swoich działań, nie starają się też przekazać innym zarazy klękania, wysuwania się naprzód czy posiadania przedmiotów. Nie przyprawiają mnie o mdłości swoimi dyskusjami o obowiązkach wobec społeczeństwa, wobec nauki czy jakiegoś Boga. Ich wzajemna przemoc – morderstwo, kanibalizm – jest uczciwa i pozbawiona zła.

Jednak pewne rzeczy stają się dla mnie tym mniej zrozumiałe, im dłużej się nad nimi zastanawiam.

Na długo przedtem, nim byłem rybą, liczyło się dla mnie tylko to, żeby moje obrazy wyrażały uczucia poza grobem, żeby przemawiały do innych. Do tych, którzy potrzebują pocieszenia. Tych, którzy są przerażeni.

Muszę przyznać, że czasami jeszcze tęsknię do tego, żeby umieć posługiwać się ludzką mową, choćby przez kilka chwil, żebym mógł wyjaśnić, jak pragnąłem kiedyś żyć jako eksplodująca tęcza kolorów, gorące słońce rozpadające się w delikatnym deszczu, a zamiast tego musiałem się zadowolić stawianiem niechlujnych znaków na tanim kartonie. Żebym mógł powiedzieć, jak pragnąłem kiedyś wznieść się do nieba, potrząsnąć nim, wpaść do morza i poruszyć ziemię; poznać piękno i cud tego świata, piękno i cud, które, z czego teraz zdaję sobie sprawę, są tak nieograniczone jak ich przeciwieństwo; jak pragnąłem, żeby inni poznali to razem ze mną i jak nic z tego wszystkiego nie wyszło.

Chciałem, żeby moje obrazy przemawiały, ale czy ktoś słuchał? Z tego powodu straciłem życie, przez to mój rozum uległ zniszczeniu. W porządku, nie narzekam – ale po co to było? Moje uczucia nigdy nie zakończyły podróży w roli znaczenia, które inni mogliby przełamać jak chleb i dzielić się nim. Moje obrazy były wieloma niemowami.

Otworzyłem się na wszystko. Im więcej czułem i im więcej tego uczucia przelewałem na moje ryby, tym więcej uczucia widziałem wokół. Cały ten ból, cały smutek, cała beznadziejna miłość w każdym pokawałkowanym życiu, w każdym ukrytym sercu, aż pewnego dnia nie mogłem już znieść oglądania tych wszystkich uczuć, bólu i miłości i spaliłem moją księgę ryb, pożegnałem się z nią i do widzenia! Przebrałem się tak, że wyglądałem jak inni, wyhodowałem wodorosty wokół torsu i szyi, więc kiedy pływałem, nie dało się mnie odróżnić od lasów wodorostowych, gdzie od czasu do czasu szukają mnie nurkowie.

Niektórzy, co mają sieci, chcą mnie złapać i sprzedać chińskim aptekarzom, tym ludziom mistycznej medycyny, którzy na wzór swoich przodków, tak doskonale handlujących kiedyś z Komendantem, włożyliby moją łupinę do moździerza i roztarli na pył pozostałą esencję, której potem przypisałiby właściwości legendarnego libido i odpowiednio wysoką cenę. Mówią, że przyjemnie jest być chcianym, ale nie jestem tego pewien. Każda ambicja, powiedział mi kiedyś Capois Death, jest dobra, dopóki jest realizowana, ale w chwilach większych aspiracji miałem nadzieję, że będę wart coś więcej niż chwilowa erekcja.



Inni mają podwodne kamery. Filmują mnie i fotografują, ponieważ jako zarośnięty pławikonik uchodzę za prymitywny relik, którego przedstawiciele są na skraju wyginięcia. Tak więc ja, który byłem artystą, stałem się obiektem; ja, do którego należała pomoc w klasyfikacji, teraz stałem się klasyfikowanym. Moje niewielkie cienkie skrzela trzepoczą się jak skrzela duszka, patrzę na nich, a oni na mnie, osłupiali na widok moich cudownych kolorów, moich pogodnych ruchów, a ja się zastanawiam.

Problem, który mnie prześladowuje, kiedy oni mnie ścigają, a ja gonię kraby i czaję się wokół obfitujących w ryby raf blisko Wyspy Bruny, którą uczyniłem moim domem, jest następujący: czy człowiekowi łatwiej jest przeżyć życie pod postacią ryby, czy zaakceptować cud bycia człowiekiem?

Tak samotny, tak przerażony, tak spragniony tego, co boimy się głośno wyrazić. Co między umarłym a żywym?

Pośród obracających się diagonalnych filarów światła i ciemności, które zdobią paskami mój wodny świat, chciałbym zadać owym nurkom te i inne pytania: dlaczego władają mną dwie zupełnie przeciwstawne emocje? Proszę mi to wyjaśnić, chociaż to się nie da wyjaśnić, ale nadal pragnę wiedzieć, dlaczego – dlaczego, choć wszystkie dowody mojego życia świadczą o tym, że ten świat cuchnie gorzej niż wynurzające się ciało starego Duńczyka, dlaczego nie mogę przestać wierzyć, że świat jest dobry i że bez miłości jestem niczym?

Czasami mam nawet ochotę postukać moim długim ryjem w gogle tych nurków i zapytać: chcecie wiedzieć, co się stanie z tym krajem? Spytajcie mnie – w końcu, jeśli nie możecie uwierzyć kłamcy i fałszerzowi, dziwce i donosicielowi, skazanemu mordercy i złodziejowi, to nigdy nie zrozumiecie tego kraju. Bo wszyscy jakoś paktujemy z władzą, na ogół sprzedalibyśmy brata czy siostrę, by mieć trochę spokoju. Wszyscy zostaliśmy przyuczeni do życia w moralnym tchórzostwie, choć cały czas pocieszamy się tym, że jesteśmy naturalnymi buntownikami. Ale tak naprawdę nic nas nigdy nie przygnębia ani nie ekscytuje; przypominamy owce, potulne aż do zarżnięcia, a żeby zrobić dla nich miejsce, wystrzelaliśmy aborygenów.

Wszystko, co złe w tym kraju, zaczyna się w mojej historii: zawsze starano się przedstawić to miejsce, już od czasu gdy Komendant próbował na nowo wymyślić Wyspę Sary jako Nową Wenecję, jako wyspę zapomnienia, bo wszystko jest łatwiejsze niż pamiętanie. Zapomną, co się tu działo przez sto lub więcej lat, potem wyobrażą to sobie na nowo zupełnie tak, jak zrobił to stary Duńczyk, ponieważ każda historia będzie lepsza od smutnej prawdy, że nie Anglicy nam to zrobili, tylko my sami, że więźniowie biczowali więźniów, szczali na aborygenów i szpiegowali się nawzajem, że aborygeni sprzedawali czarne kobiety dla psów i przebijali dzidami zbiegłych skazańców, że biali łowcy fok zabijali i gwałcili czarne kobiety, a one z kolei zabijały rodzące się w wyniku tego gwałtu dzieci.

No więc macie dwie rzeczy, których nie mogę połączyć, które mnie rozszarpują. Te dwa uczucia, ta znajomość świata tak straszego, to poczucie życia tak nadzwyczajnego – jak mam je rozstrzygnąć? Czy człowiek może stać się rybą? Wszyscy nurkowie, którzy przyszlście tak daleko, by zgłębić moją tajemnicę, te pytania, to dobro i zło, tę miłość i nienawiść, to życie, rozstrzygnijcie dla mnie to wszystko, nadajcie sens mojej historii, połączcie mnie z tym życiem, powiedzcie mi, że nie jest to nieodłączna część mojej natury – błagam was...

Bo nie jestem pogodzony z tym światem.

Chciałem być i nie byłem, więc próbowałem napisać ten świat na nowo jako księgę ryb i uporządkować go w jedyny znany mi sposób.

Ale mój sposób był nic nieznaczący, moich krzyków nie wysłuchano, moje obrazy opluto, nim przepadły na wieczność. Teraz po prostu patrzę i towarzyszy mi ta śmieszna, nieprawdopodobna myśl: świat jest dobry, myślę, świat jest dobry, jest dobry.

Niewiele z tego wynika, wiem.

W najlepszym razie jest to myśl heretycka, za którą czeka nieunikniona i już spóźniona kara. Księga snów Matta Brady'ego mówiła prawdę: kochać nie jest bezpiecznie.

Za maską nurka, zbliżającego się teraz do mnie z siecią, rozpoznałem charakterystyczną twarz pana Hunga polującego na kolejne okazy do swojego akwarium; wiem, że to tylko kwestia czasu, nim będę wyglądał z tego oświetlonego neonem zbiornika, w który kiedyś tak intensywnie się wpatrywałem; że podczas gdy Conga i pan Hung planują kolejny przekręt, polegający na podrobieniu dziennika skazańca sprzed dwóch stuleci i będą się starali sprzedać go jako autentyczną historię, patrząc czasami na mnie w głębi akwarium, zastanawiając się być może, jak to jest być rybą, ja będę patrzył na nich, myśląc, jak by to było być takim jak oni, wiedząc, że przekręt to po prostu sen i że sen jest rzeczą niebezpieczną, jeśli zbytnio się w niego wierzy.

Bo tam na zewnątrz, tuż za polem naszego widzenia, na nas wszystkich czeka sieć, zawsze gotowa pochwycić wynieść nas – zaplątanych w nią – do góry, z poruszającymi się skrzelami, z bezużytecznie miotającym się ciałem w drodze do kto wie jakiego chaotycznego przeznaczenia. Miłość i woda. Sid Hammet przypatruje mi się zbyt długo. Nie boję się, nigdy się nie bałem. Będę tobą. Wznoszę się z nocy, unoszę się, toczę, przechodzę przez szybę i powietrze do jego smutnych oczu. Kim jestem? Nie może już zapytać, a ja – moja kara jest idealna dla kogoś, kto odebrał życie, ale nie zyskał w zamian innego mogę tylko życzyć sobie pewności w odpowiedzi: jestem William Buelow Gould, a moje imię jest pieśnią, którą będę śpiewać, klik-klak, rata-ta, pensa za obraz, durny Billy Gould jedzie na koniku morskim na Banbury Cross...

## POSŁOWIE

*Z teczki korespondencji Sekretarza Kolonii, 5 kwietnia 1831*

(ARCHIWA PAŃSTWOWE TASMANII)

Gould William Buelow, więzień numer 873 645; alias Sid Hammet, „Doktor”, Jorgen Jorgensen, Capois Death, Pobjoy, „Komendant”; znaki szczególne: tatuaż nad lewą pierś, czerwona kotwica z niebieskimi skrzydłami, napis MIŁOŚĆ I WOLNOŚĆ; zbiegł z Wyspy Sary 29 lutego 1831. Utonął podczas próby ucieczki.